

MICHEL
BUSSI

Czarne
nenufary



Świat Książki

MICHEL
BUSSI

Czarne
nenufary

Z francuskiego przełożyła
Maria Braunstein


Świat Książki
wydawnictwo

Pamięci Jacky Lucas

U Moneta nie widzimy realnego świata, ale możemy uchwycić jego
wygląd.

F. Robert-Kempf, „L'Aurore”, 1908

Nie! Nie! Nic czarnego dla Moneta, no nie!
Czerń nie jest kolorem!

Georges Clemenceau
przy trumnie Claude'a Moneta
(Michel de Decker, *Claude Monet*, 2009)

Staralem się, żeby opisy Giverny w tej książce były możliwie dokładne. Wszystkie wspomniane miejsca istnieją naprawdę, a więc hotel Baudy, strumyk wpadający do rzeczki Epte, młyn des Chennevières, szkoła w Giverny, kościół Sainte-Radegonde i cmentarz, ulica Claude-Monet, chemin du Roy, L'île aux Orties i oczywiście różowy dom Moneta czy staw z nenufarami. Podobnie miejsca sąsiadujące z Giverny: muzeum w Vernon, muzeum Sztuk Pięknych w Rouen, wioska Cocherel.

Informacje na temat Claude'a Moneta dotyczące jego życia, jego dzieł czy jego spadkobierców są prawdziwe. To samo odnosi się do innych wymienionych tu malarzy impresjonistów, zwłaszcza Theodore'a Robinsona czy Eugène'a Murera.

Kradzieże dzieł sztuki, o których mowa, rzeczywiście się zdarzyły...

Całą resztę wymyśliłem.

W miasteczku żyły trzy kobiety.

Pierwsza była zła, druga była kłamczuchą, trzecia była egoistką.

Ich miasteczko nosiło ładną ogrodową nazwę. Giverny.

Pierwsza mieszkała w wielkim młynie nad strumykiem, na chemin du Roy; druga zajmowała mieszkanie na mansardzie nad szkołą przy ulicy Blanche-Hoschedé-Monet; trzecia mieszkała u matki w małym domku, w którym farba odchodziła od ścian, przy ulicy Château-d'Eau.

Kobiety były też w różnym wieku. Bardzo różnym. Pierwsza miała ponad osiemdziesiąt lat i była wdową, lub prawie. Druga miała trzydzieści sześć lat i nigdy nie zdradziła męża. Na razie. Trzecia wkrótce miała skończyć jedenaście lat i wszyscy chłopcy z jej szkoły chcieli, żeby się w nich zakochała. Pierwsza zawsze ubierała się na czarno, druga malowała się dla kochanka, trzecia zaplatała warkocze, żeby powiewały na wietrze.

To już wiecie. Wszystkie trzy były dość różne. Miały jednak coś wspólnego, pewnego rodzaju tajemnicę: wszystkie marzyły o tym, żeby wyjechać. Tak, opuścić Giverny, to słynne miasteczko, którego sama nazwa wciąż przyciąga tłum ludzi gotowych przejechać z jednego końca świata na drugi, byleby móc pospacerować tam kilka godzin.

Oczywiście wiecie dlaczego. Z powodu malarzy impresjonistów.

Pierwsza, najstarsza, posiadała ładny obraz, druga bardzo się interesowała artystami, trzecia, najmłodsza, umiała ładnie malować. Nawet bardzo ładnie.

To dziwne, że ktoś chce opuścić Giverny. Nie sądzicie? Wszystkie trzy myślały, że miasteczko jest więzieniem, wielkim pięknym ogrodem, ale ogrodzonym. Tak jak park przy szpitalu psychiatrycznym. Złudzeniem, iluzją. Obrazem, którego nie sposób wyjąć z ram. Tak naprawdę to trzecia, najmłodsza, szukała ojca. Gdzie indziej. Druga szukała miłości. Pierwsza, najstarsza, wiedziała różne rzeczy o dwóch pozostałych.

Pewnego razu jednak przez trzynaście dni ogrodzenie parku było otwarte. Dokładnie od 13 do 25 maja 2010 roku. Ogrodzenie Giverny otworzyło się przed nimi! Tylko dla nich, tak myślały. Ale zasada była okrutna, tylko jedna z nich mogła uciec. Dwie pozostałe miały umrzeć. No tak.

Te trzynaście dni przedfilowały jak nawias w ich życiu. Zbyt krótki. I okrutny. Ten nawias otworzył się morderstwem dokonany pierwszego dnia, a zamknął kolejnym morderstwem dokonany dnia ostatniego. Dziwne, że policjanci zainteresowali się tylko drugą kobietą, najładniejszą; trzecia, najbardziej niewinna, musiała sama prowadzić śledztwo. Pierwsza, najbardziej dyskretna, mogła spokojnie nadzorować wszystkich. A nawet zabić!

Trwało to trzynaście dni. To był czas ucieczki.

W miasteczku żyły trzy kobiety.

Trzecia była najzdolniejsza, druga była najsprytniejsza, pierwsza była najbardziej zdeterminowana.

Jak myślicie, której udało się uciec?

Trzecia, najmłodsza, nazywała się Fanette Morelle; druga nazywała się Stéphanie Dupain; pierwszą, najstarszą, byłam ja.

OBRAZ PIERWSZY

Impresje

DZIEŃ PIERWSZY
13 maja 2010
(Giverny)

ZBIEGOWISKO

– 1 –

Przejrzysta woda w rzece zabarwia się na różowo małymi strużkami, jak ulotny pastelowy kolor strumienia wody, w którym płucze się pędzel.

– Nie, Neptun!

Wraz z nurtem płynącej wody kolor się rozgadnia, osadza się na zieleni gęstych traw, które zwisają z brzegów na brunatno-żółtych korzeniach topoli, wierzb.

Dość to ładne.

Tylko że czerwień nie pochodzi z palety, którą malarz miałby przemywać w rzece, lecz z przedziurawionej czaszki Jérôme'a Morvala. Krew wydostaje się z głębokiej ciętej rany czaszki, wyraźnej, czystej, przemywanej przez odnogę Epte, w której zanurzona jest jego głowa.

Podchodzi tam mój owczarek niemiecki, węszy. Znowu krzyczę, tym razem bardziej stanowczo:

– Neptun, nie! Odejdź!

Spodziewam się, że lada chwila znajda trupa. Chociaż jest dopiero szósta rano, na pewno zaraz się zjawi jakiś spacerowicz albo malarz, facet uprawiający jogging, zbieracz ślimaków... przechodzień, który trafi na ciało.

Uważam, żeby nie pójść dalej. Opieram się na lasce. Ziemia przede mną jest błotnista, w ostatnich dniach dużo padało, brzegi strumyka są ruchome. Osiemdziesiąt cztery lata to nie wiek, żeby bawić się w najady, nawet w takim ledwo widocznym strumyku, mniej niż metr szerokim, którego połowa nurtu jest zawracana, aby zasilić staw w ogrodach Moneta. Zresztą zdaje się, że już tego nie

robią, że teraz istnieje wydrążony podziemny kanał do zasilania stawu z nenufarami.

– Chodź, Neptun. Idziemy dalej.

Podnoszę laskę w jego kierunku, żeby nie wtryniał nosa w głęboką ziejącą dziurę szarej kurtki Jérôme'a Morvala. Druga rana. Sam środek serca.

– Rusz się! Nie będziemy się tu włóczyć.

Ostatni raz patrzę na pralnię naprzeciwko i idę dalej drogą. Nie ma co, jest świetnie utrzymana. Najbardziej zagrażające drzewa zostały ścięte równo z ziemią. Pobocza odchwaszczone. Trzeba powiedzieć, że codziennie tę drogę przemierza kilka tysięcy turystów. Można tedy przejść z wózkiem, z niepełnosprawnym w fotelu na kółkach, poprowadzić staruszkę z laską. To ja!

– No, chodź, Neptun.

Skręcam trochę dalej, w miejscu gdzie strumyczek Epte rozdziela się na dwie odnogi zamknięte zaporą i wodospadem. Z drugiej strony są pewnie ogrody Moneta, nenufary, mostek japoński, szklarnie... To dziwne, urodziłam się tutaj w roku 1926, w roku śmierci Claude'a Moneta. Przez całe lata po jego odejściu, prawie pięćdziesiąt lat, te ogrody były zamknięte, zapomniane, opuszczone. Dzisiaj koło się obróciło i co roku dziesiątki tysięcy Japończyków, Amerykanów, Rosjan czy Australijczyków przemierzają kulę ziemską tylko po to, żeby powłóczyć się po Giverny. Ogrody Moneta stały się świątynią, mekką, katedrą... Zresztą te tysiące pielgrzymów lada chwila tu przybędą.

Patrzę na zegarek. Godzina 6.02. Jeszcze kilka godzin wytchnienia.

Idę dalej.

Między topolami a olbrzymimi lepiężnikami posąg Claude'a Moneta wpatruje się we mnie złośliwym spojrzeniem zirytowanego sąsiada, podbródek ma zarośnięty, ukryty pod brodą, głowę schowaną pod czymś, co z trudem przypomina słomkowy kapelusz. Cokół z kości słoniowej informuje, że popiersie zostało postawione tu w 2007 roku. Drewniany napis umieszczony obok głosi, że mistrz czuwa nad „łąką”. Swoją łąką! Pola, od strumyczka do Epte, od Epte do Sekwany, rzędy topoli, faliste zalesione wzgórza niczym miękkie fale morskie. Magiczne miejsca, które namalował. Nietykalne... Pokryte werniksem, uwiecznione po wsze czasy!

To prawda, o szóstej rano to piękne miejsce jest jak iluzja. Przede mną na wprost dziewiczy horyzont pól zbożowych, kukurydzianych, czerwonych maków. Ale nie będę wam kłamać. Łąka Moneta teraz prawie przez cały dzień to tak naprawdę parking. Dla ścisłości nawet cztery parkingi, które odchodzą od asfaltowej łodygi niczym asfaltowy nenufar. W moim wieku mogę sobie pozwolić to powiedzieć. Rok w rok patrzyłam – i to od dawna – jak krajobraz się zmienia.

Więć Moneta dzisiaj to dekoracja supermarketu!

Neptun idzie kilka metrów za mną, potem pędzi przed siebie, przemierza parking, sika na drewnianą barierę, biegnie dalej przez pole w stronę ujścia Epte do Sekwany, tego kawałka pola wciśniętego między dwie rzeki i nazwanego dziwnie – L'île aux Orties – Wyspa Pokrzyw.

Wzdycham i idę dalej drogą. W moim wieku nie będę przecież za nim biegła. Patrę, jak się oddala, potem wraca, jakby się ze mną przekomarzał. Waham się, czy go wołać. Jest wcześnie. Znowu znika w zbożu. Teraz Neptun cały czas tak się zachowuje. Biegnie sto metrów przede mną! Wszyscy mieszkańcy Giverny znają tego psa, ale niewielu z nich, jak myślę, wie, że to mój pies.

Przechodzę wzdłuż parkingu i kieruję się w stronę młyna des Chennevières. To właśnie tam mieszkam. Wolę wrócić przed tłumami. Młyn des Chennevières jest z daleka najpiękniejszą budowlą w pobliżu ogrodów Moneta, jedyną wzniesioną wzdłuż strumyka, ale odkąd przerobili łąkę na pole blachy i opon, czuję się tam jak wsadzony do klatki gatunek na wymarcie, który ciekawscy przychodzą oglądać, podpatrywać, fotografować. Nad strumyczkiem są tylko cztery mostki, przez które przechodzi się z parkingu do miasteczka, a jeden z nich łączy oba brzegi tuż przed moim domem. Do osiemnastej czuję się osaczona ze wszystkich stron. Potem miasteczko znowu cichnie, łąka powraca do wierzb i Claude Monet może znów otworzyć swoje oczy z brązu, nie kaszląc w brodę zapachami węglowodorów.

Przedemną wiatr porusza las jasnozielonych kłosów, perlący się na czerwono od rosnących tu i ówdzie maków. Gdyby ktoś oglądał tę scenę na wprost, wzdłuż Epte, na pewno przywiodłaby mu na myśl obraz impresjonistyczny. Harmonia kolorów, pomarańczowych we wschodzącym słońcu, z jedną jedyną żalobną nutą, raptem jednym malutkim czarnym punkcikiem w głębi.

Starucha ubrana na ciemno. Ja!

Subtelna nuta melancholii.

Znowu krzyczę:

– Neptun!

Stoję tam długo, delektując się tym ulotnym spokojem, nie wiem, jak długo, co najmniej dobrych kilka minut, aż zjawia się jogger. Biegnie przede mną z MP3 wciśniętym w uszy. T-shirt. Adidasy. Wynurzył się na łące niczym anachronizm. Jest pierwszym, który tego dnia się tu pojawił i zakłócił obraz, po nim będą inni. Posyłam mu lekkie skinienie głowy, odwzajemnia je i oddala się pośród cykania elektronicznego konika polnego, które dobiega z jego słuchawek. Widzę, jak skręca w kierunku popiersia Moneta, małego wodospadu, tamy. Domyślam się, że wraca wzdłuż strumyka, uważając jak inni, by ominąć błoto na poboczu drogi.

Siadam na ławce. Czekam na dalszy ciąg. Nieunikniony.

Na parkingowej łące ciągle jeszcze nie ma żadnego autokaru, kiedy policyjna furgonetka zatrzymuje się gwałtownie na brzegu chemin du Roy między pralnią a moim młynem. Dwadzieścia kroków od leżącego w wodzie ciała Jérôme'a Morvala.

Wstaję.

Waham się, czy jeszcze raz, ostatni, zawołać Neptuna. Wzdycham. W końcu zna drogę. Młyn des Chennevières jest tuż obok. Rzucam ostatnie spojrzenie na glińiarzy, którzy wysiadają z pojazdu, i odchodzę. Wracam do domu. Z wieży młyna na czwartym piętrze można o wiele lepiej obserwować przez okno wszystko, co się dzieje w okolicy.

I o wiele dyskretniej.

– 2 –

Inspektor Laurenç Sérénac zaczął od odgródzenia kilkumetrowej strefy wokół trupa, przymocowując do gałęzi drzew rosnących nad strumyczkiem szeroką pomarańczową taśmę plastikową.

Sceneria zbrodni pozwala przypuszczać, że zapowiada się skomplikowane śledztwo. Sérénac pociesza się, mówiąc sobie, że wykazał się dobrym refleksem, kiedy zadzwonił telefon z komisariatu w Vernon: przybył tu wraz z trzema kolegami. W obecnej chwili głównym zadaniem pierwszego z nich, policjanta Louvela, jest powstrzymanie gapiów, którzy zaczynają się gromadzić wzdłuż strumyka. Jest ich tak dużo, że trudno sobie wyobrazić. Jeden z policyjnych wozów przejechał przez puste miasteczko, a po kilku minutach, można powiedzieć, wszyscy mieszkańcy zdążają w kierunku miejsca zbrodni. Bo na pewno mamy do czynienia z morderstwem. Nie trzeba było trzech lat szkoły policyjnej w Tuluzie, żeby mieć pewność. Sérénac znowu obserwuje otwartą ranę w sercu, górną część otwartej czaszki i głowę zanurzoną w wodzie. Policjant Maury, najlepiej, jak się zdaje, wyszkolony specjalista z komisariatu w Vernon, zajmuje się ostrożnie zabezpieczaniem śladów kroków w ziemi tuż przed trupem i robieniem kopii odcisków w szybkoschnącym gipsie. To Sérénac dał mu rozkaz uwiecznienia błotnistej ziemi jeszcze przed podejściem do trupa i zbadaniem go. Facet nie żyje, nie ucieknie, nawet nie zmartwychwstanie. Nie ma mowy, żeby naruszyć miejsce zbrodni, zanim będzie się miało wszystko na zdjęciu i w torebkach.

Na moście wynurza się inspektor Sylvio Bénavides. Łapie oddech. Kilku mieszkańców Giverny odsuwa się, by go przepuścić. Sérénac poprosił go, żeby się przeleciał aż do miasteczka Giverny, tuż obok, do górnej jego części, ze zdjęciem ofiary w rękę, i zebrał pierwsze informacje, a mianowicie zidentyfikował zamordowanego mężczyznę. Inspektor Sérénac od dawna nie urzęduje już w Vernon, ale szybko się zorientował, że Sylvio Bénavides działa bardzo skutecznie, gorliwie wykonuje rozkazy, organizuje wszystko, starannie przechowuje materiały. W zasadzie idealny zastępca. Bénavides cierpi może na lekki brak inicjatywy... a właściwie... Sérénac wyczuwa intuicyjnie, że to bardziej nadmierna nieśmiałość niż brak kompetencji. Facet oddany! No, oddany... Oddany swojej pracy gliniarza! Bo tak naprawdę to Bénavides bierze swojego przełożonego, inspektora Laurença Sérénaca, który jest świeżo po szkole policyjnej w Tuluzie, za coś w rodzaju niezidentyfikowanego obiektu policyjnego... Bo przecież, nawet wiedząc, że cztery miesiące temu zrobili Sérénaca szefem komisariatu w Vernon, chociaż bez stopnia komisarza, czyż można brać poważnie – na północ od Sekwany – gliniarza, który nie ma trzydziestki, który rozmawia z byle kim jak z dobrym kumplem, ma akcent langwedocki, i który od początku zachowuje się cynicznie, nadzorując miejsce zbrodni?

Nie wiadomo, myśli Sérénac. Ludzie są tu tak zestresowani... Nie tylko w policji. Wszędzie! Tu, w Vernon, jeszcze bardziej, na tym dużym przedmieściu Paryża, które udaje Normandię. Zna mapę swojego okręgu, granica Île-de-France przebiega w Giverny, jakieś kilkaset metrów stąd, po drugiej stronie głównego nurtu rzeki. Ale tu mieszkają Normandczycy, a nie paryżanie. I bardzo to podkreślają. To taki rodzaj snobizmu. Jakiś facet powiedział mu z całą powagą, że na granicy biegnącej wzdłuż Epte, tej śmiechu wartej rzeczki, w ciągu wieków poległo o wiele więcej ludzi niż nad Mozą i Renem...

Idioci!

– Inspektorze...

– Mów mi Laurenç, do cholery... Przecież już cię prosiłem.

Sylvio Bénavides się waha. Inspektor Sérénac wykrzykuje mu to przy policjantach Louvelu i Maurym, z piętnastu gapiach i pływającym we krwi trupie. Jakby to był właśnie najlepszy moment, żeby dyskutować o tym, czy należy mówić sobie po imieniu.

– No, tak. No, dobrze, szefie... Myślę, że trzeba będzie posuwać się ostrożnie... Bez trudu zidentyfikowałem ofiarę. Wszyscy ją tu znają. Zdaje się, że to gruba ryba. Jérôme Morval. Znany chirurg okulista, jego gabinet znajduje się na avenue Prudhon w Paryżu w najdroższej dzielnicy. Mieszka w jednym z najpiękniejszych domów w miasteczku, przy ulicy Claude-Monet 71.

– Mieszkał... – uściła Sérénac.

Sylvio nie reaguje. Stoi z miną faceta, który dostał przydział na front wschodni. Z miną urzędnika przeniesionego służbowo do tych z północy, zwanych *chtis*... Gliniarza wysłanego do Normandii... Patrząc na niego, Sérénac uśmiecha się pod wąsem. To on, a nie jego zastępca, powinien się dąsać.

– Okay, Sylvio – mówi Sérénac. – Dobra robota. Na razie nie ma się co stresować. Doszlifujemy CV później...

Sérénac zdejmuje z haka pomarańczową taśmę.

– Ludo, to się nadaje do odcisków? Można tam podejść bez desek?

Ludovic Maury potwierdza. Policjant oddala się z różnymi odlewami gipsowymi, a tymczasem inspektor Sérénac grzęźnie w błocie przy brzegu strumienia. Jedną ręką chwyta się gałęzi najbliższego jesionu, a drugą wskazuje nieruchome ciało.

– Podejdz tu, Sylvio. Popatrz. Nie uważasz, że jakoś dziwnie dokonano tej zbrodni?

Bénavides podchodzi. Louvel i Maury również się odwracają, jak na komendę, jakby to była uroczystość promocji ich przełożonego.

– Przyjrzyjcie się ranie, chłopcy, tam, pod kurtką. Najwyraźniej Morval został zabity bronią sieczną. Nożem albo czymś podobnym. Trafiony w samo serce. Bez krwi. Zanim się wypowiedzą biegli sądowi, można wysunąć hipotezę, że to było przyczyną śmierci. Tylko że, przyglądając się śladom w błocie, można zauważyć, iż ciało było wleczone przez kilka metrów nad brzeg rzeczki. Dlaczego zadano sobie ten trud? Dlaczego przemieszczono trupa? A potem zabójca złapał kamień czy inny ciężki przedmiot takiej samej wielkości i rozwalił mu górną część czaszki i skroń. A to znowu po cholere, w jakim celu?

Louvel podnosi nieśmiało rękę.

– Może Morval jeszcze żył?

– No, ale – słyhać śpiewny głos Sérénaca. – Biorąc pod uwagę wielkość rany, nie bardzo w to wierzę... A jeśli Morval jeszcze żył, dlaczego nie dostał na miejscu drugiego ciosu nożem? Po co było go przenosić, a potem dziurawić mu czaszkę?

Sylvio Bénavides nic nie mówi. Ludovic Maury rozgląda się wokół. Na brzegu strumyka leży kamień. Wielkości dużej piłki futbolowej, pokryty krwią. Pobrał z niego wszelkie możliwe próbki. Stara się odpowiedzieć:

– Bo w pobliżu był kamień. Zabójca użył broni, którą miał pod ręką...

Sérénacowi błyszczą oczy.

– Tu się z tobą nie zgadzam, Ludo. Przypatrzcie się dobrze temu miejscu, chłopcy. Jest coś jeszcze dziwniejszego. Popatrzcie na strumyk, dwadzieścia metrów. Co widzicie?

Inspektor Bénavides i obaj policjanci nie spuszczaają oczu z brzegów strumienia i nie rozumieją, do czego Sérénac zmierza.

– Nie ma żadnego innego kamienia! – triumfuje Sérénac. – Na całej długości rzeczki nie widać ani jednego innego kamienia. A jak się przyjrzeć trochę bliżej temu kamieniowi, nie ma wątpliwości, że on też został tu przyniesiony. Nie jest oblepiony suchą ziemią, przygnieciona pod nim trawa jest świeża... No to co tu robi ten opatrnościowy kamień? Zabójca go tutaj przyniósł, to się od razu rzuca w oczy...

Policjant Louvel próbuje odsunąć mieszkańców Giverny w stronę prawego brzegu strumienia, przed most, od strony miasteczka. Nie wydaje się jednak, żeby zgromadzeni przeszkadzali Sérénacowi.

– Chłopcy – ciągnie inspektor – podsumowując, mamy do czynienia z następującym przypadkiem: Jérôme Morval został pchnięty nożem na drodze, zapewne był to cios śmiertelny. Potem morderca przywłókł go nad rzekę. Sześć metrów dalej. Następnie, jako że był perfekcjonistą, wygrzebał gdzieś w okolicy kamień, taki około dwudziestu kilo, i wrócił, by rozwalić nim Morvalowi mózg... I wcale na tym nie poprzestał... Zwróćcie uwagę na pozycję ciała w strumyku: głowa jest prawie całkowicie pod wodą. Uważacie, że to naturalna pozycja?

– Właśnie pan powiedział, szefie – odpowiada Maury, tonem prawie rozdrażnionym. – Morderca uderzył Morvala kamieniem nad brzegiem wody. Potem ofiara osunęła się aż do strumienia...

– Jakby przypadkiem – ironizuje inspektor Sérénac. – Uderzenie w czaszkę i głowa Morvala ląduje w wodzie na dnie... Nie, chłopaki, gotów jestem się z wami założyć. Weźcie kamień i rozwalcie Morvalowi głowę. Tam, na brzegu. W ani jednym przypadku na tysiąc głowa trupa nie znajdzie się na dnie, idealnie zanurzona na głębokości dziesięciu centymetrów... Panowie, myślę, że rozwiązanie jest o wiele prostsze. Mamy do czynienia w pewnym sensie z potrójnym morderstwem na tej samej osobie. Raz, zabijam cię. Dwa, rozwalam ci głowę. Trzy, topię cię w wodzie.

Na wargach zastyga mu uśmiezek.

– Mamy do czynienia z kimś zdeterminowanym. Zawziętym. Bardzo, bardzo wściekłym na Jérôme'a Morvala.

Laurenc Sérénac odwraca się do Sylvia Bénavides'a z uśmiechem.

– Chcieć go zabić trzy razy to nie bardzo miłe dla naszego doktora, ale w końcu zawsze lepiej niż zabić za jednym zamachem trzy różne osoby, no nie?

Sérénac puszcza oko do inspektora Bénavides'a, który jest coraz bardziej zmieszany.

– Nie chciałbym siać paniki w miasteczku – ciągnie – ale w tym miejscu zbrodni

nic nie wydaje mi się dziełem przypadku. Nie wiem dlaczego, ale można powiedzieć, że to niemal jakaś kompozycja, zainscenizowany obraz. Tak jakby każdy szczegół został wymyślony. To właśnie miejsce, Giverny. Rozwój wydarzeń. Nóż, kamień, zatopienie...

– Zemsta? – sugeruje Bénavides. – Jakiś rytuał? Tak pan myśli?

– Nic nie wiem – odpowiada Sérénac. – Zobaczmy... Na razie to wszystko wydaje się zupełnie bez sensu, ale jedno jest pewne, dla mordercy ma to sens...

Louvel łagodnie odpycha gapiów na moście. Sylvio Bénavides nadal milczy, skupiony, jakby próbował się rozeznąć w potoku słów Sérénaca, poukładać je między zdrowym rozsądkiem a prowokacją.

Nagle z lasku topoli od strony łąki wyłania się brązowy cień, przechodzi pod pomarańczową taśmą i brnie w nadbrzeżnym błocie. Policjant Maury bezskutecznie usiłuje go zatrzymać.

Owczarek niemiecki!

Pies ociera się radośnie o dżinsy Sérénaca.

– O, patrzcie – mówi inspektor – nasz pierwszy dobrowolny świadek...

Odwraca się do tłumu na moście.

– Czy ktoś zna tego psa?

– Tak – odpowiada bez wahania starszy facet w stroju malarza: aksamitne spodnie i tweedowa marynarka. – To Neptun. Miejscowy pies. Wszyscy go tu spotykają. Biega za dziećmi z miasteczka. Jest, że tak powiem, częścią krajobrazu...

– Chodź tu, piesku – mówi Sérénac, kucając na wysokości Neptuna. – No co, to ty jesteś naszym pierwszym świadkiem? Powiedz mi, widziałeś zabójcę? Znasz go? Za chwilę przyjdiesz do mnie złożyć zeznanie. Mamy tu jeszcze trochę pracy.

Inspektor łamie gałąź wierzbową i rzuca ją kilka metrów dalej. Neptun podejmuje wyzwanie, włącza się do zabawy. Odbiega, wraca. Sylvio Bénavides ze zdziwieniem obserwuje manewry swojego przełożonego.

W końcu Sérénac się podnosi. Przez dłuższą chwilę ogląda każdy szczegół wokół: pralnię z cegieł i glinobitki tuż przy strumieniu; most nad rzeczką, a za nim, z tyłu, tę dziwną niekształną budowlę z pruskiego muru, w której króluje coś w rodzaju czteropiętrowej wieży. Można przeczytać jej nazwę wykutą w murze: MOULIN DES CHENNEVIÈRES. Nie wolno niczego zaniedbać, notuje w zakątku głowy, trzeba zrobić przegląd wszystkich potencjalnych świadków, mimo że morderstwo zostało zapewne popełnione około szóstej rano.

– Michel, odsuń publikę. Ludo, podaj mi rękawiczki, przejrzymy kieszenie

naszemu doktorkowi, nawet gdybyśmy mieli sobie zamoczyć stopy, jeśli nie chcemy przenosić ciała.

Sérénac zrzuca tenisówki, skarpetki, podwija džinsy do połowy łydki, wciąga rękawiczki, które mu podaje policjant Maury, i schodzi boso do strumyka. Jego lewa ręka utrzymuje w równowadze ciało Morvala, a druga przeszukuje kurtkę. Wyciąga skórzany portfel i podaje go Bénavides'owi. Jego zastępca otwiera portfel i przegląda dokumenty.

Nie ulega wątpliwości, że to Jérôme Morval.

Ręka w dalszym ciągu przeszukuje kieszenie trupa. Chusteczki. Kluczyki od samochodu. Wszystko przechodzi z jednej ręki w rękawicze do drugiej ręki w rękawicze, a potem wpada do przezroczyстых torebek.

– Cholera. Co to...

Palce Sérénaca wydobywają z zewnętrznej kieszeni kurtki trupa pogniecioną kartkę. Inspektor zerka na nią. To zwyczajna pocztówka. Obrazek przedstawia *Nenufary* Moneta, wersję niebieską: reprodukcja, jakich miliony sprzedaje się na całym świecie. Sérénac odwraca kartkę.

Tekst jest krótki, napisany wielkimi literami. **JEDENAŚCIE LAT. NAJLEPSZE ŻYCZENIA URODZINOWE.**

Tuż pod tymi kilkoma słowami został przyklejony wycięty z czegoś cienki pasek papieru. Tym razem aż siedem słów: *Zgadzam się by marzenia jako zbrodnie sądzić...*

Cholera...

Woda w strumieniu mrozi nagle kostki inspektorowi niczym stalowe kajdanki. Sérénac krzyczy do gapiów stojących naprzeciwko, stłoczonych wokół normańskiej pralni, jakby czekali na autobus.

– Czy Morval miał dzieci? Powiedzmy, jedenastoletnie dziecko?

Malarz w aksamitach i tweedzie znowu odpowiada najszybciej:

– Nie, panie komisarzu. Na pewno nie!

Cholera...

Kartka urodzinowa przechodzi w ręce inspektora Bénavides'a. Sérénac podnosi głowę, obserwuje. Pralnia. Most. Młyn. Miasteczko Giverny, które się budzi. Ogrody Moneta, które zapewne są trochę dalej. Łąka i topole.

Chmury, które przyczepiają się do zalesionych wzgórz.

Te siedem słów, które przyczepiły się do jego myśli.

Zgadzam się by marzenia jako zbrodnie sądzić...

Nagle Sérénac nabiera przekonania, że w tym impresjonistycznym pejzażu pocztówki coś nie jest na swoim miejscu.

Patrzę na gliniarzy z wysokości wieży młyna des Chennevières. Ten, który nosi dzinsy, szef, ma jeszcze stopy w wodzie, trzech pozostali są na brzegu, otoczeni tym głupim tłumem; teraz jest już prawie trzydzieści osób, którym nic nie umknie z tej sceny, są zupełnie jak w teatrze, teatrze ulicznym. W teatrze rzeczonym zresztą, jeśli chodzi o ścisłość.

Uśmiecham się do siebie. To idiotyczne, prawda, wymyślać sobie takie gry słów? Tylko dla siebie. A czy ja jestem mniej głupia niż ci gapie, dlatego że stoję na balkonie? W lepszym miejscu, wierzcie mi. Widzieć, nie będąc widzianą.

Waham się. Śmieję się też, dlatego że się waham. Nerwowo.

Co mam robić?

Gliniarze właśnie wyciągają z białej furgonetki dużą plastikową torbę, zapewne będą ładować w nią trupa. Pytanie w dalszym ciągu chodzi mi po głowie. Co powinnam zrobić? Czy powinnam pójść na policję? Czy powinnam powiedzieć gliniarzom z komisariatu w Vernon wszystko, co wiem?

Czy gliniarze będą zdolni uwierzyć w majaczenie starej wariatki? Czy nie będzie słuszniej milczeć i czekać? Odczekać kilka dni, tylko kilka dni. Obserwować, pobawić się w myszkę, która siedzi w swojej dziurze, odstawiać niewiniątko, zobaczyć, jaki będzie rozwój wydarzeń. No i trzeba będzie jednak porozmawiać też z wdową po Jérôme'ie Morvalu, Patricią, tak, oczywiście, muszę to zrobić.

Ale rozmawiać z glinami...

Na dole koło strumyka trzech policjanci, pochyleni, ciągną w stronę torby trupa Jérôme'a Morvala jak wielki rozmrożony kawał mięsa ociekający wodą i krwią. Strasznie się męczą, biedaki. Wyglądają jak rybacy amatorzy, którzy złapali na harpun zbyt wielką rybę. Czwarty gliniarz wciąż stoi w wodzie i obserwuje ich. Stąd, gdzie jestem, widać nawet, jakby się zaśmiewał. No tak, z tego, co mogę dostrzec, co najmniej się uśmiecha.

A właściwie to może niepotrzebnie tak główkuję, jeśli porozmawiam z Patricią Morval, to przecież wszyscy się dowiedzą, to pewne. Przede wszystkim gliny. Ta wdowa dużo gada... No, a ja jeszcze nie jestem wdową, nie całkiem.

Zamykam oczy, może na minutę. Zaledwie.

Podjęłam decyzję.

Nie, nie będę rozmawiać z glinami! Zamienię się w czarną mysz, niewidzialną. Przynajmniej na kilka dni. W końcu jeśli gliny będą chciały mnie znaleźć, to mogą, w moim wieku już się tak szybko nie biega. Wystarczy, że pójdą za Neptunem... Otwieram oczy i patrzę na mojego psa. Leży jakieś kilkadziesiąt metrów od

policjantów, w paprociach, on też bacznie obserwuje miejsce zbrodni.

Tak, postanowione, odczekam kilka dni, przynajmniej do chwili, aż będę wdową. Taka jest norma, prawda? Minimum przyzwoitości. Później zawsze będzie czas, by improwizować, działać w odpowiednim momencie. Zależnie od okoliczności... Czytałam kiedyś, dość dawno, kryminał. Rzecz działa się w jakimś dworze angielskim czy czymś w tym rodzaju. Cała sprawa była widziana oczami kota. Tak, dobrze usłyszeliście, kota! Kot był świadkiem wszystkiego, a siłą rzeczy nikt nie zwracał na niego uwagi. To on na swój sposób prowadził śledztwo! Słuchał, obserwował, węszył, sprawdzał. Powieść została nawet wystarczająco dobrze skonstruowana, żeby można było pomyśleć, że to kot okaże się mordercą. No, dobrze, nie będę wam psuła przyjemności, nie zdradzę zakończenia, sami przeczytacie tę książkę, jeśli będziecie mieli okazję... Mówię o niej tylko po to, żeby wam wyjaśnić, co mam zamiar zrobić: zostać świadkiem w tej sprawie, świadkiem poza wszelkimi podejrzeniami, tak jak kot z tego angielskiego dworu.

Znowu odwracam głowę w stronę rzeki.

Trup Morwała prawie zniknął połknięty przez plastikowy worek, który, można by rzec, jest niczym nażarta anakonda; jedynie kawałek głowy sterczy jeszcze między dwiema szczękami połączonymi nie do końca zapiętym zamkiem błyskawicznym. Trzej gliniarze na brzegu wydają się zziajani. Z góry wygląda to tak, jakby tylko czekali na gest przełożonego, żeby wyjąć papierosa.

DZIEŃ DRUGI
14 maja 2010
(*Młyn des Chennevières*)

MÓW MI TY

– 4 –

W szpitalu zanudzają mnie tymi wszystkimi papierami. Robię, co mogę, układam na stole w sali najróżniejsze druki. Recepty, zaświadczenia o ubezpieczeniu na życie, świadectwo ślubu, zamieszkania, wyniki badań. Wsuwam to wszystko do grubych kopert z papieru pakowego. Niektóre dla szpitala. Nie wszystkie. Pójdę na pocztę w Vernon zważyć i wysłać to wszystko. Niepotrzebne papiery wkładam do białej teczki. Nie wszystkie wypełniłam, nie wszystko zrozumiałam, zapytam pielęgniarek. Teraz już mnie znają. Spędziłam tam wczorajsze popołudnie i dużą część wieczoru.

W pokoju 126, grając rolę prawie wdowy niepokojącej się o męża, który odchodzi; słuchając słów pocieszenia lekarzy i pielęgniarek. Ich kłamstw.

Dla mojego męża nie ma już ratunku! Jestem tego świadoma. Gdyby oni wiedzieli, jak mi to zwisa!

Niech się to już skończy! Tylko o to proszę.

Przed wyjściem podchodzę do lustra w złożonych łuszczących się ramach na lewo od drzwi wejściowych. Patrę na swoją znoszoną, pomarszczoną, zimną twarz. Martwą. Wkładam szeroki czarny szal na moje związane włosy. Prawie czador. Tutejsze stare kobiety skazane są na woal, nikt nie chce ich oglądać. Tak to jest. Nawet w Giverny. Zwłaszcza w Giverny, miasteczku światła i kolorów. Staruchy są skazane na cień, na czerń, noc. Niepotrzebne. Niewidzialne. Znikają. Zapomina się o nich.

To mnie urządza!

Odwracam się ostatni raz, zanim zejść po schodach mojej wieży obronnej. Tak właśnie najczęściej nazywa się wieżę młyna des Chennevières w Giverny. Wieża obronna. Sprawdzam machinalnie, czy nic się nie dzieje, i w tej samej chwili przeklinam swoją głupotę. Nikt tu już nigdy nie wchodzi. Nikt już nigdy nie przyjdzie, a jednak najmniejszy drobiazg nie na swoim miejscu od razu wzbudza mój niepokój. Taki rodzaj obsesyjnego zaburzenia zachowania, jak mówią w reportażach. Bzik, który w dodatku nikomu oprócz mnie nie przeszkadza.

Niepokoi mnie pewien szczegół w najciemniejszym kącie. Mam wrażenie, że obraz jest trochę przekrzywiony w stosunku do belki. Powoli do niego podchodzę. Przesuwam dolny prawy róg ramy, żeby leciutko podnieść go w górę.

Moje *Nenufary*.

Czarne.

Powiesiłam obraz dokładnie w tym miejscu, w którym nie można go zobaczyć z żadnego okna, jeśli w ogóle ktoś mógłby coś zobaczyć przez okno na czwartym piętrze normañskiej wieżyczki zbudowanej w środku młyna.

Moja kryjówka...

Trzeba przyznać, że obraz wisi w najciemniejszym kącie, w martwym punkcie. Ten mrok sprawia, że ciemne plamy na szarej wodzie są jeszcze bardziej ponure.

Kwiaty żałoby.

Najsmutniejsze, jakie kiedykolwiek zostały namalowane...

*

Z trudem schodzę na dół. Wychodzę. Neptun czeka na podwórzu młyna. Odsuwam go laską, zanim mi wskoczy na suknię: ten pies ciągle nie potrafi zrozumieć, że coraz trudniej mi utrzymać równowagę. Spędzam długie minuty na zamykaniu trzech ciężkich zamków, wsuwaniu pęku kluczy do torby, sprawdzaniu jeszcze raz, czy każdy zamek jest dobrze zablokowany.

Wreszcie się odwracam. Na podwórzu młyna wielka czereśnia traci ostatnie kwiaty. To drzewo, jak się zdaje, ma sto lat. Mówi się, że znało jeszcze Moneta! W Giverny czereśnie bardzo się podobają, lubimy je. Posadzili cały rząd drzew wzdłuż parkingu koło Muzeum Sztuki Amerykańskiej, które od roku stało się Muzeum Impresjonizmu. Z tego, co słyszałam, to wiśnie japońskie. Są mniejsze, jak karłowate drzewa. Uważam, że to trochę dziwne, te nowe egzotyczne drzewa, tak jakby nie było ich już dość w miasteczku. Ale co robić, tak to jest. Zdaje się, że amerykańscy turyści uwielbiają różowy kolor kwiatów wiśni na wiosnę. Gdyby mnie zapytano o zdanie, powiedziałabym, że ziemia na parkingu i samochody

pokryte różowymi płatkami to taki widok trochę w stylu Barbie. Ale nikt mnie nie pyta o zdanie.

Przyciskam koperty do piersi, żeby Neptun ich nie uszkodził. Z trudem idę pod górę ulicą du Colombier. Nie spieszę się, chwilę odpoczywam w bramie hoteliku porośniętego bluszczem. Autokar do Vernon będzie dopiero za dwie godziny. Mam czas, dużo czasu, żeby się pobawić w czarną myszkę.

Skrećam w ulicę Claude-Monet. Malwy ogrodowe i pomarańczowe irysy przebijają się przez smołę tak jak psia trawka wzdłuż kamiennych fasad. To typowa pocztówka z Giverny. Idę dalej zgodnie z rytmem moich osiemdziesięciu lat. Neptun jak zwykle jest już daleko przede mną. W końcu dochodzę do hotelu Baudy. Szyby w oknach najśłynniejszego w Giverny przedsiębiorstwa są pozasłaniane plakatami wystaw, galerii lub festiwali. Szyby mają zresztą dokładnie takie wymiary jak te afisze. To dziwne, jak się nad tym zastanowić, zawsze mnie to intrygowało, czy to zbieg okoliczności, czy też rozmiar wszystkich plakatów dopasowuje się do rozmiaru szyb w hotelu, czy na odwrót, architekt hotelu Baudy był wizjonerem, który już w dziewiętnastym wieku, projektując okna, przewidział standardową wielkość przyszłych plakatów reklamowych.

Ale przypuszczam, że taka zagadka nie jest dla was zbyt pasjonująca... Naprzeciwko mnie kilkudziesięciu zwiedzających siedzi przy stolikach na zielonych żelaznych krzesłach pod pomarańczowymi parasolami w poszukiwaniu tych samych emocji, których szukała kolonia malarzy amerykańskich, przybyłych do tego hotelu przeszło sto lat temu. To też dziwne, jak się zastanowić. Ci amerykańscy malarze z ubiegłego wieku przyjeżdżali tu, do tego malutkiego miasteczka w Normandii, w poszukiwaniu spokoju i skupienia. To było dokładne przeciwieństwo dzisiejszego Giverny. Ja chyba nic nie rozumiem z dzisiejszego Giverny.

Siadam przy wolnym stoliku i zamawiam kawę. Przynosi mi ją nowa kelnerka, zatrudniona tu na sezon. Ubrana jest w krótką spódniczkę i nosi małą kamizelkę w stylu impresjonistycznym, z fiołkoworóżowymi nenufarami na plecach.

Nosić na plecach fiołkoworóżowe nenufary to też dziwne, prawda?

Ja, która widziałam, jak to miasteczko się zmieniało przez cały ten czas, niekiedy mam wrażenie, że Giverny stało się wielkim parkiem rozrywki. Atrakcji, a raczej impresji. Zdaje się, że właśnie tutaj wynaleźli to pojęcie! Stoję tu i wzdycham jak zła starucha, która zrzędzi pod nosem, sama do siebie, i która już nic a nic nie rozumie. Patrzę na ten tłum wokół mnie, na tę ludzką mieszaninę. Para zakochanych czyta na cztery ręce ten sam przewodnik z serii *Guide vert*. Troje niespełna pięcioletnich dzieciaków baraszkuje na żwirze, a ich rodzice pewnie myślą, że chyba lepiej by im było na brzegu basenu niż nad stawem z żabami.

Jakaś podstarzała Amerykanka usiłuje w swoim hollywoodzkim francuskim zamówić kawę mrożoną z lodami.

Oni tu są.

Dwaj siedzą przy stoliku ode mnie. Piętnaście metrów. Poznają ich oczywiście. Widziałam ich ze swojego okna w młynie, zza firanek. Inspektor, który moczył nogi w strumyku koło trupa Jérôme'a Morvala, i jego nieśmiały zastępca.

Ani chybi patrzą raczej w drugą stronę, w stronę małej kelnerki. A nie w stronę starej czarnej myszy.

– 5 –

Widziana przez okulary przeciwsłoneczne inspektora Sérénaca fasada hotelu Baudy nabiera prawie odcienia sepii, w stylu belle époque, a nogi ładnej kelnerki, która przechodzi przez ulicę, nabierają miedzianego koloru złocistego croissanta.

– Okay, Sylvio. Przejrzyj jeszcze raz wszystkie znaleziska ze strumyka. Wszystko oczywiście poszło do laboratorium, odciski butów, kamień, ciało Morvala... Ale może o czymś zapomnieliśmy. No, nie wiem, pralnia, drzewa, most. Zobaczysz na miejscu. Przejdź się i zobacz, czy znajdziesz świadków. Ja natomiast nie mam wyboru, muszę złożyć wizytę wdowie Patricii Morval... Możesz mi trochę opowiedzieć o tym Jérôme Morvalu?

– Tak, Laur... oj, szefie.

Sylvio Bénavidés wyciąga spod stołu dossier. Sérénac wodzi wzrokiem za kelnerką.

– Bierzesz coś? Pastis? Kieliszek białego?

– No nie, nie. Nic.

– Nawet kawy?

– Nie, nie. Niech się pan nie przejmuję.

Bénavidés waha się, namyśla.

– No, dobrze, herbatę...

Laurenc Sérénac władczym gestem podnosi rękę.

– Proszę pani? Herbatę i lampkę białego. Jest może gaillac?

Odwraca się do swego zastępcy.

– Naprawdę tak trudno mówić mi po imieniu? Sylvio, ile ja mam, siedem, dziesięć lat więcej niż ty? Mamy ten sam stopień. No przecież nie trzeba mi wciskać „pana”, dlatego że od czterech miesięcy kieruję komisariatem w Vernon. Na południu nawet niebiescy mówią na ty do komisarzy...

– Na północy trzeba umieć czekać... W końcu się uda, szefie. Zobaczy pan...

– Na pewno masz rację. Powiedzmy, że muszę się zaaklimatyzować... chociaż, cholera, jakoś dziwnie się czuję, jak mój zastępca nazywa mnie „szefem”.

Sylvio wykręca sobie palce, jakby się wahał, czy przeciwstawić się przełożonemu.

– Jeśli pan pozwoli, nie jestem pewny, czy to kwestia relacji północ-południe. O, wytłumaczę to panu: mój ojciec jest teraz na emeryturze, ale przez całe życie od Portugalii do Francji budował domy dla młodszych od siebie szefów, którzy zwracali się do niego per ty, a on mówił im „pan”. Według mnie to chyba raczej, no, nie wiem, sprawa krawatu albo kombinezonu, zadbanych dłoni czy dłoni pokrytych smarem, rozumie pan, co chcę powiedzieć?

Laurencj Sérénac rozkłada ręce, rozchylając poły swojej skórzanej kurtki i ukazując szary T-shirt.

– Sylvio, czy widzisz tu krawat? Obaj jesteśmy inspektorami, do cholery...

Śmieje się szczerze.

– Przecież, tak jak mówisz, w końcu kiedyś się uda z tym mówieniem po imieniu... W każdym razie co do reszty nic się nie zmienia, lubię te twoje portugalskie parantele w drugim pokoleniu, które udaje, że jest skromne. No więc co z tym Morvałem?

Sylvio spuszcza głowę i uważnie czyta notatki.

– Jérôme Morval jest dzieckiem z tego miasteczka, które naznaczyło jego drogę. Mieszkał w Giverny, ale jego rodzina przeprowadziła się do Paryża, kiedy był jeszcze mały. Tatuś Morval też był lekarzem, internistą, ale niezbyt majątnym. Jérôme Morval ożenił się dość młodo z niejaką Patricią Chéron. Nie mieli jeszcze dwudziestu pięciu lat. Reszta to pasmo sukcesów. Młody Jérôme studiuje medycynę, robi specjalizację z okulistyki, otwiera najpierw gabinet w Asnières wraz z pięcioma kolegami, potem, kiedy umiera tata Morval, sam inwestuje uciulaną forszę w zakup gabinetu chirurga okulisty w szesnastym *arrondissement* w Paryżu. Pozornie funkcjonuje to raczej nieźle. Z tego, co zrozumiałem, był znanym specjalistą od katarakty, a więc klientelę miał raczej w starszym wieku. Dziesięć lat temu powrót w rodzinne strony, kupuje jeden z najpiękniejszych domów w Giverny, między hotelem Baudy a kościołem...

– A dzieci nie miał?

Kelnerka stawia ich zamówienie i odchodzi. Sérénac przerywa swojemu zastępcy, zanim ten zdążył odpowiedzieć:

– Fajna dziewczyna, co? Ładne opalone nóżki pod spódnicą, no nie?

Inspektor Bénavides waha się między westchnieniem a zażenowanym uśmiechem.

– Tak... Nie... To znaczy, mówię o Morvalach. Nigdy nie mieli dzieci.

– Dobrze... Jacyś wrogowie?

– Morval prowadził dość skromne życie jak na notabla. Żadnej polityki. Żadnych funkcji w organizacjach czy stowarzyszeniach, czy czymś takim... Nie miał też tak naprawdę dużej grupy przyjaciół... Miał natomiast...

Sérénac odwraca się gwałtownie.

– O! Dzień dobry, to ty...

Bénavides czuje jakiś futrzasty kształt, który się wciska pod stół. Wzdycha, tym razem szczerze. Sérénac wyciąga rękę, Neptun się o nią ociera.

– Mój jedyny świadek jak na razie – szepce Laurenç Sérénac. – Cześć, Neptun!

Pies poznaje swoje imię. Przytula się do nogi inspektora i spogląda pożądliwie na cukier leżący na spodku obok filiżanki herbaty Sylvia. Sérénac podnosi palec w kierunku psa.

– Grzeczny, tak. Słuchamy uważnie inspektora Bénavides’a. Nie udaje mu się powiedzieć dwóch zdań jednego po drugim. No więc, Sylvio, co mówiłeś?

Sylvio wczytuje się w swoje notatki i ciągnie monotonnym głosem:

– Jérôme Morval miał dwie namiętności. Które go zżerały, jak się to mówi. Którym poświęcał cały swój czas.

Sérénac głaszcze Neptuna.

– Trochę się posuwamy...

– No więc te dwie namiętności... Krótko mówiąc, malarstwo i kobiety. Co się tyczy malarstwa, mamy, jak się zdaje, do czynienia z prawdziwym kolekcjonerem, samoukiem raczej uzdolnionym, z wyraźną skłonnością do impresjonizmu, ma się rozumieć. I z jedną zachcianką, jak mi mówiono. Jérôme Morval marzył o obrazie Moneta! I możliwie nie byle jakim. Wygrzebać skądś *Nenufary*, oto co chodziło po głowie naszemu okuliście...

Sérénac gwizdże do ucha psa:

– Ni mniej, ni więcej... Moneta! Nawet jeśli jego gabinet przywracał wzrok wszystkim mieszczkom z szesnastego arrondissement, *Nenufary* wydają mi się dużo powyżej dochodów naszego doktora Morvala. Mówiłeś: dwie namiętności... Ta jawna to obrazy impresjonistów. A ta ukryta to kobiety?

– Plotki... Pogłoski... Chociaż Morval krył się z tym tylko w połowie. Sąsiedzi i koledzy mówili mi przede wszystkim o sytuacji, w jakiej się znalazła jego żona Patricia. Wyszła za mąż bardzo młodo. Finansowo zależna od męża. A zatem rozwód nie wchodził w grę. Skazana więc na to, by przymknąć oczy, szefie, wie pan, co chcę powiedzieć...

Laurenç Sérénac opróżnia swój kieliszek.

– Jeśli tak, to gaillac – rzuca, wykrzywiając się. – Tak, wiem, co chcesz

powiedzieć, Sylvio, koniec końców ten lekarz zaczyna mi się bardzo podobać. Udało ci się już ustalić jakieś nazwiska jego kochanek albo rogaczy, potencjalnych kryminalistów?

Sylvio stawia filiżankę z herbatą na spodeczku. Neptun patrzy na niego wilgotnymi oczami.

– Jeszcze nie... Ale zdaje się, że co się tyczy kochanek, Jérôme Morval miał też swój trop, swoją obsesję...

– Ach tak? Twierdza nie do zdobycia?

– Można to tak powiedzieć... Niech pan nie spadnie z krzesła, szefie, chodzi o miejscową nauczycielkę. Podobno najpiękniejszą dziewczynę w okolicy, ubrał sobie, że wciągnie ją na listę swoich zdobyczy.

– No i co?

– No i nic więcej nie wiem. Tyle wyciągnąłem z rozmowy z jego kolegami, jego sekretarką i trzema właścicielami galerii, z którymi często pracowałem... To jest wersja Morvala...

– Ta nauczycielka to mężatka?

Sérénac odwraca się do Neptuna.

– Tak. Podobno ma wyjątkowo zazdrosnego męża...

– Trochę się posuwamy, staruszkule. Dobry jest ten Sylvio, co? Wygląda tak trochę niemrawo, ale naprawdę to korba, ma mózg jak komputer.

Wstaje. Neptun pędzi daleko ulicą.

– Sylvio, mam nadzieję, że nie zapomniałeś butów i siatki do taplania się w tym strumyku Epte. Ja pójdę złożyć kondolencje wdowie po Morvalu... na ulicę Claude-Monet siedemdziesiąt jeden, to tam?

– Tak. Nie może pan zabłądzić. Giverny jest małym miasteczkiem zbudowanym na zboczu wzgórza. Sprowadza się do dwóch długich równoległych ulic, rue Claude-Monet, która idzie przez całe miasteczko, i chemin du Roy, czyli droga departamentalna idąca w dolinie wzdłuż strumyka. Można do tego dodać kilka małych uliczek, które wspinają się dość stromo między dwiema głównymi ulicami, i to wszystko.

Nogi kelnerki przechodzą na drugą stronę ulicy Claude-Monet i kierują się do baru. Małwy pieścą mury hotelu Baudy, cegły i glina, jak pastelowe płomienie w głębi nasłonecznionego kominka. Sérénac stwierdza, że to ładna scena.

Sylvio się nie mylił, dom pod numerem 71 na ulicy Claude-Monet jest niewątpliwie najładniejszym domem na tej ulicy. Żółte okiennice, dziewicze wino, które pożera połowę fasady, zmysłna mieszanina wielkich kamieni i muru pruskiego, geranium, które kapie z okien, wypływając z potężnych donic: fasada par excellence impresjonistyczna. Patricia Morval ma zapewne rękę do kwiatów albo przynajmniej potrafi dyrygować małą armią ogrodników znajdujących się na rzeczy. Tych to w Giverny chyba nie brakuje.

Przed drewnianą bramą wisi na łańcuchu miedziany dzwonek. Sérénac pociąga. Po kilku zaledwie sekundach za dębowymi drzwiami pojawia się Patricia Morval. Najwyraźniej na niego czekała. Policjant pcha bramę, która się odsuwa, żeby mógł wejść.

Inspektor Sérénac lubi zawsze ten moment śledztwa. Pierwsze wrażenie. Te kilka chwil czystej psychologii, które trzeba uchwycić na żywo. Z kim ma do czynienia? Z kochającą zrozpaczoną kobietą czy z oschłą i obojętną mieszczką? Z doświadczoną przez los kochanką czy z wesołą wdówką? Teraz jest bogata. W końcu wolna. Pomszczona za wybryki męża. Udaje, czy nie, ból, żalobę? W danej chwili niełatwo wyrobić sobie zdanie, bo oczy Patricii Morval są ukryte za wielkimi okularami o grubych szklach, które rozmywają zaczerwienione źrenice.

Sérénac wchodzi do korytarza. W rzeczywistości to ogromny przedpokój, wąski, a długi. Nagle staje jak wryty. Na obu ścianach, pokrywając je całkowicie na długości przeszło pięciu metrów, wiszą dwa ogromne obrazy nenufarów – są to reprodukcje w raczej rzadko spotykanej odmianie, w barwach czerwonej i złotej, bez nieba i bez wierzbowych gałęzi. Z tego, co Sérénacowi wiadomo, jest to zapewne reprodukcja płótna Moneta namalowanego w ostatnich latach jego życia, z ostatnich serii, po 1920 roku. Wydedukowanie tego nie jest bardzo trudne, bo Monet kierował się prostą logiką twórczą: zawęzić stopniowo spojrzenie, eliminować wystrój, skoncentrować się na jednym jedynym punkcie stawu, kilku metrach kwadratowych, tak jakby się chciało po nim przejść. Sérénac posuwa się naprzód w tym dziwnym otoczeniu. Korytarz ma zapewne przywozić na myśl ściany w Orangerie, chociaż daleko mu do tych ciągnących się sto metrów bieżących *Nenufarów* wystawionych w paryskim muzeum.

Sérénac wchodzi do jakiejś sali. Wystrój wnętrza jest klasyczny, trochę przeładowany różnorodnymi bibelotami. Uwagę odwiedzającego przyciągają zwłaszcza wiszące obrazy. Około dziesięciu. Oryginały. Z tego, co wie Sérénac, jest tu kilka nazwisk, które zaczynają przedstawiać realną wartość artystyczną, a zwłaszcza finansową. Grebonval, Van Muylder, Gabar... Wygląda na to, że Morval miał dobry gust i zmysł inwestowania. Inspektor mówi sobie, że jeśli wdowie uda się utrzymać na dystans sępy, które wywęszą zapach werniksu, będzie

na długo zabezpieczona materialnie.

Siada. Patricia nie może ustać w miejscu. Przesławia nerwowo przedmioty stojące w idealnym porządku. Jej purpurowy kostium kontrastuje z białawą skórą, dość matową. Sérénac dałby jej jakieś czterdzieści lat, może mniej. Nie jest bardzo ładna, ale rodzaj stanowczości w zachowaniu nadaje jej pewien wdzięk. Uroda klasyczna, ale nie dużej klasy, powiedziała by policjant. Minimalny powab, ale zadbana.

– Inspektorze, czy jest pan absolutnie pewny, że to było morderstwo?

Powiedziała to tonem uszczypliwym, trochę nieprzyjemnym.

Dopowiada:

– Opowiadano mi już tę scenę. Czy wypadek nie wchodzi w grę? Upadek na duży kamień, Jérôme się topi...

– Dlaczego nie. Wie pani, wszystko jest możliwe, trzeba poczekać na raport lekarzy sądowych. Ale na obecnym etapie śledztwa, muszę pani wyznać, zabójstwo jest tropem, do którego najbardziej się skłaniamy. O wiele bardziej...

Patricia Morval torturuje palcami małą statuetkę polującej Diany stojącą na kredensie. Z brązu. Sérénac podejmuje tok rozmowy. Zadaje pytania, Patricia Morval odpowiada prawie monosylabami, z rzadka więcej niż trzema słowami, często tymi samymi, zmieniając najwyżej ton. Z wysokiego na wyższy.

– Żadnych wrogów?

– Nie, nie, nie.

– Nie zauważyła pani niczego szczególnego w ostatnich dniach?

– Nie, nie.

– Pani dom wydaje się olbrzymi, czy pani mąż tu mieszkał?

– Tak... Tak. Tak i nie...

Sérénac nie pozostawia jej wyboru, tym razem nie rozumie tego niuansu.

– Musi mi pani powiedzieć coś więcej, pani Morval.

Patricia Morval cedzi powoli sylaby, jakby je liczyła.

– Jérôme rzadko tu bywał w tygodniu. Miał mieszkanie obok gabinetu w szesnastym arrondissement. Na bulwarze Suchet.

Inspektor notuje adres i nasuwa mu się refleksja, że to dwa kroki od muzeum Marmottan. Na pewno nieprzypadkowy zbieg okoliczności.

– Pani mąż często sypiał poza domem?

Milczenie.

– Tak.

Palce Patricii Morval nerwowo układają na nowo bukiet świeżo ściętych kwiatów stojących w długim wazonie z japońskimi motywami. W głowie Laurença Sérénaca pojawia się natrętny obraz: te kwiaty zgniją na swoich łodygach. Śmierć

zmrozi ten salon. Proch i pył czasu pokryje tę harmonię barw.

– Nie mieliście dzieci?

– Nie.

Chwila ciszy.

– Pani mąż też nie miał? Znaczących swoich?

Patricia Morval kompensuje swoje wahanie tembrem głosu, który obniża o całą oktawę.

– Nie.

Sérénac spokojnie odczekuje. Wyjmuje fotokopię kartki pocztowej z *Nenufarami* znalezionej w kieszeni Jérôme'a Morvala, odwraca ją i podaje wdowie. Patricia Morval jest zmuszona przeczytać kilka słów napisanych na maszynie: JEDENAŚCIE LAT. NAJLEPSZE ŻYCZENIA URODZINOWE.

– Znaleźliśmy tę kartkę w kieszeni pani męża – wyjaśnia inspektor. – Może ma pani jakiegoś kuzyna? Dzieci przyjaciół? Jakies dziecko, dla którego pani mąż mógł przeznaczyć tę kartkę urodzinową?

– Nie. Nie widzę nikogo takiego. Naprawdę.

Sérénac pozostawia jednak Patricji Morval czas do namysłu, po czym rzuca:

– A ten cytat?

Ich oczy prześlizgują się po kartce pocztowej i odczytują te dziwne słowa. *Zgadzam się by marzenia jako zbrodnie sądzić...*

– Nie mam pojęcia! Przykro mi, inspektorze...

Wydaje się, że naprawdę jej to nie obchodzi, że jest szczerą w swojej obojętności. Sérénac kładzie kartkę na stole.

– To jest fotokopia, może ją pani zachować, mamy oryginał. Niech pani pomyśli... Jeśli coś się pani przypomni...

Patricia Morval coraz mniej się miota po pokoju, jak mucha, która zrozumiała, że nie zdoła się wydostać ze słoika. Sérénac ciągnie:

– Czy pani mąż miał jakieś kłopoty, chodzi mi o sprawy zawodowe? No, nie wiem, jakaś operacja, która się nie udała? Niezadowolony pacjent? Jakaś skarga?

Mucha staje się nagle z powrotem agresywna.

– Nie! Nigdy. Co pan insynuuje?

– Nic. Nic. Naprawdę. Zapewniam panią.

Jego wzrok pada na obrazy na ścianach.

– Pani mąż miał niewątpliwie zamiłowanie do malarstwa. Myśli pani, że mógł być wplątany w coś, jakby to powiedzieć, takiego jak przemysł, paserstwo, nawet bez swojej wiedzy?

– Co pan chce przez to powiedzieć?

Głos wdowy podnosi się znowu w górne rejestry, staje się jeszcze bardziej

nieprzyjemny. Klasyczna reakcja, myśli inspektor. Patricia Morval zamyka się w zaprzeczaniu zabójstwa. Przyjął do wiadomości zamordowanie męża to przyjął, że ktoś mógł go aż tak nienawidzić, żeby go zabić... To jakby przyjął poczucie winy męża. Sérénac nauczył się tego wszystkiego, musi wydobyć na światło dzienne ciemną stronę ofiary, nie atakując jednak wdowy.

– Nic nie chcę powiedzieć, nic konkretnego. Zapewniam panią, pani Morval. Szukam po prostu punktu zaczepienia. Mówiono mi o jego... powiedzmy, zachciance... posiadania płótna Moneta... To było...

– Dokładnie tak, inspektorze. To było jego marzenie. Jérôme uchodzi za jednego z najlepszych znawców Claude’a Moneta. Tak, marzenie. Żeby mieć Moneta. Ciężko na to pracował. Był niezwykle zdolnym chirurgiem. Zasługiwałyby na to. Był pasjonatem. Marzyło mu się nie byle jakie płótno, inspektorze. *Nenufary*. Nie wiem, czy pan to może zrozumieć, ale tego właśnie poszukiwał. Obrazu namalowanego tu, w Giverny. W jego miasteczku.

Wykorzystując tyradę wdowy, mózg Sérénaca się ożywia. Pierwsze wrażenie! W ciągu tych kilku minut pogawędki z Patricią Morval zaczyna wyrabiać sobie zdanie o naturze tej żałoby. I wbrew wszelkim oczekiwaniom wrażenie idzie coraz bardziej raczej w stronę płomiennej namiętności, w stronę piorunującej miłości niż w ukrytą w cieniu stronę obojętności opuszczonej kobiety.

– Przykro mi, że tak panią zanudzam, pani Morval. Ale mamy przecież ten sam cel, znaleźć mordercę pani męża. Będę musiał zadać pani pytania... bardziej osobiste.

Patricia Morval zdaje się zastygać w pozie nagiej kobiety namalowanej przez Gabara, ze ściany naprzeciwko.

– Pani mąż nie zawsze był, że tak powiem... pani wierny. Czy myśli pani, że...

Sérénac dostrzega poruszenie Patricii. Jakby jej intymne łyzy usiłowały zgasić w niej wewnętrzny pożar.

Przerywa mu:

– Kiedy się poznaliśmy, byliśmy bardzo młodzi. Długo się do mnie zalecał, bardzo długo, do mnie i do innych. Wiele lat to trwało, zanim mu uległam. Kiedy był młody, nie należał do tego rodzaju chłopców, o których marzą dziewczęta. Nie wiem, czy rozumie pan, co chcę panu wyjaśnić. Był chyba trochę za poważny, trochę nudny. Brakowało mu śmiałości w kontaktach z płcią przeciwną. Takie rzeczy się wyczuwa. Później, z czasem, stał się o wiele bardziej pewny siebie, również bardziej uwodzicielski, o wiele bardziej interesujący. Myślę, inspektorze, że mam w tym duży udział. Stał się również bogatszy. Jérôme w dorosłym życiu miał do załatwienia pewne porachunki z kobietami... Z kobietami, panie inspektorze. Nie ze mną. Nie wiem, czy pan to może zrozumieć.

Mam nadzieję, myśli Sérénac, mówiąc sobie, że potrzebne mu nazwiska, fakty, daty.

Później...

Patricia Morval nalega:

– Liczę na pana takt, inspektorze... Giverny jest małym miasteczkiem, ma zaledwie kilkuset mieszkańców. Niech pan nie zabija Jérôme'a po raz drugi. Niech pan go nie oczernia. Nie zasłużył na to. Zwłaszcza na to.

Laurenc Sérénac kiwa głową uspokajająco.

Pierwsze wrażenie... Już sobie wyrobił zdanie. Tak, Patricia Morval kochała swojego Jérôme'a. Nie, nie zabiłaby go dla pieniędzy.

Ale z miłości, kto wie...

Ostatni szczegół, który go uderza, to kwiaty w japońskim wazonie, one go przekonały: w tym domu czas się zatrzymał. Zegar się rozbił wczoraj! W tym salonie każdy centymetr kwadratowy oddycha jeszcze pasjami Jérôme'a Morvala. Tylko jego. I wszystko tak pozostanie na wieczność. Obrazy nigdy już nie zostaną zdjęte ze ścian. Książki stojące na półkach biblioteki domowej nigdy więcej nie zostaną otwarte. Wszystko pozostanie nieruchome, jak opustoszałe muzeum na cześć faceta, którego wszyscy już zapomnieli. Miłośnik sztuki, który nie zostawił nic w spadku. Miłośnik kobiet, którego zapewne żadna z nich nie będzie opłakiwać. Oprócz tej, która była jego żoną, tej, którą porzucił.

Życie spędzone na gromadzeniu reprodukcji. Bez potomków.

Światło na ulicy Claude-Monet pada na twarz inspektora. Czeka niecałe trzy minuty, na końcu ulicy wyłania się Sylvio, bez butów na nogach, ale dół spodni ma pobrudzony ziemią. Sérénaca to bawi. Sylvio Bénavides to fajny facet. Zapewne o wiele bystrzejszy, niżby to chciała ujawnić jego skrupulatna natura. Laurenc Sérénac cały czas dokładnie obserwuje zza okularów przeciwsłonecznych szczupłą sylwetkę swojego zastępcy, którego długi cień pada na ściany domów. Sylvio właściwie nie jest chudy. Wąski, to by było bardziej odpowiednie określenie, bo, paradoksalnie, pod koszulą w kratkę zapiętą pod szyję i wpuszczoną w płócienne beżowe spodnie widać już zarys krągłości.

Z profilu Sylvio jest chyba szerszy niż en face, zabawia się w myśli Laurenc. Jak cylinder! Nie jest przez to brzydszy, wprost przeciwnie. Dzięki temu nabiera pewnej wiotkości, jak pień młodego drzewa, gładki i giętki, jakby mógł się zginać, nigdy się nie łamiąc.

Sylvio podchodzi z uśmiechem na ustach. Laurenc stanowczo najmniej lubi u swojego zastępcy, przynajmniej pod względem fizycznym, tę jego manię

zaczesywania swoich krótkich i sztywnych włosów do tyłu albo na boki z przedziałkiem jak u seminarzysty. A przecież wystarczyłoby je przyciąć na jeża, żeby go zupełnie odmienić. Sylvio Bénavides staje przed nim, opiera ręce na biodrach.

– No więc, szefie... Jak wdowa?

– Bardzo wdowa! Bardzo, bardzo wdowa. A twoja robota, ekspertyza?

– Nic nowego... Rozmawiałem z kilkoma sąsiadami, ale oni spali tego ranka w porze zabójstwa i nic nie wiedzą. A co do innych śladów, to zobaczymy. Wszystko jest pod szkłem i w plastiku... Wracamy do domu?

Sérénac spogląda na zegarek. Jest 16.30.

– Tak... No, tylko ty. Ja mam ważne spotkanie, którego nie mogę przepuścić...

Wobec zdziwionej miny swojego zastępcy wyjaśnia:

– Nie chciałbym się spóźnić na koniec lekcji w szkole...

Sylvio Bénavides myśli, że zrozumiał.

– Żeby znaleźć jedenastoletniego dzieciaka, który ma niedługo urodziny?

Sérénac porozumiewawczo puszcza oko do Sylwia.

– Powiedzmy... A poza tym trochę po to, żeby ujrzyć ten klejnot impresjonizmu, tę nauczycielkę pożądaną przez Jérôme'a Morvala tak samo jak płótno Moneta.

– 7 –

Czekam na autokar pod lipami na małym placu z merostwem i szkołą. To najbardziej ocienione miejsce w miasteczku, raptem kilka metrów nad ulicą Claude-Monet. Jestem prawie sama. Doprawdy, to miasteczko stało się dziwne: wystarczy kilka metrów, kawałek ulicy, żeby przenieść się z gwarnych kolejek przed obleganymi muzeami czy galeriami malarstwa w puste uliczki wiejskiej miejsciny.

Przystanek autobusu znajduje się przed szkołą, no, prawie. Dzieci bawią się na dziedzińcu za ogrodzeniem. Neptun stoi trochę dalej, pod lipą, z niecierpliwością czeka, aż wypuszczą dzieci z klatki. Uwielbia biegać za dziećmi.

Dokładnie naprzeciwko szkoły komunalnej urządzili pracownię Art Gallery Academy. Na murze wielkimi literami namalowana jest dewiza: OBSERWACJA Z WYOBRAŻNIĄ. To cały program! W ciągu dnia z galerii wysypuje się oddział kulawych emerytów w słomkowych albo panamskich kapeluszach i rozprasza się po mieście. W poszukiwaniu boskiego natchnienia! Nie sposób ich nie spotkać w miasteczku, chodzą z tymi swoimi odznakami i z babcinymi wózkami, którymi

przewożą sztalugi.

Nie uważacie, że to śmieszne? Trzeba, żeby ktoś mi kiedyś wytłumaczył, dlaczego tutaj siano, ptaki na drzewach czy woda w rzece nie mają tego samego koloru co gdzie indziej na świecie.

To mnie przerasta. Chyba jestem za głupia na to, żeby zrozumieć, chyba za długo tu mieszkam. Na pewno to tak samo, kiedy zbyt długo żyje się u boku bardzo przystojnego mężczyzny. Tak czy inaczej, ci najeźdźcy nie odjeżdżają jak inni autokarami o osiemnastej. Włączają się aż do zapadnięcia nocy, śpią na miejscu, wychodzą o świcie. W większości to Amerykanie. Ja jestem może tylko staruchą, która obserwuje cały ten cyrk przez swoją kataraktę, ale nie zabronicie mi myśleć, że taka defilada starych malarzy przed szkołą może źle wpłynąć na dzieci z miasteczka, że w końcu wbiją sobie do głowy nie wiadomo co. Nie uważacie?

Inspektor namierzył Neptuna pod lipą. Nie ma co, ci dwaj się nie rozstają! Droczy się z nim, przekomarza – to taka mieszanina radosnej walki i pieśniod. Ja siedzę z tyłu na ławce niczym hebanowy posąg. Może to się wam wydać dziwne, że taka stara kobieta jak ja włączy się po całym Giverny i nikt albo prawie nikt jej nie zauważa. Zwłaszcza gliniarze. Powiem wam coś, zróbcie doświadczenie. Ustawcie się na rogu jakiejś ulicy, wszystko jedno jakiej, na bulwarze paryskim, na placu przed kościołem w jakimś miasteczku, gdzie chcecie, tylko w miejscu, gdzie jest dużo ludzi. Postójcie tak z dziesięć minut i liczcie ludzi, którzy tamtędy przechodzą. Będziecie zdumieni liczbą starszych osób. Zawsze będzie ich więcej niż innych. Po pierwsze dlatego, że tak to już jest, w kółko nam się to powtarza, na świecie ciągle przybywa starych ludzi. Poza tym osoby starsze nie mają nic innego do roboty, jak włączyć się po ulicach. I w końcu zwłaszcza dlatego, że się ich nie zauważa, tak to jest. Będą się oglądać za gołym pępkiem młodej dziewczyny, będą się przepychać przed ważną osobistością, która idzie szybkim krokiem, czy grupą młodzieży, która zajmuje cały chodnik, zwrócą oczy na wózek z dzieckiem w środku, mamę, która go pcha. Ale starzec czy starucha... Są niewidzialni. Właśnie dlatego, że idą tak powoli, stanowią prawie część krajobrazu, jak drzewo czy latarnia. Jeśli mi nie wierzycie, zróbcie próbę. Zatrzymajcie się tylko na dziesięć minut. Zobaczycie.

No więc wracając do naszej sprawy, skoro mam ten przywilej, że widzę, a nie jestem widziana, mogę wam to wyjawić: trzeba przyznać, że ten młody gliniarz ma niesamowity wdzięk, w tej swojej krótkiej skórce, obcisłych dżinsach, z tym świeżym zarostem, rozwichrzonymi blond włosami niczym pole zboża po burzy.

Doskonale można zrozumieć, że bardziej interesuje się melancholijnymi nauczycielkami niż starymi miejscowymi wariatkami.

– 8 –

Laurenc̄ Sérénac ostatni raz długo głaszczce Neptuna, po czym rusza w stronę szkoły. Kiedy znajduje się już tylko dziesięć metrów od drzwi, grupa ze dwudziestu dzieciaków w różnym wieku przechodzi tuż obok niego, pokrzykując. Jakby na jego widok chciały uciekać.

Dzikie bestie zostały wypuszczone na wolność.

Na czele biegnie może dziesięcioletnia dziewczynka z powiewającym na wietrze końskim ogonem. Neptun dotrzymuje jej kroku, jakby poruszany sprężyną. Wszyscy pędzą za nią, zbiegają ulicą Blanche-Hoschedé-Monet i rozpraszają się na ulicy Claude-Monet. Plac koło merostwa znowu cichnie, tak nagle, jak nagle przedtem się ożywił. Inspektor idzie dalej kilka metrów.

Laurenc̄ Sérénac długo jeszcze będzie rozmyślał o tym cudownym wydarzeniu. Przez całe życie. Będzie analizował każdy dźwięk, zanikające krzyki dzieci, szmer wiatru w liściach lip, każdy zapach, każdy błysk światła, biel kamieni merostwa, wilec purpurowy wijący się wzdłuż poręczy siedmiu schodków na podeście przed wejściem...

Nie spodziewał się tego. Niczego się nie spodziewał.

Dużo później zrozumie, że poraził go kontrast, minimalny kontrast, zaledwie kilka sekund. Stéphanie Dupain stała przed drzwiami szkoły i nie zauważyła go. Laurenc̄ uchwycił na moment jej spojrzenie ulatujące ku dzieciom, które uciekały ze śmiechem, jakby unosiły w tornistrach marzenia swojej nauczycielki.

Leciutka melancholia, jak delikatny motyl.

Potem, zaraz potem Stéphanie dostrzega gościa. Natychmiast pojawia się uśmiech, fiołkowe oczy błyszczą.

– Dzień dobry panu.

Stéphanie Dupain obdarza nieznanego swoją świeżością. Potężnym powiewem świeżości rozchodzącym się na cztery strony świata, na pejzaże artystów, na kontemplację turystów, na śmiechy dzieciaków na brzegach Epte. Z czego dla siebie nie zostawia nic. Dar bezwarunkowy.

Tak, to ów kontrast do tego stopnia wzburzył Laurenc̄a Sérénaca. Ta uprzejma

melancholia. Skrywana, utajona. Zupełnie jakby w jednej chwili dostrzegł zarys jaskini ze skarbem i nie miał już innej obsesji, jak znaleźć do niej wejście.

Wyrzuca z siebie, też się uśmiechając:

– Inspektor Laurenc Śérénac z komisariatu w Vernon.

Podaje mu delikatną dłoń.

– Stéphanie Dupain. Jedyna nauczycielka jedynej miejscowej klasy...

Oczy jej się śmieją.

Jest ładna. Nawet więcej niż ładna. Jej pastelowe oczy o barwach nenufarów łączą w sobie wszystkie odcienie niebieskiego i fiołkowego, zależy jak pada słońce. Jej blad różowe wargi wyglądają jak pomalowane kredą. Lekka sukienka odsłania gołe, prawie białe plecy. Skóra fajansowa. Trochę szalony kok więzi długie, jasnokasztanowe włosy.

Dyskretna fantazja.

Jérôme Morval rzeczywiście miał wyrobiony gust, nie tylko w dziedzinie malarstwa.

– Proszę, niech pan wejdzie.

Łagodna temperatura w szkole kontrastuje z upałem panującym na ulicy. Kiedy Laurenc wchodzi do małej klasy i patrzy na dwadzieścia krzeseł przy stolikach, odczuwa pewne przyjemne zmieszanie wobec tej nagłej intymności. Jego spojrzenie przesuwają się po ogromnych mapach wiszących na ścianach. Francja, Europa, świat. Ładne, cudownie stare mapy. Oczy inspektora zatrzymują się nagle na plakacie wiszącym koło biurka.

KONKURS „MALARZE NA TRAWIE”

International Young Painters Challenge

Foundation Robinson

Brooklyn Art School and Pennsylvania Academy
of the Fine Arts in Philadelphia

Uważa, że to idealne wejście w temat.

– Pani dzieci zgłaszają się do tego konkursu?

Oczy Stéphanie błyszczą.

– Tak! Co roku! Tutaj to prawie tradycja. Theodore Robinson był jednym z pierwszych malarzy amerykańskich, którzy przyjechali malować do Giverny z Claude’em Monetem. Był najwierniejszym gościem hotelu Baudy! Potem został profesorem sztuk pięknych znanym w Stanach Zjednoczonych... Normalne więc, że

dzieci z Giverny biorą teraz udział w konkursie jego fundacji, nie sądzi pan?

Sérénac kiwa głową.

– A co wygrywają laureaci?

– Kilka tysięcy dolarów, było nie było... A przede wszystkim kilkutygodniowy staż w prestiżowej szkole sztuk pięknych... Nowy Jork, Tokio, Sankt Petersburg... Co roku w innej...

– Imponujące... A jakieś dziecko z Giverny już wygrało?

Stéphanie Dupain śmieje się szeroko, poklepując Laurença Sérénaca po plecach. Dobrotliwie. Pobłażliwie. Przechodzi go dreszcz.

– No nie, wie pan... W konkursie biorą udział tysiące szkół z całego świata. Ale trzeba próbować, prawda? A wie pan, że dzieci samego Claude'a Moneta, Michel i Jean, siedziały w ławkach tej szkoły!

– A Theodore Robinson, zdaje się, nie przyjechał już nigdy więcej do Normandii...

Stéphanie Dupain spogląda na inspektora zdumiona. Robi wielkie oczy, inspektorowi wydaje się, że dostrzega w nich cień podziwu:

– To w szkole policyjnej są wykłady z historii sztuki?

– Nie... Ale można być gliną i lubić malarstwo, no nie?

Zaczerwieniła się.

– Jestem wzruszona, inspektorze...

Jej porcelanowe kości policzkowe zabarwiają się na różowy kolor polnych kwiatów nakrapiany piegami. Wodzi fiołkowymi oczami po klasie.

– Ma pan całkowitą rację, inspektorze, Theodore Robinson zmarł, mając czterdzieści trzy lata, na atak astmy w Nowym Jorku zaledwie dwa miesiące po tym, jak napisał do swojego przyjaciela Claude'a Moneta, że planuje przyjazd do Giverny... Nigdy więcej nie zobaczył Francji. Kilka lat po jego śmierci, w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym roku, jego spadkobiercy utworzyli fundację i zorganizowali ten międzynarodowy konkurs malarstwa. Ale chyba pana zanudzam, inspektorze. Przypuszczam, że nie przyszedł pan tu na moją lekcję...

– Ależ bardzo bym chciał, byłbym zachwycony.

Sérénac rzucił to wyłącznie po to, żeby się znowu zaczerwieniła.

Inspektor nie ustępuje.

– A pani, Stéphane, pani maluje?

Po raz kolejny palce młodej kobiety błędzą w powietrzu i prawie dotykają piersi inspektora. Policjant zmusza się, by widzieć w tym gościu jedynie odruch nauczycielki, która zwykła pochylać się nad uczniami, mówić do nich, patrząc prosto w oczy, dotykać ich.

Niewinna podpalaczka?

Sérénac ma nadzieję, że nie czerwieni się tak jak ona.

– Nie, nie. Nie maluję. Nie mam... W ogóle nie mam talentu.

Na krótką chwilę w błysk jej tęczyówek wtargnęła chmura.

– A pan? Nie ma pan akcentu z Vernon! I to pana imię, Laurenç. Nieczęsto się tu spotyka.

– Brawo! Trafne spostrzeżenie... Laurenç to odpowiednik Laurenta w Langwedocji... Dokładniej, mój osobisty dialekt to nawet ten z Albi... Właśnie zostałem przeniesiony.

– No to witamy! Albi? Zamiłowanie do malarstwa zawdzięcza pan więc Toulouse-Lautrecowi? Każdy ma swojego malarza!

Uśmiechają się.

– Częściowo... Ma pani rację. Lautrec jest dla ludzi z Albi tym, kim Monet jest dla Normandczyków...

– Czy wie pan, co Lautrec mówił o Monecie?

– Tu panią zawiodę, ale muszę wyznać, że nawet nie wiedziałem, że się znali.

– Tak! Ale Lautrec traktował impresjonistów jak dzikusów. Claude'a Moneta określał nawet jako idiotę, tak, tego słowa użył, „idiotę”, bo uważał, że marnuje on swój niezwykły talent na malowanie pejzaży, zamiast malować ludzi!

– Na szczęście Lautrec zmarł, zanim zobaczył, jak Monet przemienia się w eremita i przez trzydzieści lat maluje tylko nenufary...

Stéphanie zanosi się śmiechem.

– To jeden sposób widzenia rzeczy. W rzeczywistości można raczej uważać, że Lautrec i Monet wybrali dwie przeciwne drogi... Toulouse-Lautrec ulotne, krótkie, rozwiązłe życie w pogoni za zmysłowością ludzkiej duszy, Monet długie kontemplacyjne życie poświęcone przyrodzie.

– Drogi życiowe raczej się uzupełniają niż przeciwne, czyż nie? Naprawdę trzeba wybierać? Nie można mieć obu?

Uśmiech Stéphanie wprawia go w oszołomienie.

– Jestem niepoprawna, inspektorze. Przecież nie przyszedł pan tu, by rozmawiać ze mną o malarstwie, jak sądzę. Prowadzi pan śledztwo w sprawie zabójstwa Jérôme'a Morvala, tak?

Siada zwinnie na biurku, prawie na wysokości torsu Sérénaca. Naturalnym ruchem zakłada nogę na nogę. Bawełniana tkanina zsuwa się do połowy uda. Laurenç Sérénac prawie traci oddech.

– Jaki to ma związek ze mną? – szepcze niewinny głosik nauczycielki.

Autokar zaparkował tuż przed placem merostwa. Za kierownicą kobieta. Wcale nie wygląda na niedoszęłego kelnera czy kierowcę tira, nie, to zwyczajna kobietka, która równie dobrze mogłaby być pielęgniarką czy sekretarką. Nie wiem, czy zauważyliście, że to kobiety coraz częściej prowadzą te potężne szafy. Zwłaszcza na wsi. Dawniej nigdy się nie widziało dziewczyn za kierownicą autobusu. To na pewno dlatego, że w miasteczkach już tylko starzy i dzieciaki jeżdżą komunikacją zbiorową i na pewno dlatego kierowca autobusu to już nie jest męski zawód.

Z trudem podnoszę nogę na stopień autokaru. Płacę dziewczynie, która wydaje mi resztę wprawnym gestem kasjerki. Siadam z przodu. Pojazd jest w połowie zapełniony, ale wiem z doświadczenia, że sporo turystów wsiądzie przy wyjeździe z Giverny; większość wysiada na dworcu w Vernon. Potem nie ma przystanku, ale na ogół kierowcy litują się nad moimi biednymi nogami i wypuszczają mnie przed następnym przystankiem, koło szpitala w Vernon. Rozumiecie teraz, kobiety prowadzą autobusy, ponieważ akceptują takie rzeczy.

Myślę o Neptunie. Wczoraj wróciłam z Vernon taksówką. Kosztowało mnie to dokładnie trzydzieści cztery euro! Niezła sumka za niecałe dziesięć kilometrów, prawda? Nocna taryfa, powiedział mi facet za kierownicą swojego renault espace. Wykorzystują okazje, wiedzą, że po dwudziestej pierwszej nie ma już autobusu do Giverny. Nawiasem mówiąc, zauważcie, że taksówkami kierują zawsze mężczyźni, nigdy kobiety. Bardzo możliwe, że przez całą noc krążą wokół szpitala jak sępy, czyhając na wychodzące stare wdowy, które nigdy nie nauczyły się prowadzić samochodu. Przewidują, że w takich chwilach nikt nie będzie się targował! No... Mówię to, ale może będę zadowolona, kiedy za jakiś czas znajdę taksówkę. Bo ten wieczór, jak powiedzieli lekarze, może być ostatni. Tak więc może to potrwać dobry kawał nocy.

Naprawdę się denerwuję, że zostawiłam Neptuna włóczącego się poza domem.

W klasie szkoły w Giverny inspektor Laurenç Sérénac próbuje nie przykuwać swojego spojrzenia do gołej skóry nóg nauczycielki. Grzebie niezdarnie w kieszeni, podczas gdy Stéphanie Dupain obserwuje go z niewinną miną, jakby poza, którą przyjęła, siedząc na biurku z założonymi nogami, była najbardziej naturalna

w świecie. W zasadzie, rozumiem Laurenç Sérénac, żadne dziecko z jej klasy nie powinno w tym widzieć nic złego. W zasadzie...

– A więc – pyta ponownie nauczycielka – jaki to ma związek ze mną?

Palce inspektora wyciągają wreszcie fotokopię kartki pocztowej z *Nenufarami*.

JEDENAŚCIE LAT. NAJLEPSZE ŻYCZENIA URODZINOWE.

Podaje jej pocztówkę.

– Znaleziono to w kieszeni Jérôme’a Morvala.

Stéphanie Dupain odczytuje zdanie z uwagą. Kiedy nauczycielka pochyła się i odwraca lekko profilem, promień słońca wpadający przez okno odbija się od białego papieru i oświetla jej twarz. I kiedy tak siedzi w pozycji czytającej, skąpana w kręgu świetlnym, przywodzi na myśl Fragonarda. Degasa. Vermeera. W jednej chwili Sérénac odnosi dziwne wrażenie: żaden z gestów młodej kobiety nie jest spontaniczny, wdzięk każdego jej ruchu jest zbyt doskonały, wykalkulowany, wystudiowany. Ona pozuje dla niego. Stéphanie Dupain wstaje z elegancją, jej kredowe usta otwierają się łagodnie i wydają z siebie niewidoczne dmuchnięcie, które rozprasza całkowicie śmieszne podejrzenia policjanta.

– Morwalowie nie mieli dzieci... Więc pomyślał pan o szkole...

– Tak... To właśnie cała tajemnica. Czy w pani klasie są jedenastoletnie dzieci?

– Oczywiście, sporo. Przyjmuję dzieci prawie w każdym wieku, od sześciu do jedenastu lat. Ale z tego, co wiem, żadne z nich nie obchodzi urodzin w najbliższych dniach czy tygodniach.

– Mogłaby nam pani sporządzić dokładną listę? Z adresami rodziców, datami urodzenia, no i wszystko, co może się przydać...

– To może mieć związek z zabójstwem?

– To może... albo nie... Na razie szukamy. Sprawdzamy różne ślady, tropy. O, proszę, czy na przykład to zdanie coś pani mówi?

Sérénac kieruje spojrzenie Stéphanie na dół pocztówki. Ona marszczy lekko brwi, starając się skupić. On patrzy z zachwytem na każdy jej ruch.

Jeszcze czyta. Powieki się ruszają, usta drżą i kark się zgina. Kobieta, która czyta, budzi ciągle fantazmy inspektora. Czy mogłaby sobie z niego zadrwić? Skąd mogłaby to wiedzieć?

Zgadzam się by marzenia jako zbrodnie sądzić...

– No więc... nic to pani nie mówi? – bełkoce Sérénac.

Stéphanie Dupain gwałtownie wstaje. Podchodzi do biblioteczki, pochyła się, po czym odwraca całą uśmiechnięta. Podaje mu białą książkę. Laurenç ma wrażenie, że pierś nauczycielki wali jak szalona pod płócienną sukienką, niczym drżący wróbelek, który nie ośmiela się przekroczyć otwartych drzwi klatki. W następnej chwili Sérénac zastanawia się, dlaczego nasuwa mu się taki głupi obraz. Usiłuje

skoncentrować się na sprawie.

– Louis Aragon – rzuca pogodnym głosem Stéphanie. – Przepraszam, inspektorze, znowu będę musiała zrobić panu wykład...

Laurencj odsuwa zeszyt i siada na stoliku.

– Mówiłem pani. Cała przyjemność po mojej stronie...

Ona znowu się śmieje.

– Nie jest pan tak dobrze obkuty z poezji jak z malarstwa, inspektorze. Zdanie z kartki pocztowej pochodzi z wiersza Louisa Aragona.

– Jest pani niesamowita...

– Nie, nie, nie ma w tym mojej zasługi. Po pierwsze, Louis Aragon był stałym bywalcem Giverny, jednym z niewielu artystów, którzy nadal pomieszkiwali w miasteczku po śmierci Claude'a Moneta w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku. A poza tym ten fragment pochodzi ze znanego poematu Aragona, pierwszego, który został ocenzurowany w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku przez Vichy. Przepraszam, inspektorze, za tę lekcję, ale kiedy powiem panu tytuł tego wiersza, zrozumie pan, dlaczego dzieci w szkole co roku, tradycyjnie, się go uczą...

– *Impresja?* – strzela Sérénac.

– Nietrafione. Ale blisko. Aragon nazwał swój wiersz *Nymphée*.

Laurencj Sérénac próbuje uporządkować informacje, posegregować je.

– Jeśli dobrze panią rozumiem, Jérôme Morval, logicznie rzecz biorąc, też musiał znać pochodzenie tych dziwnych wersów...

Stoi przez chwilę zamyślony, nie wiedząc, jakie zająć stanowisko.

– Dziękuję pani. Znalezienie tego pewnie by nam zabrało dobrych kilka dni. Chociaż na razie nie bardzo widzę, co nam to daje...

Inspektor obraca się do nauczycielki. Ona stoi przed nim, ich twarze są prawie na tej samej wysokości, dzieli je ze trzydzieści centymetrów.

– Stéphanie... Pozwoli pani, że będę się tak do pani zwracał? Znała pani Jérôme'a Morvala?

Fiołkowe oczy kierują się na niego. On chwilę się waha, daje nura.

– Giverny to mała miejscina – mówi Stéphanie. – Kilkuset mieszkańców...

Inspektor już to słyszał!

– To nie jest odpowiedź, Stéphanie...

Milczenie. Dzieli ich dwadzieścia centymetrów.

– Tak... znałam go.

Fiołkowa powierzchnia tęczy jest skąpana w świetle. Inspektor wypływa na wierzch. Musi drążyć. Albo pójdzie na dno. Cały jego tandetny cynizm zda się na nic.

– Słyszałem... chodzą słuchy.

– Niech się pan nie krępuje, inspektorze. Wiem oczywiście. Słuchy... Jérôme Morval był kobieciarzem, tak to się mówi? Nie, nie będę twierdzić, że nie próbował się do mnie zbliżyć... Ale...

Powierzchnia jej nenufarowych oczu się chmurzy. Leciutki wietrzyk.

– Jestem mężatką, inspektorze Sérénac. Jestem nauczycielką w tym miasteczku, a Morval jest tu lekarzem... Toby było śmieszne kierować pana na takie szalone tropy... Nigdy nic się nie wydarzyło między Jérôme'em Morvalem a mną. W takim miasteczku jak nasze zawsze się znajdują osoby chętne, by szpiegować, rozpowiadać kłamstwa, wymyślać tajemnice...

– Ja też temu uległem. Przepraszam, jeśli byłem impertynencki...

Uśmiecha się do niego, tuż obok jego ust, i nagle znowu znika koło regału.

– Proszę, inspektorze. Skoro ma pan serce artysty...

Laurencz stwierdza ze zdumieniem, że Stéphanie podaje mu nową książkę.

– Dla pana kultury osobistej. *Aurelian*, najpiękniejsza powieść Louisa Aragona. Najważniejsze sceny rozgrywają się w Giverny. W rozdziałach od sześćdziesiątego do sześćdziesiątego czwartego. Jestem pewna, że bardzo się panu spodoba.

– Dzień... dziękuję...

Inspektor nie znajduje nic innego do powiedzenia i wścieka się wewnątrz na swoją niemotę. Stéphanie go zaskoczyła. Co ma do tej całej historii Louis Aragon? Czuje, że coś mu się wymyka, jakby wpadł w poślizg, stracił kontrolę. Chwyta książkę z wymuszoną śmiałością, przyciska do uda, wymachując ręką, po czym wyciąga dłoń do Stéphanie. Nauczycielka ją ściska.

Trochę zbyt mocno.

Trochę za długo.

Sekundę czy dwie. Tyle, ile mknie jego wyobraźnia. Ta dłoń w jego dłoni wydaje się przywierać do niej, wydaje się krzyczeć: „Niech mnie pan nie zostawia. Niech mnie pan nie opuszcza. Jest pan moją jedyną nadzieją, Laurencz. Niech mi pan nie pozwoli spaść na samo dno”.

Stéphanie uśmiecha się do niego. Oczy jej błyszczą.

Pewnie mu się to śniło, oczywiście. Oszalał. Płacze się już przy swoim pierwszym śledztwie w Normandii.

Ta kobieta niczego nie ukrywa...

Jest piękna, całkiem po prostu. Należy do innego.

Normalne!

Bełkocze, wycofując się:

– Stéphanie, niech pani... nie zapomni, żeby mi zrobić listę dzieci. Przyślę jutro po nią któregoś z chłopaków...

Oboje wiedzą, że nie przyśle żadnego chłopaka, że sam przyjdzie, i że ona też się go spodziewa.

– 11 –

Autobus z Vernon skręca w ulicę Claude-Monet i jedzie w stronę kościoła, do tej części miasta, gdzie napływ turystów jest mniejszy. Jeśli tak można powiedzieć... Uwielbiam przejeżdżać tak autobusem przez miasteczko, siedząc z przodu przed panoramicznym ekranem, na którym obraz się przesuwa. Mijam galerie malarstwa Demarez i Kandy, agencję Immo-Prestige, pokoje gościnne Clos-Fleuri, hotel Baudy. Autobus dogania grupę dzieci, które idą ulicą z tornistrami na plecach. Na dźwięk klaksonu z szoferki odsuwają się na bok, depcząc bez skrpułów malwy i irysy. Dwójka dzieciaków biegnie trochę dalej, zmykają na pole naprzeciwko hotelu Baudy. Rozpoznaję ich, ci dwoje zawsze chodzą razem. Paul i Fanette. Widzę też Neptuna, biegnie obok nich po skoszonej trawie. Ten pies nie odstępował dzieciaków, zwłaszcza Fanette, dziewczynki z końskim ogonem.

Powiem wam, że chyba idiocieję. Zamartwiam się o mojego starego psa, podczas gdy on świetnie sobie radzi beze mnie, biegając z miejscowymi dziećmi.

Na końcu ulicy dostrzegam następny przystanek autobusowy. Nie mogę się powstrzymać od westchnienia. To exodus! Czeka tu przeszło dwudziestu pasażerów z walizkami na kółkach, plecakami, śpiworami i oczywiście wielkimi płótnami opakowanymi w szary papier.

– 12 –

Fanette trzyma Paula za rękę. Siedzą schowani za stogiem siana na wielkim polu, które oddziela chemin du Roy od ulicy Claude-Monet na wysokości hotelu Baudy.

– Cii, Neptun. Odejdź! Bo nas zobaczą...

Pies patrzy na tę dwójkę jedenastoletnich dzieci i nie rozumie. Ma mnóstwo słomy w sierści.

– Idź stąd, głupolu!

Paul śmieje się szeroko. Jego obszerna koszula jest rozpięta. Tornister rzucił gdzieś obok siebie.

Lubię ten śmiech Paula – myśli Fanette.

– O, są! – wykrzykuje nagle dziewczynka. – Na końcu ulicy! Chodź...

Uciekają. Paul ledwo zdążył złapać tornister. Ich kroki dudnią na ulicy Claude-Monet.

– Paul, szybciej! – krzyczy znowu Fanette, łapiąc rękę chłopca.

Jej koński ogon fruwa na wietrze.

– Tam!

Skręca raptownie na wysokości kościoła Sainte-Radegonde, nie zwalniając, biegnie pod górę żwirową aleją, po czym kładzie się za gęstym zielonym żywopłotem. Neptun tym razem nie poleciał za nimi, obwąchuje fosę po drugiej stronie drogi i siusia na niskie domki, które zważywszy wysokość zбочa, są jakby pod ziemią. Paul powstrzymuje się od głośnego śmiechu.

– Cicho, Paul. Zaraz tu przyjdą. I przez ciebie mogą nas namierzyć.

Paul cofa się nieco. Siada na białym grobie z tyłu. Jednym pośladkiem na tablicy poświęconej Claude’owi Monetowi, drugim na tablicy jego drugiej żony Alice.

– Uważaj, Paul! Nie siadaj na grobie Moneta...

– Przepraszam...

– Nie szkodzi!

Bardzo lubię Paula, również kiedy na niego krzyczę, a on przeprasza i robi się taki nieśmiały.

Kiedy z kolei Fanette parska śmiechem, Paul posuwa się, ale nie udaje mu się ominąć innych tablic grobowca, poświęconych innym członkom rodziny Monet.

Fanette nasłuchuje zza gałęzi. Słyszy kroki.

To oni!

Camille, Vincent i Mary.

Pierwszy idzie Vincent. Rozgląda się badawczo wokół z czujnością Indianina. Nieufnie obserwuje Neptuna, potem wykrzykuje:

– Faaanette! Gdzie jesteeeś?

Paul znowu parska. Fanette kładzie mu rękę na ustach.

Teraz z kolei Camille dochodzi na wysokość kościoła. Jest mniejszy od Vincenta. Jego pulchne ręce i brzuch wylewają się z rozpiętej koszuli. Zadyszany. Mały grubas, zawsze jeden taki znajdzie się w paczce.

– Widziałeś ich?

– Nie! Pewnie poszli już dalej...

Obaj chłopcy nie przerywają marszu. Vincent krzyczy jeszcze głośniej:

– Faaanette! Gdzie jesteeeś?

Trochę dalej rozlega się przeraźliwy głos Mary:

– Mogliście na mnie poczekać!

– Faaanette! Gdzie jesteees?

Camille i Vincent poszli już dalej prawie minutę temu, kiedy Mary zatrzymała się przy kościele. Dziewczynka jest dość duża jak na dziesięć lat. Ma zapłakane oczy pod okularami.

– Chłopaki, poczekajcie! Zostawcie Fanette! Poczekajcie na mnie!

Odwraca głowę w stronę grobów, Fanette odruchowo kładzie się na Paulu. Mary nic nie widziała, w końcu idzie prosto ulicą Claude-Monet, szurając ze złością sandałami po asfalcie.

Uff...

Fanette wstaje, cała uśmiechnięta. Poprawia sobie koński ogon. Paul jednym prztyczkiem zrzuca żwirek ze spodni.

– Dlaczego nie chcesz się z nimi spotkać? – pyta chłopiec.

– Wkurzają mnie! Ciebie nie wkurzają?

– No... tak, trochę...

– Ach... Widzisz. Poczekaj. Camille ciągle wyjeżdża z tymi swoimi naukami: „Bla, bla, bla, najlepszy w klasie jestem ja, kto mnie nie słucha...”. Vincent jest jeszcze gorszy, mam go potąd, ciągle się przyczepia! Okropny, menda! Ani na chwilę nie daje mi spokoju. A o Mary to już ci nie będę tłumaczyć. Poza tym, że ciągle ryczy, podlizuje się pani i wygaduje na mnie...

– Jest zazdrosna – mówi łagodnie Paul. – A ja? Nie za bardzo się przyklejam?

Fanette muska jego policzek listkiem bukszpanu.

Ty, Paul, to nie to samo. Nie wiem dlaczego, ale to nie to samo.

– Głupi. Wiesz dobrze, że ciebie lubię najbardziej. Na zawsze...

Paul przymyka powieki z rozkoszy. Tak mu dobrze. Fanette dodaje:

– Przynajmniej zazwyczaj. Ale nie dzisiaj!

Znowu wstaje i sprawdza, czy teren jest wolny. Paul przewraca oczami.

– Co? Mnie też zostawiasz?

– Tak. Mam spotkanie. Tajemnica!

– Z kim?

– Mówię ci, że tajemnica! Nie pójdziesz za mną, dobrze? Tylko Neptun może...

Paul wykręca sobie palce, dłonie, ręce, jakby się starał ukryć silny strach.

To z powodu tego morderstwa. Od rana wszyscy w miasteczku o niczym innym nie mówią. Gliniarze chodzą po ulicach. Tak jakbyśmy też byli w niebezpieczeństwie...

Fanette nalega:

– Obiecujesz?

Paul żałuje, ale przyrzeka:
– Obiecuję!

DZIEŃ TRZECI
15 maja 2010
(Szpital w Vernon)

ROZUMOWANIE

– 13 –

Fosforyzujący budzik nad łóżkiem wskazuje 1.32. Nie mogę zasnąć. Ostatnia pielęgniarka, którą widziałam, przechodziła tu ponad godzinę temu. Pewnie myśli, że śpię. Spać. Wolne żarty! Jak można spać w tak niewygodnych fotelach?

Przyglądam się, jak kropla po kropli kapie z miękkiej gruszki. Jak długo mogą go jeszcze trzymać tak pod kroplówką?

Dni? Miesiące? Lata?

On też nie śpi. Wczoraj stracił mowę, tak przynajmniej mówili lekarze. Nie może też poruszać mięśniami, ale oczy ma cały czas otwarte. Według pielęgniarek wszystko rozumie. Sto razy mi powtarzały, że jak będę do niego mówić, czytać mu coś, będzie mnie słyszał i rozumiał: „To bardzo ważne dla samopoczucia pani męża”.

Na szafce nocnej leży plik czasopism. Kiedy pielęgniarki tu są, udaję trochę, że czytam na głos. Ale jak tylko wyjdą, przestaję.

Skoro, jak mówią, wszystko rozumie, to zrozumie...

Znowu patrzę na kapiące krople. Do czego niby służą te kroplówki? Pielęgniarki mi tłumaczyły, że utrzymują go przy życiu, ale szczegółów nie pamiętam.

Mijają minuty. Niepokoję się też o Neptuna. Mój biedny pies sam w Giverny. W każdym razie nie będę tu siedzieć całą noc.

Pielęgniarki były nastawione pesymistycznie. Chyba od dziesięciu minut nie mrugnął okiem. Cały czas się we mnie wpatruje. Wariuję od tego.

2.12

Przyszła pielęgniarka. Powiedziała mi, żebym spróbowała się przespać. Udawałam, że jej posłuchałam.

Podjęłam decyzję.

Czekam jeszcze trochę, słucham, żeby mieć pewność, że z korytarza nie dochodzi żaden hałas. Wstaję. Czekam jeszcze chwilę, potem trzęsącymi się palcami odłączam kroplówki. Jedną po drugiej. Są trzy.

Patrzy na mnie oszalałymi oczami. Zrozumiał. Tę sprawę przynajmniej na pewno zrozumiał.

A czego się spodziewał?

Czekam.

Jak długo? Kwadrans? Pół godziny? Wzięłam z krzesła pismo „Normandie Magazine”. Piszą o wielkiej operacji zbierania obrazów, „Normandia w impresjonizmie”. Od czerwca przez całe lato wszyscy tutaj o niczym innym nie będą mówić. Ostentacyjnie pogrążam się w lekturze. Cichej! Tak jakbym się w ogóle nie przejmowała, że on zdycha obok. Zresztą tak właśnie jest.

Od czasu do czasu obserwuję go znad gazety. Wpatruje się we mnie wytrzeszczonymi oczami. Patrzą na niego przez chwilę, po czym wracam do lektury. Za każdym razem twarz mu się wykrzywia trochę bardziej. To dość okropne, wierzcie mi.

Około trzeciej nad ranem zdaje mi się, że naprawdę umarł. Oczy mojego męża są nadal otwarte, ale zastygłe.

Wstaję, zaczynam z powrotem podłączać kroplówki, jak gdyby nigdy nic. Ale zaraz, nie, no nie, po namyśle znowu je odłączam. Naciskam dzwonek alarmowy.

Przybiega pielęgniarka. Fachowo.

Robię minę przerażonej. No, trochę, w każdym razie. Mówię jej, że przysnęłam, a jak się nagle obudziłam, znalazłam go w takim stanie.

Pielęgniarka ogląda zdjęte pojemniki z płynami. Ma zakłopotaną minę, jakby to była jej wina.

Mam nadzieję, że nie będzie miała przykrości. W każdym razie ja nie będę jej obsztorcowały!

Biegnie po lekarza.

Mam dziwne uczucie. Coś między gniewem, jeszcze, a poczuciem wolności.

I tę wątpliwość.

Co teraz zrobić?

Pójść opowiedzieć wszystko na policji, czy dalej bawić się w czarną myszkę

w uliczkach Giverny?

– 14 –

Na biurku w komisariacie leży pięć fotografii. Laurenç Sérénac trzyma w rękach kopertę z brązowego papieru pakowego.

– O, Boże – mówi Sylvio Bénavides – któż to mógł przysłać?

– Nie wiadomo... Znalaziono tę kopertę w porannej poczcie. Została wrzucona do skrzynki pocztowej w Vernon. Wczoraj wieczorem.

– Same zdjęcia. Nie było żadnego listu, kilku słów, niczego?

– Nie, żadnego wyjaśnienia. Ale to jasne jak słońce. Mamy do czynienia z czymś w rodzaju kompilacji kochanek Jérôme’a Morvala. *Best of...* Sylvio, proszę cię, rzuć okiem, ja już zdążyłem to pooglądać...

Sylvio Bénavides wzrusza ramionami, potem pochyla się nad pięcioma zdjęciami: na wszystkich fotografiach widnieje Jérôme Morval, ale za każdym razem w towarzystwie innej kobiety... Żadna z nich nie jest jego żoną. Jérôme Morval za biurkiem, oparty o kolana dziewczyny, którą całuje w same usta, a która mogłaby być sekretarką w jego gabinecie. Jérôme Morval na tapczanie w dyskotecce trzyma rękę na piersi dziewczyny w sukience z cekinami. Jérôme Morval z nagim torsem leży obok dziewczyny o białej skórze na piaszczystej plaży, której otoczenie przypomina Irlandię. Jérôme Morval stoi w salonie z obrazami, podobnym do jego salonu, a dziewczyna w spódniczce klęczy zwrócona tyłem do fotografa, ale nie do okulisty. Jérôme Morval idzie ubitą drogą gdzieś nad Giverny, widać tam dzwonnice kościoła Sainte-Radegonde... trzymając za rękę Stéphanie Dupain.

Sylvio Bénavides gwizdże.

– Nic dodać, nic ująć. Fachowa robota!

Sérénac się uśmiecha.

– Też tak uważam. No, niezły, sakramenckie powodzenie miał ten okulista, a przecież nie wyglądał na amanta.

Bénavides, zmieszany, patrzy przez chwilę na szefa, po czym prostuje:

– Nie mówiłem o Morvalu, mówiłem o tym, który zrobił zdjęcia!

Sérénac puszcza do niego oko.

– Jesteś niesamowity, Sylvio. Za każdym razem dajesz się nabrać. No, przepraszam, mów...

Bénavides czerwieni się i mówi dalej, bełkocząc:

– Chciałem... chciałem powiedzieć, szefie, że to na pewno robota prywatnego

zawodowego detektywa. Powiedziałbym nawet, że zdjęcia, przynajmniej te w gabinecie i w salonie, zostały zrobione przez okno przy użyciu takiego zoomu, jaki nawet wprawni paparazzi z trudem mogliby sobie zafundować.

Sérénac znowu ogląda zdjęcia. Robi niby szelmowski grymas.

– Taak. Nie uważam, żebyś miał trudności... Zdjęcia we wnętrzach są trochę niewyraźne, nieostre, prawda? No, ale nie będę krytykował, ta robota jest chyba *cool*, nie? Morval najwyraźniej wybierał czarujące dziewczyny. A ja właśnie powinienem był to robić, zostać prywatnym detektywem, a nie gliniarzem.

Sylvio nie podejmuje tematu.

– Pana zdaniem – pyta – kto oprócz żony mógłby zamówić te zdjęcia?

– Nie wiem. Przesłuchamy Patricię Morval, ale kiedy się z nią widziałem, nie była szczególnie rozmowna w kwestii niewierności swojego męża. Odnoszę wrażenie, że w tej sprawie przede wszystkim trzeba będzie mieć się na baczności przed różnymi oczywistościami.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Otóż, na przykład, chyba zauważyłeś, Sylvio, że natura tych zdjęć jest bardzo różna. Na niektórych, na tym z dyskoteki, na tym z salonu, tym w gabinecie, nie ma wątpliwości, że ten przeklęty Morval śpi z tymi dziewczynami...

Bénavides marszczy brwi.

– No, dobrze – dodaje Sérénac – może zbyt pospiesznie wyciągam wnioski. Powiedzmy, że Morval ma z nimi wystarczająco bliskie relacje, żeby móc pieścić ich piersi czy skłaniać je do gry miłosnej. Ale jak popatrzysz na zdjęcie na plaży, a zwłaszcza to nad Giverny, nic nie wskazuje na to, żeby te dziewczyny były kochankami Morvala.

– Ostatnia – wtrąca Bénavides – to również jedyna, którą znamy. Nazywa się Stéphanie Dupain i jest miejscową nauczycielką, jeżeli się nie mylę?

Sérénac potwierdza skinieniem głowy. Sylvio mówi dalej:

– Nie wiem natomiast, szefie, do czego pan zmierza z tą swoją historią *hit parade* łóżkowych przygód Morvala. Zdrada to zdrada, prawda?

– Zaraz ci powiem, do czego zmierzam. Nie lubię, bardzo nie lubię dostawać anonimowych prezentów. Jeszcze mniej lubię ukierunkowywać śledztwo w sprawie kryminalnej na podstawie przesyłek jakiegoś anonima. Rozumiesz, jestem już dużym chłopcem, nie podoba mi się zbytnio, jak ktoś, kto się nie ujawnia, podpowiada mi, gdzie mam szukać.

– A trochę jaśniej, co to znaczy?

– To znaczy na przykład, że Stéphanie Dupain była kochanką Morvala tylko dlatego, że znajduje się w tej serii zdjęć. Ale może ktoś by chciał, żebyśmy wymieszali...

Sylvio Bénavides drapie się po głowie, zastanawiając nad hipotezą wysuniętą przez szefa.

– Dobrze, tu się z panem zgadzam. Ale jednak nie można nie uwzględnić tych fotografii...

– No pewnie, że nie... Zwłaszcza że nie doszliśmy jeszcze do końca zagadki. Skup się, Sylvio, i popatrz na odwrotną stronę.

Sérénac przewraca po kolei pięć zdjęć na biurku. Na odwrocie każdej fotografii zapisano jakieś cyfry.

23-02 na zdjęciu z biurkiem. 15-03 na tym z dyskoteką. 21-02 na zdjęciu z plażą. 17-03 na tym w salonie. 03-01 z tyłu zdjęcia z drogą w Giverny.

– Cholera – gwizdże Bénavides. – Co to znaczy?

– Nie mam pojęcia.

– Wygląda na daty. Może to dni, w których zrobiono zdjęcia?

– Taak... To wszystkie by zrobiono między styczniem a marcem? Król katarakty musiałby mieć żelazne zdrowie, nie uważasz? I dałbym sobie rękę uciąć, że zdjęcie na plaży w Irlandii nie zostało zrobione w zimie...

– No więc?

– No więc będziemy szukać, Sylvio! Nie mamy wyboru. Będziemy węszyć. Chcesz, żebyśmy w coś zagrali?

Bénavides uśmiecha się nieufnie.

– Niespecjalnie, nie...

– No, powiedzmy, że nie masz wyboru...

Sérénac pochyla się, zgarnia pięć fotografii, miesza je, potem układa z nich wachlarz, tak jak przy grze w karty. Wyciąga z nimi rękę do Sylvia.

– Ciągniemy po kolei. Każdy jedną dziewczynę. A potem obaj zabawiamy się w gliny i szukamy jej nazwiska, życiorysu i jej alibi w dniu zamordowania Morvala. Spotykamy się za dwa dni i zobaczymy, który jest bliżej...

– Czasem jest pan dziwny, szefie...

– Ależ nie, Sylvio. To tylko mój sposób przedstawiania spraw. Zresztą, a co ty chcesz robić innego niż starać się zidentyfikować te dziewczyny? Przecież nie pošlemy Maury'ego i Louvela, żeby za nas zapolowali na te pięć uroczych stworzeń, co?

Sérénac wybucha śmiechem.

– Dobrze, ja zaczynam, jak ty nie możesz się zdecydować.

Laurenc Sérénac wyciąga fotografię Jérôme'a Morvala opierającego się o kolana dziewczyny w gabinecie.

– Osobista sekretarka, która bawi się w doktora ze swoim szefem – zaczyna. – Zobaczymy. Teraz ty...

Sylvio wzdycha, potem chwyta kartę.

– Nie oszukuj, nie podglądaj numerów!

Sylvio odwraca fotografię. To ta z nocnego lokalu.

– Szczęściarz! – wykrzykuje Sérénac. – Dziewczyna z cekinami!

Sylvio się czerwieni. Laurenç Sérénac wyciąga następną. Trafia mu się fotografia klęczącej dziewczyny.

– Niespodzianka szefa. Dziewczyna od tyłu. Teraz ty...

Sérénac pokazuje dwie ostatnie karty Bénavidés'owi. Ten wyciąga. Przypadek przydziela mu fotografię z plażą.

– Nieznajoma z Morza Irlandzkiego – komentuje Sérénac. – Dobrze ci idzie, świętuchu.

Sylvio Bénavidés poklepuje fotografię na biurku, potem z ironicznym uśmiechem mierzy swojego przełożonego wzrokiem.

– Niech pan ze mnie nie kpi, szefie. Nie wiem, jak pan to zrobił, ale od początku byłem pewny, że zostawi pan sobie zdjęcie Stéphanie Dupain.

Sérénac odwzajemnia uśmiech.

– Tego się tobie nie robi, co? Nie zdradzę ci sekretu, Sylvio, ale masz rację, to przywilej szefa, piękną nauczycielkę zostawiam dla siebie. I nie zajmuj sobie zbyt głębi słynnymi kodami na odwrocie, 15-03, 21-02... Jestem pewny, że kiedy ustalimy nazwiska czterech pozostałych dziewczyn, liczby będą mówić same za siebie...

Wkłada fotografię do szuflady swojego biurka.

– Co do reszty, to co, zaczynamy?

– Okay, zaczynamy. Niech pan poczeka, szefie. Zanim zaczniemy, przyniosłem mały prezencik. Bo chociaż pan cały czas sobie ze mnie podkpiwa, nie jestem obraźliwy.

Bénavidés wstaje, zanim Sérénac zdążył mu coś odpowiedzieć w swojej obronie. Wychodzi z biura i po kilku minutach wraca z białą papierową torbą.

– Proszę bardzo, prosto z pieca, że tak powiem...

Sylvio Bénavidés kładzie torebkę na stole i wysypuje zawartość. Wypada z niej ze dwadzieścia brownie.

– Upiekłem je dla żony – tłumaczy Sylvio – ona je uwielbia, ale od dwóch tygodni nie może w ogóle nic wziąć do ust... Nawet jak są z moim kremem angielskim.

Sérénac pada na fotel na kółkach.

– Jesteś dla mnie jak matka, Sylvio. Przyznam ci się do czegoś, tylko dlatego poprosiłem o przeniesienie do tej północnej dziury, żeby cię mieć jako zastępcę!

– Niech się pan jednak za bardzo nie przejmuje...

– Chcesz powiedzieć, że nie dość się przejmuję!

Podnosi wzrok na swego zastępcę.

– To kiedy ma się urodzić?

– W tych dniach... poród jest przewidziany dokładnie za pięć dni... Ale potem, no, wie pan...

Sérénac chrupie pierwsze ciastko.

– Cholera ! Są boskie. Twoja żona niech żałuje!

Sylvio Bénavides pochyla się nad papierami leżącymi koło krzesła. Kiedy podnosi głowę, jego zwierzchnik już wstał z fotela.

– A z kawą – dodaje Sérénac – to dopiero zobaczysz. Pędzę po nią na dół. Tobie też przynieść?

Lista, którą trzyma Sylvio, rozwija się aż do podłogi.

– Oj, nie, dziękuję.

– Naprawdę, nic?

– No, dobrze. Herbatę. Bez cukru.

Po kilku długich minutach inspektor Sérénac wraca z dwoma kubeczkami. Leżące na stole okruchy zostały sprzątnięte. Sérénac wzdycha, jakby chciał dać do zrozumienia swojemu zastępcy, że należy mu się przerwa. Ledwo zdążył usiąść, Bénavides zaczyna swoje sprawozdanie:

– No więc, szefie, powiem krótko. Raport z autopsji potwierdza, że Morval najpierw został ugodzony nożem. Zmarł w następnej minucie. Dopiero potem ktoś mu zmiażdżył czaszkę kamieniem, a następnie zanurzył głowę w strumieniu. Zbrodni dokonano w tej właśnie kolejności, tak twierdzą stanowczo lekarze sądowi.

Sérénac macza ciastko w kawie i komentuje z uśmiechem:

– Biorąc pod uwagę powodzenie okulisty, jeśli to prawda, trzech zazdrośnicy się zmówili. Stowarzyszenie rogowców. To by tłumaczyło ten rytuał, tak jak w *Morderstwie w Orient Expressie*.

Bénavides wpatruje się w niego skonsternowany.

– Żartuję, Sylvio. Żartuję...

Maczanie w kawie.

– No, dobrze, będę poważny przez dwie sekundy. Powiem ci, że jest coś dziwnego w tej sprawie. Nie daje się połączyć wszystkich elementów.

W spojrzeniu Sylvia błysnęło światło.

– Całkowicie się z panem zgadzam, szefie...

Tu się zawahał. I dalej:

– Zresztą muszę panu coś pokazać... Coś, co pana zaskoczy.

Fanette wybiega ze szkoły tak jak codziennie. Wyprzedziła dzieci ze swojej klasy, a potem bawiła się w chowanego w uliczkach Giverny, żeby nie spotkać znowu Vincenta, Camille'a czy Mary. To łatwe! Zna wszystkie uliczki na pamięć. Paul znowu chciał jej towarzyszyć, sam, bez innych, powiedział, że nie chce jej zostawiać samej z powodu tego kryminalisty, który mógłby się przechadzać po ulicach, ale ona się nie przejęła, nic nie powiedziała.

To moja tajemnica!

No, już, prawie dotarła. Przechodzi przez most, koło pralni, tego dziwnego młyna z wieżą, której się boi.

Paul, przysięgam ci, jutro ci powiem, kto to jest, to moje tajne spotkanie codziennie, od tygodnia. Powiem ci jutro.

Albo pojutrze.

Fanette idzie dalej drogą prowadzącą na łąkę.

James już jest.

Stoi trochę dalej, w polu zboża, kłosa sięgają mu powyżej kolan, otoczony czterema sztalugami. Fanette podchodzi kocim krokiem.

– To ja!

Szeroki uśmiech wykrzywia białą brodę Jamesa. Ścisną ramiona Fanette. Krótką chwilę.

– Chodź szybko, czarownico! Do roboty! Nie zostało już wiele godzin światła. Ta twoja szkoła kończy się o wiele za późno.

Fanette staje przy jednej ze sztalug, tej, której James jej użycza, bo jest najmniejsza, w sam raz dopasowana do wzrostu dziewczynki. Pochyliła się nad dużą skrzynką z polakierowanego drewna i wybiera sobie tubki i pędzle.

Fanette niewiele wie o starym malarzu, którego poznała przed tygodniem, tyle tylko, że jest Amerykaninem, że nazywa się James, że maluje tu prawie codziennie; powiedział jej, że jest najbardziej uzdolnioną dziewczynką, nigdy jeszcze takiej nie widział, a znał ich mnóstwo na całym świecie, uczył malarstwa w Stanach Zjednoczonych, jak opowiada. Bez przerwy jej powtarza, że za dużo mówi, bo chociaż jest bardzo zdolna, musi się bardziej skupić. Tak jak Monet. Musi umieć obserwować i przedstawiać. To stała śpiewka Jamesa. Obserwować i przedstawiać. I również szybko malować, to dlatego przynosi cztery sztalugi, żeby móc malować, gdy tylko światło pada na jakiś zakątek pejzażu, gdy tylko cienie się przesuwają, a kolory zmieniają. Powiedział jej, że Monet spacerował po polach z sześcioma sztalugami. Płacił dzieciom w jej wieku, żeby mu wszystko nosiły wcześniej rano

i późno wieczorem.

No, to już przesada! To taki wybieg Jamesa, żeby ona też mu nosiła jego rzeczy. Domyśliła się tego, ale udaje, że mu wierzy. James jest miły, ale trochę za bardzo próbuje się utożsamiać ze starym Monetem.

A mnie brać za idiotkę!

– Nie rozmarzaj się Fanette. Maluj!

Dziewczynka próbuje odtworzyć pralnię normandzką, most na strumieniu, pobliski młyn. Maluje już długie minuty...

– Czy wiesz, kto to jest Theodore Robinson? Nauczycielka nam o nim mówiła...

– Dlaczego?

– Zgłosiła klasę do konkursu. Tak, konkurs międzynarodowy, panie James. Tak, tak, międzynarodowy... Nagroda Robinsona! Jak wygram, pojedę do Japonii albo do Rosji, albo do Australii... Zobaczą... Jeszcze się nie zdecydowałam...

– Tylko tyle?

– Nie mówię już nawet o dolarach...

James kładzie ostrożnie paletę na kasecie malarskiej. Jego broda prędzej czy później zanurzy się w farbie. Tak jak codziennie.

Dzisiaj w zielonej.

Świnia ze mnie trochę, nigdy mu nie mówię, kiedy na włosach brody ma pełno farby. Strasznie mi się chce śmiać.

James podchodzi bliżej.

– Wiesz, Fanette, jak będziesz pilnie pracowała, jak będziesz w to wierzyła, masz prawdziwą szansę wygrać ten konkurs...

Tu mnie trochę nastraszył.

James chyba się zorientował, że Fanette zerka na jego brodę. Przesuwa po niej palcem, trochę bardziej rozsmarowuje zieloną farbę.

– Nie zgrywaj się ze mnie...

– Nie zgrywam się z ciebie, Fanette. Już ci to mówiłem. Masz dar. Nic na to nie poradzisz, tak to jest, urodziłaś się z nim. Dobrze wiesz zresztą... Jesteś uzdolniona do malarstwa. Nawet więcej. Mały geniusz w swoim rodzaju. Ale wszystko to niczemu nie służy, jeżeli...

– Jak nie będę pracować, o to chodzi?

– Tak. Trzeba pracować. To oczywiście niezbędne. Jak nie, to talent... Psss... Ale nie to chciałem ci powiedzieć.

James przemieszcza się powoli. Stara się stawiać wielkie kroki, żeby nie deptać kłosów. Przesuwa w inne miejsce jedną sztalugę, tak jakby słońce tam na górze przesunęło się do przodu.

– To chciałem ci powiedzieć, Fanette, że geniusz na nic się zda, jeśli nie

jesteśmy zdolni do... jak ci to wytłumaczyć? Zdolni do egoizmu...

– Co?

Czasami James opowiada jakieś bzdury.

– Do egoizmu! Fanette, moja mała, geniusz irytuje wszystkich tych, którzy go nie mają, czyli prawie wszystkich. Geniusz oddala cię od tych, których kochasz, i budzi zazdrość innych. Rozumiesz?

Skubie brodę. Wszędzie się wtrynia. Nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Stary już jest. Stary stary stary.

– Nie, nic nie rozumiem!

– Wytłumaczę ci to inaczej. Zobacz, weźmy mój przykład, moim absolutnym marzeniem było przyjechać malować do Giverny, poznać naprawdę pejzaże Moneta. Nie wyobrażasz sobie, ile razy o tym marzyłem w moim miasteczku w stanie Connecticut, kiedy całymi godzinami wpatrywałem się w reprodukcje jego płócien. Topole, Epte, wyspa aux Orties... Uważasz, że warto było zostawić tam żonę, dzieci, wnuki, mając sześćdziesiąt pięć lat? Co było najważniejsze? Moje malarskie marzenie czy spędzanie Halloween i Dnia Dziękczynienia z rodziną...

– No...

– Wahasz się, co? No a ja się nie wahałem! I wierz mi, Fanette, niczego nie żałuję. Tutaj jednak żyję jak kloszard, albo prawie. A nie mam nawet jednej czwartej twojego talentu... Rozumiesz więc, co chcę powiedzieć, kiedy mówię „egoista”? A co, myślisz, że pierwsi amerykańscy malarze, którzy przybyli do hotelu Baudy za życia Moneta, nie ryzykowali? Że nie musieli też wszystkiego zostawić, opuścić?

Nie lubię, kiedy James zaczyna mówić w ten sposób. Od razu mi się wydaje, jakby myślał dokładnie odwrotnie, niż mówi. Jakby tak naprawdę żałował, śmiertelnie tęsknił, jakby cały czas myślał o swojej rodzinie w Ameryce.

Fanette chwyta pędzel.

– Dobrze, panie James, biorę się do roboty. Przepraszam, że będę egoistką, ale muszę zwyciężyć w konkursie Robinsona.

James wybucha śmiechem.

– Masz rację, Fanette. Straszny ze mnie stary zrzęda.

– I ramol. Nawet mi nie powiedziałaś, kto to jest Robinson!

James podchodzi, przygląda się pracy Fanette. Mruży oczy.

– Theodore Robinson jest amerykańskim malarzem. Najbardziej znanym impresjonistą u mnie, w Stanach Zjednoczonych. Jest jedynym artystą amerykańskim, który stał się bliskim przyjacielem Moneta. Claude Monet unikał innych jak dżumy. Robinson przebywał osiem lat w Giverny... Namalował nawet ślub ulubionej pasierbicy Claude’a Moneta, Suzanne, z młodym amerykańskim

malarzem Theodorem Butlerem. A... to bardzo dziwne, Fanette, jeden z jego najsłynniejszych obrazów przedstawia dokładnie tę scenę, którą ty właśnie malujesz...

Fanette o mało nie wypuściła pędzla z ręki.

– Co!?

– Tę samą scenę. Tak jak powiedziałem! To jego stary obraz przedstawiający odnogę Epte z mostem i młynem des Chennevières. Na drugim planie widać kobietę w sukni, z włosami zakrytymi chustką... a pośrodku strumienia namalowany jest mężczyzna, który poi konia. Taki jest zresztą tytuł tego obrazu. *Père Trognon and his daughter at the bridge*. Tak się nazywał ten jeździec, to był mieszkaniec Giverny... ojciec Trognon.

Tu Fanette ledwo się powstrzymuje od śmiechu.

Czasami James naprawdę bierze mnie za głupka.

Ojciec Trognon. Też coś!

James wciąż patrzy na płótno dziewczynki. Broda starego malarza sięga prawie jej oczu. Jego gruby palec zatrzymuje się kilka milimetrów od wilgotnej jeszcze farby.

– Dobrze, Fanette. Bardzo mi się podobają cienie wokół młyna. Bardzo dobrze. To znak losu, palec boży, Fanette. Malujesz tę samą scenę, co Theodore Robinson, o wiele lepiej niż on, muszę przyznać. Wierz mi, wygrasz ten konkurs! Wiesz, Fanette, życie to właściwie ze dwie czy trzy okazje, których nie można przepuścić. Na tym polega życie, moja mała! I tyle.

James odchodzi, żeby przenieść sztalugi. Można pomyśleć, że więcej czasu spędza na przemieszczaniu swoich płócien niż na ich malowaniu. Można pomyśleć, że słońce jest szybsze od niego.

Nie szkodzi. Upłynęła już prawie godzina, gdy wtem przybiega do nich Neptun. Owczarek niemiecki obwąchuje nieufnie kasetę z farbami, po czym kładzie się u stóp Fanette.

– To twój pies? – pyta James.

– Nie, niezupełnie... Myślę, że on należy trochę do wszystkich w mieście, ale ja go adoptowałam. Mnie najbardziej lubi!

James się uśmiecha. Usiadł na taborecie przed jedną ze sztalug, ale za każdym razem, kiedy Fanette na niego spogląda, widzi, że on ryje nosem w płótno. Jego broda będzie niebawem jak tęcza. Fanette czeka na odpowiedni moment, żeby parsknąć śmiechem...

Nie. Nie, muszę się skupić.

Fanette maluje dalej studium młyna des Chennevières. Nadaje kształt wieżycze z muru pruskiego, wzmacnia kontrasty, ochra, dachówka, kamień. James nazywa ten młyn „młynem czarownicy”. Z powodu tej starej, co w nim mieszka.

Czarownica...

James czasami naprawdę traktuje mnie jak małą dziewczynkę.

Tylko że Fanette trochę się jednak boi. James powiedział jej, dlaczego nie za bardzo lubi ten dom. Wyjaśnił, że mało brakowało, żeby z powodu tego młyna nigdy nie powstały *Nenufary* Moneta. Młyn i ogród artysty zbudowano nad tym samym strumykiem. Monet chciał zrobić tamę, postawić stawidła jazu, zatrzymać nurt wody, stworzyć swój staw! Nikt w Giverny się na to nie zgadzał z uwagi na choroby, bo moczary, bagna, takie rzeczy. Zwłaszcza sąsiedzi. Zwłaszcza mieszkańcy młyna. Powstało zamieszanie, Monet obraził się na wszystkich, wydał też mnóstwo pieniędzy, pisał do prefekta, do jednego faceta, którego ona też nie zna, to kumpel Moneta, Clemenceau się nazywa. I w końcu dostał Monet ten swój staw z nenufarami.

Byłoby szkoda!

Ale to idiotyzm ze strony Jamesa, że przez to nie lubi tego młyna. Ta kłótnia o tamę między Monetem a sąsiadami była przecież bardzo dawno.

Czasami James jest kretynem.

Cała drży.

Chyba że w młynie naprawdę mieszka czarownica!

Fanette długo jeszcze pracuje. Zaczyna się ściemniać. Młyn staje się jeszcze bardziej posępny, groźny. Fanette zachwycona. A James już dawno śpi.

Nagle Neptun gwałtownie się zrywa. Pies warczy, szczerząc zęby. Fanette odwraca się w jednej chwili w stronę lasku topoli, który jest tuż za nią, z tyłu, i odkrywa sylwetkę chłopca w swoim wieku.

Vincent! Puste spojrzenie.

– Co ty tu robisz?

James się budzi, również gwałtownie. Fanette krzyczy dalej:

– Vincent! Nie cierpię, jak deptasz mi po piętach, jak szpieg. Długo już tu jesteś?

Vincent nic nie mówi. Ogląda uważnie obraz Fanette, młyn, most. Wydaje się zahipnotyzowany.

– Mam już psa, Vincent. Mam już Neptuna. To mi wystarczy. I przestań tak na mnie patrzeć, straszysz mnie...

James odkasłuje w brodę.

– Heu... hmm. No, dzieci, dobrze się składa, że jesteście we dwoje. Biorąc pod uwagę natężenie światła, myślę, że już czas składać sprzęt. Pomożecie mi! Monet mówił, że mądrość polega na tym, żeby wstawać i kłaść się wraz ze słońcem.

Fanette nie przestaje patrzeć na Vincenta.

Vincent mnie straszy, kiedy się tak wynurza znikąd. Z tyłu za mną. Jakby mnie szpiegował. Czasami wydaje mi się, że zwariował.

– 16 –

Filizanka inspektora Laurença Sérénaca zastygła mu w ręce. Jego zastępcą przyjmuje postawę ucznia, który napisał dodatkowe wypracowanie w domu i którego paraliżuje chęć pokazania tego nauczycielowi, a jednocześnie strach przed tym. Prawa ręka Bénavides’a zagłębia się w grubym dossier. Wyciąga z niego kartkę A4.

– Niech pan popatrzy, szefie, żeby się lepiej w tym rozeznać, zacząłem robić to...

Sérénac bierze kolejne brownie, odstawia filizankę z kawą i patrzy zdziwiony. Sylvio ciągnie:

– To tylko sposób uporządkowania myśli. Trochę taka moja mania, te rzeczy, pisanie notatek, łączenie elementów, rysowanie szkiców. Tu, widzi pan, podzieliłem kartkę na trzy kolumny. To są według mnie trzy możliwe tropy: pierwszy to zbrodnia w afekcie, która wiązałaby się z jedną z kochanek Morvala. Można oczywiście podejrzewać jego żonę albo zazdrosnego męża, albo też porzuconą kochankę. Nie brak tu tropów.

Sérénac puszcza do niego oko.

– Dzięki anonimowi... No, dalej, Sylvio...

– Druga kolumna to malarstwo, jego kolekcja obrazów, dzieła, których poszukiwał. Monety, *Nenufary*. A może jakaś historia z paserstwem? Nielegalna sprzedaż? W każdym razie sprawa sztuki i forsy...

Sérénac chrupie jeszcze jeden kawałek brownie, po czym opróżnia filizankę kawy. Bénavides zmiata odruchowo okruchy na stole na jedną kupkę. Podnosi wzrok i ogląda wiszące na ścianach gabinetu obrazy – chyba z dziesięć – które jego szef kazał tu zawiesić zaraz po przybyciu. Toulouse-Lautrec. Pissarro. Gauguin. Renoir...

– Łut szczęścia, że tak się wyrażę – dodaje Sylvio. – Malarstwo to raczej pana dziedzina, inspektorze.

– Czysty przypadek, zbieg okoliczności, Sylvio... Gdybym pomyślał, kiedy mnie przynosili do Vernon, że mój pierwszy trup będzie się moczył w strumieniu w Giverny... Interesowałem się sztuką jeszcze przed szkołą policyjną, dlatego większą część stażu odbywałem w wydziale do spraw dzieł sztuki w Paryżu.

Bénavides wygląda jakby właśnie odkrył, że istnieje taki wydział.

– Ty niezbyt się pasjonujesz sztuką, Sylvio?

– Tylko kulinarną...

Laurenc się śmieje.

– Jasne! Potwierdzam pełną gębą!... Powiadomiłem swoich byłych kolegów z policji od dzieł sztuki. Trzeba sprawdzić... Kradzieże... Paserstwo... Podejrzane kolekcje... Rynki równoległe... To biznes, o którym nam się śni... Swego czasu miałem sporo okazji, żeby się w tym zanurzyć. Nie wyobrażasz sobie, jakimi milionami tam się obraca. Czekam na wiadomości od nich. Dobrze, a twoja trzecia kolumna?

Sylvio Bénavides rzuca okiem na swoją kartkę.

– Według mnie trzeci trop, i niech się pan ze mnie nie śmieje, to dzieci. Tu też nie brak śladów: ta pocztówka urodzinowa i ten cytat z Aragona. Morval mógł również mieć kochankę dwanaście lat temu, której zostawił dzieciaka, nic nie mówiąc o tym żonie... Zresztą inny kłopotliwy szczegół, na podstawie ekspertyz, papier pocztówki urodzinowej znalezionej w kieszeni Morvala jest dość stary. Pochodzi co najmniej sprzed piętnastu laty, może więcej. Tekst napisany na maszynie JEDENAŚCIE LAT NAJLEPSZE ŻYCZENIA URODZINOWE. też jest z tamtego okresu, ale dodatek, tekst Aragona, jest chyba nowszy... Dziwne, co?

Inspektor Sérénac gwizdże z podziwu.

– Podtrzymuję to, co powiedziałem, Sylvio. Jesteś idealnym zastępcą.

Wstaje gwałtownie, śmiejąc się.

– Troszkę może za drobiazgowym, ale powiedzmy, że razem wyciągamy przeciętną.

Kieruje się do drzwi.

– No, Sylvio, ruszamy. Idziesz ze mną do laboratorium?

Bénavides podąża za nim bez słowa. Mijają korytarze, schodzą po źle oświetlonych schodach. Sérénac, nie przestając iść naprzód, odwraca się do swojego zastępcy.

– Wśród rzeczy do zrobienia, po pierwsze, napisz mi na swojej kartce „poszukać świadków”. To jednak nie do wiary, że w miasteczku, w którym wszyscy malują od rana do wieczora, nikt niczego nie widział w dniu zabójstwa Morvala i że jedynymi

dobrowolnymi świadkami, jakich mamy, są jakiś anonimowy paparazzi, który przysłał nam świńskie zdjęcia, i pies, który się łąsi. Dowiadywałaś się o ten dom obok pralni? Ten dziwny młyn?

Sérénac wyjmując z kieszeni klucz, żeby otworzyć czerwone ogniotrwałe drzwi, na których widnieje potrójny napis: LABORATORIUM – ARCHIWUM – DOKUMENTACJA.

– Jeszcze nie – odpowiada Bénavides. – Muszę tam iść natychmiast, jak tylko będę miał sekundę.

Inspektor otwiera czerwone drzwi.

– Na razie pomyślałem o innej misji, która może zająć cały mój komisariat. Zmobilizuję nawet do tego specjalną ekipę kilku mężczyzn... Niespodzianka szefa!

Wchodzi do ponurej sali. Na pierwszym stole leży pudło. Sérénac otwiera je i wyjmując gipsowy odlew podeszwy.

– Numer czterdzieści trzy – wypowiada dumnie. – Podeszwa kalosza. Nie może być dwóch takich samych na świecie! Według Maury'ego jego rzeźba jest dokładniejsza niż odcisk palca, bo odlana na świeżo w błocie odnogi Epte w kilka minut po zamordowaniu Morwała. Co ci będę tłumaczył, właściciel tego kalosza jest co najmniej bezpośrednim świadkiem zbrodni... i nawet może zyskać piękny tytuł zabójcy!

Sylvio wytrzeszcza oczy.

– I co z tym robimy?

Sérénac się śmieje.

– Ogłaszam oficjalnie operację „Kopciuszek”!

– Szefie, ja naprawdę się staram, ale czasem nie nadążam za pana poczuciem humoru...

– Przywykniesz, Sylvio, nie przejmuj się.

– Wcale się nie przejmuję. Prawdę mówiąc, nawet mi to trochę zwisa. No więc, co to ma być, ta operacja „Kopciuszek”?

– Proponuję wam wersję wiejską, kierunek błoto i bagno... Misja będzie polegała na zebraniu wszystkich kaloszy, które trzystu mieszkańców Giverny przechowuje w swoich domach.

– Tylko tyle!

Sylvio łapie się za włosy.

– No, wiesz, ile to może być? – ciągnie Sérénac. – Sto pięćdziesiąt kaloszy? Najwyżej dwieście...

– Cholera. Inspektorze... przecież to surrealistyczny pomysł.

– Zgadza się! Myślę nawet, że dlatego mi się tak podoba.

– No, ale, szefie, nie rozumiem. Zabójca wyrzuci swoje kalosze. W każdym

razie, jeśli nie jest ostatnim kretynem, nie da ich przecież gliniarzowi, który po nie przyjdzie...

– Właśnie, mądrało... Właśnie... Będziemy procedować przez eliminację. Powiedzmy, że tych mieszkańców Giverny, którzy będą twierdzili, że nie mają w domu kaloszy, albo powiedzą, że je zgubili, albo też pokażą nam całkiem nowe kalosze kupione przypadkiem w przeddzień, umieścimy bardzo wysoko na liście podejrzanych...

Bénavides patrzy na gipsową podeszwę. Twarz mu się rozjaśnia w szerokim uśmiechu.

– Jeśli wolno, pozwolę sobie zauważyć, szefie, że ma pan jednak sakramenckie pomysły. Ale najgorsze jest to, że mogłoby to posunąć sprawę naprzód. Poza tym pogrzeb Morvala powinien się odbyć za jakieś dwa dni. Niech pan sobie wyobrazi, że będzie łało jak z cebrą... Wszyscy mieszkańcy będą pana przeklinać!

– Bo wy w Normandii przychodzicie na pogrzeb w kaloszach?

– No, jak leje, tak...

Bénavides wybuchają śmiechem.

– Sylvio, ja też ci powiem, chyba nie nadążam za pana poczuciem humoru.

Jego zastępca nie podejmuje tematu. Miętosi w rękach swoją kartkę.

– Sto pięćdziesiąt kaloszy – pomrukuje. – W której kolumnie mam to zapisać?

Przez krótką chwilę obaj milczą. Sérénac obserwuje ponurą salę, grube półki archiwów, które pokrywają aż trzy ściany, kącik, w którym zainstalowano nędzne prowizoryczne laboratorium, czwartą ścianę z dokumentacją. Bénavides chwytają puste czerwone pudło na archiwa i pisze na nim „Morval”, mówiąc sobie, że niedługo włoży do niego pierwsze dokumenty.

Nagle odwraca się do zwierzchnika.

– Aha, inspektorze, a wziął pan ze szkoły listę dzieci, które skończyły jedenaście lat? Byłby to jeszcze jeden element do trzeciej kolumny na mojej kartce... To ta największa, a jednak...

Sérénac mu przerywa:

– Jeszcze nie. Ma mi ją przygotować Stéphanie Dupain... O ile wiem, biorąc pod uwagę charakter fotografii, które dostaliśmy, ten przegląd kochanek Morvala, ona nie jest już naszą pierwszą podejrzaną...

– Tylko że ja zebrałem informacje o jej mężu – krzywi się Bénavides. – Jacques Dupain. No i on jednak bardzo się zbliża do idealnego profilu.

Sérénac marszczy brwi.

– No to powiedz coś więcej. Co to jest ten idealny profil?

Bénavides zagląda do notatek.

– Ach... czasem dobrze mieć zastępcę, może się przydać... taki drobiazgowy...

Ta uwaga chyba bardzo rozbawiła Sérénaca.

– A więc Jacques Dupain. Coś koło czterdziestki. Agent od nieruchomości w Vernon, zresztą raczej pośledni. W wolnych chwilach myśliwy, poluje z kilkoma innymi facetami z Giverny, no i przede wszystkim chorobliwie zazdrosny o wszystko, co dotyczy jego żony. I co pan na to?

– Że masz mi go pilnować! I to dobrze!

– Poważnie?

– Tak... Można powiedzieć, że to coś jakby intuicja. Nie, nawet więcej, coś jakby przeczucie.

– Jakiego rodzaju?

Sérénac przesuwa palcem po kartonach na jednej z półek. E, F, G, H...

– Nie będzie ci się to podobało, Sylvio...

– Jeszcze jeden powód. No więc jakiego rodzaju intuicja?

Palec przesuwa się dalej. I, J, K, L...

– Intuicja, która mówi, że może szykuje się inny dramat...

– Musi mi pan powiedzieć więcej, szefie. Ja w zasadzie nie jestem fanem intuicji gliniarzy, jestem raczej zwolennikiem zbieractwa, aż do przesady, dowodów winy. Ale tu mnie pan zaintrygował.

M, N, O, P. Sérénac nagle odrywa palec:

– Stéphanie Dupain... To ona jest w niebezpieczeństwie.

Sylvio Bénavides marszczy brwi. Tak jakby w sali zrobiło się jeszcze ciemniej.

– Na jakiej podstawie pan tak myśli?

– Mówiłem ci, intuicja...

Q, R, S, T. Laurenç Sérénac drepce nerwowo po sali, wyjmując z kieszeni trzy cudzołóżne fotografie i tę ze Stéphanie Dupain rzuca na stół tuż obok gipsowej podeszwy. Mówi dalej, pod inkwizytorską maską Bénavides'a:

– No, nie wiem. Spojrzenie trochę zbyt natarczywe. Ręka jakoś za mocno uściśnięta. Odczułem to jako wołanie o pomoc. Tak właśnie!

Bénavides podchodzi bliżej. Jest niższy od Sérénaca.

– Ręka za mocno uściśnięta... Wołanie o pomoc... Z całym szacunkiem, szefie, ponieważ lubi pan, żeby mówić szczerze, myślę, że wszystko się panu miesza i że ma pan kompletny odjazd.

Sylvio bierze zdjęcie ze stołu, długo się wpatruje w pełną wdzięku sylwetkę Stéphanie Dupain idącą za rękę z Morvalem.

– Ostatecznie, szefie, mogę pana zrozumieć. Ale niech pan nie żąda, żebym się zgadzał.

DZIEŃ PIĄTY
17 maja 2010
(Cmentarz w Giverny)

POGRZEB

– 17 –

Jak zawsze podczas pogrzebów w Giverny pada deszcz.

Zimny, drobny.

Stoję sama przed grobem. Świeżo skopana ziemia dookoła nadaje całemu wystrojowi wygląd opuszczonego placu budowy. Woda sączy się maleńkimi strużkami błota, brudząc marmurową płytę. „Mojemu mężowi. 1926–2010”.

Jestem koło szarego betonowego muru, który trochę mnie chroni. Na samej górze. Cmentarz w Giverny położony jest na zboczu wzgórza, za kościołem, tarasami. Powiększał się stopniowo piętro po piętrze. Zmarli powoli zagarniają wzgórze. Celebrytów, bogaczy, sławy chowa się jeszcze na dole, koło kościoła, bliżej miasta, bliżej Moneta.

W dobrych miejscach!

Żadnego mieszania, razem, koło siebie – mecenas, razem kolekcjonerzy, mniej czy bardziej znani malarze, którzy płacą fortunę, żeby tu spoczywać na wieki!

Idioci!

Zupełnie jakby te widma organizowały sobie mały wernisaż podczas pełni księżyca... Odwracam się. Na samym dole, po przeciwnej stronie cmentarza kończy się właśnie pogrzeb Jérôme'a Morvala. Ładny grób we właściwym miejscu pośród takich Van der Kempów, Hoschedé-Monetów i Baudych. Przyszło całe miasto albo prawie. Można powiedzieć – ze sto osób w czerni, z gołymi głowami albo pod parasolami.

Sto osób plus ja, sama jedna! Na drugim końcu. Nikt się nie przejmuje

staruchem czy staruchą, którzy umierają. Ogólnie rzecz biorąc, żeby być opłakiwanym, lepiej zdechnąć młodo, w pełnej chwale. Nawet jak jesteś najgorszym draniem, żeby cię żalowali, lepiej odejść wcześniej! Z moim mężem ksiądz uwiął się w niecałe pół godziny. Młody jakiś, z Gasny. Nigdy przedtem go nie widziałam. Natomiast Morval zasłużył na biskupa z Evreux! Jakiś znajomy, zdaje się, jego żony... Trwa to już prawie dwie godziny.

Wiem, co myślicie, pewnie wydaje się wam to dziwne, dwa pogrzeby na tym samym cmentarzu w odległości tylko kilkudziesięciu metrów od siebie, w tym samym ulewnym deszczu. Ten zbieg okoliczności zdaje wam się może nie na miejscu? Że to przesada? Bądźcie więc pewni jednej rzeczy, jedynej: w całej tej serii wydarzeń nie ma żadnego zbiegu okoliczności. Nic nie jest dziełem przypadku w tej sprawie, wprost przeciwnie. Każdy element jest na swoim miejscu, dokładnie we właściwym momencie. Każda część tej kryminalnej przekładni zębatej została zreżymowana i wierzcie mi, mogę wam przysiąc na grób mojego męża, nic nie zdoła tego zatrzymać.

Podnoszę głowę. Potwierdzam: ten obraz widziany z góry wart jest, by na niego spojrzeć.

Patricia Morval klęczy przed grobem męża. Niepocieszona. Stéphanie Dupain stoi trochę za nią, z poważną twarzą, również z wyblakłymi oczami. Mąż podtrzymuje ją, wsunął rękę z tyłu na jej biodro, twarz ma zaciętą, grube brwi, wąsy mokre. Wokół nich tłum anonimów, bliskich, przyjaciół, kobiet. Przyszedł też inspektor Sérénac, trzyma się trochę na uboczu, przy kościele, niedaleko grobu Moneta. Biskup właśnie kończy mowę pogrzebową.

W trawie stoją trzy koszyki wiklinowe. Każdy z uczestników ma wziąć jeden kwiat, rzucić go na trumnę do dziury: malwy, irysy, goździki, bez, tulipany, chabry... i inne. Tylko Patricia Morval mogła mieć taki chory pomysł. Impresja umierające słońce...

Nawet Monet by nie śmiał...

Posunęli delikatność do tego, że wyrzeźbili szarego nenufara na ogromnej granitowej płycie.

Gust doprawdy...

Przynajmniej ze światłem się nie udało. Ze słynnym światłem Giverny, ostatni raz przed czarną dziurą. Wszystkiego nie można kupić. Może to znak, że Bóg rzeczywiście istnieje.

Świeża ziemia z grobu pod moimi stopami zaczyna się zsuwać na wyżłobioną ścieżkę między grobami. Oczywiście na dole nikt z miejscowych nie ma kaloszy! Inspektor Sérénac pewnie się śmieje w swoim kącie. Każdy się bawi jak może...

Ściągam czarną chustkę, która zakrywa mi włosy. Też jest mokra. Wyzymać

można! Dzieci są trochę dalej. Niektóre trzymają się rodziców, inne nie. Kilko z nich rozpoznaję. Fanette płacze. Za nią stoi Vincent, najwyraźniej nie śmie jej pocieszać. Są poważni, tak jak poważna jest niestosowność śmierci, kiedy się ma jedenaście lat.

Deszcz nieco ustaje.

Gdy tak obserwuję tę scenę, przypomina mi się ciekawa historia, jedna z tych zagadek, które dawno temu zadawaliśmy sobie wieczorami, kiedy byłam dzieckiem. Pewien człowiek udaje się na pogrzeb członka rodziny. Kilka dni później człowiek ten bez wyraźnej przyczyny zabija innego krewnego. Cały sens zagadki polegał na tym, by znaleźć motyw tego zabójstwa za pomocą zadawania pytań. Mogło to trwać godzinami... Nie, ten człowiek nie znał tego krewnego... Nie, nie chciał się zemścić; nie, nie chodziło o sprawy pieniężne; nie, nie chodzi również o tajemnicę rodzinną... Mogło to trwać całą noc, to zadawanie pytań w ciemności, w pościeli...

Przestało padać.

Trzy koszyki, w których były kwiaty, są puste.

Krople spływają powoli po marmurowej płycie grobu mojego męża. Na dole tłum wreszcie się rozchodzi. Jacques Dupain cały czas ściska swoją żonę w talii. Jej długie włosy spływają, zatapiając kształtny biust, który opina czarna suknia. Małżonkowie przechodzą obok Laurença Sérénaca. Inspektor ani na sekundę nie spuścił wzroku ze Stéphanie Dupain.

Chyba to żarłoczne spojrzenie przypomniało mi zagadkę z dzieciństwa. Znalazłam rozwiązanie nad ranem, znużona już rozmyślaniami... Człowiek ten podczas pogrzebu zakochał się na zabój w pewnej nieznanym. Ale kobieta zniknęła, zanim zdążył ją zagadnąć. Aby spotkać ją znowu, nie pozostało mu zatem nic innego, jak zabić inną osobę z rodziny, obecną na tym pogrzebie, i czekać, że piękna nieznanym przyjdzie na następny pochówek... Większość tych, którzy całymi godzinami poszukiwali rozwiązania tej zagadki, krzyczała o skandalu, o oszczerstwie, o wielkim czymś tam. Ja nie. Zafascynowała mnie niewzruszona logika tej historii, tej zbrodni. To dziwne, jak człowiekowi powraca pamięć. Od lat nigdy więcej o tym nie pomyślałam... Przed pogrzebem mojego męża.

Ostatnie sylwetki się oddalają.

Mogę teraz to wyznać, ponieważ wiem to.

To jest okazja, idealna sceneria do tego.

ŚMIERĆ ZNOWU ZAATAKUJE W GIVERNY!

Słowo czarownicy!

*

Czekam jeszcze, patrzę na ruchomą ziemię wokół grobu mojego męża. Jestem prawie pewna, że nigdy więcej tu nie przyjdę. Przynajmniej żywa. Nie mam już co robić, nie ma już innego pogrzebu, w którym dotrzymywano by mi towarzystwa. Mijają minuty, może godziny.

Wreszcie wracam.

Neptun czeka grzecznie przed cmentarzem. Idę ulicą Claude-Monet, powoli się ściemnia. Wzdłuż murów woda spływa z kwiatów pod latarniami. Zdolny malarz mógłby zapewne wyciągnąć coś z półcienia tego miasteczka, które teraz schnie.

W oknach chałup zaczynają rozbłyskiwać światła. Przechodzę przed szkołą. W stojącym najbliżej niej domu okrągła lukarna na piętrze na poddaszu jest oświetlona. To okno Stéphanie i Jacques'a Dupainów. Co oni mogą tam robić, co mówią, wyzymając swoje zmoczone ubrania?

Wy też, jak się domyślam, chcielibyście móc się zakraść na mansardę i ich szpiegować. Ale tym razem, niestety, choć bardzo poważnie odgrywam swoją rolę czarnej myszy, nie umiem jeszcze wspinać się po rynnach.

Zwalniam tylko na parę sekund i idę dalej.

– 18 –

Laurencé Sérénac stąpa ostrożnie w ciemności, wsłuchując się po prostu w odgłos własnych kroków na żwirze. Bez trudu znalazł dom swojego zastępcy, grzecznie posłuchał wskazówek Sylvia Bénavidés'a: iść wzdłuż doliny Eure aż do Cocherel, potem kawałek pod górę w lewo za mostem, w kierunku kościoła, jedynej w wiosce budowli oświetlonej po dziesiątej wieczorem. Sérénac zaparkował swój motocykl tiger triumph T100 między dwiema monumentalnymi donicami z kwiatami, kiedy już sprawdził przy jego światłach nazwisko na skrzynce na listy. Dopiero potem sprawa się skomplikowała: nie było dzwonka, nie było światła, były tylko żwirowa aleja i cień budowli w odległości pięćdziesięciu metrów. Idzie więc na chybił trafił...

– Cholera!

Sérénac zawył pośród nocy. Jego kolano uderzyło w ceglany mur. Niecały metr wysokości, tuż przed nim. Ręka trafia po omacku na zimne kamienie, żelazną kratę, ciemny kurz. W momencie, kiedy się zorientował, że wpadł na grill, w oddali zamigotało światło, później, chwilę później, olbrzymia weranda się rozświetla. Jego krzyk poruszył przynajmniej sąsiadów. Sylwetka Sylvia Bénavides'a ukazuje się przed szklanymi drzwiami w nieśmiałym półcieniu, który okrywa ogród.

– Prosto, szefie, niech pan idzie po żwirze, tylko niech pan uważa na grille.

– Okay, okay – mruczy Sérénac, myśląc, że ta rada zjawia się nieco za późno.

Idzie po ciemnym żwirze, znowu ufając swoim stopom, kierując się słuchem i wskazówkami swojego zastępcy. Niecałe trzy metry dalej jego noga z całej siły znowu uderza w mur. Inspektor, zgięty w pół, rzuca się naprzód, teraz jego łokcie wpadają gwałtownie na jakąś żelazną bryłę. Sérénac jeszcze raz wyje z bólu.

– Co jest, szefie? – niepokoje się zakłopotany Sylvio. – Mówiłem przecież, żeby pan uważał na grille...

– Kurczę – wścieka się Sérénac, wstając. – Skąd mogłem wiedzieć, że mówiłeś w liczbie mnogiej? Ile masz tych grillów? Kolekcjonujesz je czy co?

– Siedemnaście – odpowiada z dumą Sylvio. – Zgadł pan, kolekcjonuję je. Razem z ojcem.

W ciemności Sylvio nie może dostrzec reakcji osłupiałego szefa, który dochodzi do werandy i dalej się złości:

– Jaja sobie ze mnie robisz, Sylvio?

– Dlaczego?

– Naprawdę chcesz, żebym uwierzył, że kolekcjonujesz grille?

– Nie rozumiem, w czym problem. Zobacz pan w dzień. Jest nas przecież na świecie pewnie z kilka tysięcy grillofilów.

Laurenc Sérénac pochyła się i rozciera kolano.

– Grillo coś tam, to, jak przypuszczam, „kolekcjoner grillów”?

– Tak! No, nie ma pewności, czy znajdzie to pan w słowniku. Ja jestem tylko amatorem, ale powiem panu, że w Argentynie jeden facet ma prawie trzysta grillów, które pochodzą ze stu czterdziestu trzech krajów świata, a najstarszy okaz jest z tysiąc dwusetnego roku przed naszą erą.

Sérénac pociera teraz swoje bolące łokcie.

– Nabijasz się ze mnie czy mówisz poważnie?

– Zaczyna mnie pan poznawać, szefie, myśli pan, że należę do tych, co wymyślają takie rzeczy? Wie pan, jak świat światem, ludzie, od czasu kiedy wynaleziono ogień, jedzą pieczone mięso. Nie wyobraża pan sobie, jak pasjonujące może być zgłębianie tego. Nie ma bardziej powszechnych odziedziczonych po przodkach praktyk niż grillowanie...

– No i od razu masz siedemnaście grillów w ogrodzie... Normalka... W gruncie rzeczy słusznie, to dużo lepsza dekoracja, bardziej z klasą niż ogrodowe krasnale...

– Z klasą, oryginalne, kulturalne, dekoracyjne... a poza tym, co najważniejsze, wygodne, żeby zapraszać sąsiadów...

Sérénac wkłada rękę we włosy i je czochra.

– Przenieśli mnie do krainy wariatów...

Sylvio się uśmiecha.

– Niezupełnie... Następnym razem opowiem panu o tradycjach langwedockich i o różnicy między grillami Katarów a grillami mieszkańców Sewennów...

Wchodzi po trzech schodkach prowadzących na werandę.

– Proszę, niech pan wejdzie, szefie... Łatwo pan trafił?

– Wyjąwszy ostatnie dwadzieścia metrów, tak, łatwo! Ale, ale, pomijając twoje grille, to ładnie tutaj. Młyny, strzechy...

– Tak, ładnie, lubię zwłaszcza ten widok stąd, z werandy.

Teraz z kolei inspektor Sérénac wchodzi po trzech stopniach.

– No, na razie – mówi Sylvio – mamy noc, niewiele widać. Ale w dzień jest wspaniale. Poza tym, szefie, Cocherel to dość dziwne miejsce.

– Dziwniejsze niż klub grillofanów? Musisz mi opowiedzieć!

– Grillofilów. Ale to nie ma nic do rzeczy. W tej okolicy poległo mnóstwo ludzi. W czasie wojny stuletniej wielka bitwa rozegrała się na tych wzgórzach naprzeciwko, tysiące poległych, no i to samo później, podczas drugiej wojny światowej. A najdziwniejsze w tym wszystkim, wie pan, kto jest pochowany na cmentarzu tuż za kościołem?

– Joanna d’Arc?

Bénavides się uśmiecha.

– Aristide Briand.

– Ach, tak?

– Jak zwykle, nie wie pan, kto to?

– Piosenkarz...

– Nie, ten to Aristide Bruant. Zawsze ich mylą. Aristide Briand to polityk. Pacyfista. Jedyiny pokojowy noblista francuski.

– Cudowny jesteś, Sylvio, że tak się zajmujesz moją normandzką edukacją...

Obserwuje pruski mur oświetlonej chałupy.

– Wracając do tego, co mówiłem, dla prostego inspektora policji z jego nędzną pensją ten twój służbowy dom ma raczej wysoki standard.

Sylvio się nadyma, poruszony komplementem. Podnosi wzrok ku dachowi werandy i jej wiązaniu z naturalnych belek. Przeciągnięto tu druty, żeby z czasem winorośl posadzona na niewyłożonym kafelkami metrze podłoża werandy pięła się

wokół nich.

– Wie pan, szefie, kupiłem kompletną ruinę, to już przeszło pięć lat temu. I odtąd wciąż majsterkuję...

– Ach tak? To co tu zrobiłeś?

– Wszystko...

– No nie?

– Tak... mam to w genach, szefie, wie pan, tak jak wszyscy Portugalczycy, nawet gliniarze. Rozumie pan, związki północ-południe...

Sérénac wybuchą śmiechem. Zdejmuje skórzaną kurtkę.

– Jest pan mokry, szefie.

– Tak, cholerny pogrzeb normandzki.

– Proszę, niech pan wejdzie się osuszyć.

Obaj mężczyźni wchodzi pod dach werandy. Laurenç Sérénac kładzie kurtkę na oparciu plastikowego krzesła, które o mało się nie wywraca pod ciężarem ubrania. Siada na krzesło stojącym obok. Bénavidés prawie przeprasza:

– Trzeba przyznać, że salon z plastiku nie jest bardzo wygodny. Dostałem go od kuzyna, to mnie urządził, do antykwariatusy z doliny Eure, wybiorę się może później, hej, jak już zostanę komisarzem...

Uśmiecha się i też siada.

– No to co z tym pogrzebem?

– Nic szczególnego. Deszcz... Tłum. Stawiło się całe Giverny, wszystkie pokolenia, od najstarszych po najmłodsze. Poleciałem Maury'emu, żeby robił zdjęcia, zobaczymy, co z nich wyjdzie. Powinieneś tam przyjść, Sylvio, był nenufar z granitu, kwiaty w koszykach i nawet biskup Evreux. I zapewniam cię, nie było nikogo w kaloszach. Widzisz, duża klasa!

– A propos kaloszy, szefie, widziałem w komisariacie, że Louvel wszystko koordynuje. Chyba jutro będziemy już coś wiedzieć.

– Tak... Miejmy nadzieję, że to nam zmniejszy listę podejrzanych – powiedział Sérénac, rozcierając ręce jakby dla rozgrzewki. – Z tego niekończącego się pogrzebu przynajmniej taka korzyść, że mam okazję wziąć godziny nadliczbowe w domu mojego ulubionego zastępcy...

– I dobrze się składa, bo ma pan tylko jednego! Przepraszam, szefie, że poprosiłem, żeby pan tu przyszedł, ale niezbyt lubię zostawiać Béatrice wieczorem samą.

– Rozumiem, nie przejmuj się. Żeby skończyć z tym cholernym pogrzebem, Patricia, wdowa, tonęła we łzach od początku do końca; muszę ci powiedzieć, że jeśli ona gra komedię, wysunę jej kandydaturę do Cezara dla najlepszej wschodzącej gwiazdy. Nie było natomiast żadnej kochanki Morvala, która by

zapłakała nad jego grobem...

– Poza kochanką nauczycielką ze szkoły, Stéphanie Dupain.

– Żartujesz?

– Mimo woli, zapewniam pana...

Spuszcza wzrok, na jego twarzy pojawia się ślad dyskretnego uśmiechu.

– Rozumiem przecież, że temat jest delikatny.

– O, Boże, ależ ten mój ulubiony zastępca się rozluźnia, kiedy gra na własnym boisku! No to ci odpowiem, Sylvio, tak, Stéphanie Dupain uczestniczyła w pogrzebie... I mogę ci powiedzieć, że była jeszcze piękniejsza niż zwykle, ociekająca wodą, tak że aż można było polubić deszcz, ale ani na chwilę nie puściła ramienia swojego męża zazdrośnika.

– Niech pan jednak uważa, szefie.

– Dzięki za radę, jestem już duży chłopczyk, wiesz.

– Mówię szczerze.

– Ja też.

Laurenc̄ Sérénac, trochę zmieszany, odwraca oczy i przygląda się badawczo werandzie: złącza ścian z cegieł w kolorze łososiowym są zrobione idealnie, belki całkowicie oczyszczone, kamienne parapety werandy wypolerowane i pobielone.

– Naprawdę sam to wszystko zrobiłeś?

– Wszystkie weekendy i urlopy spędzam na majsterkowaniu, razem z ojcem. Robimy to we dwóch, spokojnie. Jest wspaniale!

– Cholera. Zdumiewasz mnie, Sylvio. Ja znoszę ten wasz gówniany klimat tylko dlatego, że jestem tu w odległości ośmiuset kilometrów od swojej rodziny...

Śmieją się. Sylvio niespokojnie przewraca oczyma, pewnie dlatego, że za bardzo hałasują.

– No dobrze. Zabieramy się?

Laurenc̄ rozkłada na plastikowym stole trzy fotografie kochanek Jérôme'a Morvala. Sylvio robi to samo z dwiema swoimi i wodzi po nich skonsternowanym spojrzeniem.

– Ja to nie rozumiem, że można zdradzać żonę. To jest coś, co mnie przerasta.

– Od jak dawna znasz swoją Béatrice?

– Siedem lat.

– I nigdy jej nie zdradziłeś?

– Nie.

– Ona śpi na górze, tak?

– Tak, ale to niczego nie zmienia...

– Dlaczego nigdy jej nie zdradziłeś? Twoja żona jest najpiękniejsza na świecie, tak? A więc nie masz żadnego powodu, żeby pragnąć innej?

Dłonie Sylvia przesuwają się między fotografiami. Już żałuje, że sprowadził rozmowę ze swoim przełożonym na ten teren.

– Już dosyć, wystarczy, szefie, nie zaprosiłem tu pana, żeby...

– Jaka jest ta twoja Béatrice? – ucina Sérénac. – Chcesz mi powiedzieć, że nie jest ładna?

Sylvio kładzie nagle obie dłonie płasko na stole.

– Ale piękna czy nie, to nie jest właściwe pytanie! Nie tak to działa. To idiotyzm chcieć, żeby własna żona była najpiękniejsza na świecie! Co to niby ma znaczyć, przecież to nie zawody! Zawsze będzie gdzieś kobieta piękniejsza od tej, z którą się żyje. A poza tym nawet jak dostaniesz miss świata, to ta miss świata w końcu się zestarzeje. Powinno się pakować do łóżka co roku nową miss świata, tak?

W odpowiedzi na tyradę swojego zastępcy Laurenç demonstruje coś w rodzaju uśmiechu, który Bénavides'owi wydaje się dziwny, tym bardziej że chyba obserwuje coś ponad jego plecami, od strony drzwi na korytarz.

– A więc to tak, nie jestem najpiękniejsza?

Sylvio odwraca się, tak jakby śrubka, którą umocowana była jego szyja, puściła nagle i zaczął robić dziesięć obrotów wokół własnej osi.

Pąsowieje.

Béatrice, z tyłu za nim, wydaje się ślizgać po posadzce werandy. Laurenç uważa, że jest zachwycająca, nawet jeśli źle wybrał słowo. Raczej poruszająca albo wzruszająca. Wysoka brunetka, długie czarne włosy i rzęsy mieszają się ze sobą przed jej zamglonymi oczami, tworząc zasłonę ochraniającą ostatnie promienie snu. Béatrice jest zawinięta w szeroki biało-kremowy szal, którego plisy na jej zaokrąglonym brzuchu przypominają kontury antycznego posągu. Jej brzoskwiniowa skóra jest identyczna jak materiał bawełnianego szala. Oczy skrzę się ironią. Sérénac zastanawia się, czy Béatrice zawsze jest taka piękna, czy to dlatego, że jest w ciąży i za kilka zaledwie dni będzie matką. Czy to pełnia urody spowodowana ciążą, coś jakby wewnętrzne szczęście, które w końcu wychodzi na powierzchnię. Takie rzeczy, o których się czyta w ilustrowanych czasopismach. Sérénacowi nasuwa się też refleksja, że chyba się starzeje, skoro przychodzą mu do głowy takie myśli na temat kobiet; czyż kilka lat temu uznałby, że kobieta w ciąży jest sexy?

– Sylvio – mówi Béatrice, biorąc krzesło – przyniesiesz mi szklanekę soku owocowego?

Sylvio wstaje i pędzi do kuchni. Spłaszczony jak taboret, który za długo się kręcił wokół własnej osi. Béatrice podciąga z powrotem szal na plecy.

– A więc to pan, słynny Laurenç Sérénac?

– Dlaczego „słynny”?

– Sylvio dużo mi o panu opowiada. Pan go... pan go zadziwia. Pan go nawet pobudza. Pana poprzednik był bardziej... bardziej typowy...

Głos Sylvia w kuchni krzyczy:

– Może być ananas?

– Tak!

Potem, dwie sekundy później:

– Butelka jest napoczęta?

– Tak, od wczoraj.

– No to nie.

Milczenie.

– Dobrze, zobaczę, co jest w piwnicy...

Kobieta w ciąży sexy, ale upierdliwa. Szal zjechał jej wzdłuż prawego ramienia. Ciekawe, myśli Sérénac, można by się zastanawiać, czy zawsze kształty Béatrice są tak obszerne. Béatrice odwraca się do Sérénaca.

– Jest czarujący, prawda? To najlepszy człowiek, ten mój Sylvio. Wie pan, Laurenç, wypatrzyłam go bardzo dawno temu, powiedziałam sobie coś w rodzaju: On jest dla mnie...

– Ale chyba długo się pani nie opierał, pani jest wspaniała...

– Dziękuję.

Szal znowu się zsuwa, potem wraca na miejsce.

– Wzrusza mnie taki komplement, zwłaszcza od pana.

– Ode mnie?

– Tak, od pana. Pan... pan jest mężczyzną, który umie patrzeć na kobiety.

Mówi to z ironicznym światełkiem w kąciку oka, szal oczywiście znowu się zsuwa, i teraz Laurençowi pozostaje tylko odwrócić oczy i podziwiać ręczną robotę Sylvia i jego taty. Belki, cegły i szkło.

– Ja też lubię Sylvia – podejmuje Sérénac. – I nie tylko z powodu brownie i kolekcji grillów.

Ona się uśmiecha.

– On też pana lubi. Ale nie wiem, czy to mnie uspokaja.

– A dlaczego? Mógłbym mieć zły wpływ na niego, o to chodzi?

Béatrice otula się szalem i zerka na zdjęcia leżące na plastikowym stole.

– Mmm. Zdaje się, że celujecie w jedną podejrzaną.

– Powiedział pani?

– To jego jedyna wada. Jak wszyscy nieśmiali dorośli trochę za dużo gada w łóżku.

– Mango? – dobiega głos Sylvia spod ziemi.

– Tak, jeśli nie ma nic innego. Ale świeże.

Uśmiecha się do Sérénaca:

– Niech mnie pan tak nie osądza. Mogę chyba go wykorzystać jeszcze kilka dni, co?

Inspektor kiwa głową sfinksa. Hipersexy, ale superniežnośna ta kobieta w ciąży.

– Był tylko jeden – mówi Laurenç. – Wytropiła go pani.

– Zgadzam się, inspektorze!

– Troszkę zabrakło fantazji, co?

– Niezupełnie!

Sylvio wraca, niosąc wielką koktajlową szklankę udekorowaną słomką, małą palemką i plasterkiem pomarańczy. Béatrice całuje go czule w usta.

– A ja? – mówi Sérénac – Dlatego że zmokłem, to prawdopodobnie nie chce mi się pić...

– Przepraszam, szefie. Czego by się pan napił?

– A co masz?

– Piwo, dobrze?

– Tak, świetnie. Tylko świeże, co. Chciałbym też palemkę i słomkę.

Béatrice jedną ręką trzyma szal, a drugą słomkę, przez którą popija.

– Sylvio, powiedz mu, że może iść do diabła...

Bénavides zmusza się do szerokiego uśmiechu.

– Brunetka, blondynka czy biała?

– Brunetka.

Sylvio znika znowu w domu. Béatrice pochyla się w stronę fotografii.

– A więc to ona, ta nauczycielka?

– Tak.

– Rozumiem pana, inspektorze. Naprawdę jest, jak to powiedzieć... elegancka. Cudowna. Można by rzec, że wyszła prosto z romantycznego obrazu. Że prawie pozuje.

Ta refleksja zaskakuje Laurença. Co ciekawe, miał taką samą, kiedy się spotkał z nauczycielką. Béatrice długo ogląda pozostałe zdjęcia, odgarnia zasłonę z włosów sprzed oczu i delikatnie marszczy brwi.

– Inspektorze, chce pan, żebym panu powiedziała rewelację?

– Czy to ma związek ze sprawą?

– Tak. Jest na tych zdjęciach coś dość oczywistego. W każdym razie coś, co kobieta łatwo dostrzega.

Od kilku minut Stéphanie Dupain śledzi z uwagą przez okrągłą lukarnę mokre cienie ostatnich sylwetek, które chodzą po Giverny, potem cofa się o metr. Czarna suknia zsuwa się jej wzdłuż ciała. Jacques leży obok, w łóżku, z nagim torsem. Podnosi oczy znad listy domów do sprzedaży w okręgu Andelys. Ich sypialnia jest na poddaszu, z dębowej belki zwisa mała żarówka, która daje słabe odbite od drewna światło.

Naga skóra Stéphanie nabiera mahoniowej barwy. Znowu nachyla się do okienka, patrzy, jak noc schodzi na ulicę, plac przed merostwem, lipy, szkolne podwórko.

Wszyscy cię zobaczą, myśli Jacques, odrywając wzrok od swojej broszurki reklamowej. Milczy. Stéphanie przykleja się do szyby. Ma na sobie tylko stanik, czarne figi i szare pończochy.

Szeptem słabym, zmęczonym głosem:

– Dlaczego podczas pogrzebów zawsze pada deszcz?

Jacques odkłada na bok magazyn.

– Nie wiem. W Giverny często pada, Stéphanie. Niekiedy również podczas pogrzebów. Bardziej się pamięta... Ma się wrażenie, że się pamięta.

Patrzy długo na Stéphanie.

– Idziesz spać?

Ona nie odpowiada i powoli cofa się o kilka kroków. Obraca się na pięcie i przegląda *en trois quarts* w odbiciu lukarny.

– Utyłam. Nie uważasz?

Jacques się uśmiecha.

– Żartujesz. Jesteś...

Szuka najlepszego słowa na określenie tego, co odczuwa: te długie włosy, które opadają kaskadą na długie plecy koloru miodu, te cienie, które padają na najdrobniejszy zarys jej ciała.

– Prawdziwa madonna...

Stéphanie się uśmiecha. Przekłada ręce na plecy, odpina biustonosz.

– Nie, Jacques... Madonna jest piękna, ponieważ ma dzieci.

Wiesza swoją bieliznę na ramiączku zaczepionym na gwoździu wbitym w belkę. Odwraca się, nie rzuciwszy nawet okiem na Jacques'a i siada na brzegu łóżka. Podczas gdy jej palce zwijają powoli pończochę z uda, Jacques wsuwa rękę w pościel, kładzie ją na płaskim brzuchu. Im bardziej jego żona się pochyla, do połowy uda, do łydki, do kostki, tym bardziej jej piersi dotykają jego ręki.

– Komu chcesz się podobać, Stéphanie?

– Nikomu. A niby komu mam się podobać według ciebie?

– Mnie... Stéphanie. Mnie.

Stéphanie nie odpowiada. Wchodzi pod kołdrę. Jacques waha się, w końcu się ośmiela:

– Nie podobał mi się sposób, w jaki gliniarz na ciebie patrzył przez cały czas trwania pogrzebu Morvala. Naprawdę...

– Nie zaczynaj znowu... Zlituj się.

Odwraca się do niego plecami. Jacques słyszy, jak spokojnie oddycha.

– Philippe i Titou zaprosili mnie na polowanie jutro późnym popołudniem na równinie de Madrie. Masz coś przeciwko?

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Jesteś pewna? Nie chcesz, żebym został?

Oddychanie. Tylko plecy żony i jej oddychanie.

Nie do zniesienia.

Kładzie koło łóżka swoją broszurkę, potem pyta:

– Chcesz poczytać?

Stéphanie podnosi wzrok na szafkę nocną. Leży na niej tylko jedna książka. *Aurelian Louisa Aragona*.

– Nie, dzisiaj nie, możesz gasić.

W sypialni zapada noc.

Czarne figi zsuwają się na podłogę.

Stéphanie odwraca się do męża.

– Zrób mi dziecko, Jacques. Błagam.

– 20 –

Inspektor Sérénac uporczywie wpatruje się w Béatrice. Trudno mu odgadnąć, co się kryje za jej ironicznym uśmiechem. Weranda staje się salą przesłuchań. Żona Sylvia Bénavides'a trzęsie się trochę pod swoim szalem.

– A więc, Béatrice, jaka to oczywistość na tych bezwstydnym zdjęciach się pani nasuwa?

– Mówię o tej pana nauczycielce. Jak ona się nazywa?

– Stéphanie, Stéphanie Dupain.

– Tak, Stéphanie. Ta ładna dziewczyna, która, jak mówi Sylvio, podbiła pana serce...

Sérénac marszczy brwi.

– No więc, dam sobie rękę uciąć, że ona nigdy nigdzie nie poszła z tym typem, z tym Jérôme'em Morvalem.

Długo i uważnie ogląda jedną po drugiej pięć fotografii leżących na plastikowym stole.

– Może mi pan wierzyć, to jedyna z tych pięciu, która nie miała z nim żadnych związków fizycznych.

– A na jakiej podstawie pani tak twierdzi? – pyta Sérénac, również próbując się uśmiechnąć zagadkowo.

Pada odpowiedź, prosta jak drut.

– On nie jest w jej typie...

– Ach... A jaki jest jej typ?

– Pański!

Bardzo bezpośrednia ta ciężarna kobieta.

Wraca Sylvio, niosąc jednego guinnessa i wielką szklankę z wizerunkiem marki piwa. Stawia je przed kolegą.

– Czy mogę z wami zostać, kiedy będziecie pracować? – pyta Béatrice.

Sylvio rzuca bojaźliwe spojrzenie, a Laurenç zdmuchuje pianę z piwa.

– W końcu co to zmienia, skoro później on i tak wszystko pani opowiada...

Bénavides powstrzymuje się od komentarza. Jego zwierzchnik kładzie na stole pierwsze zdjęcie.

– Dobrze, zaczynam – mówi Sérénac.

Béatrice i Sylvio pochylają głowy nad fotografią, którą pokazuje im Sérénac. Jérôme Morval, przyklejony do kolan dziewczyny za zawalonym papierami biurkiem, całuje ją w same usta.

– Z punktu widzenia śledztwa, jeśli mogę tak powiedzieć, to był dopiero przedsmak. Zdjęcie zostało zrobione w gabinecie Jérôme'a Morvala. Dziewczyna nazywa się Fabienne Goncalves. Była jedną z jego sekretarek. Młoda i bezwstydna. Styl koronkowe majtki pod białym fartuchem...

Sylvio kładzie nieśmiało rękę na plecach Béatrice, która zdaje się dobrze bawić.

– Według przyjaciółki sekretarki ich związek to sprawa sprzed pięciu lat. Fabienne była wtedy panną. Już nie jest...

– To trochę za mało jak na zbrodnię w afekcie, nie? – komentuje Sylvio.

Odwraca fotografię.

– A ten kod zapisany na odwrocie? 23-02...

– Nie mam pojęcia. Nic, nawet najdrobniejszego tropu. To z niczym się nie kojarzy, ani to data urodzin, ani dzień spotkania. Jediną pewną rzeczą jest to, że te drugie cyfry nie oznaczają miesięcy...

– Jeśli mogę panu przerwać, szefie, ja też znalazłem się w takim samym

impasie. Zidentyfikowałem dziewczyny, ale nie mam nic, absolutnie nic na temat kodów 03-01, 21-02, 15-03. Może to tylko sposób archiwizowania prywatnego detektywa, który zrobił zdjęcia...

– Może... Ale nawet jeśli, to jest w tym jakiś porządek... a dopóki nie znajdziemy owego prywatnego detektywa, dopóki Patricia Morval nadal będzie twierdzić, że nigdy nam nie wysłała tych fotografii, będziemy dreptać w miejscu. Dobrze, zobaczymy później. Teraz ty.

Sylvio nie puszcza Béatrice. Udało mu się nawet złapać szal i przyciska go mocno do pleców żony. Cały się wykręca, żeby złapać zdjęcie. Fotografie najwyraźniej zrobiono w lokalu nocnym. Jérôme Morval trzyma rękę na piersi, która wylewa się z sukienki z cekinami jasnowłosej dziewczyny, opalonej i umalowanej od stóp do głów. Sérénac pogwizduje przez zęby. Oko Béatrice iskrzy się, a Sylvio pokasłuje.

– Aline... Malétras – bełkocze Sylvio. – Trzydzieści dwa lata. Public relations w dziedzinie artystycznej. Rozwiedziona. Prawdopodobnie to najdłuższy ze związków Morvala. Dziewczyna niezależna. Bywalczyńni paryskich galerii.

– Public relations, tak to się nazywa... – ironizuje Laurenç. – Z tego, co widać na zdjęciu, ta nasza Aline to sakramencka bomba na wysokich obcasach... Kontaktowałeś się z nią bezpośrednio?

Béatrice prostuje się, zupełnie jak wilczyca, która zwęszyła niebezpieczeństwo. Czujne palce Sylvia zaciskają się na szalu.

– Nie – odpowiada inspektor – według moich informacji od dziewięciu miesięcy jest w Stanach Zjednoczonych. W Old Lyme, nie wiem, czy pan o tym słyszał, zdaje się, że to amerykańskie Giverny, melina impresjonistów wschodniego wybrzeża, w stanie Connecticut, koło Bostonu. Próbowałem połączyć się z nią telefonicznie, na razie bezskutecznie. Ale pan mnie zna, szefie, dalej będę próbował.

– Taak... Mam nadzieję, że nie opowiadasz mi o pięknej Aline, która jest na wygnaniu jedynie dlatego, że Béatrice jest tutaj.

Béatrice kładzie rękę na kolanie Sylvia.

Sexy i nieznośne te kobiety w ciąży. Ale też pieszczoszki.

– Niech pan dobrze siedzi – nalega Sylvio. – Wie pan, dla kogo Aline Malétras pracuje w Bostonie?

– A dostanę jakąś wskazówkę? To praca w ubraniu czy bez?

Sylvio nie zadaje sobie nawet trudu, żeby to komentować.

– Aline Malétras pracuje dla fundacji Robinsona!

– Coś takiego... Znowu ta przeklęta fundacja! Sylvio, odnajdziesz mi tę dziewczynę – szef wydaje polecenie z głupią miną, rzucając okiem na Béatrice. –

Uznaj to za rozkaz... Dobrze, teraz ja...

Następne zdjęcie przechodzi z rąk do rąk. Kobieta, której krótki niebieski fartuch sięga długości spódnicy, klęczy przed okulistą, którego spodnie opadają na kostki. Sylvio odwraca się do Béatrice, jakby się wahał, czy nie zaproponować jej, żeby poszła spać. Ostatecznie nic nie mówi.

– Niestety – odzywa się Sérénac – tu jestem w kropce. Bez twarzy tej dziewczyny stoję w miejscu z jej identyfikacją. Jestem pewny tylko tego, że scena rozgrywa się w salonie domu Morvalów na ulicy Claude-Monet, udaje mi się rozpoznać obrazy na ścianach. A zważywszy na strój dziewczyny, ten rodzaj niebieskiego fartucha w jasną kratkę, można by pomyśleć, że to sprzątaczką. Patricia Morval milczy jednak na ten temat. Sprzątaczkę odprawia jedną po drugiej. W dodatku Maury, który zbadał dokładnie strukturę papieru, twierdzi, że to zdjęcie też pochodzi sprzed co najmniej dziesięciu lat...

– Jak Morval został zabity? – pyta nagle Béatrice.

– Ugodzony nożem, przedziurawiona czaszka, potem podtopiony – odpowiada machinalnie Sérénac.

– Ja bym mu jeszcze obcięła jaja.

Sexy, nieznośna ta ciężarna kobieta... i pieszczoszka... jak wąż, który się owija człowiekowi wokół szyi...

Sylvio uśmiecha się głupio.

– Nie chcesz iść się położyć, kotku?

Kotek nie odpowiada. Laurenç dobrze się bawi.

– To związek sprzed dziesięciu lat – sugeruje Sylvio. – Gdyby dziewczyna zaszła w ciążę, jej dzieciak miałby...

– Dziesięć lat! Ja też umiem liczyć. Domyślam się, do czego zmierzasz, mój drogi, ale najpierw trzeba będzie odnaleźć dziewczynę, a potem się zastanawiać, czy na dodatek jest matką... Teraz ty, ta twoja Irlandka...

– To może długo potrwać, szefie, nie chce pan kontynuować?

Sérénac podnosi zdumione oczy.

– Jeśli wolisz... Ze mną przeciwnie, powiem krótko.

Zdjęcie krąży. Stéphanie Dupain i Jérôme Morval idą ubitą drogą, zapewne ścieżką nad Giverny. Przystanęli obok siebie, dość blisko jedno obok drugiego, trzymają się za ręce.

– Jak widzicie, to raczej niewinne jak na związek pozamałżeński – komentuje Sérénac. – Prawda, Béatrice?

Sylvio jest zaskoczony, Béatrice kiwa niepewnie głową.

– Taak – dodaje Bénavides. – Tylko że zdjęcie znalazło się wśród czterech innych. Jeśli się przemiesza...

– Właśnie! Nie nauczono cię, że zawsze trzeba się mieć na baczności, kiedy mamy do czynienia z mieszankami, Sylvio? To abc naszego zawodu. Zwłaszcza jeśli dostarcza ich nam anonimowy dobroczyńca. Zresztą wiemy już wszystko o dziewczynie ze zdjęcia, Stéphanie Dupain, miejscowej nauczycielce. Jutro się z nią spotkam, żeby mi dała listę dzieci z Giverny, to Sylvio się ucieszy, a dodatkowo, żeby się dowiedzieć, co robił jej mąż tego ranka, kiedy zamordowano Morvala.

Laurencz czeka na zachęcający komentarz Béatrice, ale ona oparła głowę na ramieniu Sylvia i oczy zaczynają jej się zamykać. Sylvio podciągnął jej szal do samej szyi.

– No więc – mówi Sérénac – co z tą twoją Irlandką?

– Alysson Murer – szepce Sylvio bez zmrużenia oka. – Ale po pierwsze, ona nie jest Irlandką, to Angielka z Durham w północnej Anglii, koło Newcastle. A poza tym plaża na zdjęciu to nie Irlandia, to wyspa Sark.

– A Sark to nie w Irlandii?

– Nie, to o wiele niżej, mała wysepka anglo-normandzka obok Jersey, podobno najładniejsza ze wszystkich...

– No więc, co ta twoja Alysson?

Béatrice zamknęła oczy. Jej oddech na karku Sylvia wprawia w ruch meszek białego puchu.

– To długa historia – szepce Bénavides. – I niezależnie od tego, co myśli biskup Evreux, nie przynosi pośmiertnego zaszczytu Jérôme’owi Morvalowi.

DZIEŃ SZÓSTY
18 maja 2010
(*Młyn des Chennevières*)

PRZERAŻENIE

– 21 –

Jak już wiecie, moja sypialnia i łazienka mieszczą się na samej górze w donżonie młyna des Chennevières, tej małej kwadratowej wieży z pruskiego muru. Dwie maleńkie izby, w których nikt inny poza starą wariatką nie chciałby mieszkać.

Powoli związuję włosy. Podjęłam decyzję. Muszę wyjść, zobaczyć się z Patricią Morval dziś rano. Z niezadowoleniem przyglądam się ciemnej plamie na parkiecie. Większość garderoby, którą miałam na sobie wczoraj podczas pogrzebu, jeszcze jest mokra. Suszyła się przez całą noc, byłam zbyt zmęczona, porozkładałam ją byle jak. Rano zastałam kałużę, wytarłam ją, ale została mokra plama. Zdaję sobie sprawę, że to tylko woda, że drewno wyschnie. Ale ta plama mnie prześladowuje, w dodatku tuż pod moimi czarnymi *Nenufarami*.

Pewnie myślicie, że ja naprawdę jestem stara i chora. Prawda? W tej sprawie się nie mylicie. Podchodzę do okna. Moja wieża ma co najmniej jedną zaletę: w całym Giverny nie ma lepszego stanowiska obserwacyjnego. Z mojego orlego gniazda panuję nad strumykiem Epte, nad prerią aż do Wyspy Pokrzyw, ogrodami Moneta, chemin du Roy aż do ronda...

To moja wartownia, budka strażnicza. Sterczę tu nieraz całymi godzinami.

Brzydę się siebie.

Kto by pomyślał, że stanę się tym, kim jestem: megierą, która spędza życie za szarymi oknami, szpiegując sąsiadki, nieznanomych, turystów?

Miejscowa stróżka.

Nieprzystępna. Niemiła.

Tak to jest.

Czasem męczy mnie ten niekończący się sznur samochodów, autokarów, rowerów, pieszych na chemin du Roy. Ostatnie metry drogi krzyżowej pielgrzymów impresjonizmu.

Czasem przeciwnie. Zdarzają się miłe niespodzianki, tak jak teraz.

Ten motocykl, który zwalnia, żeby skręcić tuż za młynem w stronę miasta, w ulicę du Colombier – nie można go nie zauważyć.

Inspektor Laurenc Sérénac we własnej osobie!

Patrzę, obserwuję. Nikt nie może mnie zobaczyć, nikt nie może mnie podejrzewać. A nawet gdyby namierzono moje sztuczki, co by to zmieniło? Cóż bardziej naturalnego niż stara kobieta, która odgrywa plotkarę, bo wie, ale nic nie mówi, która każdego ranka, dzień w dzień, śledzi uważnie każdy szczegół, jak czerwona ryba z wyłupiastymi oczami, która o wszystkim zapomina przy każdym obrocie w słoiku?

Kto by się obawiał takiego świadka?

Tymczasem motocykl policjanta skręcił w ulicę du Colombier. Oto więc powrót inspektora Sérénaca, pędzi ku wielkiej katastrofie.

– 22 –

Laurenc Sérénac parkuje motocykl pod lipą na placu przed merostwem. Tym razem nie zdawał się na przypadek, zaprogramował swój przyjazd przed szkołę kilka minut po zakończeniu lekcji. Minał zresztą kilkoro dzieci na ulicy Claude-Monet, które podziwiałały jego tigera triumpcha T100. Dla dzieciaków to prawie jak okaz z kolekcji...

Stéphanie odwraca się do niego plecami. Układa w dużej tekturowej teczce rysunki dzieci. On zdecydował się odezwać pierwszy, to, jak myśli, najlepszy sposób, żeby nie powiedzieć jakiejś bzdury, zanim ona się odwróci, zanim spocznie na nim bezkresny krajobraz jej spojrzenia.

– Dzień dobry, Stéphanie. Przychodzę, jak obiecałem, po listę dzieci.

Nauczycielka wyciąga delikatną dłoń, dodaje do tego szczery uśmiech. Uśmiech więźnia wezwanego do rozmównicy, myśli Sérénac, nie wiedząc, dlaczego ten obraz mu się nasunął.

– Dzień dobry, inspektorze, wszystko dla pana przygotowałam. Wszystko jest tu, w tej kopercie na biurku.

– Dziękuję. Muszę pani wyznać, że mam zastępcę, który bardzo mocno wierzy w ten trop z uwagi na pocztówkę urodzinową znaną w kieszeni Jérôme’a Morvala...

– A pan nie?

– Nie wiem. Pani lepiej to może wiedzieć niż ja. Powiem pani jeszcze, że myślę, iż mój zastępca zbudował hipotezę, jakoby Jérôme Morval mógł mieć nieślubne dziecko jakieś dziesięć lat temu. Rozumie pani...

– Coś takiego?

– Nie wydaje się to pani wiarygodne? Czy wśród pani uczniów nie ma ani jednego, który mógłby pasować do tego profilu?

Stéphanie sięga palcami po białą kopertę, przykłada ją do piersi inspektora.

– To jest pana praca, grzebanie w życiu prywatnym moich małych wilczków. Nie moja!

Sérénac nie nalega. Obserwuje klasę, udając, że szuka odpowiednich słów. Bo naprawdę inspektor doskonale wie, co zaraz powie, przemyślał gruntownie swoją formułkę, przez całą drogę z Vernon do Giverny przeżuwał ją jak gumę do żucia. Jego oczy zatrzymują się na pastelowych kolorach plakatu konkursu „Malarze na trawie/ International Young Painters Challenge”. Spozstrzega, że fundacja Robinsona jest wymieniona również na innym plakacie wiszącym w klasie, który wychwala po angielsku National Gallery w Cardiff na tle krajobrazu tej krainy namalowanego przez Sisleya. Po tym wyrachowanym milczeniu Sérénac nabiera rozmachu:

– Stéphanie, zna pani dobrze to miasto?

– Urodziłam się tutaj.

– Szukam przewodnika... Jakby to powiedzieć, muszę poczuć Giverny, zrozumieć... Chyba tylko w ten sposób mogę się posunąć naprzód z tym śledztwem.

– „Obserwować i przedstawiać”, jak malarze?

– Dokładnie tak.

Uśmiechają się do siebie.

– Okay, jestem do pana dyspozycji. Wrzucę coś na siebie i zaraz wracam.

Na jasnożółtą sukienkę Stéphanie Dupain włożyła wełnianą kurtkę. Idą ulicą Claude-Monet, rozmawiając, skręcają w Grands-Jardins, potem w ulicę du Milieu, żeby znowu przejść przez strumyk po drugiej stronie chemin du Roy, tuż przed

młynem des Chennevières. Stéphanie setki razy prowadziła dzieci ze swojej klasy po ulicach Giverny. Wie wszystko o tych ulicach i dzieli się tą wiedzą z inspektorem. Opowiada mu, że każdy zakątek tego miasteczka, prawie każdy dom, również każde drzewo są przechowywane i podziwiane na drugim końcu świata w renomowanym muzeum, oprawione w ramy i pociągnięte werniksem.

Obrazy *d'origine contrôlée*, jak wino!

From Giverny. Near Giverny. Normandy.

– Tutaj – dopowiada Stéphanie z nieco dziwnym uśmiechem – podróżują kamienie i kwiaty... A mieszkańcy nie!

Przechodzą na drugą stronę chemin du Roy. Rzeczka, która płynie pod mostem i ucieka pod sklepieniem z cegieł w stronę młyna des Chennevières, przynosi jakby wrażenie chłodu. Stéphanie zatrzymuje się kilka metrów przed młynem.

– Ten dziwny dom zawsze mnie intrygował. Naprawdę. Nie wiem dlaczego...

– Mogę coś zasugerować? – pyta Sérénac.

– Proszę...

– Pamięta pani tę książkę, którą mi pani dała. *Aurelian* Aragona. Spędziłem z nią dużą część nocy. Aurelian i Berenika... ich niemożliwa miłość... W rozdziałach z Giverny Berenika rezyduje w młynie. Aragon nie precyzuje w którym, ale jeśli się wczytać w jego opisy, to nie może być inny niż ten.

– Tak pan sądzi? Myśli pan, że to w tym młynie Aragon każe wyczekiwać w smutku melancholijnej Berenice rozdartej między swoimi dwiema miłościami, rozumem i absolutem...

– Pst... Proszę mi nie opowiadać zakończenia!

Podchodzą do dużej drewnianej furtki. Jest otwarta. Lekki wietrzyk przebiega wzdłuż doliny. Stéphanie trochę się trzęsie. Laurenç powstrzymuje chęć wzięcia jej w ramiona.

– Przykro mi z powodu Aragona, Stéphanie, ale dla gliniarza, który we mnie siedzi, ten młyn jest przede wszystkim domem najbliższym miejsca zabójstwa Jérôme'a Morvala...

– To pańska sprawa... Moje kompetencje ograniczają się do przewodnika turystycznego... Jeśli chce pan wiedzieć, ten młyn ma długą historię. Zresztą bez niego nigdy by nie powstał ogród Moneta ani *Nenufary*. Strumyk jest w rzeczywistości kanałem wydrążonym przez mnichów w średniowieczu w celu zasilania młyna w wodę. Strumyk płynął trochę pod górę przez pole, które wieki później kupił Monet, żeby sobie tam urządzić staw...

– A potem?

– Młyn przez długie lata należał do Johna Stantona, amerykańskiego malarza, który podobno lepiej wymachiwał rakieta niż pędzlem. Ale od zawsze, nie

wiadomo naprawdę dlaczego, dla miejscowych dzieci młyn des Chennevières to młyn czarownicy.

– Brr...

– Niech pan popatrzy, Laurenç... Za moim palcem.

Stéphanie bierze go za rękę. On zezwala na to z przyjemnością.

– Niech pan zwróci uwagę na olbrzymią czereśnię na środku podwórza. To drzewo stuletnie! Od pokoleń ulubiona zabawa dzieci z Giverny polega na tym, żeby wejść na podwórze i kraść czereśnie...

– A co robi policja!

– Niech pan zaczeka, niech pan jeszcze popatrzy. Widzi pan wśród liści te błyski słońca? To są taśmy srebrnego papieru. Zwykły posrebrzany papier pocięty w paski. Zupełna głupota. Służy do odstraszenia ptaków, dużo bardziej niebezpiecznych rabusiów czereśni niż miejscowe dzieciaki. Ale dla małych chłopców z miasteczka istnieje o wiele bardziej rycerski gest niż kradzież owoców z drzewa...

Fiołkowe oczy Stéphanie iskrzą się fantazją zupełnie jak oczy nastolatki. Najbardziej świetlisty z *Nenufarów* Moneta! Wydaje się, że zniknęła z nich cała melancholia. Mówi dalej, nie pozostawiając inspektorowi czasu na odpowiedź:

– Rycerz powinien pobiec, ukraść kilka tych srebrnych wstęg i ofiarować je księżniczce, wybrance swego serca, by mogła sobie nimi związać włosy.

Śmieje się, podnosząc rękę Laurença aż do swojego koka...

– Dowody rzeczowe, inspektorze...

Palce Laurença Sérénaca zagłębiają się w długich kasztanowych włosach. Waha się, czy posunąć się dalej. Niemożliwe, żeby Stéphanie nie zauważyła jego zmieszania.

O co jej chodzi, czego szuka? Ile w tym improwizacji? Ile w tym premedytacji?

Srebrzyste papierki, które przytrzymują dyskretnie fryzurę nauczycielki, szeleszczą pod jej palcami. On odsuwa rękę, jakby jej groziło, że się zapali. Uśmiecha się, coś bąka, ma chyba głupią minę.

– Jest pani zadziwiająca dziewczyną, Stéphanie... Naprawdę. Nosić srebrne wstążki we włosach! Przypuszczam, że byłoby niedyskretnie pytać, który to kawaler je pani ofiarował?

Ona odgarnia włosy naturalnym ruchem.

– Mogę panu tylko powiedzieć, żeby pana uspokoić, że to nie Jérôme Morval! To zupełnie nie w jego stylu, ten dziewczyniński romantyzm. Ale niech pan nie wymyśla tajemnic tam, gdzie ich nie ma, inspektorze. W klasie dużo jest małych chłopców, którzy lubią dawać prezenty swojej pani. Idziemy dalej?

Idą kilka kroków wzdłuż strumyka i dochodzą do miejsca tuż naprzeciwko pralni, dokładnie tam, gdzie kilka dni wcześniej ciało Jérôme'a Morvala spoczywało w wodzie.

Na pewno o tym myślą.

Wkrada się między nich milczenie. Stéphanie próbuje rozładować sytuację:

– Tę pralnię podarował miastu Claude Monet. Tak jak kilka innych w gminie. Tymi darami próbował zyskać akceptację chłopów...

Sérénac nie odpowiada. Odsuwa się o krok, z przyjemnością śledzi wzrokiem taniec roślin wodnych na dnie strumienia. Nagle rozlega się jego głos:

– Muszę to pani powiedzieć, Stéphanie, pani mąż staje się głównym podejrzanym w tym śledztwie.

– Słucham?

Fantazja nastolatki uleciała jak spłoszony ptak.

– Chciałem tylko panią powiadomić. Te pogłoski o pani i Morvalu... Zazdrość...

– To śmieszne! W co pan gra, inspektorze? Już panu mówiłam, że między mną a...

– Wiem, ale...

Przeszukuje stopami błoto przy brzegu. Wczorajszy deszcz usunął wszelkie ślady butów.

– Czy pani mąż ma kalosze, Stéphanie?

– Często pan zadaje takie głupie pytania?

– Pytania gliniarza. Przykro mi... ale nie odpowiedziała pani.

– Oczywiście, że Jacques ma kalosze. Jak wszyscy. Pewnie ma je nawet teraz na nogach, poluje z przyjaciółmi.

– Przecież to nie sezon polowań...

Odpowiedź nauczycielki jest sucha i precyzyjna:

– Właściciel wzgórza nad szlakiem Astragale, Patrick Delaunay, otrzymał pozwolenie na odstrzał dzikich królików poza obszarem polowań i poza sezonem. Króliki mnożą się na tym trawiastym wapiennym terenie. Pana ludzie mogą sprawdzić, w Departamentalnej Dyrekcji Rolnictwa znajduje się dokumentacja ze spisem terenów, których to dotyczy, szkód spowodowanych przez szkodniki i myśliwych, których Delaunay zgłasza do pomocy przy odstrzałach. Czyli wszystkich swoich przyjaciół z Giverny, w tym mojego męża. Wszystko jest do załatwienia, inspektorze. Tak więc strzelają cały rok całkiem legalnie.

Sérénac marszczy brwi, jakby po to, żeby zaznaczyć, że choć niczego nie notuje, to zapamiętuje każdy szczegół.

– Dobrze, dziękuję, sprawdzimy. Odwiedzi was mój zastępca lub inny policjant. Niech pani będzie spokojna, oni są dużo mniej niedyskretni niż ja. Stéphanie, co

pani mąż robił tego ranka, w którym zdarzył się dramat?

Stéphanie kieruje się do brzegu, trzymając w palcach liść wierzby.

– A więc zaproponował mi pan, byśmy tu przyszli, inspektorze, tylko po to, żeby móc mnie przesłuchać w miejscu zbrodni? Żeby mnie „zmiękczyć”, jak to się mówi...

Sérénac bąka:

– N... niech pani nie myśli, że...

– Tamtego ranka Jacques pojechał na polowanie – przerywa Stéphanie. – Wcześniej. Ale to się często zdarza w tym okresie, o ile pogoda pozwala... Widzi pan, mój mąż nie ma alibi. Ale nie ma też motywu. Fakt, że Jérôme Morval zalecał się do mnie dyskretnie, nie stanowi motywu... Przechadzaliśmy się czasem po okolicy, tak jak my teraz, rozmawialiśmy o malarstwie, to był człowiek interesujący, wykształcony. Mój związek z Jérôme'em Morvalem ograniczał się do tego. Widzi pan, nie ma jak umotywić zbrodni.

Oczy Stéphanie Dupain, wpatrzone w wodę strumienia, przenoszą się na Laurenca Sérénaca.

Nieprzeniknione.

– Weźmy na przykład, inspektorze: mogłabym się poślizgnąć na tej mokrej ziemi i paść panu w ramiona. Ktoś mógłby nas zobaczyć... Obserwować. Uwiecznić. Sfotografować nas. Tutaj to na porządku dziennym. A przecież oboje dobrze wiemy, że nic się nie stało.

Sérénac nie może się powstrzymać, żeby się nie rozejrzeć wokół. Ale dostrzega tylko kilku przechodniów dość daleko na równinie. Poza młynem des Chennevières nie widzi żadnego innego domu.

Odpowiada bełkotliwie:

– Przepraszam panią, Stéphanie. Ja... To tylko jeden trop... Może przesadziłem, używając wyrażenia „główny podejrzany...”.

Przez chwilę się waha, po czym podejmuje:

– Tak... tak naprawdę mój zastępca, inspektor Bénavides, twierdzi, i myślę, że ma rację, że możliwe są trzy motywy dla wyjaśnienia zabójstwa Jérôme'a Morvala: zazdrość z uwagi na liczne kochanki, przemyt dzieł sztuki związany z jego namiętnością do malarstwa albo jakaś tajemnica związana z dzieckiem...

Stéphanie zastanawia się krótką chwilę. Jej głos przybiera ton niepokojąco ironiczny:

– Jeśli pana rozumiem, to ja byłabym główną podejrzaną... Wszystkie trzy motywy wskazują na mnie, tak? Rozmawiałam czasem z Morvalem, organizuję konkurs malarstwa... No i kto lepiej ode mnie zna miejscowe dzieci?

Zaciska różowokredowe wargi i wyciąga pięści, jakby po to, by je zakuto

w kajdanki.

Sérénac zmusza się do śmiechu.

– Przeciwnie, nic nie przemawia za tym, żeby panią oskarżyć! Zgodnie z tym, co mi pani oświadczyła, nie była pani kochanką Morvala, nie maluje pani... I nie ma pani dzieci.

Wypowiadane swobodnie słowa inspektora nagle stają mu w gardle. Ciemny woal zasnuwa raptownie oczy Stéphanie, jak gdyby słowa Sérénaca wywołały u niej silny niepokój.

Struna skrzypiec, która pęka.

Nie może aż do tego stopnia odgrywać komedii, myśli Sérénac. Medytuje nad tym, co przed chwilą stwierdził.

Nie była pani kochanką Morvala.

Nie maluje pani.

Nie ma pani dzieci.

Całe zachowanie Stéphanie dowodzi, że się pomylił... że jedno z jego twierdzeń jest fałszywe.

Co najmniej jedno.

Które? Czy to może mieć związek z jego śledztwem, z tym morderstwem? Po raz kolejny Laurencj Sérénac ma wrażenie, że porusza się po trzęsawisku, pogrąża w szczegółach niemających ze sobą związku.

Podchodzą powoli w stronę szkoły ulicą du Colombier, nie dodając ani słowa. Rozstają się zmieszani, pod wpływem niewypowiedzianego skrępowania.

– Stéphanie, jak mówi formuła, poproszę panią o pozostanie do dyspozycji policji.

Dodaje do tego uśmiech. Ona odpowiada z wymuszoną życzliwością:

– Bardzo chętnie, inspektorze. Nietrudno mnie znaleźć. Jestem albo w szkole, albo w domu tuż nad dziedzińcem.

Wskazuje oczami okrągłe okienko pod mansardą.

– Mój świat nie jest zbyt rozległy, jak mógł pan stwierdzić... Ach, właśnie. Za trzy dni, rano, idę z dziećmi zwiedzać ogrody Moneta.

Zmyka w kierunku klasy. Jasnofiołkowe tęczęwki długo jeszcze zaprzatają myśli Sérénaca, deformując całą realność tego, co usłyszał, przekomponowując ją w jakiś dziwny obraz namalowany nieregularnymi pociągnięciami pędzla.

Stéphanie Dupain.

Jaką rolę odgrywa ona w tej sprawie?

Podejrzanej? Ofiary?

Ta dziewczyna bardzo go rozprasza. Jedynym rozsądnym wyjściem byłoby wycofać się z tej sprawy, zatelefonować do sędziego śledczego, powierzyć wszystko swojemu zastępcy albo jakiemuś innemu gliniarzowi.

Powstrzymuje go jednak jedna, jedyna pewność.

To przeczucie, którego nie potrafi sobie wytłumaczyć, to dręczące go obsesyjne przeświadczenie, że Stéphanie Dupain wzywa go na pomoc.

– 23 –

Ze swojej wieży widziałam całą scenę. Dwoje spacerowiczów przed moją czereśnią, srebrne wstążki we włosach, błoto na buciorach tuż obok miejsca zbrodni.

Przed moim domem!

Źle bym zrobiła, odmawiając sobie tego, nie sądzicie? Czyż ich historia nie wydaje się wam banalnie oczywista? Romans przystojnego inspektora przybyłego znikąd z nauczycielką, która czeka na swojego wybawcę! Są jeszcze młodzi, są piękni. Mają życie przed sobą, mają swój los w swoich rękach.

Wszystko na swoim miejscu...

Jeszcze kilka randek. Ciało zrobi resztę.

Wychodzę ze swojej wieży. Przeklinam. Długie sekundy zajmuje mi zejście z każdego stopnia. Ponadto sporo minut zajmie mi zamykanie tych trzech zamków. Z trudem domykam dębowe drzwi, są tak ciężkie i tak stare jak ja. Można pomyśleć, że zawiasy rdzewieją co noc. Każdy ma swój reumatyzm, zauważcie.

Znowu myślę o gliniarzu i o nauczycielce. Tak, tych dwoje marzy, żeby zniszczyć obraz. Żeby wyjść z ram. Ich ucieczka jest zaprogramowana na chromowanym i błyszczącym motocyklu. Która dziewczyna by nie marzyła o takiej ucieczce, co?

Chyba że się wśliźnie ziarnko piasku, oczywiście.

Chyba że ktoś napisze historię inaczej.

– Chodź, Neptun!

Maszeruję. Maszeruję. Tak jak zazwyczaj przecinam parking Muzeum Sztuki Amerykańskiej. Przechodzę przed budynkiem. Jak zwykle wyrzekam sama do siebie na tę szkaradną architekturę typu pawilon z lat siedemdziesiątych. Wiem

oczywiście, że zaplanowali tu duży ogród, żeby zasłonić muzeum. Wiele lat temu posadzili przed nim cały labirynt ligustrów i tui. Nazywają to ogrodem impresjonistycznym. Proszę bardzo... Ale znam takich, co na swoich osiedlach nie chcieliby nawet takich żywopłotów zamiast swoich parkanów. Teraz, kiedy Francuzi odkupili to od Amerykanów, żeby zrobić tam muzeum impresjonizmu, być może wszystko to wytną! Powiem wam, że gdyby mnie zapytali o zdanie, byłabym raczej za.

No, w każdym razie i tak nie dożyję tego wszystkiego. Na razie poprzestali na tym, że ustawili w polu, za muzeum, cztery stogi siana, tak jak dawniej, brakuje tylko wbitych w nie wideł. Uważam, że trochę dziwnie to wygląda razem z tujami, ale w końcu chyba się podoba, często widać tu zachwyconych turystów, którzy na tle tego pozują do zdjęcia.

Kiedy byłam młodsza, często wchodziłam na tyły muzeum, za galerię Cambour. Widok na tarasowe pokryte roślinnością dachy muzeum jest mało znany turystom, ale dość zaskakujący. Chociaż najpiękniejszy jest ciągle widok wzgórza nad wieżą ciśnień. Nogi już nie te, więc pozostają mi wspomnienia...

Idę jeszcze dalej. Moja chwiejna laska stuka o bruk. Tymczasem mija mnie grupa pięciu osób, starzy, no, nie tak jak ja; mówią po angielsku. W tygodniu zawsze tak samo, Giverny jest tak puste jak każde przeciętne miasteczko. Oprócz autokarów *tour operators*... Trzy czwarte zwiedzających, którzy wysiadają z autobusu, mówi po angielsku; przechodzą tam i z powrotem ulicą Claude-Monet, dochodzą do kościoła i wracają tą samą drogą. Idąc tam, oglądają galerie, a wracając, kupują. W weekendy jest inaczej, przyjeżdżają paryżanie i trochę Normandczyków.

Chociaż grupa przede mną zostawia mnie w tyle, posuwam się naprzód swoim rytmem. Chciałabym móc przyspieszyć, kiedy przechodzę koło galerii Kandy. Amadou Kandy prowadzi najstarszą w Giverny galerię sztuki.

Trzydzieści lat go spotykam. Trzydzieści lat on mnie zanudza...

Nie udało się!

Jego sklep przypomina coś w rodzaju jaskini Ali Baby. Jak tylko mnie zobaczy, przekracza jej próg.

– Cześć, ślicznotko. Ciągle tak się snujesz po ulicach, jak widmo?

– Dzień dobry, Amadou. Przepraszam, ale się spieszę...

Wybucha swoim gromkim śmiechem senegalskiego olbrzyma. O ile wiem, jest jedynym Afrykaninem w mieście. Czasem spędzam z nim trochę więcej czasu. Opowiada mi o swoich interesach, o marzeniach, że kiedyś on też będzie

sprzedawał Moneta. Grubsza forsa... Któreś *Nenufary*, wszystko jedno które. Czarne, dlaczego nie... Czasem on też kręci się koło młyna des Chennevières. Amadou Kandy sporo kombinował z Jérôme'em Morvalem. Muszę się strzec. Dowiedziałam się też, że nie tak dawno miał do czynienia z glinami.

Idę dalej. Ulica Claude-Monet z każdym dniem wydaje mi się dłuższa, bez końca. Turyści się odsuwają, żeby mnie przepuścić. Czasem zdarzają się nawet kretyni, którzy mi robią zdjęcia, zupełnie jakbym była częścią krajobrazu...

Numer 71.

To tu!

Czytam uważnie nazwisko na skrzynce pocztowej: „Jérôme i Patricia Morval”, jak gdyby oboje mieszkali jeszcze pod tym samym dachem. Rozumiem Patricię. Niełatwo jest zedrzeć wizytówkę z nazwiskiem zmarłego.

Dzwonię. Kilka razy. Wychodzi.

Wydaje się zdziwiona.

Każdy by się zdziwił! Od wielu miesięcy nie zamieniłyśmy więcej niż dwa słowa, najwyżej dzień dobry na ulicy. Wchodzę, stoję blisko niej, szepczę prawie do ucha.

– Muszę z tobą porozmawiać, Patricio... Mam ci różne rzeczy do powiedzenia. Rzeczy, których się dowiedziałam, i inne, które zrozumiałam...

Kiedy mnie przepuszcza przed sobą, widzę, że jest blada. Na widok dwóch olbrzymich *Nenufarów* w długim korytarzu kręci mi się w głowie. Ale najwyraźniej nie tak jak Patricii. Mam wrażenie, że zaraz zemdleje.

Zawsze była trochę słabowita ta Patricia.

Bełkocze.

– To... to dotyczy morderstwa Jérôme'a?

– Tak... poza innymi zwierzeniami.

Namyślam się. Mimo wszystko, chociaż nie mam już nic do stracenia, nie będzie łatwo rzucić jej w twarz takie wyznanie. Chciałabym was zobaczyć na swoim miejscu. Czekam, aż usiądzie w skórzanym fotelu w salonie, i wyrzucam z siebie:

– Tak, Patricio, to dotyczy zamordowania Jérôme'a. Ja... znam nazwisko zabójcy.

Sylvio Bénavides już od kilku sekund zastanawia się, co właściwie mogą robić te krokodyle w stawie z nenufarami. Domyśla się, że chodzi tu o coś takiego jak swobodna interpretacja malarza, niejakiego Kobamo, ale nie jest pewny, czy za tym wszystkim nie kryje się jakiś przekaz. Żeby się czymś zająć w oczekiwaniu na szefa, liczy krokodyle na obrazie, Kobamo poukrywał je wszędzie po trochu pod nenufarami. Oczy, nozdrza, ogony.

Drzwi galerii sztuki otwierają się za nim, aby wpuścić Laurença Sérénaca. Inspektor Bénavides odwraca się do Amadou Kandy'ego z uśmiechem ulgi.

– Mówiłem panu, że niedługo przyjdzie.

Amadou Kandy podnosi powoli ręce. Senegalczyk z galerii jest wzrostu mniej więcej dwóch Japończyków. Ma na sobie szeroką tunikę, na której motywy afrykańskie pomieszane są z pastelowymi barwami, tworząc nieprawdopodobny patchwork.

– Byłem spokojny, inspektorze, mam przecież świadomość, że mój czas jest dużo mniej cenny niż wasz.

Galeria Kandy przypomina ogromną graciarnię. Wszędzie piętrzą się stosy obrazów wszelkiego formatu, nadając sklepowi szykowny wygląd muzeum w trakcie przeprowadzki i budząc u turysty znającego się na rzeczy złudzenie, że będzie mógł zrobić świetny interes z takim właścicielem bałaganiarzem.

Amadou Kandy to spryciarz.

Inspektorzy usadowili się, gdzie się dało. Sylvio Bénavides siedzi na schodku między dwoma pudłami, a Laurenç Sérénac przysiadł jednym pośladkiem na brzegu wielkiej drewnianej skrzyni, w której toną litografie wykonane węglem.

– Panie Kandy, znał pan dobrze Jérôme'a Morvala? – zaczyna Sérénac.

Amadou Kandy nadal stoi.

– Tak, Jérôme był świetnym miłośnikiem sztuki. Rozmawialiśmy o sztuce, doradzałem mu. Ten człowiek miał gust... Straciłem przyjaciela.

– Również dobrego klienta.

To Sérénac zaatakował pierwszy. Można by pomyśleć, że ta niewygodna pozycja wyzwala w nim agresję. Kandy nie pozbywa się swojego uśmiechu pastora.

– Może i tak... to pana zawód, żeby tak myśleć, inspektorze.

– Dobrze, więc wybaczy mi pan, że przejdę od razu do sedna sprawy. Jérôme Morval powierzył panu misję znalezienia *Nenufarów*?

– I dobrze pan wykonuje swój zawód – rzuca Kandy, śmiejąc się półgębkiem. – Tak, między innymi poszukiwaniami Jérôme poprosił mnie, żebym się rozejrzał w rynku dzieł Claude'a Moneta.

– Zwłaszcza *Nenufarów*?

– Tak... Między nami mówiąc, to było beznadziejne, Jérôme to wiedział, ale on lubił takie trochę szalone wyzwania...

– Dlaczego pan? – wtrąca się Bénavides.

Amadou Kandy odwraca głowę. Dopiero teraz orientuje się, że ciągle stoi dokładnie pośrodku między dwoma inspektorami.

– Jak to, dlaczego ja?

– Tak, dlaczego Morval zwrócił się do pana, a nie do jakiegoś innego właściciela galerii?

– Dlaczego nie ja, inspektorze? Myśli pan, że nie byłem odpowiednim ekspertem?

Kandy ukazuje te swoje białe zęby w wymuszonym uśmiechu i wytrzeszcza ze zdziwienia oczy.

– Gdyby chodziło o pracę nad sztuką prymitywną, to tak, w porządku, ale powierzać Senegalczykowi badania nad impresjonistami... Wie pan, inspektorze, Jérôme powierzył mi również misję znalezienia rogu magicznej gazeli...

Sérénac śmieje się głośno, prostując plecy.

– Spryciarz z pana, panie Kandy, koledzy nas uprzedzili. Ale teraz się spieszymy... Więc...

– Przed chwilą nie wyglądało na to, żeby pan się bardzo spieszył...

– Przed chwilą?

– Przed chwilą. Godzinę czy dwie temu. Przechodził pan koło galerii, ale pilnowałem się, żeby panu nie przeszkadzać, bo był pan bardzo skupiony na opowieściach swojego przewodnika.

Bénavides się zmieszał. Sérénac podejmuje:

– Naprawdę spryciarz z pana, Kandy.

– Giverny to małe miasteczko – mówi właściciel galerii, odwracając się w stronę drzwi – tylko dwie ulice.

– Już to słyszałem...

– Otóż, inspektorze, jeśli mam być całkiem szczery, to wcale nie pana zauważyłem, tylko pańską przewodniczkę, naszą śliczną nauczycielkę z Giverny. Ledwo pana dostrzegłem, od razu pomyślałem coś w rodzaju: ten facet to cholerny szczęściarz. Wie pan, mało brakowało, a zdecydowałbym się na dzieci tylko po to, żeby mieć przyjemność odprowadzania ich codziennie do szkoły i spotkania tam Stéphanie Dupain...

– Tak jak pana przyjaciel Morval.

Kandy cofa się trochę, żeby móc objąć tym samym spojrzeniem obu siedzących policjantów.

– Tylko że Morval nie miał dzieci – odpowiada właściciel galerii. – Pan też jest

spryciarzem, inspektorze.

Odwraca się do Sylvia.

– A pan natomiast jest z rodzaju wścibskich. Chyba stanowicie bardzo skuteczny duet. Jakby można określić waszą pracę... Małpa i mrówkojad? Pasuje?

Sérénac obraca się i zmienia pośladek.

– Często pan wymyśla afrykańskie przysłowia?

– Cały czas, to daje taki lokalny koloryt, klienci go uwielbiają. Wymyślam przysłowia dla par, wynajduję przezwiska zwierzęce dla pana i pani. To mój osobisty drobny wybieg handlowy. Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo to skutkuje.

– A z parami gliniarzy to też działa?

– Wprawiam się.

Sérénaca bardzo to bawi. Natomiast Bénavidés wydaje się rozdrażniony. Jego stopy uderzają o pierwszy stopień schodów.

– Zna pan Alysson Murer? – rzuca gwałtownie.

– Nie...

– A pana przyjaciel Morval ją znał.

– Ach tak?

– Lubi pan opowieści, panie Kandy?

– Uwielbiam, mój dziadek opowiadał je wieczorami całej mojej rodzinie. To zastępowało telewizję, a przedtem piekliśmy szarańczę...

– Niech pan nie przeciąga struny, Kandy.

Bénavidés chwyta się poręczy na schodach, wstaje, prostuje trochę swoje zeszytniałe kończyny i podaje Senegalczykowi fotografię Alysson Murer, leżącą obok Jérôme'a Morvala na plaży w Sark.

– Jak może pan stwierdzić – komentuje Sylvio – to jedna z bliskich przyjaciółek pana przyjaciela Jérôme'a Morvala.

Amadou Kandy ocenia zdjęcie okiem znawcy. Sérénac wyręcza swojego zastępcę.

– Na podstawie fotografii można sądzić, że miss Murer jest dość ładną dziewczyną, ale naprawdę nasza Alysson ma twarz, powiedzmy, niewdzięczną. Nie żeby brzydka, tylko po prostu nie ma żadnego wdzięku. Ponieważ jesteśmy sprytnymi gliniarzami – mówi Laurenç, puszczając oko do Sylvia – sprytnymi i wścibskimi, zauważyliśmy, że coś tu nie pasuje, jak porównać tę Alysson z innymi kobiecymi konkietami Jérôme'a Morvala. Czy to nie dziwne, panie Kandy, dlaczego Jérôme Morval miałby flirtować z tą banalną dziewczyną, która pracuje w księgowości jakiegoś zakładu ubezpieczeń w Newcastle?

Amadou Kandy oddaje fotografię policjantom.

– Może trzeba po prostu zrelatywizować wasze sądy estetyczne. Ta panna jest

Angielką...

Kolejny raz Sérénac nie może się powstrzymać, żeby się nie zaśmiać, ryzykując, że wpadnie do skrzynki z litografiami. Bénavidés zastępuje szefa.

– Opowiem dalszy ciąg historii, panie Kandy, jeśli mi pan pozwoli. Alyssoń ma żadnej rodziny poza babką, Kate Murer, która od zawsze mieszka w domu rybaka na wyspie Sark, w ubogim domu, niszczącym w miarę upływu czasu. Kate Murer posiada w tym domu tylko stare bezwartościowe przedmioty, bibeloty, tandetną biżuterię, całą serię starych obrazów, których nikt nie chciał, wyszczerbione, poobijane naczynia, a nawet reprodukcję *Nenufarów* Moneta, mały obrazek sześćdziesiąt na sześćdziesiąt. Kate jest przywiązana do tego wszystkiego, nie z uwagi na wartość, jak się pan domyśla, ale dlatego, że tylko to jej zostało po rodzinie. Mówię panu o Kate, ponieważ Jérôme Morval wiele razy jeździł na wyspę Sark z młodą Alyssoń Murer. I wtedy zaprzyjaźnił się również z jej babką. Jak się jest wścibskim gliniarzem, w rodzaju mrówkojada, to widzi pan, Kandy, człowiek nieuchronnie zadaje sobie pytanie: po kiego diabła Jérôme Morval jeździł na tę przeklętą wyspę Sark do tej starej Angielki, co niby tam robił?

– 25 –

Patricia Morval obserwuje czarną przygarbioną sylwetkę, która się oddala. Laska postukuje o asfalt ulicy Claude-Monet przy każdym kroku starej kobiety, która schodzi w kierunku młyna des Chennevières. Mniej więcej na wysokości agencji nieruchomości Immo-Prestige dołącza do niej Neptun. Patricia Morval zastanawia się, ile czasu trwała ta surrealistyczna rozmowa.

Może pół godziny?

Ciut więcej.

Mój Boże!

Wystarczyło tylko pół godziny, żeby zachwiać wszystkimi jej pewnikami. Patricia Morval nie potrafi sobie wyobrazić skutków tego wszystkiego, co właśnie usłyszała. Czy powinna wierzyć tej starej wariatce? A przede wszystkim co ma teraz zrobić?

Przemierza korytarz, uważając, by nie zatopić spojrzenia w długich *panneaux* z *Nenufarmami*. Trzeba by powiedzieć o tym policji. Tak, to trzeba zrobić...

Waha się, namyśla.

Po co? Komu wierzyć?

Poprawia zwiędłe kwiaty, które wystają z japońskiego wazonu; pamięta każdy szczegół wizyty inspektora Sérénaca, jego inkwizytorskie spojrzenie, jego sposób oglądania każdego obrazu wiszącego na ścianie, jego zmieszanie w korytarzu przed *Nenufarami*. Mój Boże... powtarza w myśli pytanie. Komu można wierzyć?

Patricia siada w salonie, długo myśli jeszcze o rozmowie, którą odbyła. W gruncie rzeczy jest tylko jedno pytanie, które należy sobie zadać: czy możliwe jest jeszcze naprawienie tego, co może być naprawione? Czy ona może odwrócić bieg rzeczy?

Patricia idzie do małego pokoju prawie w całości zastawionego biurkiem i komputerem. Jest włączony. Na ekranie defiluje panorama fotografii przedstawiających pełne słońca widoki Giverny. Patricia zainteresowała się internetem dopiero kilka miesięcy temu. Nigdy nie przypuszczała, że może do tego stopnia pasjonować się klawiaturą i ekranem. A jednak... wpadła od pierwszego wejrzenia. Od tej pory spędza przy komputerze długie godziny. Dzięki internetowi Patricia odkryła nawet Giverny, swoje własne miasteczko. Gdyby nie internet, chybaby się nie domyśliła, że istnieją tysiące fotografii jej miasteczka, wszystkie urokliwe, jedne bardziej od drugich. Gdyby nie internet, czy mogłaby sobie wyobrazić tysiące komentarzy turystów z całego świata, jednych bardziej entuzjastycznych od drugich? Kilka miesięcy temu Patricię zdumiała uroda strony Givernews. Od tamtej pory nie ma tygodnia, żeby nie surfowała po tej stronie i jej niezwyklej codziennej poezji.

Ale nie dzisiaj!

W tej chwili Patricia szuka czego innego na blogu „Sur la toile”. Cursor zatrzymuje się na żółtej gwiazdce, która pokazuje jej ulubione adresy. Przegląda menu i otwiera portal Copainsdavant.linternaute.com.

Po kilku sekundach Patricia klika na „Giverny” w wyszukiwarce. Czeka tam na nią fotografia, której poszukuje. Nie sposób jej przeoczyć, to jedyne na całym portalu zdjęcie klasy sprzed wojny.

Dokładnie rocznik 1936–1937.

Przez chwilę Patricia zastanawia się, co myślą internauci, którzy trafiają na tę stronę przypadkiem.

Co robi tutaj to prehistoryczne zdjęcie klasy?

Któż może poszukiwać kolegów z ławy szkolnej sprzed siedemdziesięciu pięciu lat?

Patricia długo się wpatruje w mądre twarze uczniów na starym zdjęciu. Mój Boże, wciąż trudno uwierzyć w rewelacje, które powierzyła jej ta stara wariatka. Czy to możliwe? Czy ona tego wszystkiego nie wymyśliła? Czy zabójcą Jérôme’a

naprawdę może być ten, którego oskarżyła, ostatnia osoba, którą Patricia by podejrzewała?

Całe jej ciało aż się trzęsie, gdy się tak przygląda tym szarym twarzom. Z oczu spływają jej zimne łzy. Po długim namyśle wstaje.

Wie, co robi, zdecydowała. Znowu przemierza salon i na kredensie z wiśniowego drewna machinalnie przestawia o kilka centymetrów małą figurkę z brązu Diany łowczyni.

W końcu, co teraz ryzykuje?

Otwiera szufladę kredensu i wyjmuje z niej stary czarny kalendarzyk. Znowu siada w skórzanym fotelu, wybiera numer na telefonie bezprzewodowym.

– Halo. Komisarz Laurentin, tu Patricia Morval.

Po drugiej stronie odpowiada jej długie milczenie.

– Żona Jérôme’a Morvala. Sprawa Morvala, chirurga okulisty, który został zabity w Giverny, wie pan, o czym mówię...

Tym razem odzywa się rozdrażniony głos:

– Tak... Wiem, oczywiście. Jestem na emeryturze, ale nie cierpię jeszcze na alzheimera...

– Wiem, wiem, dlatego do pana dzwonię, często spotykałam pana nazwisko w lokalnych gazetach. Pochwały... Potrzebuję pana, komisarzy... żeby... jak to nazwać... powiedzmy, poprowadzić kontrśledztwo. Dochodzenie równoległe do oficjalnego śledztwa...

Między rozmówcami zapada długie milczenie.

Pochwały...

Po drugiej stronie komisarz Laurentin nie może się powstrzymać, by nie pomyśleć o najważniejszych śledztwach w swojej karierze. O latach spędzonych w Kanadzie i swojej interwencji w sprawie Muzeum Sztuk Pięknych w Montrealu we wrześniu 1972 roku, kiedy to dokonano jednej z największych w historii kradzieży dzieł sztuki, ulotniło się wtedy osiemnaście płócien takich mistrzów, jak Delacroix, Rubens, Rembrandt, Corot... O powrocie na komisariat w Vernon w 1974 roku i o swoim najważniejszym dochodzeniu jedenaście lat później, trzy lata przed emeryturą, w listopadzie 1985 roku: kradzież dziewięciu obrazów Moneta z muzeum Marmottan, między innymi słynnego dzieła *Impresja, wschód słońca*. To on, Laurentin, wspólnie z wydziałem do spraw dzieł sztuki, czyli OCBC, centralnym biurem do walki z nielegalnym handlem dobrami kultury, odnalazł w końcu obrazy w roku 1991 w Porto Vecchio u korsykańskiego bandyty, po tym jak zostały przewiezione od pewnego japońskiego jakuzi Shuiniszi Fudzikummy... Sprawa wagi państwowej, wielkie tytuły w ówczesnej prasie... To było wieki temu...

Laurentin przerywa wreszcie milczenie.

– Pani Morval, ja jestem na emeryturze. Emerytura komisarza policji to nic specjalnego z finansowego punktu widzenia, ale się nią zadowolam. Dlaczego nie zwróci się pani do jakiegoś prywatnego detektywa?

– Myślałam o tym, panie komisarzu. Oczywiście. Ale żaden detektyw nie ma takiego doświadczenia jak pan w dziedzinie handlu dziełami sztuki. W tej sprawie chodzi o wysokie kompetencje...

Głos komisarza Laurentina staje się bardziej zdziwiony:

– Czego pani ode mnie oczekuje?

– Pana ciekawość zaczyna brać górę, komisarzu? Muszę przyznać, że się tego spodziewałam. Przedstawię panu problem. Sam pan oceni. Czy nie sądzi pan, że opinia prowadzącego śledztwo, który jest młody, niedoświadczony i mógł się głupio zakochać w głównej podejrzanej albo w żonie głównego podejrzanego, może być poważnie zakłócona? Myśli pan, że on zdoła doprowadzić dochodzenie do końca? Będzie działał obiektywnie? Zachowa jasność umysłu? Myśli pan, że można mu zaufać w dociekaniu prawdy?

– On nie jest sam. Ma zastępcę... całą ekipę...

– Są pod jego wpływem, bez inicjatywy...

Komisarz Laurentin pokasłuje w telefon.

– Przepraszam. Jestem byłym gliną, mam prawie osiemdziesiąt lat. Od dziesięciu lat nie przestąpiłem progu komisariatu. Ciągle nie rozumiem, czego pani ode mnie oczekuje...

– No więc podsyć jeszcze pana ciekawość, komisarzu. Ponieważ czyta pan nadal gazety, radzę panu zajrzeć do nekrologów. Na stronach lokalnych. Jestem pewna, że to pana zainteresuje.

Głos komisarza Laurentina staje się prawie ironiczny:

– Zrobię to, pani Morval. Domyśla się pani, trudno się przestawić, zmienić przyzwyczajenia. Pani dziwne zagadki odrywają mnie od moich sudoku, niecodziennie się zdarza taka prośba, która wywraca rutynę starego samotnego gliniarza. Ale wciąż nie wiem, do czego pani zmierza.

– Życzy pan sobie, żebym opowiedziała jeszcze dokładniej? O to chodzi, tak? Powiedzmy więc, że pewien zbyt młody inspektor interesuje się może trochę za bardzo malarstwem, sztuką w ogóle, *Nenufarami*... a nie dość starszymi osobami.

Znowu trwające całą wieczność milczenie, zanim komisarz odpowie.

– Chyba powinienem być zadowolony z pani aluzji, to mi pochlebia, ale cała moja policyjna przeszłość pozostała daleko za mną. Nie jestem już na fali, naprawdę. Jeżeli oczekuje pani ode mnie prowadzenia konkurencyjnego śledztwa, nie sądzę, żebym był tu właściwą osobą. Niech się pani skontaktuje z policją od

dzieł sztuki. Mam młodszych kolegów, którzy...

– Komisarzu – przerywa mu Patricia – niech pan przeprowadzi własne dochodzenie. Jako amator. Bez orzekania z góry. To takie proste. Nie proszę o więcej. Zobacz pan... Proszę, dam panu pewną wskazówkę, która, mam nadzieję, zaostriży pana ciekawość. Niech pan włączy internet, ściślej mówiąc, niech pan wejdzie na stronę Copains d'avant. Jeśli ma pan dzieci albo wnuki, one na pewno to znają. Niech pan wpisze „Giverny. 1936–1937”. Myślę, że to interesujący punkt wyjścia tego śledztwa... Żeby spojrzeć na nie pod innym kątem. Sam pan zobaczy.

– A jaki jest pani cel, pani Morval? To ma być zemsta, o to chodzi?

– Nie, komisarzu. Och, nie. Pierwszy raz w życiu miałabym nawet zrobić coś wręcz przeciwnego...

*

Patricia Morval odkłada słuchawkę prawie z ulgą.

Widzi przez okno, jak słońce w oddali schodzi powoli za wzgórze nad Sekwaną, zatrzymując zakole rzeki w ulotnej, ale codziennej impresjonistycznej iluzji.

– 26 –

W galerii Amadou Kandy'ego inspektor Bénavides dziwi się trochę brakowi wyraźnej reakcji senegalskiego olbrzyma. Im bardziej przygląda się tej galerii, tym mniej wydaje mu się ona podobna do innych. Na ogół ściany w sklepach z dziełami sztuki są nieskazitelne, białe, kultywują czyste i dyskretne piękno. W galerii Kandy odwrotnie, purchle i łuszcząca się farba na ścianach, żarówki zwisające z sufitu, cegły zdają się łączone bardziej kurzem niż zaprawą murarską. Amadou Kandy na pewno wkłada dużo wysiłku w to, żeby przeobrazić swój sklep w jaskinię. Sylvio nie ustępuje:

– Podsumowując, panie Kandy... Mamy więc kochankę bez wdzięku, babkę bez pieniędzy, deszczową anglo-normandzką wyspę. Nie zadziwia pana pański przyjaciel Morval?

– Bardzo lubiłem tę jego stronę oryginała...

– A Sark?

– Co Sark?

– Pan też bardzo lubił Sark, Kandy.

Bénavides rozmyślnie milczy przez chwilę, po czym dodaje:

– W ciągu ostatnich lat jeździł pan na wyspę Sark co najmniej sześć razy i jakby przypadkiem był pan też kilka miesięcy przed tym, zanim Jérôme Morval poznał Alysson Murer.

Sérénac obserwuje swojego zastępcę i myśli, że gdyby Sylvio umiał naśladować mrówkojada albo imitować jego krzyk, na pewno by to zrobił. Po raz pierwszy widać, przez kilka sekund, że Amadou Kandy jest poruszony, zmarszczki przy skroniach nagle go postarzają. Bénavides drąży coraz śmieiej:

– Panie Kandy, zadam niedyskretne pytanie, po co pan jeździł na Sark?

Amadou Kandy patrzy, jak przechodnie maszerują ulicą Claude-Monet, jakby nie chciał odpowiadać, potem się odwraca. Odzyskał swój uśmiech zachwalającego towar sprzedawcy.

– Inspektorze, wie pan równie dobrze jak ja, że Sark jest ostatnim europejskim rajem fiskalnym. Niech pan nikomu nie mówi, ale jeżdżę tam prac swoje pieniądze. Diament, kość słoniowa, przyprawy, nie ma pan pojęcia, jakie przynoszą zyski. Nie mówiąc już o handlu rogami magicznej gazeli... Sark to terytorium zamorskie Anglii... Wie pan, to wyspa tubylców.

Sylvio wzrusza ramionami i podejmuje:

– Tak naprawdę, Kandy, Alysson i jej babka Kate mają dalekie korzenie francuskie. Mamy nawet wszelkie powody, by sądzić, że jednym z ich przodków był Eugène Murer. Przypuszczam, że zna pan przynajmniej Eugène'a Murera?

– Jeśli mnie pan o to pyta, to przypuszczam, że przynajmniej wie pan już, że jestem ekspertem powołanym przez Regionalny Zarząd Spraw Kulturalnych do zinventaryzowania kolekcji Murera.

Senegalczyk nachyla się nad obrazami stojącymi pod ścianą, wyciąga ostrożnie krajobraz afrykańskiego miasteczka, naiwny i kolorowy. Prostuje się z uśmiechem, zachwycony, i ciągnie swój monolog:

– W porównaniu ze wszystkimi malarzami impresjonistycznymi Eugène Murer przebył ciekawą drogę, prawda? To był młody człowiek, który pasjonował się literaturą i malarstwem, ale niestety, biedak... Malarzem i kolekcjonerem został z zamiłowania, a ponieważ trzeba mieć za co żyć, był cukiernikiem w Paryżu i w Rouen... Za życia Eugène Murer był bogatszy niż większość jego przyjaciół malarzy, jak Van Gogh, Renoir, Monet, pomagał im, wspierał ich, nawet żywił, dobry człowiek... Również malował, ale kto dziś pamięta Eugène'a Murera?

Amadou Kandy stawia przed policjantami afrykański obraz.

– Inny szczegół, Eugène Murer wyjechał na dwa lata do Afryki, by tam malować, od tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego do tysiąc osiemset

dziewięćdziesiątego piątego, z dala od wszelkich wpływów, i wrócił z walizami pełnymi obrazów. Jeśli macie trochę gustu, zobaczycie, że Murer był wspaniałym kolorystą i że połączenie impresjonizmu i sztuki naiwnej bliskiej prymitywistom zawsze jest zaskakujące...

Laurenç Sérénac podniósł siedzenie ze skrzyni i z zadziwiającą uwagą studiuje obraz. Sylvio Bénavides nie daje się zagadać.

– Dobrze, dziękuję panu, panie Kandy. No to wiemy już wszystko o przodku pań Murer, Eugène, malarzu, cukierniku i kolekcjonerze. Jeśli pan pozwoli, wrócmy do jego potomkiń, Alysson i Kate. Dwa lata temu senior wyspy zagroził Kate Murer wydaleniem. Tak, tak, ja też się zdziwiłem, ale na wyspie Sark prawo ciągle jeszcze stanowi senior. No, co pan chce, ciężkie jest życie w rajach podatkowych, Kate musi odnowić swój zapuszczony dom, bo to wstyd przed sąsiadami i turystami, albo się wynieść. I wtedy włącza się Jérôme Morval. Spotykał się wtedy regularnie z jej wnuczką i spędził z nią na Sark u babki kilka weekendów, jak można przypuszczać, romantycznych. Nasz miły Morval zaproponował, że pomoże Kate Murer. Pięćdziesiąt tysięcy funtów. Pożyczka bez procentów, po prostu, tak po przyjacielsku. Zadziwiające, no nie?

– Jérôme był fajnym facetem – komentuje Amadou Kandy.

– Prawda? Kate Murer telefonuje więc do Alysson, swojej wnuczki, i potwierdza, że jej dobry przyjaciel, Jérôme Morval, jest rzeczywiście czarującym człowiekiem. Nie tylko pożyczka jej pięćdziesiąt tysięcy funtów, ale jest tak delikatny, że nie chcąc jej uchybić, zaproponował w zamian za pożyczkę, iż uwolni ją od tej masy starych obrazów, wśród których znajdowała się ta zawalidroga, reprodukcja *Nenufarów* Moneta.

– A co, nie mówiłem – komentuje złośliwie Amadou Kandy. – Takt i szczodrość, to był właśnie cały Jérôme.

Sérénac odrywa wreszcie wzrok od ciepłych kolorów afrykańskiego miasteczka Murera i zastępuje swojego podwładnego:

– Święty człowiek, co do tego zgoda. Tylko że nasza Alysson ma może niemiłą twarz, ale głupia nie jest. Ta propozycja budzi jej podejrzenia, tak właśnie, sprowadza eksperta, to znaczy innego eksperta, nie pana, Kandy.

Właściciel galerii przełyka to z uśmiechem.

– Nie domyśla się pan dalszego ciągu? – pyta Sérénac.

– Umieram z niecierpliwości, żeby go usłyszeć, panowie, obaj macie wprawę, opowiadacie teraz prawie tak dobrze jak mój dziadek marabut.

Sérénac odpowiada brutalnie:

– *Nenufary* Kate Murer to był prawdziwy Monet, a nie reprodukcja! Były warte sto razy, tysiąc razy więcej, niż proponował Morval...

Ściany galerii trzęsą się od gromkiego śmiechu Kandy'ego.

– Cholerny Jérôme!

– Zna pan zakończenie tej historii? – włącza się Bénavides, bliski wybuchu. – Alysso Murer zrywa oczywiście z tym tak miłym francuskim dżentelmenem... Kate, babka, traci jednocześnie zięcia i przyjaciela, nie zgadza się na sprzedaż obrazu, ale zostanie jednak wyeksmitowana z domu rybaka... Dwa dni później znajdują ją... rzuciła się ze szczytu klifu koło La Coupée, przesmyku, który łączy dwie części wyspy. Wie pan, co po niej zostało?

Kandy, pochylony nad płótnem Murera, które stara się odstawić na miejsce, nie odpowiada.

– Ławka! – krzyczy Sylvio. – Ławka z jej nazwiskiem, data urodzenia i data śmierci, przymocowana naprzeciwko klifu, z którego się rzuciła. Taka jest tradycja na Sarku, nie ma cmentarza, nie ma grobów, tylko drewniana ławka, na której wyryte jest nazwisko zmarłego mieszkańca wyspy, ławka dla wszystkich, stojąca na łonie natury, przodem do morza... Przed śmiercią Kate zrobiła zapis testamentowy, że obraz ofiaruje w darze National Gallery w Cardiff...

Kandy prostuje plecy, nie pozbywając się uśmiechu.

– Z tego więc morał, inspektorze. Sark zyskuje ławkę, muzeum w Cardiff *Nenufary*, Jérôme Morval pretekst do zerwania z najbrzydszą ze swoich kochanek...

Zmniejsza teraz o kilka decybeli natężenie śmiechu.

– Panie Kandy – nie ustępuje Bénavides z kamienną twarzą. – Pan jest ekspertem, który został oficjalnie powołany przez Direction Régionale de l'Action Culturelle Normandii do zajęcia się kolekcją Murera.

– No i co?

– Skoro wiadomo, że Morval powierzył panu misję znalezienia *Nenufarów*, że znał pan kolekcję Murera, że wielokrotnie jeździł pan na Sark...

– To mogłem podszeptać mojemu bliskiemu przyjacielowi, że może *Nenufary* Kate Murer nie są reprodukcją... To właśnie ma pan na myśli?

– Na przykład.

– Nawet jeśli sobie wyobrazimy, że tak było, to czy jest w tym coś nielegalnego?

– Prawdę mówiąc, nie.

– Więc czego pan szuka?

Sylvio Bénavides wspiął się na trzeci stopień schodów, co pozwala mu znaleźć się na tej samej wysokości co Amadou Kandy.

– Mordercy Morwała. Czegoś takiego jak motyw zemsty.

– Alysso Murer?

– Nie, ona ma murowane alibi, tego ranka, gdy popełniono zbrodnię, była

w swoim okienku w Newcastle...

– No więc?

– No więc – ciągnie Bénavides – nic nie wskazuje, że Morval zrezygnował z szukania innych *Nenufarów*, ze znalezienia innego frajera z pana pomocą, Kandy.

Amadou Kandy nie spuszcza oczu z Sylvia. Pojedynek na źrenice, kto pierwszy mrugnie...

– Inspektorze, gdybym znalazł ten obraz, te *Nenufary*, nie byłbym tutaj, w tej nędznej galerii, ale kupiłbym już dawno jedną z wysp Zielonego Przylądka, ogłosił niepodległość i zbudował swój mały osobisty raj podatkowy...

Amadou Kandy uśmiecha się wszystkimi swoimi białymi zębami i mówi dalej:

– I żądalibyście ode mnie, żebym zdradził tajemnicę zawodową?

– W celu konfrontacji zabójcy pańskiego przyjaciela.

– Bądźmy poważni, panowie, skąd niby miałbym wytrzasnąć inne *Nenufary* Moneta?

Żaden z dwóch policjantów nie odpowiada. Bénavides i Sérénac wstają prawie równocześnie. Robią trzy kroki w stronę drzwi.

– Jeszcze jedno sprostowanie – odzywa się nagle Sérénac. – Gwoli ścisłości Kate Murer tak naprawdę nie zapisała obrazu muzeum w Cardiff. Prawo własności otrzymała faktycznie fundacja Theodore’a Robinsona, która z kolei przekazała obraz walijskiej National Gallery.

– No i co?

Pośród wielu plakatów wiszących na szybach galerii sztuki Laurenç Sérénac wypatrzył afisz „Konkurs «*Malarze na trawie*». International Young Painters Challenge”, ten sam, który przypięty był pinezkami w klasie Stéphanie Dupain.

– No i co? – odpowiada Sérénac. – No i to, uważam, że fundacja Theodore’a Robinsona trochę za często powraca w tej sprawie...

– To chyba normalne, nie? – odpowiada właściciel galerii. – Ta fundacja to instytucja! Zwłaszcza tu, w Giverny...

Kandy przez dłuższą chwilę stoi zamyślony przed plakatem.

– Theodore Robinson, Amerykanie, ich zamiłowanie do impresjonizmu, ich dolary... Czy można sobie wyobrazić, czym by było Giverny bez tego wszystkiego?

– mówi Senegalczyk, wymachując rękami. – Wie pan co, inspektorze?

– Nie.

– W gruncie rzeczy ja jestem jak Eugène Murer, tu, w moim butik, jestem tylko sklepikarzem. Ale gdybym mógł cofnąć czas, wie pan, co bym chciał zrobić?

– Prowadzić cukiernię? – wtrąca Laurenç.

Amadou Kandy wybuchą gromkim śmiechem, tym razem w ogóle się nie powstrzymując.

– Bardzo pana lubię, pana, spryciarza – udaje mu się wyartykułować między jednym spazmem a drugim. – Pana też, wścibskiego mrówkojada. Nie, panowie inspektorzy, nie cukiernię. Przyznam się wam, tak naprawdę marzyłbym, żeby mieć dziesięć lat. Chodzić do szkoły, mieć ładną nauczycielkę, która by mnie przekonywała, że jestem geniuszem, i móc wziąć udział, tak jak setki innych dzieci na świecie, w tym konkursie fundacji Robinsona wyławiającej młodych malarzy.

– 27 –

Słońce wkrótce zajdzie za wzgórze. Fanette się spieszy, musi skończyć obraz. Jej pędzel nigdy tak szybko nie jeździł po płótnie, zostawiając białe i brunatnożółte plamy, odtwarzając młyn i jego dziwną wieżę, wielkie czerwono-czeresniowe i srebrne drzewo na środku podwórza, koło łopatkowe zanurzone w żywej wodzie. Jest skupiona na pracy, ale dzisiaj, inaczej niż zwykle, to James bez przerwy coś do niej mówi.

– Masz przyjaciół, Fanette?

A ty, James, czy ja cię o to pytam?

– Oczywiście. A jak myślisz?

– Często jesteś sama...

– To ty mi powiedziałaś, że mam być egoistką. Kiedy nie maluję, jestem z nimi!

James idzie powoli w pole i składa swoje sztalugi jedne po drugich. Kiedy słońce zaczyna zachodzić, zawsze odprawia ten sam rytuał.

– Ale skoro mnie pytasz, to ci powiem. Oni mnie wkurzają. Zwłaszcza Vincent, ten, którego widziałeś tamtego dnia, jak nas szpiegował. Przykleja się jak scotch...

– Werniks!

– Co?

– Werniks. To bardziej przydatne dziewczynce, która maluje, niż scotch.

Czasem James uważa, że jest dowcipny.

– Jest też Camille, ale on ma przewrócone w głowie. Myśli, że od urodzenia jest niezwykle utalentowany, rozumiesz. Ostatnia moja rówieśnica, to Mary, ta, co cały czas płacze. Nie lubię jej. I już.

– Nigdy nie trzeba tak mówić, Fanette.

A co ja powiedziałam? Nic nie powiedziałam...

– Jak nie trzeba mówić?

– Już ci tłumaczyłem, Fanette. Jesteś bardzo rozpieszczoną przez naturę dziewczynką. Tak, tak, nie udawaj, że nie rozumiesz. Jesteś milutka, do rany

przyłóż, inteligentna, pełna złośliwości. Spadł ci na kark niezwykle dar, talent do malarstwa, jakby dobra wróżka posypała cię szczerozłotym proszkiem. Więc musisz uważać, Fanette, inni będą ci zazdrościć przez całe życie. Będą zazdrośni, bo ich życie będzie dużo mniej szczęśliwe niż twoje.

– Bzdury. Mówisz bzdury. W każdym razie mój jedyny kumpel, z którym warto się przyjaźnić, to Paul. Nie znasz go jeszcze. Któregoś wieczoru przyjdę z nim. On się zgadza. Objedziemy razem cały świat. Zabierze mnie, żebym mogła malować, do Japonii, Australii, Afryki...

– Nie jestem pewny, czy istnieje mężczyzna, który to zaakceptuje...

Czasem też James mnie irytuje.

– Tak, Paul!

Fanette wykrzywia się do niego, kiedy on się odwraca, żeby sprzątnąć kasetę malarską.

Są chwile, kiedy James nic nie rozumie. Zresztą ja nie rozumiem, co on właściwie robi, wygląda, jakby zastygł nad swoimi farbami.

– Zablokowałeś się?

– Nie, nie. W porządku.

Robi śmieszny minę. Czasami James jest dziwny.

– Wiesz, James, dla fundacji Robinsona mam ochotę namalować coś innego niż młyn czarownicy. Ta historia z obrazem ojca Trognona nie bardzo mi leży...

– Tak myślisz? Theodore Robinson...

– Mam pomysł – przerywa mu Fanette. – Namaluję *Nenufary*! Ale nie tak staromodnie à la Monet. Namaluję *Nenufary* po nowemu!

James patrzy na nią tak, jakby właśnie wypowiedziała najgorsze bluźnierstwo.

Cały jest czerwony, mam wrażenie, że zaraz wybuchnie.

No dobrze, nie rób takiej miny jak ojciec Trognon!

Fanette wybucha śmiechem.

– Monet... „Nenufary starca”! – dusi się James.

Kaszele w brodę, potem zaczyna mówić powoli, profesorskim tonem:

– Spróbuję ci wytłumaczyć, Fanette. Wiesz, Monet dużo podróżował. Po całej Europie. Czerpał inspirację z malarstwa całego świata, musisz zrozumieć, są bardzo różne sposoby malowania, gdzie indziej nie patrzy się tak samo na rzeczy. Monet to rozumiał, studiował zwłaszcza malarstwo japońskie. I dzięki temu potem już nie musiał podróżować ani przenosić się gdzie indziej. Wystarczało mu staw z nenufarami, przez trzydzieści lat życia, ten niepozorny staw, a jednak wystarczająco duży, by zrewolucjonizować światowe malarstwo... I zrewolucjonizować nawet więcej, nie tylko malarstwo, Fanette. Monet zrewolucjonizował cały sposób patrzenia człowieka na przyrodę. Uniwersalny

sposób widzenia. Rozumiesz? Tutaj w Giverny! Niecałe sto metrów od tego pola! Więc kiedy twierdzisz, że Monet miał sposób patrzenia starca...

Ple ple ple...

– No, a ja – wybucha czysty głos Fanette – ja zrobię odwrotnie. Urodziłam się tutaj, przecież to nie moja wina! Zaczynam od stawu *Nenufarów*, kończę w świecie! Zobaczysz, moje *Nenufary* będą jedyne w swoim rodzaju, takie, jakich sam Monet nie ośmielił się namalować. Tęczowe!

James nagle nachyla się nad Fanette i bierze ją w ramiona.

Znowu jest dziwny, ma jeszcze tę śmieszoną zaniepokojoną minę, która do niego niepodobna.

– To ty na pewno masz rację, Fanette. W końcu to ty jesteś artystką i ty wiesz.

Za mocno mnie ściska, boli mnie...

– Nie słuchaj nikogo, słuchaj tylko siebie – ciągnie James. – Nawet mnie. Wygrasz ten konkurs fundacji Robinsona, Fanette. Musisz go wygrać! Słyszysz mnie, co? No to chodź, zbieraj się już, jest późno, mama na ciebie czeka. Nie zapomnij obrazu!

Fanette oddała się przez zboże. James krzyczy do niej ostatnie polecenie:

– Zabić ten twój dar byłoby najgorszą zbrodnią!

James mówi czasem dziwne rzeczy.

James patrzy na biegnącą drobną sylwetkę, pochylając się znowu nad kasetą malarską. Czeką, aż Fanette zniknie za mostem, i z drżeniem otwiera kasetę. Nie chciał nic dać po sobie poznać Fanette, ale teraz pot spływa po nim wielkimi kroplami. Wpadł w jakąś panikę. Jego stare palce poruszają się mimo woli. Zardzewiałe zawiasy lekko zgrzytają.

James odczytuje litery wyryte w miękkim drewnie wewnątrz kasety.

JEST MOJA TUTAJ, TERAZ I NA ZAWSZE

Na końcu wyrytych słów widnieje krzyż, dwie proste kreski, które się krzyżują. James zrozumiał, że jest tu jakaś groźba. Groźba śmierci. Czuje, że jego stare, chude ciało przeszywają mimowolne dreszcze. Już i tak był niespokojny, bo ci policjanci, co szukają wszędzie w miasteczku z powodu tego trupa, którego zabójcy nie znaleziono... Cały ten nastrój go przytłacza.

Czyta jeszcze raz i jeszcze. Kto mógł to napisać?

Pismo wydaje mu się niezdarne, pospieszne. Wandal pewnie skorzystał z tego,

że on spał, żeby wyryć tę przewrotną groźbę w jego kasecie malarskiej. To nic trudnego. Często zasypia w polu u stóp swoich obrazów, kiedy Fanette go nie budzi. Co to może znaczyć? Kto mógł to napisać? Czy ma brać poważnie te groźby?

James obserwuje zasłonę z topoli, która zamyka horyzont równiny. Litery zdają się teraz wypisane w jego mózgu, jakby wyryte w miękkim ciele, na jego czole: „Jest moja, tutaj, teraz i na zawsze”. I jeszcze inne pytanie go dręczy, pytanie obsesyjne, które budzi w nim większy lęk niż pytanie o to, kto wyraził tę groźbę. Ręka mu się trzęsie. Nie mógłby utrzymać pędzla, noża, niczego.

„Jest moja, tutaj, teraz i na zawsze...”. Obraca tymi siedmioma słowami w myśli jak w diabelskim młynie.

Do kogo adresowana jest ta groźba?

Rozgląda się badawczo po okolicy, jak gdyby spośród kłosów miał zaraz wynurzyć się jakiś potwór.

Nad kim wisi niebezpieczeństwo?

Nad Fanette czy nad nim?

– 28 –

Przeszłam wreszcie przez furtkę młyna. Mam wrażenie, że kolana mi zaraz eksplodują. Również prawa ręka od podpierania się tą przeklętą laską. Neptun drepcze koło mnie.

Dobry pies.

Wyjmuję klucze.

Myślę przez chwilę o Patricii Morval. Zastanawiam się, jak przyjęła moje rewelacje o zabójcy swojego męża. Czy zdołała oprzeć się pokusie zawiadomienia policji? Chociaż już za późno, o wiele za późno, żeby uratować kogokolwiek... Pułapka już się zamknęła. Żaden gliniarz nic już teraz nie może działać.

Co ja bym zrobiła na jej miejscu?

Podnoszę oczy. W oddali dostrzegam małą Fanette, która biegnie przez pole i przechodzi przez żelazny most. Jej Amerykanin został w samym środku zbożowych kłosów. Pewnie znowu jej opowiadał, jak zawsze, historyjki o czarownicach w moim młynie, o parze potworów, podłych właścicielach, którzy nie lubili Moneta, którzy chcieli ściąć topole, ustawić stogi siana, wysuszyć staw z nenufarami, zbudować na łące fabrykę krochmalu... Te same głupoty co zawsze. Kretyn! Żeby w jego wieku straszyć dzieci tymi legendami...

Codziennie tu jest ten amerykański malarz, ten James, którego nazwiska nikt nie zna. Codziennie stoi w tym samym miejscu naprzeciwko młyna. Jakby od zawsze, można tak powiedzieć, on też był częścią tego krajobrazu. Jakby Bóg artysta, tam w górze, go namalował. I nas wszystkich. Aż kiedyś najdzie go chęć, by wszystko zamazać. Jedno pociągnięcie pędzla i bum, nikogo nie ma!

Ten James będzie patrzył tak codziennie, jak Fanette odchodzi, a potem położy się spać w polu i będzie spał do jutra.

Dobranoc, James.

– 29 –

Fanette wraca do domu. Biegnie. Uwielbia, kiedy latarnie uliczne w Giverny zapalają się na jej drodze.

To magiczne!

Ale tym razem jest jeszcze za wcześnie. Słońce dopiero zaczyna się chować. Fanette mieszka w małym domu, który trochę popada w ruinę, przy ulicy Château-d'Eau. Nie przejmuje się tym, nie narzeka, dobrze wie, że jej matka robi, co może. Od rana do wieczora sprząta u wszystkich mieszczuchów w miasteczku.

Jest ich mnóstwo!

Czegóż więcej mogła oczekiwać, mieszka tu, w samym środku miasta, sto metrów od ogrodu Moneta, co prawda w zniszczonym domu, ale...

Matka wita ją, stojąc przy blacie w kuchni, zwykłej drewnianej desce leżącej na kilku cegłach. Wita ją zmęczonym uśmiechem.

– Późno już, Fanette. Dobrze wiesz, że nie chcę, żebyś się włóczyła wieczorem. Zwłaszcza teraz, po tej zbrodni sprzed kilku dni, dopóki zabójca nie zostanie znaleziony...

Mama zawsze wygląda na smutną i zmęczoną. Cały czas w tym swoim niebieskim paskudnym fartuchu obiera jarzyny, gotuje zupy na cały tydzień, mówi, że jej nie pomagam, że w moim wieku powinnam... Jak jej pokażę mój obraz, to może...

– Skończyłam go, mamo.

Fanette podnosi na wysokość blatu swój obraz przedstawiający młyn des Chennevières.

– Później, zaczekaj. Mam brudne ręce. Postaw go tam.

Jak zwykle.

– Namaluję jeszcze jeden w każdym razie. *Nenufary!* James powiedział mi, że...

– Kto to jest ten James?

– Malarz amerykański, mamó, już ci mówiłam...

– Nie...

Obierki marchewki wpadają do drewnianej miski.

– Tak!

Tak, tak tak tak. Przysięgam! Specjalnie tak robisz, mamó, niemożliwe, żeby było inaczej!

– Nie chcę, żebyś się włóczyła z nieznajomymi, Fanette. Słyszysz? To, że cię wychowuję sama, nie znaczy, że masz spędzać czas poza domem. No i nie stój tu jak słup, weź nóż. Sama mam jeszcze na godzinę tej roboty!

– Nauczycielka mówiła nam o konkursie, mamó. O konkursie malarskim...

A, nauczycielka! Nic nie może powiedzieć. Zresztą nic nie mówi, patrzy na swoją rzepę!

Fanette stoi prosto i mówi dalej:

– James mi p... No, wszyscy mówią, że mogę wygrać. Że mam szansę, jeśli się przyłożę.

– Co wygrywamy?

Rzepa zaraz jej wypadnie z ręki, jak zawsze...

– Lekcje w szkole malarstwa w Nowym Jorku...

– Co?

Rzepa dostała cios nożem w sam środek. Już się nie podniesie...

– I co jeszcze, Fanette, z tym konkursem?

– Albo może Tokio. Sankt Petersburg. Canberra.

Jestem pewna, że ona nie wie, gdzie to jest, ale się boi...

– Jeszcze można wygrać dolary... Dużo!

Mama wzdycha. Zaczyna obierać następną rzepę.

– Jeśli twoja nauczycielka będzie wam dalej kładła do głowy takie rzeczy, to pójdę z nią porozmawiać, ja...

Mam to gdzieś, i tak zgłoszę się do tego konkursu...

– I z tym twoim Jamesem też chciałabym pogadać.

Matka Fanette energicznym ruchem zsuwa jarzyny z blatu do zlewu. Marchewki i rzepy wpadają do wody, ochlapując jej niebieski fartuch. Matka Fanette schyla się, żeby podnieść na blat torbę z ziemniakami.

Nie prosi mnie nawet, żebym jej pomogła. To niedobry znak. Mruczy coś pod nosem, czego nie rozumiem, muszę jej mówić, żeby powtórzyła głośniej.

– Chcesz mnie zostawić samą, Fanette. Tak?

No i się zaczęło...

Wybucham! Wybucham w swojej głowie, nikt inny poza mną nie może tego

zobaczyć, ale wybucham! Przysięgam! Mamo, mogę zmywać naczynia. Mogę układać sztuczce w szufladzie. Mogę ścierać stół gąbką. Mogę ścierać wszędzie. Mogę wyjmować szczotkę do podłogi, zamiatać, odstawić ją na miejsce. Mogę robić wszystko, co dziewczynka w moim wieku powinna robić, mogę robić wszystko, nie narzekać, nie płakać, mogę wszystko. Wszystko. Pod warunkiem, że pozwolisz mi malować. Chcę tylko, żeby mi pozwolono malować.

Czy za dużo żądam?

Mama patrzy na mnie wciąż z nieufną miną. Zawsze jest niezadowolona, kiedy nic nie robię, i zawsze dziwnie na mnie patrzy, kiedy robię za dużo. Chyba nie mogła przełknąć Nowego Jorku i tych innych miast też, zwłaszcza jak jej powiedziałam, że to Japonia, Rosja, Australia, wszystko naraz.

– Trzy tygodnie w szkole malarstwa, mamo? Trzy tygodnie to nie tak długo. To prawie nic.

Popatrzyła na mnie, jakbym zwariowała.

*

A teraz odkąd skończyłyśmy jeść, już nic nie mówi. Przeżuwa. To zły znak, kiedy przeżuwa. Nigdy nie widziałam, żeby przeżuwała, a potem mi powiedziała coś przyjemnego.

Matka Fanette wstaje w chwili, kiedy jej córka zajmuje się wieszaniem ścierek, bardzo starannie przypina każdą z osobna klamerkami do bielizny, a nie jedną na drugiej jak zwykle.

Matka mrozi atmosferę:

– Podjęłam decyzję, Fanette. Nie chcę więcej słyszeć o tej historii z konkursem malarstwa, o malarzu amerykańskim ani o niczym innym. Koniec z tym wszystkim. Porozmawiam z nauczycielką.

Nic nie mówię. Nawet nie płaczę. Tylko pozwalam, żeby gniew we mnie wzbierał, cała się gotuję. Wiem, dlaczego mama to powiedziała. Tysiąc razy mi to mówiła.

Stara śpiewka. Recytowana na okrągło, z pamięci.

Gorzkie żale.

„Córeczko, nie chcę, żebyś zmarnowała swoje życie tak jak ja. Ja też, jak byłam w twoim wieku, wierzyłam we wszystkie te historie. Ja też miałam marzenia. Ja też byłam ładna i mężczyźni składali mi obietnice.

Popatrz! Popatrz dzisiaj!

Popatrz na dziury w dachu, pokryte pleśnią ściany, wilgoć, smród; przypomnij

sobie mróz na szybach ostatniej zimy; popatrz na moje ręce, moje biedne dłonie, to, co miałam najlepszego, czarodziejskie dłonie, ile razy to słyszałam, Fanette, kiedy byłam w twoim wieku, że mam czarodziejskie dłonie.

Czarodziejskie dłonie, które myją cudze klozety!

Nie daj się nabrać tak jak ja, Fanette. Nie pozwolę im. Nie wierz nikomu poza mną, Fanette. Nikomu innemu. Ani temu twojemu Jamesowi, ani nauczycielce, ani komukolwiek innemu”.

Chciałabym, mamó. Chcę cię słuchać. Chcę ci wierzyć.

Ale musisz mi wszystko powiedzieć. Wszystko. Nawet takie rzeczy, o których się nigdy nie mówi. Nawet takie rzeczy, których nie wolno mówić!

Coś za coś.

Fanette bierze gąbkę i długo wyciera szarą kamienną tabliczkę, tę, na której jej matka sporządza listę jarzyn.

Czeka chwilę, żeby wyschła. Bierze białą kredę. Wie, że matka patrzy jej przez ramię. Píše cienkim, zaokrąglonym pismem. Pismem nauczycielskim.

Kto jest moim ojcem?

I tuż pod tym:

Kto?

Słyszysz z tyłu płacz matki.

Dlaczego odszedł?

Dlaczego nie poszliśmy za nim?

Zostało jeszcze trochę miejsca u dołu tabliczki. Kawalek białej kredy zgrzyta.

Kto?

Kto?

Kto?

Kto?

Fanette odwraca swój obraz, swój „młyn czarownicy”. Stawia go na krześle, potem bez słowa idzie na górę do swojego pokoju. Słyszysz, jak matka na dole płacze. Jak zawsze.

Płacz to nie jest odpowiedź, mamó.

Fanette wie, że jutro będzie po wszystkim, że nie będą już więcej o tym rozmawiać i że matka zetrze jej pisaninę z tabliczki.

Zrobiło się późno.

Chyba dochodzi północ. Mama pewnie już dawno śpi, bo bardzo wcześnie zaczyna to swoje sprzątanie. Często wychodzi i wraca, kiedy ja dopiero wstaję.

Okno mojego pokoju wychodzi na ulicę Château-d'Eau. Ulica jest bardzo

stroma, nawet na moim piętrze jestem zaledwie trochę ponad metr nad ulicą. Gdybym chciała, mogłabym zeskoczyć. Wieczorem często rozmawiam przez okno z Vincentem. Vincent włóczy się ulicami każdego wieczoru. Jego rodzice się nie przejmują. Natomiast Paulowi nigdy nie wolno wychodzić wieczorem.

Fanette płacze.

Vincent patrzy na mnie z ulicy, nie bardzo wiedząc, co robić. Wolałabym, żeby to Paul był tutaj. Paul mnie rozumie. Paul umie ze mną rozmawiać. Vincent tylko mnie słucha. Nic innego nie potrafi.

Mówię mu o swoim ojcu. Wiem tylko, że mama zaszła w ciążę, jak była bardzo młoda. Czasem myślę, że jestem córką malarza, amerykańskiego malarza, że przekazał mi tylko swój talent, że mama pozowała mu nago w plenerze, mama była piękna, bardzo bardzo piękna, na dole są jej zdjęcia w albumie. Moje też, jak byłam niemowlęciem. Ale żadnego zdjęcia mojego ojca.

Vincent słucha, sięga do ręki, którą Fanette zwiesza wzdłuż ściany, i bardzo mocno ją ściska.

Mówię dalej. Opowiadam, że myślę, że mój ojciec i mama kochali się jak wariaci, strasznie byli w sobie zakochani, że oboje byli piękni. A potem ojciec odszedł gdzie indziej, a mama nie potrafiła go zatrzymać. Może mama nie wiedziała, że jest w ciąży? Może mama nie знаła nawet nazwiska mojego ojca? Może po prostu za bardzo go kochała, żeby go zatrzymać, może mój ojciec był kimś porządnym, wiernym, może by został i mnie wychowywał, gdyby wiedział o moim istnieniu, ale mama za bardzo go kochała, żeby go zamknąć w klatce, mówiąc mu o mnie.

To mi się komplikuje w głowie, ale nie może być inaczej, Vincent. Co? No bo skąd by mi się wzięła taka szalona chęć malowania? Ta chęć, żeby odfrunąć? Kto inny dałby mi te marzenia, których mam pełno w głowie?

Vincent ściska rękę Fanette. Ściska ją za mocno. Cholerny łańcuszek, który nosi zawsze na nadgarstku, wbił się między ich dłonie i wrzyna się w ciało dziewczynki, jakby po to, żeby odcisnąć na nim jego imię wygrawerowane na bransoletce.

Czasem wieczorami obserwuję chmury, które zasłaniają księżyc, i myślę, że mój ojciec to wstrętny mieszczuch, u którego mama sprząta. Że mijam go na ulicy Claude-Monet, nie wiedząc, że naprawdę jest moim ojcem, ale że on wie. To tylko gruby świntuch, który się przespał z mamą, który zmusił ją do zrobienia ohydnych rzeczy. Może nawet jeszcze wciska jej dyskretnie forszę. Czasem jak widzę na ulicy facetów, którzy patrzą na mnie podejrzliwie, to zupełnie wariuję, chce mi się rzygać. To okropne. Ale tego Vincentowi nie mówię.

Tego wieczoru chmury dają spokój księżycowi.

– Mój ojciec był kimś przejściowym – mówi Fanette.

- Nie martw się, Fanette – odpowiada Vincent. – Jestem tu.
- Kimś przejściowym. Jestem taka jak on. Muszę wyjechać, muszę odfrunąć. Vincent ściska jej rękę jeszcze mocniej.
- Jestem tu, Fanette. Jestem. Jestem...

Dwa kroki dalej, na ulicy Château-d'Eau biega Neptun, polując na ćmy.

DZIEŃ ÓSMY
20 maja 2010
(Komisariat w Vernon)

STARCIE

– 30 –

Inspektor Laurenç Sérénac jest w radosnym nastroju. Od czasu do czasu rzuca dyskretnie okiem przez szybę w stronę największego gabinetu na komisariacie w Vernon, to sala 101, która najczęściej służy do przesłuchań. Jacques Dupain siedzi tyłem do niego. Bębni niecierpliwie palcami po poręczy. Sérénac wymyka się na palcach na korytarz i tonem spiskowca szepcze do Sylvia Bénavides’a:

– Damy mu jeszcze trochę skruszeć...

Ciągnie swojego zastępcę za rękaw.

– Najbardziej jestem dumny – mówi – ze swojej inscenizacji! Czekał, chodź, zobacz, Sylvio.

Idą znowu korytarzem i kierują się do sali przesłuchań.

– Ile ich jest, Sylvio?

Bénavides nie może powstrzymać uśmiechu.

– Sto siedemdziesiąt jeden par! Piętnaście minut temu Maury przyniósł jeszcze trzy.

Sérénac prostuje się i jeszcze raz wpatruje w gabinet 101. W tym pomieszczeniu, w którym czeka Jacques Dupain, policjanci zgromadzili wszystkie pary kaloszy zarekwirowane od wczoraj w miasteczku Giverny. Piętrzą się w każdym kącie sali, zarówno na półkach, jak i na stołach, na parapetach okiennych, na krzesłach, w stosach na podłodze albo pojedynczo jedne na drugich. Plastik lśni wszystkimi kolorami, od żółtego odblaskowego po czerwony strażacki, chociaż przeważa klasyczny khaki. Kalosze zostały posortowane według ich

zużycia, numerów, marki. Każda para ma przyczepioną karteczkę z nazwiskiem właściciela.

Sérénac nie ukrywa wielkiego rozradowania:

– Mam nadzieję, Sylvio, że zrobiłeś zdjęcie. Uwielbiam ten rodzaj wariactwa! Nie ma nic lepszego, żeby zmiękczyć klienta! Można powiedzieć, dzieło sztuki współczesnego artysty. Ty ze swoimi siedemnastoma grillami w ogrodzie powinieneś docenić taką kolekcję, co?

– Tak... – mówi inspektor Bénavides, nie racząc nawet podnieść głowy. – To wspaniałe z estetycznego punktu widzenia. Nikt nigdy czegoś takiego nie widział, zrobimy wystawę. Natomiast...

– Bierzesz to zbyt serio, Sylvio – ucina Sérénac.

– Wiem.

Bénavides przegląda kartki, segreguje.

– Przepraszam, pewnie trochę za bardzo jestem gliniarzem. Interesuje pana śledztwo, szefie?

– Ojej, coś nie masz dzisiaj poczucia humoru.

– No to powiem panu, że nie spałem całą noc albo prawie. Według Béatrice zajmowałem za dużo miejsca w łóżku. To prawda, od trzech miesięcy ona musi spać na plecach. No i skończyłem na kanapie.

Sérénac poklepuje go po ramieniu.

– Poczekaj, za tydzień albo i mniej będzie po wszystkim, będziesz tatusiem. Oboje nie będziecie spać! Twoja Béa i ty. Chcesz kawy? Idziemy popracować do salonu?

– Herbatę!

– A, prawda, głupek jestem. Bez cukru. Ciągle się nie zdecydowałeś mówić mi po imieniu?

– Pomyślimy o tym. Zapewniam pana, szefie, ciężko nad sobą pracuję.

Sérénac śmieje się do rozpuku.

– Bardzo cię lubię, Sylvio. A poza tym wyznam ci, tylko tobie, odkrywasz więcej informacji niż cały komisariat departamentu Tarn. Słowo południowca!

– Nie wyobraża pan sobie, jak trafnie pan to ujął. Jeszcze raz, harowałem całą noc.

– Na kanapie? Podczas gdy twoja żona chrapała śpiąc na plecach?

– Tak...

Bénavides rozpromienia się w szczerym uśmiechu. Obaj policjanci idą korytarzem, pokonują po trzy stopnie, potem wchodzi do pomieszczenia wielkości dużej komórki. Dziesięć metrów kwadratowych „salonu” zajmuje różnorodne umeblowanie: dwie sfatygowane kanapy pokryte pomarańczową tkaniną z długimi

frędzlami, fioletowy fotel, stół z laminatu, na którym stoi ekspres do kawy, filiżanki, każda z innej parafii, oksydowane łyżeczki, a z sufitu zwisa słabiotka żarówka, ma cylindryczny abażur z przypalanej tektury. Sylvio pada na fioletowy fotel, a Laurenç zaparza kawę i herbatę.

– Szefie – zaczyna Sylvio – rozpoczniemy od wielkiej wystawy, bo to zdaje się leży panu na sercu?

Jego zwierzchnik odwraca się do niego tyłem. Bénavides przegląda swoje notatki.

– Do tej pory mamy więc sto siedemdziesiąt jeden par kaloszy, numeracja od 35 do 46. Poniżej trzydziestu pięciu nie skonfiskowano. W tej liczbie naliczyliśmy piętnastu wędkarzy i dwudziestu jeden myśliwych z uprawnieniami. W tym Jacques’a Dupaina. Można też naliczyć koło trzydziestu licencjonowanych wycieczkowiczów. Natomiast, jak pan już wie, szefie, żadna podeszwa z tych stu siedemdziesięciu jeden par nie odpowiada gipsowemu odciskowi, który Maury pobrał obok trupa Jérôme’a Morvala.

Sérénac nalewa wody do ekspresu, odpowiadając:

– Można się było domyślić. Zabójca nie ujawni się sam... Ale można powiedzieć, że z drugiej strony uniewinnia to stu siedemdziesięciu jeden mieszkańców Giverny...

– Skoro pan mówi...

– I że Jacques Dupain nie znajduje się pośród tych stu siedemdziesięciu jeden... Zostawimy go jeszcze trochę, niech się pokisi we własnym sosie.

Inspektor Bénavides rozkłada swoją słynną kartkę z trzema rubrykami.

– Naprawdę maniak z ciebie, Sylvio...

– Wiem. Konstruuje to śledztwo dokładnie tak, jak zbudowałem swój taras czy werandę. Cierpliwie i precyzyjnie...

– I jestem pewny, że w domu twoja Béatrice tak samo się z ciebie nabija jak ja w biurze...

– Zgadł pan... Ale mój taras jednak błyszczący, mucha nie siada!

Sérénac wzdycha. Woda wrze.

– No to dawaj te swoje rubryki...

– Powoli się zapełniają, pionowo... Kochanki, *Nenufary*, dzieciaki...

– A zakończymy śledztwo, kiedy będziemy mogli narysować piękną strzałkę, bardzo poziomą, która połączy te trzy kolumny. Na razie łączność między tymi trzema rubrykami jest całkowicie uszczelniona... Tylko że teraz jeszcze brniemy w takim błocie, że sto siedemdziesiąt jeden par kaloszy może nam nie wystarczyć...

Bénavides ziewa. Fioletowy fotel jakby coraz bardziej go połyka.

– No to, słucham cię, Sylvio. Wiadomości z nocy.

– Rubryka pierwsza, okulista i jego kochanki. Zaczynamy gromadzić zeznania, ale wciąż nie mamy nic, co by mogło przemawiać za zbrodnią w afekcie. Również nic nowego w sprawie znaczenia tych cholernych liczb na odwrocie fotografii. Jednak wysilam umysł. Dla ukoronowania wszystkiego, żadnej wiadomości od Aline Malétras z Bostonu i ciągle jesteśmy zablokowani z identyfikacją nieznaną z piątej fotografii...

– Subretka klęcząca przed Morvalem w salonie?

– Doskonała pamięć wzrokowa, szefie. Poza tym próbowałem zrobić listę mniej czy bardziej zdradzanych mężów według stopnia ich zazdrości. Jacques Dupain jest niewątpliwie na czele tej listy, tyle że paradoksalnie nie mamy żadnego namacalnego dowodu zdrady jego żony. A pan coś posunął naprzód, inspektorze? Wczoraj spotkał się pan ze Stéphanie Dupain?

– Dżoker!

Sylvio Bénavides patrzy na niego ze zdziwieniem. Zakłóca trawienie fotela, próbując delikatnie się podnieść.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Dżoker. Koniec, nic więcej. Nie będę ci powtarzał tego numeru z jej fiołkowymi oczami, które mi wysyłają SOS, bobyś na mnie doniósł sędziemu śledczemu. Więc dżoker. *Wait and see*. Prowadzę tę część śledztwa w sposób osobisty, jeśli wolisz. Ale zgadzam się z twoją analizą. Nie mamy żadnego dowodu cudzołóstwa Jérôme’a Morvala ze Stéphanie Dupain, ale mimo wszystko Jacques Dupain posiada solidny profil podejrzanego numer jeden. No to dalej, twoja druga rubryka: *Nenufary*?

– Nic nowego od naszej wczorajszej rozmowy z Amadou Kandym. To pan miał się skontaktować z wydziałem dzieł sztuki?

– Okay, okay. Zrobię to. Jutro ich będę nękać. A, tak, pójdę też się przejść w stronę ogrodów Claude’a Moneta...

– Z klasą Stéphanie Dupain?

Para z ekspresu do kawy unosi się nad gęstymi włosami Sérénaca. Inspektor wpatruje się w swojego zastępcę z niepokojem.

– To niesamowite, jesteś permanentnie o wszystkim poinformowany, Sylvio! Założyłeś każdemu podsłuch i po nocach odsłuchujesz taśmy?

Bénavides głośno ziewa.

– Dlaczego ta wycieczka szkolna jest ściśle tajna?

Przeciera sobie oczy.

– Co się tyczy mojej części, to na jutro umówiłem się z konserwatorem Muzeum Sztuk Pięknych w Rouen.

– W jakiej to znowu cholernej sprawie?

– Inicjatywa i autonomia, to pan mi zalecał, prawda? Powiedzmy, że chcę sobie wyrobić osobistą opinię na temat tej historii obrazów Moneta i *Nenufarów*...

– Wiesz, Sylvio, że gdybym był z natury podejrzliwy, mógłbym to odebrać jako brak zaufania do twojego bezpośredniego przełożonego?

Zmęczone oczy Sylvia Bénavides'a znajdują siłę, by zabłysnąć uszczypliwością.

– Dżoker!

Inspektor Sérénac powoli i ostrożnie nalewa sobie kawy do obłuczanej filiżanki. Do drugiej wkłada saszetkę z herbatą i podaje swojemu zastępcy.

– Ja chyba naprawdę mam kłopot ze zrozumieniem psychiki normandzkiej... Przecież ty powinieneś być teraz, Sylvio, przy łóżku swojej żony, a nie wyjeżdżać tu z nadgorliwością...

– Niech się pan nie obraża, szefie. To tylko moja lekka obsesja. Może wyglądam na wiernego psa, ale jestem uparty. Nie znam się w ogóle na malarstwie, muszę się trochę podszkolić. Niech mnie pan jeszcze posłucha. Ostatnia rubryka, trzecia. Jedenastoletnie dzieci.

Sérénac się wykrzywia, maczając usta w kawie.

– Twój konik...

– Przeczyściłem listę jedenastoletnich dzieciaków dostarczoną przez Stéphanie Dupain. Żeby wsiąść na mojego konika, szukałem dziesięcioletniej dziewczynki albo chłopca, których matka dziesięć lat temu mogłaby chodzić sprzątać na przykład do Morvalów.

– I nosiłaby niebieski fartuch na podkasanej spódniczce... No i jaki wynik?

– Nic! Absolutnie żadne dziecko na liście nie odpowiada temu portretowi. W Giverny jest dziewięć dzieci w tym przedziale wiekowym, czyli dziewięć, jedenaście lat. Wśród rodziców namierzyłem tylko dwie samotne matki. Pierwsza pracuje w piekarni w Gasny, to wieś po drugiej stronie wzgórza, a druga jest kierowcą lokalnego autobusu.

– Niebanalne, no...

– Tak, niebanalne, jak pan mówi. Mam jeszcze jedną matkę, rozwiedzioną, która uczy w liceum w Evreux. Wszyscy pozostali rodzice wychowują dzieci razem i żadna z tych matek nie chodzi sprzątać, ani dzisiaj, ani dziesięć lat temu.

Sérénac opiera się na stole z laminatu i robi strapioną minę.

– Jeśli chcesz wiedzieć, co myślę, Sylvio, możliwe są tylko dwa wytłumaczenia twojego fiaska. Pierwsze to to, że cała twoja hipoteza o nieślubnym dziecku jest gównem warta. Najbardziej prawdopodobne. Drugie, że ten słynny dzieciak, któremu Morval składa życzenia urodzinowe na pocztówce znalezionej w jego kieszeni, nie jest z Giverny, ani zresztą ta kochanka na zdjęciu, dziewczyna w niebieskim fartuchu, która go pieści. Czy jest, czy nie matką dzieciaka. A wobec tego...

Bénavides nie tknął herbaty. Odważa się nieśmiało spojrzeć.

– Jeśli pan pozwoli, szefie... Możliwe jest jeszcze trzecie wytłumaczenie.

– Tak?

Sylvio waha się przez chwilę, po czym ciągnie:

– Otóż... po prostu... lista dostarczona przez Stéphanie Dupain może być fałszywa.

– Słucham?

Sérénac wylał połowę kawy. Sylvio zapada się znowu w fioletowy fotel, mówiąc dalej:

– No to powiem inaczej. Nie ma dowodów na to, że ta lista dzieci jest właściwa. Stéphanie Dupain również jest jedną z podejrzanych w tej sprawie...

– Nie widzę związku między hipotetycznym flirtem z Morvałem a dziećmi z jej klasy...

– Ja też nie. Ale w ogóle w tej sprawie nie widać wiele związku czegokolwiek z czymkolwiek. Gdybyśmy mieli czas, trzeba by skonfrontować listę dzieciaków z klasy nauczycielki z listą rodzin z Giverny, imiona, zawody aktualne i dawniejsze, panięńskie nazwiska matek. Wszystko. Niech pan mówi, co chce, ale te słowa Aragona na pocztówce urodzinowej w kieszeni Morwała, *Zgadzam się by marzenia jako zbrodnie sądzić*, mają bezpośredni związek ze szkołą w Giverny: tutejsze dzieci uczą się to recytować. Sam mi pan opowiadał, szefie, usłyszał pan to z ust Stéphanie Dupain.

Sérénac jednym haustem opróżnia filiżankę.

– Okay, jeśli dobrze rozumiem, przypuścmy, że jest wątpliwość. Jak chcesz do tego podejść?

– Nie mam pojęcia. W dodatku odnoszę czasem wrażenie, że mieszkańcy Giverny coś przed nami ukrywają. Jak to powiedzieć, coś jak omertà w miasteczkach korsykańskich.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Na ogół wrażenia to nie bardzo w twoim stylu?

W głowie Sylvia pojawia się niepokojący błysk.

– No bo... mam jeszcze inną rzecz dotyczącą mojej trzeciej rubryki, szefie. Dzieciaki. Uprzedzam pana, to dość dziwne... Nawet więcej niż dziwne. Zdumiewające, to by było odpowiednie słowo.

w salonie i postanowiłam zrobić porządki. Słońce wpada do mojego pokoju z nieufną nieśmiałością, jakby wchodziło tu pierwszy raz. Ponieważ nie znajduje u mnie kurzu, który by zatańczył, pada tylko na drewniany kredens, stół, krzesła, żeby je rozjaśnić.

Moje czarne *Nenufary* ukryte są w cieniu. Czuwam, żeby nikt, nawet tylko podnosząc głowę, nawet przez moje otwarte okno na czwartym piętrze, nie dojrzał obrazu z zewnątrz.

Trochę się kręcę w kółko. W salonie wszystko jest na swoim miejscu, dlatego nieco się waham, czy grzebać wszędzie, nad szafą, w tych szufladach, czy zejść do garażu, opróżnić spleśniałe pudła, podnieść torby na śmieci przecięte na pół i odsłonić te skrzynie od lat nigdy nieotwierane. Nawet od dziesiątków lat. Wiem jednak, czego szukam. Wiem dokładnie, co mnie interesuje, tylko że po takim czasie nie mam pojęcia, w którym miejscu to upchnęłam.

Wiem, co powiecie, myślicie, że stara traci pamięć. Może... Ale nie opowiadajcie mi, że nigdy się wam nie zdarzyło przewrócić całego domu do góry nogami tylko po to, żeby odnaleźć jakąś pamiątkę, jakiś przedmiot, o którym wiedzieliście na pewno tylko jedno: nigdy go nie wyrzucaliście.

Nie ma nic bardziej denerwującego, prawda?

No to wam powiem, to, co tak bardzo chcę znaleźć, to karton, zwyczajny karton wielkości pudełka po butach, wypełniony starymi fotografiami. Widzicie, nic oryginalnego. Podobno teraz, czytałam o tym, całe życie fotografii może się zmieścić w gwizdku USB wielkości zapalniczki. Ale ja na razie szukam mojego pudełka po butach. Wy, jak przekroczycie osiemdziesiątkę, będziecie szukać w swoich rupieciach malutkiej zapalniczki. Powodzenia. To ma być postęp.

Otwieram bez wielkiej nadziei szuflady komody, wsuwam rękę pod normandzką szafę, za półki z książkami.

Oczywiście nic.

Muszę zrezygnować, to, czego szukam, nie znajduje się w zasięgu ręki. Moje pudło pewnie jest gdzieś w garażu, pod warstwą nagromadzonych przez lata osadów.

Jeszcze się waham. Czy gra jest warta świeczki? Czy mam sobie zadać trud przetrząsania całej tej graciarni, żeby w rezultacie wygrzebać jedną jedyną fotografię? Fotografię, której nigdy nie wyrzuciłam, tego jestem pewna. To jedyna, co upamiętnia twarz, którą tak bardzo chciałabym jeszcze zobaczyć, ostatni raz.

Albert Rosalba.

Nie podjąwszy decyzji, patrzę na swój salon, w którym nic się nie wala. Są tylko

te dwa kalosze, suszą się przy rurze od kominka. Suszą się... Powinnam powiedzieć, że po prostu je tam ustawiłam.

Oczywiście na dole w kominku się nie pali.

To jeszcze nie Boże Narodzenie.

– 32 –

Sylvio Bénavides wymówił, co prawda, ostatnie słowa z maksimum emfazy, ale jego szef chyba ciągle nie bierze go poważnie. Nalewa sobie drugą filiżankę kawy z pewnym roztargnieniem, jakby wciąż liczył w myśli kalosze. Jego zastępca podnosi filiżankę z herbatą do ust i się wykrzywia. Nieposłodzona.

Sérénac się odwraca.

– Słucham cię, Sylvio. Zadziwiał mnie...

– Zna mnie pan, szefie – zaczyna Bénavides. – Przetrzęsnałem wszystko, co mogło dotyczyć jednocześnie Giverny i jakiejś historii z dzieckiem. W końcu wygrzebałem to z archiwów żandarmerii...

Porusza się w miękkim fotelu, stawia filiżankę z herbatą na podłodze i szuka koło nóg w pliku papierów. Podsuwa przełożonemu raport żandarmerii z Pacy-sur-Eure: pozółkły papier, a na nim jakieś dziesięć linijek. Sérénac przętyka. Poobijana filiżanka trzęsie się w jego palcach.

– Streszczę panu pokrótce, szefie. Myślę, że nie za bardzo się panu spodoba. Coś z kroniki wypadków. W strumyku Epte w Giverny znaleziono dziecko, które się utopiło. Dokładnie w tym samym miejscu, w którym został zamordowany Jérôme Morval. Śmierć ściśle według tego samego protokołu, tego samego rytuału, jak pan powiedział, z wyjątkiem ciosu nożem: dzieciak miał czaszkę zmiażdżoną kamieniem, potem całą głowę zanurzoną w strumieniu.

Laurenc Sérénac odczuwa gwałtowny odpływ adrenaliny. Filiżanka stuka o laminat.

– O, Boże... W jakim wieku było dziecko?

– Prawie jedenaście lat, bez kilku miesięcy.

Po czole inspektora spływa zimny pot.

– Cholera...

Bénavides przytrzymuje się poręczy, jakby się topił w fioletowym fotelu.

– Jest tylko jeden kłopot, inspektorze... Ten wypadek zdarzył się cholernie dawno temu...

Na chwilę milknie, obawiając się reakcji Sérénaca.

Po czym:

– Dla ścisłości: w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku...

Sérénac pada na pomarańczową kanapę. Jego wzrok zatrzymuje się na poślizniętym raporcie.

– W tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym? O, Boże, co to znowu za historia? Jedenastoletni dzieciak umiera dokładnie w tym samym miejscu co Morval, dosłownie w ten sam sposób... ale w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku! Co to za obłąd?

– Nie mam pojęcia, szefie... Zobacz pan, wszystko jest w raporcie żandarmerii w Pacy. Jak się nad tym zastanowić, to zapewne nie ma nic wspólnego... Wtedy żandarmi opowiedzieli o wypadku. Dzieciak pośliznął się na kamieniu, rozbił sobie czaszkę, potem utonął. Głupi wypadek. Koniec, kropka.

– Jak się nazywał ten dzieciak?

– Albert Rosalba. Jego rodzina opuściła Giverny wkrótce po tym dramacie. Odtąd żadnych wiadomości od nich...

Laurencj Sérénac wyciąga rękę po kawę stojącą na stole. Krzywi się, pijąc ten napój.

– Cholera, Sylvio, bądź co bądź poruszająca ta twoja historia. Ja raczej nie lubię tego rodzaju zbiegu okoliczności. Jakby zagadka nie była już i tak wystarczająco zawiła, jakby jeszcze tego nam brakowało...

Sylvio zbiera papiery porozrzucane pod nogami.

– Mogę pana o coś zapytać, szefie?

– Na tym etapie...

– Mnie najbardziej niepokoi to, że od początku mamy sprzeczne ze sobą intuicje. Całą noc o tym myślałem. Pan od samego początku jest przekonany, że wszystko kręci się wokół Stéphanie Dupain, że ona może być w niebezpieczeństwie. Ja, nie wiem czemu, jestem przekonany, że klucz znajduje się w trzeciej rubryce, że zabójca cieszy się wolnością i gotów jest uderzyć znowu, ale że wchodzi tu w grę życie dzieciaka, jedenastoletniego dzieciaka...

Laurencj stawia filiżankę na podłodze. Wstaje i poklepuje przyjaźnie swojego zastępcę po plecach.

– Może to i dobrze, bo lada chwila zostaniesz tatą... A ja, kawaler, mniej się interesuję dziećmi niż ich mamami, nawet gdy są zamężne... To tylko sprawa identyfikacji. Logiczne, no nie?

– Może. Każdy ma więc swoją rubrykę – podpowiada Sylvio. – Obyśmy tylko obaj nie mieli racji.

Ta ostatnia refleksja dziwi Sérénaca. Przygląda się uważnie swojemu zastępcy i dostrzega tylko pociągłą twarz i dwoje zmęczonych, bo ciągle otwartych oczu.

Bénavides nie skończył jeszcze segregować wszystkich swoich kartek. Sérénac wie, że jego zastępca mimo zmęczenia zdąży przed wyjściem wszystko skopiować i ułożyć w czerwonym pudle archiwum, a później ustawić to pudło na swoim miejscu na półce w sali w podziemiu. M jak Morval. Taki właśnie jest jego zastępca...

– Na wszystko jest wytłumaczenie, Sylvio – mówi Sérénac. – Istnieje sposób na złożenie części puzzli. Stanowczo!

– A Jacques Dupain – wzdycha Bénavides. – Nie uważa pan, że już wystarczająco wymiękł?

– O, cholera! Zapomniałem o nim...

Aby usiąść na biurku w sali 101, Laurenc Sérénac odsunął z dziesięć par niebieskich kaloszy i ułożył je w chwiejny stos. Jacques Dupain nie przestaje się złościć. Jego prawa ręka pociera kolejno brązowe wąsy i źle ogolone policzki, zdradzając rosnące zdenerwowanie.

– Ciągle nie rozumiem, inspektorze, czego pan ode mnie chce. Już prawie od godziny mnie pan tu trzyma. Powie mi pan wreszcie dlaczego?

– Rozmowa. Zwykła rozmowa...

Sérénac obejmuje szerokim gestem wystawę kaloszy.

– Prowadzimy poszukiwanie na szeroką skalę, panie Dupain. Może pan to stwierdzić. Prawie wszyscy mieszkańcy miasteczka powierzyli nam parę kaloszy. Współpracują, spokojnie. Sprawdzamy, czy ich obuwie nie odpowiada śladom z miejsca zbrodni, i potem już ich nie zanudzamy. To całkiem proste. Podczas gdy...

Prawa dłoń Jacques'a Dupaina zaciska się na wąsach, a lewa wpija się nerwowo w poręcz.

– Ile razy mam to panu powtarzać? Nie mogę znaleźć tych cholernych kaloszy! Myślałem, że zostawiłem je w komórce, która służy za garaż koło szkoły. Ale tam ich nie ma! Wczoraj musiałem pożyczyć od przyjaciela...

Sérénac wypróbowuje sadystyczny uśmiech.

– Dziwne, panie Dupain, czyż nie? Po co ktoś miałby się zabawiać i kraść parę zabłoconych kaloszy? Numer 43, pana rozmiar. Dokładnie taki sam jak odcisk pobrany na miejscu zbrodni?

Sylvio Bénavides stoi w głębi sali, oparty o etażerkę, od strony półki z kaloszami nowymi i prawie nowymi, numery 39 do 42. Przygląda się rozmawiającym trochę znużony, trochę rozbawiony. Przynajmniej nie zasypia. Ma w myśli odpowiedź na pytanie postawione przez Sérénaca, ale przecież nie będzie

podpowiadał podejrzanemu.

– Nie wiem – denerwuje się Dupain. – Może dlatego, że ten ktoś jest zabójcą i wpadł na pomysł, żeby ukraść pierwsze kalosze o odpowiedniej numeracji, jakie znalazł, i tym samym rzucić oskarżenie na nieszczęsnego właściciela.

Takiej właśnie odpowiedzi oczekiwał Bénavidés. Niegłupi ten Dupain, myśli sobie.

– I właśnie padło na pana – drażny Sérénac. – Jakby przypadkiem?

– Padło na kogoś. Padło na mnie. Co ma znaczyć „jakby przypadkiem”? Nie podobają mi się pana podteksty, inspektorze.

– To niech pan mówi otwartym tekstem. Co pan robił tego ranka, kiedy zabito Jérôme’a Morvala?

Stopy Dupaina zataczają kręgi w przestrzeni, z której zostały usunięte wszystkie plastikowe kalosze, tak jak złoszczący się dzieciak wywala zabawki ze swojego kojca.

– Więc pan mnie podejrzewa? Koło szóstej rano byłem jeszcze w łóżku z żoną, tak jak każdego ranka...

– No i znowu dziwna sprawa, panie Dupain. Według zeznań, które posiadamy, we wtorki rano wstaje pan zazwyczaj o świcie i jedzie polować na dzikie króliki na terenie należącym do pańskiego przyjaciela Patricka Delaunaya. Czasem w grupie. Najczęściej sam... Dlaczego miałby pan odstąpić od swojego zwyczaju akurat w ten wtorek rano, kiedy popełniono zbrodnię?

Milczenie. Rozdrażnione palce Dupaina wciąż torturują wąsy.

– Bądź tu mądry... Z jakiego to niby powodu mężczyzna może mieć ochotę, by zostać w łóżku z żoną?

Jacques Dupain wbija spojrzenie w oczy Laurença Sérénaca. Wbija to właściwe słowo. Dwa sztylety. Sylvio Bénavidés śledzi uważnie to starcie. I jeszcze raz myśli sobie, że Jacques Dupain broni się nieźle.

– Nikt nie ma do pana o to pretensji, panie Dupain. Nikt. Niech pan się nie obawia, sprawdzimy pana alibi... Co się tyczy motywu...

Sérénac odsuwa starannie z dziesięć niebieskich kaloszy piętrzących się na brzegu biurka i kładzie na widocznym miejscu fotografię Stéphanie i Jérôme’a Morvala, trzymających się za ręce na drodze.

– Jednym z nich mogłaby być zazdrość. Nie sądzi pan?

Jacques Dupain ledwo rzuca okiem na zdjęcie, jakby już wiedział, co na nim widać.

– Niech pan nie przekracza granic, inspektorze. Jeśli to pana bawi, że mnie pan podejrzewa, dlaczego nie... Ale niech pan nie miesza Stéphanie do swoich gier. Jej nie. Rozumiemy się, jak myślę?

Sylvio waha się, czy się wtrącić. Ma wrażenie, że teraz sytuacja w każdej sekundzie może się odwrócić. Sérénac dalej bawi się swoją zdobyczą. Wkłada dwa niebieskie kalosze na dłonie i próbuje niezbyt uważnie dobierać je do pary. Podnosi oczy pełne ironii.

– To trochę niewystarczające jako obrona, panie Dupain. Nie uważa pan? W terminologii prawniczej nazywa się to nawet obroną tautologiczną... Bronić się przed motywem zazdrości... dodatkowym nadmiarem zazdrości...

Dupain wstaje. Jest niecały metr od Sérénaca. Dupain jest niższy od inspektora co najmniej o dwadzieścia centymetrów.

– Niech pan się nie bawi w grę słów, Sérénac. Rozumiem, doskonale rozumiem pana gierki... Jeśli się pan jeszcze przysunie...

Sérénac nie raczy na niego spojrzeć. Rzuca jeden kalosz, wkłada inny na rękę. Uśmiecha się.

– Chyba nie chce mi pan powiedzieć, panie Dupain, że chciałby pan powstrzymać właściwy przebieg śledztwa?...

Sylvio Bénavides nigdy się nie dowie, jak daleko Jacques Dupain mógł się posunąć tego dnia. Zresztą nie zależy mu, żeby to wiedzieć. Dlatego w odpowiedniej chwili kładzie gestem pocieszenia rękę na ramieniu Jacques'a Dupaina, mimiką dając uspokajający znak Sérénacowi.

– 33 –

Sylvio Bénavides odprowadził Jacques'a Dupaina do wyjścia z komisariatu. Po drodze wypowiedział różne formułki grzecznościowe, zawołowane przeprosiny. Inspektor Bénavides potrafi to robić. Jacques Dupain, wściekły, wszedł do swojego forda, na znak śmiesznego protestu przejechał przez parking na ulicy Carnot, wciskając gaz do dechy. Bénavides zamknął oczy, potem wrócił do biura. Sylvio Bénavides potrafi też słuchać rozterek swojego zwierzchnika.

– Co ty o tym myślisz, Sylvio?

– Że ostro pan pograł, szefie. Za ostro. O wiele za ostro.

– Okay, powiedzmy, że to moja cecha południowca. Ale poza tym, co myślisz?

– Nie wiem. Dupain nie jest czysty, jeśli to chce pan usłyszeć. Można go jednak zrozumieć. Ma żonę, na której, co naturalne, mu zależy. Nie powie mi pan, że tak nie jest. Ale to przecież nie znaczy, że jest zabójcą...

– Psiakrew, Sylvio. A ten numer z kaloszami, które jakoby mu skradziono? To się kupy nie trzyma, ani trochę! Jego alibi też nie, jego żona Stéphanie potwierdziła

mi, że tego ranka, kiedy popełniono zbrodnię, pojechał na polowanie...

– To niepokojące, szefie, zgoda. Trzeba będzie skonfrontować ich zeznania. Ale musi pan też przyznać, że elementy obciążające pojawiają się trochę zbyt łatwo. Najpierw zdjęcie jego żony na spacerze z Morvałem wysłane przez jakiegoś anonima, potem jego kalosze do polowania, które znikają... Można by pomyśleć, że ktoś stara się rzucić na niego podejrzenia. No i co się tyczy tej historii z odciskiem podeszwy, nie jest jedynym, któremu należy się słówko przeprosin! Nie udało nam się wytropić wszystkich mieszkańców Giverny. Trafialiśmy również na zamknięte drzwi, na puste domy, na paryżan prawie zawsze nieobecnych. Potrzeba nam więcej czasu, dużo więcej czasu...

– Cholera...

Sérénac chwyta pomarańczowy kalosz i trzyma go dwoma palcami za obcas.

– To on, Sylvio! Nie pytaj mnie dlaczego, ale wiem, że to Jacques Dupain!

Laurencj Sérénac rzuca nagle prosto przed siebie pomarańczowy kalosz do dziesięciu innych stojących na etażerze.

– Strajk! – komentuje spokojnie Sylvio Bénavidés.

Jego szef przez kilka chwil milczy niewzruszony, po czym nagle podnosi głos:

– Drepczemy w miejscu, Sylvio! Drepczemy! Sprowadź tu za godzinę całą ekipę.

Laurencj Sérénac, bardzo zdenerwowany, z trudem próbuje ożywić burzę mózgow, na której zgromadził całą swoją ekipę z komisariatu w Vernon. Jasny pokój z podartymi zasłonami tonie w słońcu. Sylvio Bénavidés przysypia, siedząc na końcu stołu. Słyszy, między dwoma oddechami, jak szef komisariatu w Vernon analizuje różne tropy i wymienia imponującą liczbę badań, które należy przeprowadzić: zidentyfikować kochanki Morwała i przesłuchać ich bliskich, spenetrować pokątny handel dziełami sztuki z kręgu impresjonizmu, a zwłaszcza przycisnąć bardziej Amadou Kandy'ego, dowiedzieć się czegoś więcej o tej słynnej fundacji Theodore'a Robinsona, zgłębić również tę dziwną historię utonięcia w strumyku z roku 1937, przepytąć jeszcze mieszkańców Giverny, zwłaszcza sąsiadów, zwłaszcza bliskich Morwała, zwłaszcza tych, którzy jakby przypadkiem nie mieli w domu kaloszy, zwłaszcza tych, co mają jedenastoletnie dzieci... Przyjrzeć się też pacjentom gabinetu okulistycznego.

Dużo tego; inspektor Sérénac jest tego świadomy, o wiele za dużo jak dla pięcioosobowej ekipy, w dodatku niepełnoetatowej... Będą musieli grzebać na chybił trafił i liczyć na szczęście. Czekać na dobrą passę... Gliniarze przywykli, cały czas tak mają. Jedyna misja, o której Sérénac nie przypomniał swoim

kolegom, to sprawdzenie alibi Jacques'a Dupaina. Zostawia ją dla siebie...
Przywilej szefa!

– Inne pomysły?

Policjant Ludovic Maury wysłuchał trudnych rozporządzeń swojego zwierzchnika z uwagą znużonego piłkarza z ławki rezerwowej w szatni. Słońce padające na plecy właśnie piecze mu kark. Podczas burzy mózgów po raz kolejny obejrzał leżące przed nim fotografie miejsca zbrodni: strumyk, most, pralnia. Ciało Jérôme'a Morvala, nogi na brzegu, a głowa w wodzie. Zastanawia się, dlaczego pomysły przychodzą czasem w jakimś momencie, a nie w innym, i podnosi palec.

– Tak, Ludo?

– Tylko taka myśl, Laurenç. Nie uważasz, że można by teraz po prostu przeszukać dno strumienia w Giverny?

– Co chcesz powiedzieć? – słychać rozdrażniony głos Sérénaca, jakby nagle nie bardzo mu się spodobało to znane z południa zwracanie się do niego po imieniu w wykonaniu policjanta Maury'ego.

Sylvio Bénavides raptownie się budzi.

– Dobra... – ciągnie Maury – przeszukiwaliśmy wszystko na miejscu zbrodni, mamy zdjęcia, odciski, próbki. Oczywiście zajrzeliśmy też do strumyka. Ale chyba nie przeszukaliśmy dna rzeczki. Znaczy, trzeba poruszyć piasek, pokopać głębiej. Pomyślałem o tym, oglądając na zdjęciu kieszenie Morvala: są zwrócone w dół. Jakiś przedmiot, coś mogło wpaść do wody, wbić się w piasek, zniknąć.

Sérénac kładzie rękę na czole.

– To niegłupie... Dlaczego nie, w końcu... Sylvio, hej, obudziłeś się? Zorganizujesz mi ekipę, jak najszybciej, ze specjalistą od osadów rzecznych, sedimentologiem albo innym od tych spraw. Rozumiesz? Naukowiec, który byłby zdolny określić z dokładnością do dnia wiek całego gówna, które wydobędziemy z mulistego dna strumienia!

– Okay – mówi Bénavides i podnosi powieki z wysiłkiem ciężarowca. – Wszystko będzie gotowe na pojutrze. Jutro, przypominam, dla nas obu to dzień dziedzictwa kulturalnego. W programie zwiedzanie ogrodów Claude'a Moneta dla pana, a dla mnie Muzeum Sztuk Pięknych w Rouen.

Ulica Blanche-Hoschedé-Monet, wieczorne światło wciska się między zasłony w pokoju na poddaszu państwa Dupain. Normandzkie chaty do sprzedania gniołą

się na kredowym papierze w nerwowych palcach Jacques'a Dupaina.

– Wezmę adwokata, Stéphanie... Można by powiedzieć, że...

Jacques Dupain przewraca się na drugi bok. Nie musi sprawdzać. Wie, że mówi do pleców żony. Do jej karku. Do jej długich jasnych włosów. Do ćwiartki twarzy. Do ręki, która trzyma książkę. Czasem, jak ułożenie pościeli sprzyja, do dołka z nerkami, do delikatnej pupy, którą chciałby pieścić co noc, ale się powstrzymuje.

– Można powiedzieć, że ten gliniarz chce mnie zrobić – ciągnie Dupain. – Że robi z tego sprawę osobistą.

– Nie martw się – odpowiadają plecy. – Uspokój się...

Jacques Dupain próbuje z powrotem zagłębić się w broszurę z domami na sprzedaż. Na tarczy budzika stojącego dokładnie na wprost niego powoli mijają minuty.

21.12...

21.17...

21.24...

– Co czytasz, Stéphanie?

– Nic.

Plecy nie są rozmowne.

21.31...

21.34...

– Chciałbym znaleźć dom dla ciebie, Stéphanie. Coś innego niż ta mansarda nad szkołą. Dom twoich marzeń. W końcu to mój zawód. Kiedyś wreszcie ci go ofiaruję. Jeśli będziesz cierpliwa, będę mógł...

Plecy lekko się poruszyły. Ręka wyciąga się do szafki nocnej, odkłada książkę.

Aurelian.

Louis Aragon.

Naciska wyłącznik nocnej lampki.

– Żebyś mnie nigdy nie opuściła – wtrąca w ciemności głos Jacques'a Dupaina.

21.37...

21.41...

– Nie pozwolisz mi, Stéphanie? Nie pozwolisz temu gliniarzowi, żeby nas rozdzielił? Wiesz przecież, że nie mam nic wspólnego z morderstwem Morvala.

– Wiem, Jacques. Oboje to wiemy.

Plecy są gładkie i zimne.

21.44...

– Zrobię to, Stéphanie... Znajdę twój dom, nasz dom...

Odgłos gniecionej prześcieradła.

Plecy znikają. Dwie piersi i seks wpraszają się do rozmowy.

– Jacques, zrób mi dziecko. Najpierw dziecko.

– 35 –

James leży na plecach i rozkoszuje się ostatnimi promieniami słońca: jeszcze z piętnaście minut, zanim schowa się ono za wzgórzem. James wie, że będzie wtedy ciut po dwudziestej drugiej. Nie nosi zegarka, żyje zgodnie z rytmem słońca, tak jak robił to Monet, wstaje i kładzie się wraz z nim. No, teraz codziennie trochę później. Na razie ciało niebieskie bawi się w chowanego z topolami.

Przyjemne jest to zmienne ciepło. James zamyka powieki. Zdaje sobie sprawę, że coraz mniej maluje, a coraz więcej sypia. Mówiąc tak, jakby pewnie powiedzieli mieszkańcy miasteczka, coraz bardziej staje się kloszardem, a coraz mniej artystą.

Co za rozkosz! Uchodzić za kloszarda w oczach poczciwych ludzi. Zostać lokalnym kloszardem, tak jak każde miasteczko ma swojego księdza, mera, belfra, swojego listonosza... On będzie kloszardem Giverny. Podobno był tu już jeden za czasów Claude'a Moneta. Przezywano go Markizem z powodu filcowego kapelusza, którym pozdrawiał przechodniów. Ale Markiz znany był przede wszystkim z tego, że zbierał pod domem Moneta niedopałki papierosów, które stary malarz ledwie zapalał. Wypychał sobie nimi kieszenie. Duża klasa!

Tak, zostać kloszardem Giverny, Markizem. To ci dopiero ambicja. Ale James ma świadomość, że zanim do tego dojdzie, ma jeszcze długą drogę do przebycia! Na razie poza małą Fanette nikt się nie interesuje tym starym szaleńcem, który sypia w polu ze swoimi sztalugami.

Poza małą Fanette...

Fanette mu wystarcza.

To nie są słowa puszczone na wiatr, Fanette rzeczywiście jest bardzo uzdolnioną dziewczynką. O ileż zdolniejszą od niego. Ten dzieciak to prawdziwy dar niebios, tak jakby dobry Bóg specjalnie sprawił, że się urodziła w Giverny, jakby dobry Bóg specjalnie postawił ją na jego drodze.

Dopiero co nazwała go „ojcem Trognonem”! Tak jak w obrazie Robinsona *Ojciec Trognon*... James chciałby tak właśnie umrzeć, smakując po prostu te dwa słowa wypowiedziane przez Fanette.

Ojciec Trognon.

Dwa słowa jak synteza jego poszukiwań... Od arcydzieła Theodore'a Robinsona

do zuchwalstwa geniusza na trawie.

On.

Ojciec Trognon.

Kto by pomyślał?

*

Słońce już nie świeci.

A przecież nie ma jeszcze dwudziestej drugiej. Nagle robi się ciemno, jakby słońce gwałtownie zamieniło zabawę w chowanego pośród topoli na ciuciubabkę. Jakby słońce zostało za topolą i liczyło do dwudziestu, dając księżycowi trochę przewagi, żeby uciekał...

James otwiera oczy. Tężeje! Przerażony!

Widzi tylko kamień, olbrzymi kamień nad głową, tuż nad głową, mniej niż pół metra od twarzy.

Surrealistyczna wizja.

Zbyt późno zdaje sobie sprawę, że to nie sen. Kamień miażdży mu twarz, jakby to był zwykły dojrzały owoc. James czuje, jak pęka mu skroń, i jednocześnie potworny ból.

Wszystko się chwieje. Przewraca się na brzuch. Czołga się wśród kłosów zboża. Niedaleko od strumienia, domu, tego młyna. Mógłby krzyczeć.

Żaden dźwięk nie wydostaje się z jego ust. Walczy, żeby nie stracić przytomności. Jakieś straszliwe buczenie, szum wypełnia jego myśli, czaszka się nadyma jak maszyna parowa, która zaraz wybuchnie.

James pełźnie jeszcze kawałek. Czuje, że jego napastnik jest tuż, że stoi nad nim, gotów go dobić.

Na co czeka?

Jego oczy trafiają na dwie drewniane nogi. Sztaluga. Ręce czepiają się jej rozpaczliwie. Mięśnie jego ręki napinają się w ostatniej próbie podniesienia się.

Sztaluga pada z ogłuszającym trzaskiem. Kasetka malarska spada tuż obok niego. Pędzle, ołówki, tubki z farbami porozrzucane w trawie. James przypomina sobie pospiesznie to zdanie wyryte wewnątrz kasety. „Jest moja tu, teraz i na zawsze”. Nie zrozumiał tej groźby. Ani nie wiedział, kto ją napisał i dlaczego.

Czy może widział coś, czego nie powinien był widzieć?

Umrze, nie dowiedziawszy się. Ma wrażenie, że myśli go opuszczają, że spływają na ziemię wraz z resztką jego krwi, jego skóry. Posuwa się teraz po

tubkach z farbami, przygniata je, wyciska. Posuwa się dalej, prosto przed siebie.

Dostrzega cień, ciągle nad sobą.

Wie, że powinien się uspokoić, przekręcić się na plecy. Próbować wstać. Wypowiedzieć choć słowo. Nie może. Paraliżuje go paniczny strach. Cień starał się go zabić. Cień znowu zaatakuje. Powinien uciekać. Nie potrafi już rozumować inaczej, za dużo tego buczenia i szumu w czaszce. Myśli już tylko pierwotnymi popędami. Czołgać się. Oddalić się. Uciec.

Przewraca drugą sztalugę. Przynajmniej tak mu się zdaje. Teraz krew zalewa mu oczy. Wzrok mu się mąci. Krajobraz wokół niego pokrywa się czerwonymi, purpurowymi, rdzawymi plamami. Chyba niedaleko jest strumyk. Może jeszcze się wydostać, może ktoś przyjdzie.

Czołgać się dalej.

Przed nim jeszcze jedna sztaluga. Z paletą, pędzlami, szpachlami.

Cień go wyprzedza.

Jest teraz z przodu, przed nim. Przez czerwony kleisty filtr James widzi dłoń, która chwyta jego szpachlę do skrobania farby. I zbliża się.

To koniec.

James czołga się jeszcze kilka centymetrów, potem podpira się rękami. Ostatkiem sił. Jego ciało obraca się wokół siebie raz, dwa razy, kilka razy. Przez chwilę James ma nadzieję, że zsunie się po zboczach, potoczy daleko, że zjedzie po lekkim nachyleniu łąki aż do Epte; że w ten sposób się uratuje.

Tylko przez chwilę.

Jego ciało zatrzymuje się, osiada na leżących kłosach. Na plecach. Nie przebył nawet dwóch metrów. Nic już nie widzi. James pluje mieszaniną krwi i farby. Nie może już zebrać dwóch spójnych myśli.

Cień się zbliża.

James ostatni raz próbuje poruszyć mięśniami, tylko jednym. Nie jest do tego zdolny. Nie panuje już nad swoim ciałem. Może tylko nad oczami.

Cień jest nad nim.

James patrzy nań.

Nagle jakby mu rozum wrócił. Ostatnia myśl skazańca. James natychmiast rozpoznał cień, ale nie chce wierzyć własnym oczom. To niemożliwe! Skąd taka nienawiść? Jakie szaleństwo mogło ją wzbudzić?

Jedną ręką przyciska go do ziemi, drugą wbija mu nóż w pierś. James nie zdoła już się poruszyć. Mózg już prawie nie sprawia mu cierpienia. Jest przerażony.

Teraz zrozumiał.

Teraz James chciałby żyć!

Nie, żeby nie umierać. Jego życie ma takie małe znaczenie. Chciałby żyć, żeby przeszkodzić temu, czego się domyśla, żeby zatrzymać ten straszny monstrialny łańcuch, nieunikniony, to przerażające knowanie, którego on jest tylko drobnym odpadem, drugorzędnym dramatem.

Czuje zimne ostrze zagłębiające się w jego ciele.

Jest za stary. Już nawet nie cierpi. Życie go opuszcza. Czuje się tak bezużyteczny. Nie zdołał przeciwstawić się dramatowi, który się zawiązuje. Był za stary, żeby chronić Fanette. Kto teraz będzie mógł pomóc dziewczynce? Kto będzie mógł chronić ją przed cieniem, który ją spowije?

Ostatnim spojrzeniem James obejmuje łąn zboża pochylony przez wiatr. Kto odnajdzie jego zwłoki wśród kłosów? Kiedy, po jakim czasie? Za kilka godzin? Za kilka dni? W ostatniej halucynacji zdaje mu się, że widzi, jak ukazuje się pani z parasolką, Camille Monet, wśród wysokich dzikich zielsk i maków.

Teraz już niczego nie żałuje. W gruncie rzeczy opuścił swoje Connecticut właśnie po to. Żeby umrzeć w Giverny.

Dzień powoli się kończy.

Ostatnią rzeczą, jaką James poczuje, zanim umrze, będzie muśnięcie sierści Neptuna na jego zimnej skórze.

DZIEŃ DZIEWIĄTY
21 maja 2010
(*Chemin du Roy*)

UCZUCIA

– 36 –

Drugi z kolei słoneczny dzień. W Giverny. Wierzcie mi, o tej porze to prawie mały cud.

Idę chemin du Roy. Im bardziej się starzeję, tym mniej rozumiem tych turystów, którzy potrafią czekać ponad godzinę, żeby wejść do ogrodów przy ulicy Claude-Monet, stoją jeden za drugim na chodniku, w kolejce ciągnącej się ponad dwieście metrów. A przecież wystarczy pospacerować po chemin du Roy: każdy może oglądać ogrody i dom Moneta bez żadnego czekania przez zielony parkan postawiony wzdłuż drogi departamentalnej, może robić niezapomniane zdjęcia, wdychać zapach kwiatów.

Samochody jadą jeden za drugim, ścinają rośliny, które oddzielają jezdnię od ścieżki rowerowej. Za każdym razem kiedy przejeżdża trochę za bardzo się spieszący samochód, liście drżą, jakby dostały spazmów. Tak jak faceci stąd, którzy pracują w Vernon i którzy od dawna nie odwracają już głowy w stronę różowego domu z zielonymi okiennicami. Dla nich chemin du Roy to jest D5, droga do Vernon. Nic poza tym.

Ja natomiast, przy prędkości, z którą idę, mam czas, by podziwiać kwiaty. Nie będę opowiadać historii, wiadomo, że ogród jest wspaniały. Katedra z róż, krąg sasaneek, zagroda normandzka i jej kaskady klematisów, masyw różowych tulipanów i niezapominajek... Tyle arcydzieł...

Kto by zaprzeczył?

Amadou Kandy opowiadał mi nawet, że dziesięć lat temu otworzyli w Japonii

w wiosce w szczerym polu dokładną replikę domu Moneta, zagrody normandzkiej i ogrodu wodnego. Dacie wiarę? Widziałam fotografie, prawie nie można odróżnić prawdziwego Giverny od podrabianej tandety. Powiecie może, że fotografie pokazują to, co chcemy... Ale przecież naprawdę, co to za pomysł budować drugie Giverny w Japonii! To wszystko stanowczo mnie przerasta.

Przyznam się wam, że od lat nie wchodziłam do ogrodów Moneta. Znaczący do tych prawdziwych, w Giverny. Teraz za dużo tam ludzi jak dla mnie. Z tymi tysiącami turystów, którzy się tam przewalają, tłoczą, deptają sobie po piętach, to miejsce nie nadaje się już dla takiej starej jak ja. Poza tym kiedy turyści zwiedzają dom Moneta, często bywają zaskoczeni: to nie jest galeria sztuki. W domu Moneta nie ma ani jednego obrazu mistrza, ani jednego płótna z nenufarami, mostem japońskim czy topolami. Tylko dom, pracownia i ogród. Aby zobaczyć prawdziwe obrazy Moneta, trzeba jechać do Orangerie, do Marmottan, do Vernon... Tak, ogólnie rzecz biorąc, lepiej mi jest po drugiej stronie bariery. No i moje emocje obchodzą tylko mnie. Wystarczy, że zamknę oczy, od razu widzę zdumiewającą urodę ogrodu, jest w nich zapisana.

Na zawsze. Wierzcie mi.

Ci narwańcy wciąż pędzą po chemin du Roy. Właśnie przejechała toyota z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę. Może nie wiecie, ale to Claude Monet zafundował asfalt sto lat temu, bo kurz na drodze osadzał się na jego kwiatach! Lepiej by zrobił, fundując objazd. Nie macie pojęcia, naprawdę, taki ogród przecięty na pół przez drogę departamentalną i turyści, którzy przejeżdżają pod nią tunelem.

No, dobrze... Może macie już dość tych średnio interesujących rozważań starej mieszkanki Giverny na temat rozwoju jej miasteczka i okolic. Rozumiem was. Zastanawiacie się przede wszystkim, o co tak naprawdę mi chodzi. To was interesuje, co? Jaka jest moja rola w tej aferze? W którym momencie przestanę szpiegować wszystkich i przemówię? Jak? Dlaczego? Cierpliwości, cierpliwości. Jeszcze kilka dni, może więcej niż kilka dni. Pozwólcie mi jeszcze trochę korzystać z powszechnej obojętności wobec staruszki, której nie poświęca się więcej uwagi niż słupowi czy tablicy informacyjnej, zawsze tu stojących. Nie będę wam opowiadać, że wiem, jak się ta sprawa skończy, nie, ale jednak coś tam sobie myślę.

To ja zamknę nawias tej historii, wierzcie mi. I nie zawiodę was, bądźcie pewni!

Nieco cierpliwości, proszę. Pozwólcie mi jeszcze opisać trochę ogrody Moneta, na które patrzę. Słuchajcie pilnie, bo każdy szczegół się liczy. W majowe poranki

są one na ogół szturmowane przez wycieczki szkolne. Przez cały miesiąc codziennie rano w ogrodzie jest tak głośno jak na dziedzińcu szkolnym. No tak, to oczywiście zależy od nauczycielki, od jej zdolności zainteresowania dzieciaków malarstwem. A również od stanu ich podekscytowania w zależności od liczby godzin, które spędziły zamknięte w autokarze.

Niekiedy całą noc! Bywają takie nauczycielki sadystki! Ale przynajmniej jak już dzieci są w ogrodzie, belfry mogą być spokojne, wystarczy dyskretny nadzór. Dzieciaki są tu jak na skwerze, tylko ciut więcej pedagogiki. Wypełniają kwestionariusz, rysują. Poza tym, że mogą się utopić wśród nenufarów, nic im nie grozi.

Po chemin du Roy jedzie samochód piekarni Lorin, trąbi na mnie, daję mu znak ręką. Richard Lorin jest ostatnim sklepikarzem, który mnie zna, oprócz Amadou Kandy'ego i jego galerii sztuki. Co roku w Giverny zmienia się dużo szyldów, galerii, hoteli, noclegowni. Raz te, raz inne. Giverny to przyływy i odpływy kwitnących kwiatów. Ja teraz widzę to z daleka. Siedząc na piasku.

Jeszcze czekam...

Usłyszałam odgłos motocykla, dźwięk charakterystyczny dla tigera triumpha T100. Maszyna jedzie zaparkować w uliczce Leroy, w pobliżu wejścia dla grup. To też pewnie wydaje wam się dziwne, że przeszło osiemdziesięcioletnia kobieta może rozpoznać, jedynie po odgłosie, markę motocykla. I to starego motocykla, prawie starożytnego. Gdybyście wiedzieli... Wierzcie mi na słowo, odgłos tigera triumpha T100 mogłabym chyba rozpoznać wśród tysiąca innych.

Mój Boże, jak to zapomnieć...

Zaznaczam zresztą, że nie ja jedna natężyłam słuch. Po niedługiej chwili z najwyższego okna domu Claude'a Moneta wychyliła głowę Stéphanie Dupain, z połową twarzy zasłoniętą przez dzikie wino. Ze swojego gołębnika udaje, że liczy dzieci.

Też coś...

Czuję, jak się trzęsie na sam dźwięk jadącego motocykla. Niby pilnuje dzieciaków, które biegają między klombami kwiatów. A ja myślę, że te dzieciaki z jej klasy właśnie teraz będą mogły robić, co zechcą...

Stéphanie Dupain biegnie po schodach. Laurenç Sérénac czeka na nią w salonie czytelnicy.

– Dzień dobry, Stéphanie. Miło znów panią widzieć.

Nauczycielka jest zdyszana. Laurenç wykonuje półobrót.

– Mój Boże, po raz pierwszy wchodzę do domu Claude’a Moneta. Dziękuję, że mi to pani zorganizowała. Dużo o nim słyszałem, ale to... ależ to fascynujące...

– Dzień dobry, inspektorze. Będzie pan więc mógł pozwiedzać. To prawda, że ma pan szczęście, to wyjątkowa okazja, bo ogród Moneta jest dziś otwarty tylko dla szkoły w Giverny. Wyjątkowo! To się zdarza jedynie raz w roku, że mamy do dyspozycji apartamenty Moneta tylko dla siebie...

Tylko dla siebie...

Laurenç Sérénac nie potrafi określić, jakie ogarnia go podniecenie. Coś między ułudą a niedomaganiem.

– A pani uczniowie?

– Bawią się w ogrodzie. Nic im nie grozi, niech pan będzie spokojny, zabrałam tylko najstarszych. I mam ich na oku, wszystkie okna w tym domu wychodzą na ogród. Najpoważniejsi prawdopodobnie malują, szukają natchnienia, za kilka dni mają oddać gotowe obrazy na konkurs „Malarze na trawie” zorganizowany przez fundację Robinsona. Inni to olewają i pewnie bawią się w chowanego między mostkami, wokół stawu... Wie pan, tak tu już bywało za czasów Moneta. Nie ma co wierzyć w mit o cichym domu zamieszkanym przez starego artystę pustelnika, w domu Claude’a Moneta roiło się od jego dzieci i wnuków.

Stéphanie idzie naprzód i przyjmuje postawę przewodnika.

– Jak pan zauważył, inspektorze, znajdujemy się w niebieskim saloniku... Wychodzi on na dziwny sklep spożywczy. Niech pan popatrzy na te pudełka od jajek zawieszane na ścianach...

Nauczycielka ma na sobie przedziwną niebiesko-czerwoną sukienkę z jedwabiu z szerokim paskiem w talii, zapiętą pod samą szyję na dwa guziki-kwiatki. Wygląda w tej sukience jak gejsza, która zeszła z ryciny. Włosy ma ściągnięte, zaczesane do tyłu. Jej fiołkowe spojrzenie rozplywa się w pastelowej barwie ścian. Sérénac nie wie, w którą stronę odwrócić oczy. W tym stroju Stéphanie przypomina mu dziwnie obraz Claude’a Moneta, którym zachwycił się przed laty, portret jego pierwszej żony, Camille Doncieux, przebranej za gejszę. On, w dżinsach, koszuli i tej swojej skórzanej kurtce, czuje się prawie jak intruz.

– Przejdziemy do następnej sali? – proponuje łagodnym głosem jego przewodniczka.

Żółta.

Cała sala jest żółta. Ściany, pomalowane meble, krzesła. Sérénac zatrzymuje się zdumiony.

Jego hostessa podchodzi do niego.

– Znajduje się pan teraz w jadalni, w której Claude Monet przyjmował wybitnych gości...

Laurencz zachwyca się żyrandolem. W końcu jego spojrzenie pada na obraz wiszący na ścianie. Pastel Renoira. Siedząca dziewczyna w ogromnym białym kapeluszu. Podchodzi bliżej, podziwiając wycieniowanie tonów między długimi brązowymi włosami a brzoskwiniową skórą młodzieńczej modelki.

– Bardzo ładna reprodukcja – komentuje.

– Reprodukcja? Jest pan pewny, inspektorze?

Sérénac wpatruje się w obraz, zdziwiony jej pytaniem.

– No, więc... gdybym oglądał ten obraz w muzeum w Paryżu, ani przez sekundę nie miałbym wątpliwości, że to oryginał. Ale tu, w domu Moneta. Wszyscy wiedzą, że...

– A gdybym – przerywa Stéphanie – powiedziała panu, że to właśnie prawdziwy Renoir, oryginał?

Nauczycielka uśmiecha się, widząc minę zbitego z tropu inspektora. Trochę ciszej dodaje:

– Ale ciii, to tajemnica... Nie wolno nikomu mówić.

– Pani sobie żartuje ze mnie...

– Och, nie. Wie pan, zdradzę panu inną tajemnicę, inspektorze. Jeszcze bardziej zdumiewającą. W domu Moneta, jak dobrze poszukać w niektórych szafach, w pracowni, na poddaszu, można znaleźć jeszcze całą serię arcydzieł. Dziesiątki! Renoiry, Sisleye, Pissarry. Autentyki. Monety oczywiście też, oryginały *Nenufarów*... Na wyciągnięcie ręki!

Laurencz Sérénac obserwuje Stéphanie skonsternowany.

– Stéphanie, po co mi pani opowiada takie bajki? Wszyscy wiedzą, że to niemożliwe. Płótna Renoira czy Moneta przedstawiają taką wartość pieniężną... Również kulturalną. Czy można sobie wyobrazić, że mogą gnić tutaj w kurzu? To... to śmieszne...

Stéphanie wykrzywia twarz cudownym grymasem.

– Laurencz, to, że moje rewelacje wydają się panu nieprawdopodobne, to zgoda, ma pan prawo. Ale żeby pan myślał, że są niemożliwe czy śmieszne, to nie, tu mnie pan rozczarował, bo przecież mówię panu samą prawdę. Zresztą wielu mieszkańców Giverny wie o tych prawdziwych skarbach ukrytych w domu Moneta. Ale... można powiedzieć, że to coś w rodzaju lokalnej tajemnicy, coś,

o czym się nie mówi.

Laurenc̄ Sérénac czeka, aż nauczycielka wybuchnie śmiechem. Ale ta chwila nie nadchodzi, chociaż oczy Stéphanie skrzę się złośliwością.

– Stéphanie – rzuca w końcu. – Przepraszam, trzeba by przetestować pani żarty na jakimś gliniarzu, który jest mniejszym niedowiarkiem niż ja.

– Nadal mi pan nie wierzy, Laurenc̄? Trudno. W końcu to nie takie ważne, nie mówmy już o tym...

Nauczycielka odwraca się gwałtownie. Sérénac jest zakłopotany. Mówi sobie, że nie powinien był tu przychodzić, nie tu, nie teraz. Powinien był się umówić ze Stéphanie gdzie indziej. Już... już za późno. Wszystko się wywraca. Chociaż to ani moment właściwy, ani miejsce... Rzuca:

– Stéphanie. Nie przyszedłem tu tylko po to, żeby pozwiedzać z przewodnikiem czy podyskutować o malarstwie. Musimy porozmawiać...

– Ciii...

Stéphanie kładzie palec na ustach, jakby chciała mu dać znak, że to niewłaściwy moment. To pewnie stary nauczycielski wybieg.

Pokazuje oszklone kredensy.

– Claude Monet dbał również o godne przyjmowanie gości. Niebieskie fajanse z Creil i Montereau, japońskie sztychy...

Laurenc̄ Sérénac nie ma wyjścia, chwytą Stéphanie za ramiona. Natychmiast zrozumiał, że nie powinien był tego robić. Jedwabna tkanina jest gładka jak skóra na skórze. Tkanina nasuwa różne myśli, ale nie są to myśli gliniarza.

– Stéphanie, ja nie żartuję. Wczoraj z pani mężem nie odbyło się to zbyt dobrze...

Ona się uśmiecha.

– Miałam krótkie sprawozdanie wieczorem.

– Jest podejrzany. To poważna sprawa...

– Myli się pan...

Palce Laurenc̄a mimo woli ślizgają się po jedwabiu, jakby pieścił jej skórę... Nie ośmiela się na więcej. Walczy, żeby zachować przytomność umysłu.

– Niech pani przestanie pogrywać ze mną, Stéphanie. Wczoraj podczas przesłuchania pani mąż zeznał, że tego ranka, kiedy popełniono zbrodnię, leżał z panią w łóżku. A trzy dni temu pani mnie zapewniała, że było inaczej. A więc jedno z was kłamie... Pani mąż albo...

– Laurenc̄, ile razy mam to panu powtarzać: nie byłam kochanką Jérôme'a Morvala. Ani nawet bliską przyjaciółką. Laurenc̄, mój mąż nie miał żadnego powodu, żeby zabijać Morvala! Znam klasyków, inspektorze. Nie ma motywu, alibi niepotrzebne.

Śmieje się uroczo, wije się jak węgorz i mówi dalej:

– Pan się lubuje w inscenizacjach, Laurenç. Czy po tej swojej słynnej operacji zbierania kaloszy w Giverny będzie pan teraz pytał wszystkie pary małżeńskie w miasteczku, czy spały ze sobą rano w dniu zbrodni?

– To nie jest zabawa, Stéphanie...

Głos Stéphanie przybiera nagle tembr głosu surowej nauczycielki:

– Wiem o tym dobrze, Laurenç. Niech więc pan przestanie mnie zamęczać tą zbrodnią, tym wstrętnym śledztwem. Nie to jest ważne. Wszystko pan psuje.

Odsuwa się, ucieka, jakby się ślizgała po ceglasto-słomkowej posadzce. Odwraca się, znowu uśmiechnięta.

– Kuchnia!

Tym razem w oczy Laurença Sérénaca rzuca się kolor niebieski. Niebieskie ściany, niebieskie fajanse, wszystkie odcienie, od błękitu po turkus.

Stéphanie przybiera ton straganiarki zachwalającej towar:

– Gospodyniom podobają się szczególnie naczynia kuchenne, mnóstwo... miedziane... fajanse z Rouen...

– Stéphanie...

Nauczycielka staje przed kominkiem. Zanim Sérénac zdążył zareagować, jej dłonie uczepliły się obu pół jego skórzanej kurtki.

– Inspektorze, żeby wszystko było jasne. Postawmy raz na zawsze kropkę nad i. Mój mąż mnie kocha. Mojemu mężowi na mnie zależy. Mój mąż nie potrafi kogokolwiek skrzywdzić. Niech pan szuka innego winnego!

– A pani?

Zaskoczona, rozluźnia trochę palce.

– Jak to? Czy ja jestem zdolna do tego, by kogoś skrzywdzić, o to mnie pan pyta?

W jej fiołkowych oczach ukazuje się coś, czego on jeszcze nie zgłębił.

Sérénac, zakłopotany, mamrocze:

– N... nie. Cóż znowu. Chciałem powiedzieć: A pani? Pani go kocha?

– Zaczyna pan być niedyskretny, inspektorze.

Puszcza skórę kurtki i pędzi znowu do jadalni, do salonu, do sklepiku. Laurenç idzie za nią w pewnej odległości, nie wiedząc, jaką przyjąć postawę. Od sklepiku drewniane schody prowadzą na piętro. Sukienka Stéphanie ślizga się po boazerii, jakby ją chciała wypolerować.

Tuż przed zniknięciem na stopniach nauczycielka rzuca słowo. Jedno jedyne słowo:

– Nareszcie!

– 38 –

Sylvio Bénavides stoi na placu przed katedrą w Rouen. Dawno nie był w Rouen, prawie rok. Myśli sobie, że z tym przewodnikiem w dłoni pewnie go biorą za turystę. Nie szkodzi. Za pół godziny jest umówiony z konserwatorem Muzeum Sztuk Pięknych, niejakim Achille'em Guillotinem, ale postarał się przyjechać wcześniej, jakby po to, by się przygotować psychicznie i zanurzyć w impresjonistycznej atmosferze starego Rouen.

Odwraca się w stronę informacji turystycznej i zagląda do swojej broszury: na pierwszym piętrze tego budynku Claude Monet namalował większość swoich katedr w Rouen, w sumie dwadzieścia osiem obrazów, każdy inny, w zależności od pory dnia czy pogody. Biuro informacji turystycznej za czasów Moneta było magazynem ubrań, a dużo wcześniej pierwszą renesansową budowlą w Rouen: pałacem skarbowym. Sylvio czyta przewodnik. Claude Monet namalował również katedrę pod innymi kątami, z różnych domów na placu, niektóre z nich zostały zniszczone podczas wojny, na ulicy Grand-Pont czy na ulicy du Gros-Horloge.

Inspektor uśmiecha się, wyobrażając sobie Claude'a Moneta zjawiającego się o świcie ze sztalugą u śpiących jeszcze ludzi albo tkwiącego przez cały dzień, miesiącami, w salonie krawieckim dla pań, po kolei przy każdym z okien: wszystko po to, by ze trzydzieści razy namalować ten sam motyw. Pewnie brali go za wariata...

Ludzie w gruncie rzeczy podziwiają wariatów.

Sylvio odwraca się w stronę katedry. Tak, ludzie podziwiają szaleństwo. Choćby ta katedra, podziwiać ją to w końcu przyznać, że facet, który postanowił pewnego dnia wznieść tę niesamowitą budowlę, miał rację, nawet jeśli miało to zabrać pięćset lat; ten wariat, który zapewne nalegał, by iglica katedry była najwyższa we Francji, nawet gdyby kilka tysięcy robotników więcej straciło przy tym życie. W tamtych czasach taki plac budowy to musiała być rzeźnia, ale nikt o tym nie pamięta. W końcu zawsze się zapomina. Zapomina się o rzeźni, zapomina się o barbarzyństwie, a podziwia się szaleństwo.

Inspektor spogląda na zegarek, nie powinien już zwlekać, jeśli nie chce się spóźnić, zachował ten uczniowski odruch, żeby zawsze być punktualnie. Opuszcza plac przed katedrą i przechodzi pod arkadami marketów. Ulica des Carmes, czyta. Muzeum jest na lewo, o ile dobrze zrozumiał. Skręca w małą wąską ulicę z domami

z muru pruskiego. Zawsze miał trudności z orientacją w średniowiecznym centrum Rouen. To miasto sprawia na nim wrażenie czegoś w rodzaju labiryntu wymyślonego przez torturowanego faceta. O, może przez tego samego, który chciał, żeby jego katedra była najwyższa. Dodatkowa trudność, Sylvio nie za bardzo się skupia na drodze, którą idzie. Odkąd jest w Rouen, nie przestaje myśleć, że w tej sprawie Morvala jest coś, co kuleje. Tak jakby ktoś pociągał za sznurki całej tej historii, jakiś makiaweliczny Tomcio Paluch, który rzuca im wskazówki, żeby ich zaprowadzić tam, gdzie chce. Kto?

Sylvio dochodzi do placu 19-Avril-1944. Chwilę się zastanawia, potem skręca gwałtownie na prawo, w momencie gdy mija go wózek pchany przez energiczną matkę. Mamusia najeżdża mu na nogę, nie zwalniając, podczas gdy inspektor bąka jakieś przeprosiny, wciąż pogrążony w swoich myślach.

Kto?

Jacques Dupain? Amadou Kandy? Stéphanie Dupain? Patricia Morval?

Giverny to małe miasteczko, powtarzają jego mieszkańcy: tu wszyscy się znają. A jeśli wszyscy strzegą tajemnicy? Na przykład ten wypadek, utonięcie tego chłopca w 1937 roku? Bénavides posuwa się już do wymyślania najbardziej szalonych hipotez. Doszedł nawet do tego, że zastanawia się, czy jego szef pogrywa z nim całkowicie uczciwie. Laurenç Sérénac czasami w dziwny sposób podchodzi do wszystkich tych historii z malarstwem. Nie bardzo mu się podoba ten zbieg okoliczności, to, że jego szef jest miłośnikiem malarstwa, i to do tego stopnia, że wiesza obrazy w swoim gabinecie, że zanim został przeniesiony do Vernon, przesłuchiwał ludzi z kręgów nielegalnego handlu dziełami sztuki, i jakby przypadkiem od razu trafia na morderstwo kolekcjonera... W Giverny! Nie mówiąc o tej obsesji, żeby zwalić wszystko na Jacques'a Dupaina, kiedy jednocześnie flirtuje z jego żoną... Mówił o tym Béatrice, ale nie wie, dlaczego jego żona uwielbia Laurença. A przecież widzieli się tylko raz, a i to...

Sylvio dostrzega przed sobą skwer graniczący z ogromnym szarym placem. Przed schodami czeka koło dziesięciu osób. Rozpoznaje wejście do Muzeum Sztuk Pięknych. Przyspiesza kroku, nie przerywając swoich rozważań. Tak, Béatrice cały czas mu mówi, że Laurenç jest uroczym facetem, interesującym, zabawnym. Dodała nawet coś takiego: „Jak na gliniarza posiada zadziwiającą wrażliwość, coś w rodzaju kobiecej intuicji”. Może dlatego – tłumaczy sobie Sylvio – mam te zastrzeżenia do szefa. Jak Béatrice może się podobać taki facet jak Sérénac, facet tak inny od niego? Facet, który interesuje się tylko malarstwem i dziewczynami, z którymi sypiał albo chciał sypiać Morval.

Bénavides wchodzi po stopniach Muzeum Sztuk Pięknych i nie wiedząc dlaczego, wraca w myślach do pytania, które mu dźwięczy w głowie jak obsesyjny

refren: dlaczego ludzie w gruncie rzeczy tak podziwiają szaleńców? Zwłaszcza kobiety.

Od kilku minut inspektor Sylvio Bénavides czeka w holu Muzeum Sztuk Pięknych w Rouen. Czuje się tam trochę przytłoczony wysokością sufitów, głębokością sali, żyrandolem z ogromnymi freskami. Nagle, jakby wychynął z zapadni w marmurze, zdąża do niego łyсы człowieczek w fartuchu, który mu sięga prawie do butów, i wyciąga do niego rękę.

– Inspektor Bénavides? Achille Guillotin. Konserwator muzeum. Dobrze, idziemy. Obawiam się, że nie będę mógł panu poświęcić wiele czasu, tym bardziej że w ogóle nie zrozumiałem, o co panu chodzi.

Sylvia nachodzi śmieszna myśl. Guillotin przypomina mu nauczyciela rysunków, którego miał w gimnazjum, Jeana Bardona. Nauczyciel, który ma dwadzieścia pięć lat, wydaje się mieć już czterdzieści. Ten sam wzrost, taki sam fartuch, ten sam sposób mówienia. Przez całą szkołę Sylvio jakoś dziwnie zawsze stawał się kozłem ofiarnym nauczycieli, zwłaszcza tych, co nie mieli autorytetu. Mówi sobie, że Achille Guillotin należy zapewne do tej samej kasty szefów unizonych wobec autorytetów, a tyranów dla słabszych od siebie.

Guillotin jest już daleko, wspina się po schodach niczym szara mysz. Sylvio ma wrażenie, przy każdym stopniu, że postawi on nogę na swoim za długim fartuchu i runie do tyłu.

– Dobrze, idzie pan? Co to za historia z tym morderstwem?

Bénavides drepce za szarym fartuchem.

– Facet dość bogaty. Okulista z Giverny. Między innymi kolekcjonował obrazy. Szczególnie interesował się Monetem i *Nenufarami*. To może nawet motyw zbrodni.

– No i co?

– No i to, że po prostu chciałbym o tym wiedzieć coś więcej.

– A nie macie nikogo kompetentnego w policji?

– Mamy... Inspektor, który koordynuje śledztwo, zdobył kwalifikacje w wydziale dzieł sztuki w policji, ale...

Guillotin słucha go tak, jakby wypowiedział właśnie najgorszą herezję.

– Ale?

– Ale ja chciałbym sam wyrobić sobie zdanie...

Trudno się zorientować, czy Guillotin wzdycha, czy sapie, wchodząc na podest.

– Skoro tak... Czego by się pan chciał dowiedzieć?

– Możemy zacząć od *Nenufarów*, jeśli można. Chciałbym się dowiedzieć, ile Monet ich namalował. Dwadzieścia? Trzydzieści? Pięćdziesiąt?

– Pięćdziesiąt?!

Achille Guillotin wydał z siebie mieszanię okrzyku zgrozy i sardonicznego śmiechu, odgłos, który chyba potrafią wydawać tylko hieny. Gdyby miał w rękę żelazną linijkę, to pewnie ukarałby nią po palcach inspektora ignoranta. Wszystkie surowe twarze na portretach w sali Renesansowej wydają się zwrócone w stronę Sylvia, aby go straszliwie zawstydzić. Sylvio mimo woli spuszcza głowę, gdy tymczasem Achille Guillotin gniewnie wzrusza ramionami. Inspektor Bénavides dostrzega przy okazji, że nosi on dziwaczne pomarańczowe skarpetki.

– Żarty pan sobie stoisz, inspektorze? Pięćdziesiąt *Nenufarów*! Niech pan przyjmie do wiadomości, że specjaliści skatalogowali nie mniej niż dwieście siedemdziesiąt dwa *Nenufary* malowane przez Claude'a Moneta!

Sylvio przewraca pełnymi zdziwienia oczami.

– Można też ich liczbę określić w metrach, jeśli to panu bardziej odpowiada. Monet namalował około dwustu metrów kwadratowych *Nenufarów* na zamówienie państwowe pod koniec pierwszej wojny światowej. Są wystawione w Orangerie. Ale jeśli dodamy wszystkie dzieła, których Monet nie zatrzymał u siebie, te, które malował, będąc w połowie ślepy, kiedy miał zaćmę, eksperci obliczają je na ponad sto czterdzieści metrów kwadratowych *Nenufarów* „dodatkowych”, które są wystawione na całym świecie: w Nowym Jorku, Zurychu, Londynie, Tokio, Monachium, Canberze, San Francisco... A to nie wszystko, niech pan mi wierzy. Nie mówiąc o co najmniej stu *Nenufarach*, które należą do prywatnych kolekcjonerów...

Sylvio powstrzymuje się od jakiegokolwiek komentarza. Myśli, że pewnie ma głupią minę, jak dzieciak, kiedy się dowiaduje, że za falą, która przypląwa i moczy mu stopy na plaży, jest ocean. Guillotin pędzi dalej korytarzami. Za każdym razem gdy wchodzi do sali, drzemiący dotąd strażnicy zrywają się spanikowani i zastygają w pozycji na baczność.

Po siedemnastym wieku barokowa Europa.

– *Nenufary* – ciągnie Achille Guillotin bez wytchnienia – to bardzo dziwna kolekcja, nie ma takiej drugiej na świecie. Przez dwadzieścia siedem ostatnich lat życia Claude Monet malował tylko to. Swój staw z nenufarami! Eliminował stopniowo wszelką scenerię wokół, most japoński, gałęzie wierzbowe, niebo, by skupić się wyłącznie na liściach, wodzie, świetle. Sama istota... Ostatnie płótna, kilka miesięcy przed śmiercią, zbliżają się do abstrakcji. Same plamy. To taszyzm, mówią eksperci. Nigdy czegoś takiego nie widziano. Za czasów Moneta nikt tego nie rozumie. Wszyscy biorą to za szalony pomysł starca... Kiedy umrze, *Nenufary*

starego Moneta pójdą w zapomnienie, zwłaszcza te ostatnie. Uważa się, że to czyste szaleństwo.

Sylvio nie zdążył zapytać, co Guillotin rozumie przez „zapomnienie”, bo konserwator ciągnie niez mordowany:

– Tyle że jedno pokolenie później właśnie te ostatnie płótna zapoczątkują w Stanach Zjednoczonych to, co cały świat będzie nazywać sztuką abstrakcyjną... Taki jest testament ojca impresjonizmu: wynalezienie nowoczesności! Zna pan Jacksona Pollocka?

Sylvio nie ośmiela się powiedzieć, że nie. Również nie ośmiela się powiedzieć, że tak. Guillotin wzdycha jak zde gustowany belfer.

– No, trudno. To abstrakcjonista... Pollock i inni będą czerpać natchnienie z *Nenufarów* Moneta. Wszystko. Tak samo we Francji, mam nadzieję, że zapamiętał pan, co powiedziałem. Największe *Nenufary* są wystawione w muzeum Orangerie, Kaplicy Sykstyńskiej impresjonizmu. Zostały подарowane przez Moneta państwu francuskiemu na cześć zawieszenia broni w 1918 roku. A to nie wszystko, jeśli pomyśleć o miejscu, w którym są wystawione *Nenufary*, jest jeszcze coś bajecznego...

– Ach?

Sylvio nie znalazł niczego bardziej inteligentnego do powiedzenia. Guillotin nie zwraca uwagi.

– *Nenufary* królują na osi triumfalnej! Na wielkiej osi, która przechodzi przez Notre-Dame, Luwr, ogród Tuileries, plac Zgody, Pola Elizejskie, Łuk Triumfalny, Łuk Défense... *Nenufary* za murami Orangerie są dokładnie w tej samej linii na tej osi, która symbolizuje całą historię Francji, która idzie ze wschodu na zachód zgodnie z ruchem słońca. I jakby przypadkiem Monet namalował staw z nenufarami w różnych porach dnia, od rana po wieczór, też eksponując wieczną wędrówkę słońca. Wędrówka ciał niebieskich. Triumfalna historia Francji, rewolucja w sztuce nowoczesnej... Rozumie pan teraz, dlaczego najdrobniejszy centymetr kwadratowy tych *Nenufarów* wart jest fortunę... to był zwrot w sztuce nowoczesnej. W Normandii, kilka kilometrów od Vernon, na zwykłym małym stawie. Przez prawie trzydzieści lat jedyne i unikatowe motyw obsesyjnej pracy największego geniusza malarstwa.

Na siedemnastowiecznych obrazach tkaniny świętych, królowych i księżnych zdają się odfruć, jakby poruszone liryzmem konserwatora.

– Kiedy mówi pan o fortunie, to co dokładnie ma pan na myśli?

Guillotin, jakby tego nie usłyszał, idzie w głąb sali i otwiera okno. Bénavidés się nie rusza.

– Dobrze, idzie pan?

Sylvio rozumie, że ma podążać za konserwatorem do salonu.

– Dam panu pojęcie, ile są warte jedne *Nenufary*, jeśli wierzyć ostatnim aukcjom w Londynie czy Nowym Jorku. No, na przykład, widzi pan domy Haussmanna naprzeciwko, wzdłuż ulicy Jeanne-d’Arc? No więc powiedzmy, że *Nenufary* Moneta normalnej wielkości, jakiś metr kwadratowy, odpowiadałyby, lekko licząc, dobrej setce mieszkań... W wymiarze czterech pięter na każde drzwi wejściowe to stanowi już dobrą część ulicy...

– Sto mieszkań? Pan żartuje?

– Nie. Myślę, że bez przesady mógłbym powiedzieć dwa razy więcej. Widzi pan ciągle ulicę Jeanne-d’Arc? Pojazdy, które czekają na światłach? Mogę też oszacować to panu tak: jedno płótno mogłoby być warte, powiedzmy, według ostatnich sprzedaży, między tysiąc a dwa tysiące samochodów. Oczywiście nowych. Albo też, nie wiem, prawie całą zawartość sklepów z ulic Gros-Horloge, Jeanne-d’Arc i République razem wziętych. Tak naprawdę to bezcenne, chcę, żeby pan to zrozumiał. Ma pan pojęcie? Jedno płótno *Nenufarów*!

– Pan sobie ze mnie kpi...

– Ostatni Monet wystawiony na aukcji w domu Christie’s w Londynie poszedł za dwadzieścia pięć milionów funtów... A to było młodzieńcze dzieło! Dwadzieścia pięć milionów funtów. Proszę bardzo, niech pan przeliczy na apartamenty albo na samochody.

Sylvio nie zdążył jeszcze ochłonąć, a konserwator wszedł już na następne piętro i dochodzi do sal impresjonistów.

Pissarro, Sisley, Renoir, Caillebotte... I oczywiście Monet. Słynna ulica Saint-Denis w deszczu trójkolorowych sztandarów, katedra w Rouen o szarej porze... Bénavidés mamrocze:

– A zostały jakieś *Nenufary* na rynku?

– Jak to „na rynku”?

– No, w naturze – wyjaśnia inspektor nieśmiało.

– „W naturze”? Co to znaczy „w naturze”? Czy wy w policji nie możecie być bardziej konkretni? Pan się zastanawia, czy obraz Moneta mógłby się gdzieś poniewierać, o to chodzi? Zapomniany? Na strychu w Giverny albo w piwnicy? Na pewno mówi pan sobie, że można by zabić dla takiego odkrycia, dla takiej fortuny. No więc, inspektorze, niech pan dobrze posłucha, co panu powiem...

Stopnie schodów sklepiku w domu Claude'a Moneta trzeszczą pod stopami inspektora Laurença Sérénaca.

Próbuje przegnać z umysłu zdrożne myśli, wewnętrzny głos jakiegoś anioła stróża, który podpowiada jego policyjnemu instynktowi, że wspina się po stopniach zwykłej pułapki, że te schody prowadzą do pokojów Moneta, że niepotrzebnie tu przyszedł i podąża za tą dziewczyną, że już nad niczym nie ma kontroli. Zresztą to nie takie trudne uciszyć w nim tego anioła rozsądku. Wystarczy, że przypomni sobie, co było przed chwilą, oddalający się śmiech Stéphanie, jej nogi uwięzione w tej obcisłej sukience gejszy, które jednak dziarsko zdążają na piętro, niczym dwa dokazujące zwierzaki, to zaproszenie do niedyskrecji.

Kiedy Laurenç dochodzi na piętro, Stéphanie stoi w drzwiach na korytarzu między sypialnią a łazienką. Wyprostowana jak przewodniczka ważniaczka. Ściśnięta w czerwono-niebieskiej sukience, cenniejsza i bardziej krucha i delikatna niż porcelanowy wazon.

– Prywatne apartamenty Monetów. Bardziej klasyczne, przyznaję. Bardziej intymne. Laurenç, czy coś panu dolega?

Wchodzi do pierwszego pokoju i siada na łóżku. Ogromna puchowa pierzyna pochłania ją od bioder po biust.

Niespokojne spojrzenie Laurença Sérénaca obejmuje kolory w pomieszczeniu, kremową tkaninę rozpiętą na ścianie, wyblakłą żółć bielizny pościelowej, marmurową czerń kominka, złoto lichtarzy, mahoń wezglowia.

– No, inspektorze, niech się pan odpręży. Zdaje się, że z moim mężem wczoraj wieczorem był pan bardziej rozmowny...

Laurenç nie podejmuje wątku. Przez chwilę milczą oboje. Sérénac nie podszedł do łóżka. Radosne latarenki w oczach Stéphanie zamieniają się stopniowo w melancholijną latarnię. Podnosi się z fali pierza.

– Wobec tego ja zacznę. Inspektorze, czy zna pan historię Louise, zbieraczki mniszka z Giverny?

Sérénac obserwuje ją zdziwiony, zaciekawiony.

– Oczywiście nie – ciągnie Stéphanie. – A to bardzo ładna historia. Louise to trochę nasz Kopciuszek, z Giverny. Louise była prześliczną córką chłopską, jak opowiadają. Najładniejsza w całym mieście. Młoda. Świeża. Niewinna. Około tysiąc dziewięćsetnego roku pozowała w polu artystom. Głównie Radinsky'emu, obiecującemu malarzowi czeskiemu, który przyjechał tu do Moneta i malarzy amerykańskich. Piękny Radinsky był również sławnym pianistą... Jeździł niesamowitym w tamtych czasach samochodem, 222 Z. Zakochał się w małej zbieraczce mniszka, poślubił ją, zabrał w swoje strony... Dzisiaj Radinsky jest najsłynniejszym czeskim malarzem... Wieśniaczka Louise została czeską

księżniczką. Claude Monet odkupił nawet ich brykę 222 Z, która stała się bezużyteczna, dla swojego syna Michela, a on po kilku miesiącach rozbił ją na drzewie przy avenue Thiers w Vernon. Z wyjątkiem opłakanego końca biednej bryki to piękna historia, prawda?

Laurencę Sérénac pilnuje się, żeby nie podejść bliżej i nie dać się pochłonać przez pierzynę. Skronie go pałą.

– Stéphanie, dlaczego mi pani opowiada to wszystko?

– Niech pan zgadnie...

Powoli wydostaje się z pierzyny, jakby pływająca w puchowej kąpieli.

– Muszę się panu z czegoś zwierzyć, inspektorze. To śmieszne. Dawno nie przebywałam sama w pokoju z innym mężczyzną niż mój mąż. Dawno nie śmiałam się na schodach, wyprzedzając mężczyznę. Dawno nie mówiłam o krajobrazach, o malarstwie, o poezji Aragona mężczyźnie, który by miał więcej niż jedenaście lat i który potrafiłby mnie słuchać.

Sérénac myśli o Morvalu. Bardzo uważa, żeby nie przerywać Stéphanie.

– Po prostu od dawna, inspektorze, czekałam na tę chwilę. Powiedziałabym, że całe życie.

Milczenie.

– Żeby ktoś się zjawił.

Patrzeć na coś, wszystko jedno na co, myśli błyskawicznie Sérénac. Na stopione świece, na odłazącą ze ściany farbę, wszystko jedno na co, na coś innego niż oczy Stéphanie.

Ona dodaje:

– Niekoniecznie czeski malarz... Po prostu ktoś...

Nawet jej głos ma fiołkowy kolor.

– Gdyby mi powiedziano, że to będzie gliniarz...

Stéphanie zrywa się gwałtownie, chwyta po drodze jedną z kołyszących się rąk Laurencę Sérénaca.

– Chodźmy. Muszę przecież pilnować trochę moich uczniów.

Prowadzi go do okna. Nauczycielka wyciąga rękę w kierunku mniej więcej dziesięciorga dzieci, które biegają po ogrodzie.

– Niech pan popatrzy na ten park, inspektorze, róże, szklarnie, staw. Zdradzę panu jeszcze jedną tajemnicę. Giverny to pułapka! Cudowna sceneria, na pewno. Któż by mógł marzyć, żeby mieszkać gdzie indziej? Takie ładne miasteczko. Ale wyznam panu: ta sceneria jest nieruchoma. Skamieniała. Nie wolno ozdobić inaczey żadnego domu, pomalować ściany, zerwać najmniejszego kwiatka. Zabraniają tego przepisy, z dziesięć przepisów. Żyjemy tu jak na obrazie. Jesteśmy unieruchomieni! Wydaje nam się, że znajdujemy się w pępku świata, że warto do

nas przyjeżdżać. Ale w końcu krajobraz, cała sceneria wałą się na człowieka. Coś w rodzaju werniksu przykleja człowieka do scenerii. Codzienny werniks rezygnacji. Wyrzeczenia... Louise, zbieraczka ziół z Giverny, która została czeską księżniczką, to legenda, Laurenç. To się nie zdarza. Już się nie zdarza...

Nagle zaczyna krzyczeć na troje dzieci, które przechodzą przez klomb, deptając po kwiatkach:

– Przejdźcie naokoło!

Laurenç Sérénac, podniecony, szuka jakiegoś wybiegu, aby przyhamować melancholię Stéphanie, aby zwalczyć swoje własne pragnienie wzięcia jej w ramiona, od razu, tu i teraz. Jego spojrzenie utkwione jest w orgię ogrodowych kwiatów. Harmonia kolorów. Jest urzeczony niewiarygodnym wprost wdziękiem parku.

– Czy to prawda – rzuca nagle – to, co Aragon opowiada w książce? Że Monet nie znosił widoku zwiędłego kwiatu i że ogrodnicy zmieniali je w nocy, codziennie rano nowy kolor, tak jakby cały ogród został odmalowany?

Manewr chyba się udał. Stéphanie się uśmiecha.

– Nie, nie, Aragon bardzo przesadzał. A więc przeczytał pan *Aureliana*?

– Oczywiście... Przeczytałem i zrozumiałem, jak sędzę. Wielka powieść o niemożności porozumienia dwojga ludzi. Nie ma szczęśliwej miłości... O to chodzi? Takie jest przesłanie?

– Aragon tak myślał, kiedy to pisał... Chyba tak myślał w tamtym momencie, że nie ma szczęśliwej miłości. A przecież miał zaraz przeżyć najpiękniejszą, najdłuższą odwieczną historię miłosną, jaką kiedykolwiek przeżył poeta... Wie pan o tym. Kochał Elbę do szaleństwa!

Laurenç się odwraca. Błede usta Stéphanie nadal są półotwarte. On zмага się z chęcią dotknięcia palcami tych drżących warg, by pieścić ów delikatny porcelanowy profil.

– Dziwna z pani dziewczyna, Stéphanie...

– A pan, inspektorze, ma dar uruchamiania zwierzeń. Wyznam coś panu w materii przesłuchania, jest pan o wiele bardziej subtelny, niż powiedział mój mąż. Nie, inspektorze, rozczaruję pana. Nie mam w sobie niczego dziwnego, wprost przeciwnie, jestem żałośnie banalna...

Nauczycielka czeka, waha się, potem mówi jednym ciągiem, jakby się rzucała z okna:

– Banalna, mówię panu. Chciałabym mieć dziecko, swoje dziecko, ale zdaje się, że mąż nie może mi go dać. Czy dlatego już go nie kocham? Nie myślę. Sędzę, że jak daleko sięgam pamięcią, nigdy go nie kochałam. Był. Nie gorszy niż inni. Dyspozycyjny. Kochający. Nie trafiłam źle. Widzi pan, inspektorze, jestem kobietą

banalną. Schwytaną w pułapkę. Jak tyle innych. Fakt, że jestem ładna, że urodziłam się w Giverny i że uwielbiam dzieci ze swojej klasy, chyba nic tu nie zmienia...

Dłoń Laurence'a kładzie się na dłoni Stéphanie. I dziesięć palców oplata zieloną balustradę z kutego żelaza.

– Dlaczego mi to pani wyznaje? Dlaczego mnie?

Stéphanie przygląda mu się ze śmiechem.

Czy nie jest świadoma, że przynajmniej jej oczy, choćby tylko oczy są jedyne w swoim rodzaju?

– Niech pan sobie nie robi żadnych złudzeń, inspektorze. Niech pan sobie zwłaszcza nie wyobraża... Jeśli wszystko to panu opowiedziałam, to w żadnym razie nie dla pana łobuzerskiego uśmiechu czy dla pana trochę zbyt rozpiętej koszuli, czy dla pana orzechowych oczu, które zdradzają najdrobniejsze z pańskich uczuć. Niech pan sobie zwłaszcza nie myśli, że dostrzegam pana wdzięk, inspektorze... To jedynie...

Ręka ucieka w stronę horyzontu. Stéphanie pozwala szybować niedomówieniom.

– Tak jak Louise, zbieraczka ziół, uległa czarowi 222 Z, tak ja zakochałam się jedynie w pana tigerze triumphie!

Śmieje się.

– I może jeszcze w sposobie, w jaki pan się zatrzymuje, żeby pogłaskać Neptuna...

Podchodzi bliżej.

– Ostatnia rzecz, inspektorze. Rzecz ważna! Poufna. Zwierzenie. To, że nie kocham już mojego męża, nie znaczy, że jest on mordercą. Wprost przeciwnie...

Sérénac nie odpowiada. Dostrzega tylko w tym momencie, że pięćdziesiąt metrów od nich pasażerowie samochodów jadących po chemin du Roy regularnie odwracają głowy w stronę domu Moneta, patrzą na nich, biorą ich za kochanków z balkonu.

Oszaleli?

On oszalał?

– Myślę, że najwyższy czas, żebym się zajęła dziećmi – odzywa się Stéphanie.

*

Sérénac zostaje sam, słyszy oddalające się kroki nauczycielki. Jego serce wali wściekle, jakby chciało uciec spod jego rozpiętej koszuli, jego myśli wybuchają na ścianach jego czaszki.

Kim jest Stéphanie?

Femme fatale? Zagubioną dziewczyną? Dziwką?

– 40 –

W sali impresjonistów Muzeum Sztuk Pięknych w Rouen inspektor Sylvio Bénavides otwiera oczy, wielkie jak u sowy. Achille Guillotin znowu poszedł dalej. Konserwator wyjął chusteczkę i wyciera niewidoczny ślad kurzu na brzegach obrazu Sisleya. *Powódź w Port-Marly*, informuje podpis pod obrazem. W tej samej chwili, kiedy Sylvio zastanawia się, czy Guillotin nie zapomniał o jego pytaniu, konserwator się odwraca. Jednym brzegiem chustki wyciera czoło i wygłasza kaznodziejskim tonem:

– A więc, inspektorze, pyta mnie pan o jakieś zaginione albo nieznanne płótna Moneta, które mogłyby znowu się pojawić, tak? Jeśli panu na tym zależy, to proszę, mogę się z panem zabawić w grę supozycji...

Chustka osusza mu skronie.

– Wiadomo że w pracowniach Claude’a Moneta w Giverny znajdowały się dziesiątki obrazów, w tym szkice, płótna młodzieńcze, wielkie nieukończone paneau z *Nenufarami*... Nie mówiąc o darach przyjaciół: Cézanne, Renoir, Pissarro, Manet, ponad trzydzieści płócien... Ma pan pojęcie? I cały ten majątek, ta gigantyczna fortuna, cenniejsza niż jakikolwiek zbiór muzealny na świecie, pilnowana co najwyżej przez osiemdziesięcioletniego starca i jego ogrodnika, chroniona tylko przez drzwi, które ledwo się zamykały, szyby, które wystarczyło pchnąć, popękane mury. Każdy mógł coś zgarnąć. Każdy sprytniejszy mieszkaniec Giverny więcej by zarobił na zwykłej drobnej kradzieży, niż gdyby obrobił dwadzieścia banków...

Chusteczka ostatni raz wyciera twarz i kończy jako kulka w jego garści.

– Taki majątek w zasięgu ręki, nie znam innego przykładu takiej pokusy...

Sylvio zaczyna rozumieć. Przygląda się około dziesięciu płótnom wiszącym wokół na ścianach. Muzeum w Rouen, którego kolekcja impresjonistów uchodzi za najpiękniejszą poza Paryżem, nie posiada nawet jednej czwartej zbioru obrazów, który znajdował się w pracowniach Moneta. Drąży dalej:

– Czy to możliwe, żeby w pracowniach Moneta w Giverny zostały jeszcze obrazy mistrzów?

Achille Guillotin chwilę się namyśla, potem odpowiada:

– Otóż Claude Monet umarł w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku.

Michel Monet, jego syn i spadkobierca, zapewne już bardzo dawno postarał się przenieść w bezpieczne miejsce wszystkie płótna ojca, których nie podarował muzeum. Czyli, odpowiadając na pańskie pytanie, można powiedzieć, że istnieje bardzo małe prawdopodobieństwo, by znaleźć dzisiaj w różowym domu w Giverny nowe oryginalne płótna. Ale w końcu nigdy nic nie wiadomo...

– A nie mówiąc o możliwości kradzieży – ciągnie inspektor, trochę bardziej pewny siebie – czy Monet mógł rozdać obrazy, podarować je?

– Lokalna prasa zachowała ślad darowizny jednego obrazu na loterię, która miała sfinansować szpital w Vernon. Ktoś więc musiał wygrać ten obraz, stawiając wówczas pięćdziesiąt centymów... Co do reszty musimy wciąż zadowalać się przypuszczeniami. Wiadomo że Claude Monet nie miał łatwego życia z mieszkańcami Giverny. Musiał się targować o każdą uncję swojej pasji, o zakup swojej posiadłości, o to, żeby zachować krajobrazy takimi, jak je malował, a zwłaszcza żeby zawrócić nurt wody w strumieniu w stronę stawu z nenufarami. Monet zapłacił, i to dużo zapłacił, miasteczku. Zapłacił jeszcze też za to, żeby fabryka krochmalu nie powstała dokładnie naprzeciwko jego ogrodu. Zapłacił, żeby zatrzymać w niezmienionym stanie swój skrawek przyrody, z dala od wszelkiego postępu. A przecież jakiś niegodziwy facet, radny miejski czy jakiś cwany chłop, mógł równie dobrze wynegocjować, zamiast jałmużny w wysokości pięciuset franków, któryś z obrazów mistrza. Mam świadomość, że specjaliści nie wierzą na ogół w ten rodzaj porozumienia między artystami a miejscowymi, ale czy naprawdę można wykluczyć, że spośród wszystkich mieszkańców Giverny ktoś mógł się interesować malarstwem, a przynajmniej jego wartością handlową? Monet oczywiście by dał. Nie miał wyboru... Niech pan spojrzy na przykład na dziwny młyn obok ogrodów Moneta, młyn des Chennevières, myślę o nim za każdym razem, kiedy jadę do Giverny, z powodu obrazu Theodore'a Robinsona, słynnego *Ojca Trognona*; otóż chłopci z młyna mieli wszelkie środki, by szantażować Moneta. Strumień przepływał przez ich teren. Nie będzie porozumienia z nimi, nie będzie nenufarów!

Sylvio Bénavides nie nadąza z notowaniem wszystkiego, próbuje utrwalać w pamięci natłok informacji.

– Mówi pan poważnie?

– Czy wyglądam na żartownisia, młody człowieku? Powiem panu, istnieją tacy kretyni, poławiacze skarbów, którzy przemierzają cały świat w poszukiwaniu trzech złotych monet. Gdyby byli tylko trochę bardziej cwani, zwiedziliby strychy domów w Giverny i okolicznych miasteczkach. Dobrze wiem, co się opowiada. Claude Monet niszczył obrazy, z których nie był zadowolony, lub swoje młodzieńcze dzieła. Tak bardzo się bał, że po jego śmierci antykwariusze rzucają się

na nieukończone płótna czy szkice, że w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku spalił w swojej pracowni wszystkie obrazy, które mu się nie podobały. Ale mimo całej ostrożności mistrza to byłby koniec świata, gdyby gdzieś nie zostało jakieś jego płótno. Po prostu zapomniane płótno. Za które można by kupić sobie wyspę na Pacyfiku!

Konserwator znowu zmienia salę i rzuca groźne spojrzenie na strażniczkę, która wydaje się bardziej zajęta czerwonym kolorem lakieru do paznokci niż kolorem sukni kardynała, który przesłuchuje Joannę d'Arc na obrazie Delaroche'a.

– Inna sprawa – wtrąca inspektor. – Mówił pan o Theodorze Robinsonie, malarzu impresjoniście, przyjacielu Claude'a Moneta. Co pan myśli o fundacji, którą założyli jego spadkobiercy?

Guillotin mruży zdziwione oczy.

– Skąd to pytanie?

– Ta fundacja często powraca w naszym śledztwie. Jakoś dziwnie sporo osób w tej naszej sprawie ma chyba z nią jakiś związek, przynajmniej pośredni.

– I co by pan chciał wiedzieć?

– Nie mam pojęcia. Tylko to, co pan o niej myśli.

Konserwator namyśla się, jakby szukał odpowiednich słów:

– Jak by to panu powiedzieć, inspektorze... Fundacja to skomplikowana sprawa. Ten rodzaj stowarzyszenia jest oficjalnie czymś najbardziej bezinteresownym. Spróbuję to zobrazować. O, weźmy stowarzyszenie, które zajmuje się biednymi. Otóż, paradoksalnie, jeśli liczba biednych maleje, racja bytu stowarzyszenia się zmniejsza. Innymi słowy, im lepiej pracuje, tym bardziej się zbliża do zaprzestania działalności. Podobnie jak fundacja, która prowadzi działalność antywojenną. Dla niej pokój oznaczałby jej śmierć.

– Tak jak lekarz, który by tak dobrze leczył pacjentów, że w końcu zostałyby bez pracy?

– Dokładnie tak, inspektorze.

– Rozumiem, ale jaki to ma związek z fundacją Robinsona?

– Zdaje się, że oni mają dewizę, trzy *pro*, jak mówią. *Prospection, protection, promotion*. To wspaniałe, bo po francusku jest tak samo jak po angielsku. A znaczy to, że zajmują się poszukiwaniem obrazów na całym świecie, że je kupują, że je sprzedają, ale też że inwestują w młodych malarzy, nawet bardzo młodych; inwestują w nich, kupują ich, sprzedają ich...

– No i?

– Jeden talent wypiera drugi, inspektorze. Płótno to nie płyta czy książka,

majątku artysty malarza nie liczy się według największej liczby sprzedanych egzemplarzy. Nawet wprost przeciwnie, i na tym zasadza się cały system. Obraz jest drogi dlatego, że inne są warte mniej lub nic. Jeśli jest swoboda działania, jeśli istnieje konkurencja między krytykami, szkołami, galeriami, w ostateczności jest nieźle, jakoś to funkcjonuje. Ale jeśli jedna fundacja ma wyłączny monopol lub prawie, rozumie pan?

– Niezupełnie...

Guillotin nie ukrywa lekkiego rozdrażnienia.

– No więc w przypadku monopolu, im więcej ta fundacja odkrywa nowych talentów, innymi słowy, im bardziej odmładza sztukę, czyli *pro* od *prospection*, i im bardziej redukuje wartość handlową innych swoich obrazów, *pro* od *protection*... Chwyta pan?

– Prawdę mówiąc, tak sobie...

Bénavides drapie się po głowie.

– Zadam panu bardziej konkretne pytanie. Czy gdyby obraz Moneta zniknął gdzieś w przyrodzie, to fundacja Robinsona miałaby środki, żeby go odnaleźć?

Odpowiedź natychmiastowa:

– Niewątpliwie. Więcej niż ktokolwiek inny! I zapewne nie byle jakie środki.

– Dobrze – ciągnie Bénavides, przybrawszy ostatecznie tę minę Droopy’ego, która chyba podoba się konserwatorowi – mam ostatnie pytanie. Może pana zaskoczę... Czy istnieją jakieś nieznanne płótna Moneta? No, nie wiem, jakieś wyjątkowo rzadkie płótna czy skandalizujące, coś, co mogłoby mieć związek z krwawą sprawą?

Achille Guillotin eksponuje sadystyczny uśmiech, jakby spodziewał się tego ostatniego pytania. Apoteoza rozmowy.

– Chodźmy – szepce konspiracyjnym tonem.

Prowadzi go pod przeciwległą ścianę, w kierunku pełnego męki obrazu, na którym czterech nagich mężczyzn, najwyraźniej rzymskich niewolników, usiłuje ujarzmić rozjuszony konia.

– Niech pan zaobserwuje te ciała namalowane przez Géricaulta, tak słynnego Théodore’a Géricaulta. Największego malarza urodzonego w Rouen! Niech pan zaobserwuje ciała. Ruch. Malarze utrzymują dziwne stosunki ze śmiercią, inspektorze. Wiadomo, że Théodore Géricault, aby realistycznie odtworzyć swoją *Tratwę „Meduzy”*, zbierał po szpitalach amputowane ręce i nogi, odcięte głowy. Jego pracownia śmierdziała trupami! Pod koniec życia, lecząc się z własnego szaleństwa, namaluje w szpitalu Salpêtrière dziesięć portretów szaleńców, dziesięciu maniaków, które przedstawiają wszystkie udręki ludzkiej duszy...

Sylvio obawia się, żeby konserwator nie zabrnął w nową dygresję.

– Ale Monet nie był szaleńcem... Nie malował trupów!

Jakby się odsłoniło ukryte oblicze Achille’a Guillotina. Jego rzadkie włosy stają mu dęba na okrągłej jak księżyc czaszce, niczym obumarłe diabelskie rogi.

Jedenasty maniak?

– Niech pan zobaczy, inspektorze.

Guillotin zbiega ze schodów dwa piętra, wpada do sklepiku muzeum, chwytając ogromną książkę i zębami rozdziera przezroczystą folię.

Przewraca strony, czegoś szukając.

– Monet nie malował śmierci! Monet nie malował trupów, tylko uwieczniał naturę! Ach, ach... Niech pan spojrzy, inspektorze. Niech pan spojrzy!

Bénavides nie może się pohamować, cofa się odruchowo.

Widmo. Na całą stronę.

Obraz przedstawia portret kobiety z zamkniętymi oczami. Jakby spowita lodowym całunem w wirze zamaszystych pociągnięć pędzla, jakby uwięziona w białej pajęczynie, która pożera bladą twarz modelki.

Śmierć...

– Przedstawiam panu Camille Monet – wyjaśnia zimny głos Guillotina. – Jego pierwsza żona. Jego najładniejsza modelka. Panna z parasolką wśród maków, radosna towarzyszka niedziel na wsi. Zmarła w wieku trzydziestu dwóch lat! Monet namalował ten przeklęty obraz u wezłowania łoża śmierci swojej żony; całe życie będzie sobie wyrzucał, że nie mógł się oprzeć pokusie utrwalenia na płótnie kolorów tego życia, które ulatuje, że potraktował swoją miłość w stanie agonii jak zwykły przedmiot studiów. Tak jak Géricault i jego fascynacja poćwiartowanymi ciałami. Tak jakby malarz wziął w nim górę nad zrozpaczonym kochankiem. Monet opowiadał, że wtedy, przy świeżym trupie żony popadł w rodzaj automatycznego malowania, niczym w hipnozie. Co pan o tym myśli, inspektorze?

Sylvio Bénavides nigdy jeszcze przed żadnym obrazem nie odczuł takich emocji.

– Czy... czy istnieją inne dzieła tego typu? Znaczy, chodzi mi o płótna Moneta...

Okrągła twarz Achille’a Guillotina robi się bardziej czerwona, tak jakby drzemiący w nim diabeł właśnie się obudził.

– Cóż bardziej fascynującego, inspektorze, niż malować śmierć własnej żony? Pomyślał pan o tym? Nie, oczywiście...

Czerwień dochodzi mu do skroni.

– Nic, chyba że malować swoją własną śmierć! W ostatnich miesiącach życia Monet malował *Nenufary*, niedokończone, podobnie jak *Requiem Mozarta*, rozumie pan, co chcę powiedzieć... Rozpaczliwe, gwałtowne pociągnięcia pędzla, wyścig ze śmiercią, ze zmęczeniem, ze ślepotą. Płótna hermetyczne, umęczone,

pełne bólu, jak gdyby zanurzył się we wnętrzu swojego mózgu. Znajdowano nenufary rzucone pospiesznie na płótno, różnokolorowe, ognistoczerwone, niebieskie monochromatyczne, trupio zielone... Mieszanka marzeń i koszmarów. Jednego koloru brakowało...

Sylvio chciałby wykrztusić odpowiedź. Nie zdołał. Czuje, że śledztwo jakoś zbacza, że mu się wymyka.

– Koloru, który Monet na zawsze wygnał ze swoich płócien. Tego, którego nie chciał używać. Brak koloru, ale też połączenie wszystkich kolorów.

Milczenie. Sylvio już się nie stara odpowiedzieć, gryzmoli coś w swoim notesie.

– Czarnego, inspektorze. Czarnego! Opowiadano, że w ostatnich dniach przed śmiercią, na początku grudnia tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku, kiedy Claude Monet pojął, że odchodzi, namalował to.

– Co... co? – bąka Bénavides.

Guillotin monologuje, nie słucha:

– Rozumie pan, co mówię, inspektorze? Monet dostrzegł własną śmierć w odbiciu nenufarów i uwiecznił ją na płótnie. *Nenufary*. Na czarno!

Pióro Sylvia zwisa z jego ręki wzdłuż nogi. Nie potrafi teraz niczego zanotować.

– Co pan powie, inspektorze? – pyta konserwator, którego uniesienie trochę opada. – *Nenufary* na czarno. Jak dale...

– To... to prawda, ta historia z czarnymi *Nenufarami*?

– Nie. Oczywiście, że nie. Ma się rozumieć, nikt nigdy nie odnalazł tego płótna, tych słynnych czarnych *Nenufarów*... Wie pan, to legenda. Po prostu legenda...

Sylvio nie wie, co powiedzieć. Zadaje pierwsze pytanie, jakie mu przychodzi do głowy:

– A dzieci... Czy Monet malował dzieci?

Patrzę na Stéphanie, która stoi w oknie różowego domu Moneta. Przypomina panią domu w jakiejś budowli kolonialnej, nadzorującą chmarę służących.

Laurenc Sérénac już zszedł.

Wariaci! Zgadzacie się tym razem, myślicie to samo co ja. Idioci! Tak się afiszować! Na balkonie domu Moneta, przed ogrodem, na wprost chemin du Roy, na widoku. W końcu się doigrają!

Słucham odgłosu tigera triumpha, który odpala. Stéphanie również go słyszy, ale nie ma odwagi, by odwrócić głowę. Stoi tak zamyślona, obserwując dzieci bawiące się w ogrodzie. To prawda, że ta nasza nauczycielka jest czarująca. To prawda, że potrafi się podobać, w tym stroju gejszy, który podkreśla jej talię osy, i z tym wilgotnym spojrzeniem. Możecie mi wierzyć, ona ma wszelkie atuty, by zawrócić w głowie każdemu chłopakowi przechodzącemu zbyt blisko, czy to będzie gliniarz, czy lekarz, czy żonaty, czy nie. Śliczna jak marzenie!

Korzystaj z tego, pięknotko. To nie potrwa długo.

Chłopcy biegają między kwiatami. Nauczycielka upomina ich łagodnym głosem.

Myślamy jest gdzie indziej.

Sama już nie wiesz, hę, ślicznotko?

To chwila, kiedy twoje życie może się zachwiać, zrozumiałaś to za przyczyną najmniej prawdopodobnego z wybawców. Gliniarza. Uwodziciela. Zabawnego. Wykształconego. Gotowego na wszystko, również na to, by cię uwolnić od twoich pęt. Od twojego męża.

To ta chwila. Cóż więc cię powstrzymuje?

Nic?

Ach, gdyby to tylko od ciebie zależało... Gdyby tylko śmierć nie krążyła tak wokół ciebie; jakbyś ją przyciągała, kochanie. Jakbyś wreszcie zbierała tylko to, na co zasługujesz.

Śmiechy dzieci przeszywają moje wredne myśli. Chłopcy biegają za dziewczynkami.

Klasyka.

Wy też korzystajcie, dzieciaki. Korzystajcie. Depczcie po klombach i po kwiatkach. Wyrrywajcie róże. Rzucajcie kamienie i patyki do stawu. Niszczcie nenufary. Profanujcie świątynię romantyzmu. Nie róbcie sobie fałszywych nadziei. W końcu to tylko ogród. I nie dlatego, że ci wierzący idioci przyjeżdżają z drugiego końca świata, żeby się tu modlić, miałyby to być coś innego niż stojąca brudna woda!

Wiem, jestem wredna. Wybaczcie mi... Stéphanie Dupain i jej gliniarz zdenerwowali mnie dziś rano, dwoje idiotów! Poza tym musicie mnie zrozumieć. Chętnie będę się bawić w niemych świadków, w czarne niewidzialne myszki pod miotłą, ale nie zawsze jest łatwo zachować obojętność. Nie rozumiecie mnie? Znowu się zastanawiacie, jaką rolę odgrywam w tej całej historii? Bądźcie

spokojni, nie posiadam żadnych wymyślnych anten, żeby przez ściany domu Moneta łapać rozmowę tych dwojga głupków, wszystkie detale ich miłosnych popisów. Och, nie. To o wiele prostsze. Dramatycznie proste.

Odwracam się w prawą stronę chemin du Roy, w stronę wodnego ogrodu. Wzdłuż ulicy usunięto kilka desek z płotu, to pewnie nieokrzescani turyści, którym spieszno było do fotografowania nenufarów, a przerażała ich kolejka do kasy. Ta odsłonięta przestrzeń oferuje nieznany widok na staw. Obserwuję Fanette, trzyma się trochę na uboczu, z dala od innych dzieci z klasy, między wierzbami a topolami. Postawiła swoją sztalugę na moście japońskim umocowanym na glicyjniach. Maluje, spokojna, skupiona mimo ogólnego rozgardiaszu.

Przechodzę na drugą stronę chemin du Roy, zbliżam się, no, żeby lepiej widzieć, prawie dotykam ogrodzenia.

Nie powinnam była. Jeden smarkacz już mnie namierzył.

– Proszę pani, proszę pani, może mi pani zrobić zdjęcie z kolegami?

Wciska mi do ręki aparat fotograficzny, najnowszy model. Nic nie rozumiem, on mi tłumaczy, nie słucham. Robiąc mu zdjęcie, usiłuję spojrzeć w bok, na staw z nenufarami i na Fanette, która maluje.

– 42 –

– Chodź, Fanette.

Vincent nalega:

– No, Fanette. Chodź się bawić!

– Nie! Widzisz, że maluję!

Fanette próbuje skupić uwagę na nenufarze. To samotnik, który pływa z dala od stada, liść ma prawie kształt serca, z malutkim różowym kwiatkiem, który dopiero co się narodził. Pędzel jeździ po płótnie. Fanette z trudem się skupia.

Ktoś mi popłakuje za plecami. Można pomyśleć, że wierzba znalazła kogoś bardziej płaczącego niż ona sama: Mary! Niech przestanie, tym swoim cienkim głosikiem, no, niech przestanie!

– Oszukujecie, mam dość, bardziej niż dość. Wracam!

Nie tylko mam płacz za plecami, jest jeszcze Vincent, nic nie robi, tylko gapi się przez moje ramię.

– Możesz się pobawić z Mary.

– Ona się nie nadaje do zabawy. Cały czas płacze...

– A ja, jak cały czas maluję, to się bardziej nadaję?

Nie ruszy się. Vincent się nie ruszy. Potrafi tu sterczeć godzinami. Byłby supermalarzem, jakby nim został. Ciągłe obserwuje. Ale myślę, że wyobraźni to nie ma w ogóle.

Dzieci wokół Fanette ciągle biegają, krzyczą, śmieją się, bawią. Dziewczynka zmusza się, by robić swoje. Egoistka, jak powiedział James.

Zjawia się Camille, staje na mostku japońskim. Zdyszany.

Bez przerwy ktoś! Tylko jego tu brakowało!

Wciąga swój wielki brzuch pod koszulą.

– Jestem wykończony, robię przerwę.

Patrzy na Fanette zajęta malowaniem.

– O, Vincent, Fanette, dobrze się składa, mam zagadkę à propos nenufarów. Wiecie, podobno nenufary codziennie podwajają zajmowaną powierzchnię. Teraz uważajcie, jeżeli powiemy na przykład, że nenufary w ciągu stu dni pokrywają cały staw, to w ciągu ilu dni pokryją połowę stawu?

– No, w ciągu pięćdziesięciu – odpowiada natychmiast Vincent. – Głupia ta twoja zagadka...

– A ty, Fanette, ile byś powiedziała?

A co mnie to obchodzi, Camille, gdybyś wiedział, jak mi to zwisa.

– Nie wiem. Pięćdziesiąt. Tak jak Vincent...

Camille triumfuje.

Jeśli kiedyś zostanie nauczycielem, jestem pewna, że będzie najbardziej upierdliwy na świecie.

– Byłem pewny, że dacie się złapać! Odpowiedź to oczywiście nie pięćdziesiąt, tylko dziewięćdziesiąt dziewięć...

– Dlaczego? – pyta Vincent.

– Pokombinuj – mówi Camille pogardliwym tonem. – Fanette, a ty zrozumiałaś?

Cholera!

– Ja maluję...

Camille podskakuje z nogi na nogę na moście japońskim. Pod pachami wielkie plamy potu zalewają mu koszulę.

– Okay, okay. Zrozumiałem, ty malujesz. Jeszcze jedna, ostatnia zagadka i potem już ci dam spokój. Czy wiecie, jaka jest łacińska nazwa nenufarów?

Nie mogę! Nie mogę już!

– Nie macie pojęcia?

Ani Vincent, ani Fanette nie odpowiadają. Camille'owi to nie przeszkadza, wręcz przeciwnie. Zrywa liść glicynii i wrzuca do stawu.

– No więc to *nymphaea*, banan. Ale przedtem to pochodziło z greckiego *numphaia*. Francuskie słowo to *nénuphar*. A po angielsku, wiecie, jak jest nenufar po angielsku?

To się nigdy nie skończy?

Camille wcale nie czeka na odpowiedź. Udaje, że się wiesza na gałęzi najbliższej glicynii, ale usłyszawszy trzask, wycofuje się z tego.

– *Waterlily!* – deklamuje.

I w dodatku jest z siebie zadowolony. Ten też mnie wkurza, strasznie mnie wkurza, chociaż trzeba przyznać, że waterlily to bardzo ładna nazwa, o wiele ładniejsza niż nenufar... Ale ja wolę nymphaea!

Camille pochyła się nad płótnem Fanette. Czuje, że się poci.

– Co robisz, Fanette? Kopiujesz *Nenufary* Moneta?

– Nie!

– Tak! Przecież widzę.

Camille ciągle wyjeżdża z tą swoją wiedzą, ale jego problem polega na tym, że on wszystko wie, tylko niczego nie rozumie.

– No nie, kretynie, nie! Dlatego że maluję to samo co Monet, to nie znaczy, że robię to samo...

Camille wzrusza ramionami.

– Monet namalował ich mnóstwo. Twoje na pewno będą podobne do któregoś! Nawet tondo. Wiesz, co to jest tondo?

Zaraz go zdzielę pędzlem w twarz. Tylko tak może wreszcie zrozumie, jaki jest namolny. Poza tym ciągle te jego pytania i odpowiedzi.

– Tondo to obraz w kształcie koła, jak ten, co jest wystawiony w...

Wrrrrr....

– Idziecie, chłopaki? – krzyczy nagle Mary, która chyba już podeszła.

Camille wzdycha. Vincent się śmieje.

– Chyba ją popchnę do stawu. Będziesz mogła to namalować, co, Fanette? To będzie coś oryginalnego! *Mary in the Waterlilies.*

Śmieje się, spychając delikatnie Camille'a z mostu.

– No dobra, damy ci popracować, Fanette – mówi Vincent. – Chodź, Camille, idziemy.

Vincent czasem mnie rozumie. Czasem nie, a czasem tak. Jak teraz...

Fanette jest wreszcie sama. Przygląda się uważnie odbiciu wierzb w stawie zniekształconemu przez liście nenufarów. Przypomina sobie, czego ją uczył James w ostatnich dniach. Linie perspektywy!

Jeśli dobrze zapamiętałam, oryginalność wszystkich Nenufarów Claude'a Moneta polega na tym, że kompozycja obrazów opiera się na dwóch liniach perspektywy, które są sobie przeciwstawne. Jest linia perspektywy liści i kwiatów nenufarów, która, najogólniej, odpowiada powierzchni wody. James nazywał to linią horyzontu. Jeśli mu to sprawia przyjemność... Ale jest jeszcze linia odbicia w wodzie: kwiaty glicynii na skarpach, gałęzie wierzb, światło słoneczne, cienie obłoków. Ogólnie, według Jamesa, linie pionowe na odwrót, tak jak w lustrze. To właśnie, jak mi wyjaśniał James, cała tajemnica Nenufarów. No dobrze, zgoda, nie taka trudna ta tajemnica. Nie trzeba zaraz nazywać się James czy Claude Monet, żeby ją znaleźć... Wystarczy popatrzeć na staw. Widać to jak nos na środku twarzy, te dwie linie, które się rozchodzą. No, rozchodzą się... To dużo powiedziane. W każdym razie to wszystko, staw i przyklejone na wierzchu liście, to po prostu jest niezmiennie. Znaczący, nie rusza się. Nie ma ruchu, nic a nic. Najwyżej złudzenie ruchu, tak.

To beznadziejne! Teraz, jak jestem sama, prawie mam chęć, by dołączyć do innych, biegać z nimi naokoło stawu. Ale nie! Mam być egoistką, powiedział James. Myśleć o swoim talencie, o konkursie Robinsona. Dołączę do nich za chwilę.

Fanette pochyla się nad paletą i ostrożnie miesza farby.

Nagle wszystko się zatrzymuje. Czerń! Jest tylko czerń!

Fanette krzyczy, kiedy rozpoznaje Paula po zapachu ściętej trawy.

– A kuku!

– Paul! Gdzie byłeś?

– Zagraliśmy cztery mecze w zbijaka w ogrodzie, teraz już dobrze. Już mi wystarczy!

Nachyla się nad obrazem.

– Wow, Fanette, to wspaniałe, co malujesz!

– Mam nadzieję. To na konkurs fundacji Robinsona. Zdaje się, że tylko ja jedna dam coś naszej pani.

– Zdziwiasz mnie... Wygrasz! Na pewno wygrasz. Mocna rzecz, twój sposób malowania!

– Co ty powiesz! No, mam swoje pomysły. To James mi je podpowiedział.

– Twój słynny malarz amerykański?

– Tak, zaraz po szkole idę do niego, pewnie śpi jeszcze w zbożu od wczoraj. Pokażę mu swoje płótno. Z jego radami może będę miała szansę... Co prawda, on się szybko męczy, więcej śpi, niż maluje. Ale...

– Dziwne. Twój obraz wcale nie przypomina Nenufarów...

Fanette całuje Paula w policzek.

Uwielbiaaaaam Paula!!!

– Jesteś genialny! To dokładnie to, czego chciałam. Wytłumaczę ci krótko mój pomysł. Kiedy oglądasz *Nenufary* Moneta, masz wrażenie, jak to powiedzieć, że się zagłębiasz, że wchodzisz w obraz, że go przemierzasz, no, nie wiem, jak w wodzie albo jak w piasku, rozumiesz? Tego właśnie chciał Monet, stojąca woda, wrażenie, że widzi się całe życie przesuujące się przed oczami... Ja chcę zrobić coś odwrotnego, chcę, żeby patrząc na moje *Nenufary*, miało się wrażenie pływania po wodzie, rozumiesz, że można po niej skakać, odbijać się, odfruć. Woda żywa! Chcę tak malować moje *Nenufary*, jakby je malował Monet, gdyby miał jedenaście lat. *Nenufary* jako tęcza!

Paul wpatruje się w nią z wielką czułością.

– Nie wszystko rozumiem z tego, co mi mówisz, Fanette.

– Nie szkodzi, Paul. To nie takie znowu ważne. O, a wiesz, co robił Monet z dużymi obrazami *Nenufarów*, które mu się nie podobały?

– Nie.

– Dawał je dzieciom z różowego domu! Kiedy były w naszym wieku. Odrzucone obrazy służyły do budowania łodzi! Może się zdarzyć, że na mulistym dnie Epte i Sekwany są jeszcze płótna *Nenufarów*! Wierzysz w to?

– Wierzę ci, Fanette...

Paul przez chwilę milczy.

– Ależ tak, to ważne. Wiem dobrze, że ty jesteś z innej planety niż my, że kiedyś wyjedziesz stąd, daleko. Że będziesz sławna i w ogóle. Ale wiesz, to wspaniałe, bo przez całe życie będę mógł opowiadać, że cię znałem, tu, na tym japońskim moście. A nawet...

– A nawet...

– A nawet, że cię pocałowałem...

No, beznadziejny. Paul jest beznadziejny. Kiedy mówi takie rzeczy, to aż się cała trzęsę.

Nenufary dryfują powoli po stawie. Fanette drży i zamyka oczy. Paul dotyka delikatnie ust dziewczynki.

– A nawet – szepcze Fanette – będziesz mógł opowiadać, że obiecałam ci, że będziemy żyć razem, weźmiemy ślub, będziemy mieszkać w dużym domu z dziećmi. A nawet, że to się stanie...

– Jesteś...

Glicynie się poruszają.

Spośród poskręcanych lian wyskakuje nagle Vincent z dzikością wybiegającej z dżungli bestii. Pustym niepokojącym spojrzeniem wpatruje się w Paula

i w Fanette, jakoś tak dziwnie, uporczywie, jakby od dawna ich śledził.

Boję się go. Coraz bardziej się boję Vincenta.

– Co robicie? – pyta słabym głosem Vincent.

– 43 –

Policjantka Liliane Lelièvre, przeglądając stronę Au Bon Coin w poszukiwaniu hipotetycznej drewnianej drabinki z pięcioma stopniami do ustawiania doniczek z roślinami, zerka na zegarek, elegancki srebrny longines: 18.45. Jeszcze kwadrans i będzie mogła zamknąć recepcję komisariatu w Vernon. Wieczorem nie ma tu teraz wielkiego tłoku.

Nie od razu rozpoznaje postać, która idzie powoli po stopniach prowadzących do komisariatu. Natomiast gdy starszy pan już wchodzi, zwraca ku niej twarz i ją wita, natychmiast wybuchu w niej salwa wspomnień.

– Dzień dobry, Liliane!

– Komisarz Laurentin!

Mój Boże! Tyle lat go nie widziała. Komisarz Laurentin przeszedł na emeryturę ile, prawie dwadzieścia lat temu? Na początku lat dziewięćdziesiątych, zaraz po rozstrzygnięciu sprawy kradzieży obrazów Moneta w muzeum Marmottan. W tamtych czasach Laurentin, kierujący komisariatem w Vernon, był uznawany za jednego z najlepszych specjalistów od nielegalnego handlu dziełami sztuki. Centralne biuro do walki z nielegalnym handlem dobrami kulturalnymi zwracało się do niego regularnie. Przedtem Liliane i on pracowali razem ponad piętnaście lat...

Komisarz Laurentin. Pomnikowa postać. On sam jeden to cała historia policji rejonu Vernon!

– Coś takiego, komisarzu! Jak miło pana widzieć!

Liliane jest szczerą. Laurentin był wybitnym, wrażliwym, uważnym śledczym. Osobowość, jakich już nie ma. Rozmawiają przez chwilę. Liliane nie może ukryć ciekawości, która ją zżera:

– Co pana tu sprowadza po tylu latach?

Komisarz Laurentin kładzie palec na ustach.

– Ciii... Mam specjalną misję. Poczeka pani na mnie, Liliane, zajmie mi to kilka minut i wracam.

Laurentin znika w tak dobrze sobie znanych korytarzach. Liliane nie ośmiela się dopytywać. Facet, który kierował komisariatem przez trzydzieści sześć lat!

Były policjant spostrzega, że farba na ścianie w korytarzu nadal tak samo odłazi. Nic się nie zmieniło! Pokój 33. Ekskomisarz wyjmując z kieszeni klucz. Otworzy? Nie otworzy? To już dwadzieścia lat, odkąd ten klucz ani razu nie wszedł do zamka od tego pokoju...

Sezanie...

Otwiera się! A więc nie zmienili tego zamka od... 1989 roku. W końcu, rozumie Laurentin, wydaje się to logiczne. Po co zmieniać klucz od drzwi pokoju w komisariacie? Popychając drzwi, mówi sobie, że ostatni jego następca to pewnie młody wilk z policji kryminalnej, pasjonujący się informatyką i wysokimi technologiami, wszystkimi nowościami technicznymi, którymi naszpikowane są seriale kryminalne w telewizji, a z których on od dawna nic nie rozumie.

Przystaje gwałtownie na progu gabinetu i przygląda się wystrojowi. Ściany pokryte są obrazami impresjonistów! Pissarro. Gauguin. Renoir. Sisley. Toulouse-Lautrec. Uśmiecha się do siebie. Ostatecznie jego następca, gdyby go spotkał, może mógłby go zadziwić. Ma dobry gust!

Biurko bardziej odpowiada temu, czego się spodziewał: zastawione jest komputerem, drukarką, skanerem. Komisarz na emeryturze chodzi po pokoju. Waha się, zawiedziony swoją wizytą. Uświadamia sobie, że w roku 2010 biurko gliniarza, który dobrze wykonuje swoją pracę, to biurko puste! Wszystko jest na twardym dysku komputera. Nie będzie włamywał się do osobistego stanowiska pracy swojego następcy, które jest zresztą na pewno chronione przez mnóstwo haseł. A poza tym nic a nic nie zna się na informatyce. Byłoby śmieszne upierać się przy tym. Nie miał okazji zapoznać się z ostatnimi zdobyczami policji zajmującej się dziełami sztuki. To teraz sprawa naukowców. Mówiono mu, że obecnie OCBC pracuje wykorzystując gigantyczną bazę danych międzynarodowych o nazwie Thesaurus de recherche électronique et d'imagerie en matière artistique. Baza TREIMA inwentaryzuje ponad sześćdziesiąt tysięcy zaginionych dzieł do spółki z amerykańskim Art Crime Team czy Art and Antiques Intelligence Focus Desk miejskiej policji w Londynie.

Laurentin wzdycha.

Inna epoka, inne metody...

Wychodzi z pokoju i wraca do Liliane, do recepcji.

– Liliane, archiwum jest ciągle na dole? Czerwone drzwi?

– Dokładnie tak jak dwadzieścia lat temu, komisarzu! Przynajmniej w archiwum nic się nie zmieniło!

I znowu jego stary klucz pozwala mu wejść. Pomyśleć, że byle kto mógłby tu wtargnąć. Ale nie, on nie jest byle kim... Gliniarz, tylko gliniarz. To zapewne dlatego Patricia Morval zwróciła się do niego. Nie taka szalona ta wdowa.

Liliane miała rację, nic się nie zmieniło, dokumenty wciąż są ułożone w porządku alfabetycznym. Pokolenia się wymieniają, ale zawsze będą tacy gliniarze maniacy, którzy ustawiają pudła w archiwum pod właściwą literą na właściwej półce, nawet w czasach twardych dysków i pendrive'ów.

M... jak Morval.

Duża czerwona teczka. Niezbyt gruba.

Laurentin znowu się waha. Wie, że nie ma prawa gwałcić tajemnicy śledztwa bez nakazu, bez pełnomocnictwa, bez żadnego powodu poza osobistą ciekawością. Dlaczego miałyby otwierać tę teczkę? Dreszcz podniecenia, którego nie czuł od lat sprawia, że aż cierpnie mu skóra. Po co tutaj przyjechał, jeśli nie po to, żeby ją otworzyć? Starannie zamyka za sobą drzwi, klucz zostawia w zamku, potem stawia pudło z archiwum na stole. Otwiera je i przegląda powoli dokumenty, bardzo uważając, żeby potem odkładać je dokładnie w to samo miejsce.

Jego oczy zatrzymują się kolejno na różnych fotografiach zwłok Jérôme'a Morvala na brzegu strumienia. Dowody rzeczowe przesuwają się w jego palcach: inne fotografie miejsca zbrodni, zdjęcie gipsowego odcisku podeszwy; naukowe analizy odcisków palców, krwi, błota. Ogląda to trochę szybciej, wreszcie zatrzymuje się na nowych zdjęciach: pięć fotografii par, od bardziej platonicznej po bardziej gorszące. Jedyne wspólne punkty, zmarły, Jérôme Morval, obecny jest na wszystkich zdjęciach.

Komisarz Laurentin podnosi głowę, czujnie nasłuchuje, usiłując wychwycić przez czerwone drzwi najdrobniejszy odgłos kroków na schodach. Nic, zupełna cisza, spokój. Bada teraz pliki papierów: lista dzieci ze szkoły w Giverny; mniej czy bardziej szczegółowe biografie osób związanych ze sprawą, Jérôme i Patricia Morval, Jacques i Stéphanie Dupain, Amadou Kandy i inni handlowcy z Giverny, kilku sąsiadów, krytycy sztuki, kolekcjonerzy; odręczne notatki, bardzo liczne, praktycznie wszystkie podpisane przez inspektora Sylvio Bénavides'a.

Prawie wszystkie dokumenty są teraz na stole, przejrane. Mrowienie, które elektryzuje skórę Laurentina, jeszcze się nasila. Do zbadania została mu już tylko jedna rzecz: pożółkłe sprawozdanie żandarmerii z Pacy-sur-Eure, opis wypadku: dziecko, które utonęło w 1937 roku; niejaki Albert Rosalba. Komisarzowi Laurentinowi ręce się trzęsą. Długo siedzi w ponurym pokoju, usiłując zrozumieć, nie zapomnieć żadnego szczegółu, wyrobić sobie zdanie, bez żadnych uprzedzeń.

Oczywiście prościej byłoby zabrać wszystko ze sobą albo zrobić fotokopie.

Wykluczone.

Trudno, nic takiego. Uświadamia sobie nie bez dumy, że ma jeszcze dobrą pamięć.

Wraca do recepcji dopiero po półgodzinie. Pocziwa ta Liliane, poczekała na niego!

– Znalazł pan to, czego pan szukał, komisarzu?

– Tak, tak. Dziękuję, Liliane.

Komisarz Laurentin z czułością obserwuje Liliane. Przypomina sobie dzień, w którym została zatrudniona w komisariacie w Vernon, przeszło trzydzieści lat temu, przyjął ją wtedy w swoim gabinecie numer 33. Nie skończyła jeszcze dwudziestu pięciu lat. Miała już wtedy ten rodzaj elegancji dość rzadko spotykany u policjantek.

– Liliane, jaki jest nowy szef?

– Niezły. Nie taki dobry jak pan...

Elegancja...

– Liliane, mogę panią poprosić o przysługę? Nie znam się ani trochę na informatyce. Pani zapewne jest bardziej z tym obeznana niż ja.

– Nie wiem. A o co chodzi?

– O coś w rodzaju... kontrdochodzenia. Liliane, przypuszczam, że zna się pani na internecie...

Liliane uśmiecha się uspokajająco. Komisarz ciągnie:

– Bo ja nie. Za wcześnie poszedłem na emeryturę. I nie mam ani dzieci, ani wnuków, żeby mnie uczyli na bieżąco. A powinienem przejrzeć stronę, zaraz, zaraz, mam gdzieś zanotowaną jej nazwę...

Komisarz Laurentin przeszukuje kieszenie, wyjmuje żółtą karteczkę zagryzmołoną niewprawnym piśmem.

– O, strona nazywa się Copains d'avant. Szukam jednego zdjęcia z Giverny. Zdjęcia klasy rocznik 1936–1937.

– James! James!

Fanette biegnie koło pralni i przemierza pole zboża, gdzie James codziennie

maluje. Niesie zawinięty w wielki brązowy papier obraz, który naszkicowała na moście japońskim na stawie z nenufarami.

– James!

Fanette nie dostrzega nikogo w polu, nawet sztalugi, nawet słomkowego kapelusza. Ani śladu Jamesa. Fanette chciałaby zrobić niespodziankę amerykańskiemu malarzowi, pokazać mu swoje *Nenufary* w tęczy, posłuchać jego rad, wyjaśnić mu swój sposób malowania linii perspektywy. Zastanawia się. Rozgląda się dokoła, czeka na odpowiedni moment, potem ukrywa swój obraz za pralnią, w małym zakątku, który wypatrzyła pod cementem.

Ani widu, ani słyhu.

Wstaje, na jej szyi perlą się krople potu. Biegła tu, żeby jak najszybciej spotkać się z tym grubym próżniakiem Jamesem. Fanette znowu wchodzi na most.

– James! James!

Usłyszał ją Neptun, który spał w cieniu czereśni na dziedzińcu młyna czarownicy. Wstał i drepcze w jej stronę.

– Neptun, widziałeś Jamesa?

Do Neptuna nic nie dociera, idzie sobie powęszyć w pobliskie paprocie.

Denerwuje mnie czasem ten pies.

– James!

Fanette próbuje się zorientować po słońcu, James podąża zawsze wraz ze słońcem, jak wielka jaszczurka, nie tyle z powodu świetlistości pejzażu, ile z uwagi na komfort swojej drzemki.

Bardzo możliwe, że ten stary próżniak śpi gdzieś w polu.

– James, obudź się, to ja, Fanette. Mam niespodziankę.

Idzie i idzie. Zboże chłoscze ją aż po pas.

O, Boże!

Nogi się pod nią uginają.

Zboże tu, przed nią, jest czerwone. Nie tylko czerwone. Zielone, niebieskie, pomarańczowe. Kolorowe kłosa leżą, jakby ktoś tu się z kimś bił, jakby przewrócono paletę z farbami i wyciśnięto tubki.

Co się tu mogło stać?

Muszę się zastanowić. Domyślam się, że mieszkańcy miasteczka nie kochają za bardzo wędrownych malarzy, ale żeby aż się bić z Jamesem... Starym bezbronnym artystą.

Silny dreszcz przenika Fanette. Zatrzymuje się jak sparaliżowana. Widzi, że otwiera się przed nią droga przez zboże po leżących czerwonych kłosach, jak zakrwawiona ścieżka. Jakby ktoś czołgał się po polu.

James.

W głowie Fanette kłębią się szalone myśli.

James padł ofiarą wypadku, jest ranny, czeka na moją pomoc gdzieś na łące.

Droga przez leżące zboże nagle się urywa w szczerym polu. Fanette posuwa się naprzód na oślep, rozsuwa kłosa, krzyczy, tratuje. Pole jest ogromne.

– Neptun, pomóż mi. Pomóż mi szukać...

Owczarek niemiecki waha się, jakby się zastanawiał, czego od niego oczekują. Po chwili rusza nagle biegiem przez równinę. Po linii prostej. Fanette usiłuje biec za nim, co nie jest łatwe, bo kłosa smagają jej ręce, nogi.

– Poczekaj, Neptun!

Pies czeka grzecznie sto metrów dalej, prawie w samym środku pola. Fanette brnie naprzód.

Nagle serce przestaje jej bić.

Za owczarkiem niemieckim zboże znowu jest ugniecione metr na dwa, tyle miejsca zajmuje leżące ciało.

Słomiana trumna. Taki obraz mi się od razu nasuwa.

To James. Nie śpi.

Nie żyje! Między klatką piersiową a gardłem zieje zakrwawione wcięcie. Fanette pada na kolana. Okropny przypływ żółci zalewa jej podniebienie. Wyciera się nieporadnie kawałkiem koszuli.

James nie żyje. Ktoś go zabił!

Na otwartej ranie buczą muchy. Robią przerażający hałas. Fanette chciałaby wyć, ale nie może. Gorzka żółć pali jej gardło, wymiotuje lepłą cieczą na spodnie i buty. Nie ma siły tego wytrzeć. W ogóle nie ma już siły na nic. Ręce jej się płaczą. Rój much liże jej stopy. Potrzebna jest pomoc. Wstaje, biegnie jak szalona. Zboże kaleczy jej kostki i kolana. Brzuch sprawia jej tortury. Kaszle, pluje, struga śliny ochlapuje jej policzek, biegnie dalej, wyciera policzek wierzchem dłoni. Mija strumień, młyn, most, chemin du Roy, nie zwalniając. Jakiś samochód przejeżdża jej tuż przed nosem.

Idiota.

Fanette przechodzi na drugą stronę drogi, jest w miasteczku.

– Mamo!

Pędzi ulicą Château-d’Eau. Teraz już wyje:

– Mamo!

Pcha gwałtownie drzwi, które wpadają na wieszak przybity do ściany. Wchodzi do domu. Matka stoi w kuchni, jak zawsze przy blacie. W niebieskim fartuchu. Włosy zaczesane i związane z tyłu. Bez namysłu wypuszcza wszystko z rąk, nóż, jarzyny.

– Córeczko, moja maleńka...

Matka nic nie rozumie. Instynktownie otwiera ramiona, wyciąga ręce. Fanette chwyta jedną.

Ciągnie.

– Mamo, musisz iść ze mną... Szybko!

Matka się nie rusza.

– Błagam cię, mamo...

– Co się dzieje, Fanette? Uspokój się, opowiedz.

– Mamo... on... on nie...

– Uspokój się, Fanette. O kim mówisz?

Fanette kaszle, dławi się. Czuje, że mdłości wracają. Nie powinna się poddawać. Matka podaje jej ściereczkę, wyciera się, zalewa łzami.

– Spokojnie, Fanette, spokojnie. Powiedz mi, co się stało...

Głaszcząc ją po rękach, przytula jej skroń do ramienia, tak jak usypia się niemowlę.

Fanette jeszcze się dławi, po chwili udaje jej się wyartykułować:

– James, mamo, James nie żyje, ten malarz. Tam, w polu!

– Co ty opowiadasz?

– Chodź. Chodź!

Fanette nagle się zrywa, ciągnie ją za rękę.

– Chodź! Szybko!

Posłuchaj mnie, mamo, choć raz, proszę.

Matka się namyśla. Dziewczynka coraz głośniejsze skanduje swój rozkaz:

– Chodź! Chodź!

Wydaje się bliska hysterii. W kilku oknach na ulicy Château-d’Eau rozsuwają się zasłony. Sąsiadki pewnie myślą, że to jakiś atak małej. Kaprys! Matka nie ma wyboru.

– Idę, Fanette, idę.

Przekraczają most nad strumieniem. Neptun wrócił grzecznie na podwórze młyna i znowu śpi pod czereśnią. Fanette ciągnie matkę za rękę.

Szybciej, mamo.

Wchodzą na łąkę.

– Tam!

Fanette idzie przez pole. Pamięta drogę, nawet bez Neptuna, rozpoznaje leżące zboże. Pędzi naprzód, dociera do miejsca, gdzie spoczywa James, jest pewna, że to tu.

– To tutaj, mamo, dokładnie tutaj.

Ręka, którą trzyma matka, opada, jest miękka. Fanette ma wrażenie, że kręci się jej w głowie. Wytrzeszcza oczy z niedowierzaniem.

Przed nimi nikogo nie ma.

Żadnego ciała.

Pewnie się pomyliłam, trochę zabłądziłam, kilka metrów...

– To było tutaj, mamó... Albo tuż obok.

Matka Fanette patrzy zdziwiona na córkę. Pozwala jednak prowadzić się dalej ręką, która ją ciągnie. Fanette wciąż szuka, długo idzie przez pole, denerwuje się, na siebie, na wszystko.

– To było tutaj, on tu był...

Matka nic nie mówi, spokojnie idzie dalej. Jakiś cichy ponury głos wkręca się w głowę Fanette jak maleńki robaczek w owoc.

Mama myśli, że zwariowałam, właśnie w tym momencie myśli, że zwariowałam.

– To było...

Nagle matka przestaje iść dalej.

– Dość tego, Fanette!

– Był tutaj, mamó. Miał ranę, głęboką ranę między sercem a szyją...

– Twój amerykański malarz?

– Tak, James.

– Fanette, nigdy nie widziałam tego twojego amerykańskiego malarza. Nikt go nigdy nie widział.

Nigdy nie widział. Co ona chce powiedzieć? Widział go Vincent, również Paul go zna... Wszyscy...

– Trzeba wezwać policję, mamó. On nie żył. Ktoś go zabił. Ktoś wziął jego ciało, przeniósł gdzie indziej.

Nie patrz tak na mnie, mamó. Nie zwariowałam. Nie zwariowałam. Wierz mi, musisz mi wierzyć...

– Nikt nie będzie wzywał policji, Fanette. Nie było zbrodni, nie ma trupa. Nie ma malarza. Masz za dużą wyobraźnię, córeczko. O wiele za dużą.

Co ona opowiada? Co to ma znaczyć?

Fanette wrzeszczy:

– Nie! Nie masz prawa...

Jej matka lekko się pochyła, tak, żeby być na wysokości oczu córki.

– Dobrze, Fanette. Wycofuję to, co powiedziałam. Bardzo chcę ci wierzyć, jeszcze raz ci zaufać. Ale jeśli twój malarz istnieje, jeśli umarł, jeśli go zamordowano, ktoś to zauważy. Ktoś będzie go szukał, znajdzie go. Ten ktoś zawiadomi policję...

– Ale...

– To nie jest sprawa dla jedenastoletniej dziewczynki, Fanette. Policja ma w tej chwili inne sprawy na głowie, wierz mi. Ma już innego trupa, prawdziwego trupa,

którego wszyscy widzieli, a nie ma żadnego mordercy. A my i tak mamy dość kłopotów, żeby nie ściągać dodatkowo uwagi na siebie...

Nie zwariowałam!

– Mamo, ja nie zwariowałam...

– Oczywiście, Fanette. Nikt tego nie powiedział. Późno się zrobiło, już czas wracać.

Fanette płacze. Nie ma już w ogóle siły, idzie za ręką, która ją prowadzi.

Był tutaj.

James był tutaj. Przecież nie mogłam wszystkiego zmyślić! James oczywiście istnieje. James istnieje.

A sztalugi? – wyje jakiś głos w jej głowie. Jego cztery sztalugi? Jego piękna kasetka malarska? Jego płótna? Jego szpachle malarskie?

Gdzie się to podziało?

Nie znika się w ten sposób!

Nie zwariowałam!

Zupa jest niesmaczna.

Oczywiście matka starła pytania, które Fanette napisała na tabliczce łupkowej i w ich miejsce wstawiła listę zakupów. Jarzyny, jak zawsze. Gąbka. Mleko. Jajka. Zapałki...

Dom jest ponury.

Fanette idzie na górę do swojego pokoju.

Tej nocy nie może zasnąć. Zastanawia się, czy powinna, nie słuchając mamy, pójść jednak na policję i wszystko opowiedzieć! Jutro.

Nie zwariowałam... ale jeśli pójdę sama na policję, mama mi nigdy nie wybaczy. Pierwsza rzecz, jaką gliny zrobią, to przyjdą, żeby jej wszystko opowiedzieć. Mama nie chce mieć do czynienia z gliniarzami. To pewnie z powodu tej swojej pracy. Gdyby mieszcuchy wiedziały, że ona ma do czynienia z policją, toby się potem zastanawiały, czy ją zatrudnić do sprzątnia. To na pewno to.

Ale nie mogę też nic nie robić! Trudno mi myśleć, mój biedny mózg się przewraca.

Muszę szukać. Muszę zrozumieć, co się stało. Muszę znaleźć dowody, przynieść je mamie, policji, wszystkim.

Ktoś powinien mi w tym pomóc!

Jutro od rana się do tego wezmę, przeprowadzę śledztwo. Nie, jutro cały dzień

mam szkołę, długo, bardzo długo będę zamknięta. Ale zaraz po wyjściu ze szkoły, jutro po południu, będę szukać.

Z Paulem. Wszystko mu powiem. Paul zrozumie.

Nie zwariowałam.

– 45 –

Laurenc̄ Sérénac podnosi słuchawkę z odrobiną niepokoju. Rzadko się zdarza, żeby dzwoniło do niego o 1.30 w nocy, zwłaszcza na jego prywatny numer. Głos z drugiej strony go nie uspokaja. Szepce jakieś niezrozumiałe słowa. Udaje mu się wychwycić tylko słowa „porodówka” i „Stany Zjednoczone”.

– Kto mówi, do cholery?

Głos staje się tylko odrobinę bardziej słyszalny:

– Tu Sylvio, szefie. Pana zastępca.

– Sylvio? Kurczę, jest pierwsza w nocy... Mów głośniej, na Boga, rozumiem co trzecie słowo.

Natężenie głosu trochę się zwiększa:

– Jestem na porodówce. Béatrice śpi w pokoju, korzystam z tego, wyszedłem do holu... są nowiny!

– To wielki dzień, tak? Chciałeś, żeby twój ulubiony szef pierwszy się dowiedział? Pogratuluj Béatr...

– Ależ nie – przerywa Sylvio. – Nie mówię panu o dziecku, dzwonię w sprawie śledztwa, szefie. W śledztwie są nowiny. A w sprawie dziecka i Béatrice to *wait and see*. Przyjechaliśmy niedawno na ostry dyżur oddziału położniczego do szpitala w Vernon. Béatrice się zdawało, że ma skurcze. Czekaliśmy dwie godziny na tym niby ostrym dyżurze. Na nic! Tylko po to, żeby usłyszeć, że to jeszcze nie poród, że dziecko jest spokojne, nie spieszy się, jest w ciepłe, że wszystko w porządku. Na koniec Béa tak się upierała, że ostatecznie dali jej pokój. O, szefie, właśnie Béatrice pana pozdrawia.

– Ja też. Życz jej powodzenia, niech się dzielnie trzyma...

Sérénac ziewa.

– Dobrze, Sylvio, opowiadaj więc, co to za *scoop*?

– A propos – odpowiada Bénavides, jakby w ogóle nie słuchał. – Jak pan spędził ten dzień w apartamentach i ogrodach Claude’a Moneta?

Laurenc̄ Sérénac namyśla się, szukając właściwego słowa:

– Niespokojnie! A ty w muzeum w Rouen?

Teraz z kolei Bénavidés się namyśla:

– Pouczająco...

– I dlatego do mnie dzwonisz?

– Nie. W sprawie muzeum mam sporo nowych informacji, ale to jeszcze trochę bardziej komplikuje wszystko, co do tej pory już wiedzieliśmy, trzeba będzie wyselekcjonować...

W aparacie słycać odgłos kroków, przez co dalsze słowa przez kilka sekund będą niesłyszalne.

– Niech pan zaczeka, szefie, przynieśli na noszach dziewczynkę, i mam wrażenie, że nosze są większe niż klatka windy...

Sérénac odczekuje chwilę, potem się denerwuje:

– Już dobrze? No więc co z tą informacją? Wykrztuś!

– To zabawne, szefie...

Sérénac wzdycha.

– Skończyli już z tymi noszami?

– Tak, w końcu przeszły... pionowo.

– Widzę, że dobrze się bawisz, Sylvio.

– Próbuję dostosować się do nastroju, szefie.

– To dobrze, to dobrze. I co, będziemy tak do samego rana bawić się w zgadywanki?

– Odnalazłem Aline Malétras.

Laurenc Sérénac tłumy przekleństwo.

– Mówisz o tej bombie na obcasach? Kochanka Morvala, ta, co pracuje dla galerii sztuki w Bostonie?

– Tak, to ta. Z powodu różnicy czasu nie mogłem się z nią połączyć w ciągu dnia. W żaden sposób. Ale w końcu dopadłem ją przed kwadrans, między jednym koktajlem a drugim. Tam, na wschodnim wybrzeżu jest teraz coś koło dwudziestej.

– No i co? Czegoś się od niej dowiedziałeś?

– Na temat zabójstwa Morvala nie. Wydaje się, że ma murowane alibi, rano w dniu zbrodni wychodziła właśnie z lokalu na przedmieściu Nowego Jorku, niech pan poczeka...

Czyta:

– Krazy Baldhead, z całą kohortą świadków. Trzeba będzie sprawdzić, ale...

– Sprawdzimy, Sylvio, ale rzeczywiście to nie ten rodzaj kury, która sama wraca na fermę. A co się tyczy jej pracy, malarstwa, galerii i kolekcji, widzisz jakiś związek z Morvalem?

– Też nie, żadnego, na podstawie tego, co mi powiedziała. Prawie od dziesięciu

lat nie miała żadnych wiadomości od naszego okulisty.

– I co ty o tym myślisz?

– Spieszyła się. Przerwała w pół słowa. Pamiętała tylko, że miał fioła na punkcie obrazów Claude’a Moneta i że ona wtedy uważała, że to trochę jakby „banalne”, chyba jakiegoś takiego słowa użyła.

– I ona wciąż pracuje dla fundacji Robinsona?

– Tak. Jak twierdzi, zajmuje się kontaktami między Francją a Stanami Zjednoczonymi. Wystawy, pobyty artystów po obu stronach Atlantyku, wymiana obrazów...

– Na jakim szczeblu?

– Prawie dawała mi do zrozumienia, że jest na ty ze wszystkimi modnymi malarzami obu kontynentów i że jeździ po obrazach bezpośrednio do ich pracowni i wywozi je pod pachą, ale być może zadowała się serwowaniem na wernisażach, zza białego obrusa, szampana, szampanek i swojego dekoltu...

– No, no... Trzeba będzie naprawdę dowiedzieć się więcej o tej cholerniej fundacji Theodore’a Robinsona...

Znowu ziewa.

– Wiesz co, Sylvio, nie chcę cię obrażać, ale niewiele się dowiedziałeś od pięknej Aline. Warto było dzwonić do mnie w środku nocy z taką drobnostką?

Głos Sylvia znowu szepcze:

– Jest jeszcze coś innego, szefie.

– Ach...

Sérénac wytyęza słuch, nie przerywając swojemu zastępcy.

– Według Aline Malétras, spotkała się z Jérôme’em Morvałem jakieś piętnaście razy, między innymi w tym miejscu ze zdjęcia, to klub Zed na rue des Anglais w Paryżu, w piętnastym *arrondissement*. To było dziesięć lat temu. Aline Malétras miała wtedy dwadzieścia dwa lata. Nie była nietowarzyska, Morval miał forszę, wszystko szło dobrze, aż do chwili...

– Mów głośniej, do cholery...

– Do chwili, gdy Aline Malétras zaszła w ciążę!

– Co?

– To, co mówię.

– I... donosiła małego Morvala?

– Nie.

– Jak to nie?

– Nie. Usunęła ciążę.

– To pewne, czy ona ci to opowiedziała?

– Ona mi to opowiedziała. Ale mając dwadzieścia dwa lata, nie była zapewne

kobietą, która by marzyła, żeby zostać niezamężną matką...

– Morval wiedział?

– Tak. Uruchomił swoje znajomości w środowisku lekarskim i za wszystko zapłacił, tak ona twierdzi.

– A więc wracamy do punktu wyjścia... Nie posunęliśmy się naprzód w kwestii motywu morderstwa.

W holu szpitala znowu rozlega się odgłos kroków. W oddali wyje karetka pogotowia. Bénavides odczekuje chwilę, po czym ciągnie:

– Chyba że dzieciak miałby dziesięć czy jedenaście lat.

– Nie ma dzieciaka, usunęła przecież.

– Tak, ale gdyby...

– Nie ma dzieciaka, Sylvio.

– Może skłamała.

– To po co by ci opowiadała, że zaszła w ciążę?

Długie milczenie. Głos Bénavides'a podnosi się o jeden ton:

– Może nie ona jedna?

– Co ona jedna?

– Nie ona jedna zaszła w ciążę z Jérôme'em Morvalem!

Znowu długie milczenie. Bénavides mówi dalej. Jeszcze głośniej:

– Myślę na przykład o piątej kochance, szefie, pieszczoty w salonie Morvala, dziewczyna w niebieskim fartuchu, której wciąż nie zidentyfikowaliśmy. Może gdyby nam się udało rozpracować kod, te cholerne liczby na odwrocie fotografii...

Sérénac słyszy w słuchawce zbliżające się kroki, jakby przełożona pielęgniarek przybiegła do holu, żeby dać do zrozumienia inspektorowi Bénavides'owi, że ten jego cyrk za długo już trwa.

– Kurczę, niepokoisz mnie, Sylvio, z tymi swoimi pokrętnymi hipotezami i durnymi trzema rubrykami.

Wzdycha.

– Może raczej spróbujemy trochę pospać. Jutro wcześniej wstajemy, żeby się trochę pomoczyć w rzeczce Giverny. Nie zapomnij swojej siatki.

DZIEŃ DZIESIĄTY
22 maja 2010
(*Młyn des Chennevières*)

OSADY RZECZNE

– 46 –

Kiedyś, dawno temu ten, kto zbudował młyn, zwłaszcza donżon pośrodku, musiał już mieć tę ukrytą myśl, nie mogło być inaczej: w ten sposób będzie można obserwować całe miasteczko z okna na czwartym piętrze. Nazywajcie je, jak chcecie: wartownia, strażnica czy dozorcówka, ale jedno jest pewne: ta wieża wyrastająca nad wierzchołki drzew stanowi, może wraz z dzwonnica kościoła, najlepszy punkt obserwacyjny w Giverny.

Idealny, niczym niezakłócony widok, wierzcie mi, na całe miasteczko, na łąkę prawie aż po wyspę aux Orties, na strumień aż po ogrody Moneta i, domyślcie się, to przede wszystkim najlepszy i najbardziej dyskretny punkt do obserwowania miejsca zbrodni. Tego z Jérôme'em Morvalem.

Patrzcie, właśnie w tej chwili w wodzie strumienia gliniarze z podwiniętymi spodniami nie wyglądają groźnie. Boso, bez kaloszy... Pewnie doznali szoku. Nawet zastępca, Sylvio Bénavides, tapla się w wodzie. Inspektor Sérénac jako jedyny gliniarz został na brzegu, rozmawia z jakimś ciekawym facetem w okularach, który wbija w rzekę dziwne przyrządy i wrzuca piasek do czegoś w rodzaju lejków włożonych jeden w drugi.

Oczywiście Neptun też tam jest, wszędzie się pcha, a co myślicie. Lata od jednej paproci do drugiej, węsząc nie wiadomo co. Ten pies, jak tylko coś się gdzieś dzieje, jest zadowolony. Poza tym myślę, że w końcu skapował, że inspektor Sérénac czuje do niego sympatię i nie szczędzi mu pieszczot.

Widzicie, trochę się naśmiewamy z gliniarzy, ale to niegłupi pomysł, żeby

pogrzebać w rzece... Tylko że mogli na to wpaść wcześniej. Pewnie wyciągniecie stąd wniosek, że gliniarze z prowincji nie są tacy szybcy, łatwo tak krytykować... Ale nie zapominajcie, że ten przystojny inspektor, który kieruje manewrami, w ostatnich dniach miał myśli zmacone czym innym. Gdybym miała odwagę, powiedziałabym, że to nie rzekę wybrał jako pierwszą. Ale dobrze, rozumiecie, że jak się jest starą czarownicą, która z nikim nie rozmawia, to opowiadanie sobie samej kalamburów nie ma wielkiego sensu. No więc zadowolam się szpiegowaniem w milczeniu zza zasłony.

– 47 –

Trzej policjanci z komisariatu w Vernon przeczesują koryto strumienia. Decymetr kwadratowy po decymetrze. Robią to bez większego przekonania. Mer Giverny zapewnił ich, że rzeka jest oczyszczana co miesiąc przez pracowników zieleni miejskiej. „To minimum tego, co można robić – dodał – ten małeńki strumień upomina się o tytuł pierwszej we Francji rzeki impresjonistów! Zasługuje na jakieś względy”.

Mer nie kłamał. Ci wylawiacze wyciągają z mulistego dna niewiele odpadków. Jakieś zatłuszczone papiery, kapsle od butelek, kości kurczaka...

Pomyśleć, że całe to gówno będzie badane naukowo.

*

Sylvio Bénavides ma trudności z utrzymaniem otwartych powiek. Mówi sobie, że jak tak dalej pójdzie, zaśnie tu, w wodzie. Myśli, że takie rzeczy szybko następują. Zasypia się. Przy odrobinie pecha pada się głową na kamień, niegroźna rana, ale wystarczająca, by człowieka od razu uśpić, wystarczająca, by zsunąć głowę do wody, pod wodę, na koniec utopić człowieka.

Tego ranka Sylvio ma czarne myśli. Po wczorajszym telefonie do Laurença Sérénaca nie mógł zasnąć. Pielęgniarki chciały, żeby wrócił do domu, ale o tym nie było mowy! Być gliną to znaczy mieć jakieś przywileje. Spędził noc, patrząc, jak Béatrice śpi, i drzemiąc na dwóch krzesłach w poczekalni na wprost plakatów ostrzegających kobiety w ciąży przed zgubnymi skutkami palenia papierosów i picia alkoholu. Miał czas, żeby przemyśleć gruntownie te swoje cholerne trzy rubryki, wciąż te same trzy tematy.

Kochanki, *Nenufary*, dzieciaki.

Podsumować te tajemnice, których od kilku dni przybywa. Co myśleć o tych legendarnych czarnych *Nenufarach*? Oczywiście Amadou Kandy powinien to wiedzieć. Morval również. A co robi w tej historii wypadek tego chłopca Alberta Rosalby w 1937 roku, dokładnie w tym samym miejscu, ta pocztówka do jedenastoletniego dzieciaka z reprodukcją *Nenufarów* i cytatem z Aragona? I dlaczego Aragon? Dlaczego ten cytat *Zgadzam się by marzenia jako zbrodnie sądzić...*, co to może znaczyć? Skąd te liczby na odwrocie fotografii kochanek Morvala? Odgaduje jednak, czuje to, że wszystkie te elementy zazębiają się, że nie wolno żadnego z nich pominąć, że wszystkie mają swoje znaczenie.

Obserwuje Sérénaca. Niełatwo określić, czy jest on szczególnie skupiony na metodach datowania sedymentologa, czy też w ogóle się nie interesuje całą tą operacją. Bo przecież technika puzzla to nie jest naprawdę metoda szefa. W powikłanej sprawie Sérénac ma raczej skłonność, by ciągnąć tylko jedną nitkę od kłębka, mocno, bardzo mocno. Sylvio myśli, że to nie jest wyjście, że to tylko bardziej zawikła wszystko i że Sérénac ryzykuje, że nitka mu się zerwie między palcami. To dopiero się posunie naprzód.

Sylvio widzi, że Louvel odpiaszczył trzecią plastikową butelkę. Jak poszperać głębiej, to ta królewska droga wodna impresjonizmu nie odznacza się taką znów czystością. Sedymentolog analizuje wszystkie wydobyte rzeczy z profesjonalną systematycznością, chodzi o to, żeby potwierdzić, czy, o ile nie pamiętają czasów Claude'a Moneta, mogły spotkać trupa Jérôme'a Morvala.

Sylvio znowu myśli o Sérénacu. Nie dlatego jednak, żeby nie próbował wyjaśniać swojemu szefowi. Sérénac się zgadza, zgadza ze wszystkim, rubryki, tajemnice, cały ten galimatias. Ale to mu nie przeszkadza zamykać się w swojej intuicji: dla niego wszystko się kręci wokół Stéphanie Dupain. Nauczycielka jest w niebezpieczeństwie. To niebezpieczeństwo nazywa się Jacques Dupain. Nie wychodzi poza to. Obiektywnie rzecz biorąc, Sylvio, na podstawie faktów, uważa, że nauczycielka może mieć zarówno status podejrzaney, jak i potencjalnej ofiary. Powiedział to Sérénacowi, ale wygląda na to, że ten uparty jak osioł południowiec z Albi woli iść za swoim instynktem, niż brać pod uwagę obiektywne fakty. Co on tu może?

Sylvio dużo o tym myślał tej nocy, w gruncie rzeczy, tak jak Béatrice, lubi Sérénaca. Paradoksalnie, chociaż się od siebie różnią, jest zadowolony, że pracują razem. Może to kwestia uzupełniania się. Ale odnosi takie wrażenie, że Sérénac długo nie zagrzeje miejsca w komisariacie w Vernon. Pachnie mu to ekspresowym przeniesieniem! Na Północy intuicja nie bardzo się liczy jako metoda. Zwłaszcza kiedy na tę intuicję w mniejszym stopniu wpływa to, co się rozgrywa w mózgu

gliniarza, niż to, co się dzieje w jego spo...

– Chyba coś mam!

Krzyknął to policjant Louvel. Wszyscy gliniarze natychmiast się zbiegają.

Louvel zanurza obie ręce w piasku i wyjmuje z niego prostokątny, dość płaski przedmiot. Sedymentolog podaje mu plastikowe pudło, żeby oczyścić w nim znalezisko z piasku. Powoli, stopniowo można już odgadnąć, co policjant trzyma w ręku. Wkrótce nie ma już wątpliwości.

Policjant Louvel wydobył drewnianą kasetę malarską.

Sylvio wzdycha. Znowu cała akcja na nic, myśli. To pewnie jakiś malarz ją tu zostawił, bo chciał malować za blisko rzeki. Ktoś. W każdym razie nie Morval, on kolekcjonował obrazy, ale nie malował.

Louvel stawia swoje znalezisko na brzegu, sedymentolog wysypuje piasek, który pokrywał kasetę, na swoje sita i lejki. Piasek spada.

– Od jak dawna ona tu leżała? – pyta policjant Maury, który interesuje się takimi rzeczami.

Sedymentolog bada podziałkę w najmniejszym lejku.

– Mniej niż dziesięć dni, najwyżej. Ta kasetka wpadła do strumienia najpóźniej wczoraj, a najwcześniej, chyba, w dniu zabójstwa Morvala... Jest problem z deszczem, który padał siedemnastego maja. Napływy rzeczne nanoszone podczas ulewy są charakterystyczne. Schodzą z góry rzeki, a od tamtej pory nie padało. Biorę margines pięciu dni przed i pięciu dni po.

Sylvio podchodzi bliżej brzegu. Teraz to odkrycie zaczyna go intrygować. Kasetka malarska leżała więc w piasku w strumieniu od dziesięciu dni, najwyżej... Data mogłaby się zbiegać z dniem morderstwa. Również Sérénac podszedł bliżej. Obaj znajdują się w odległości metra od drewnianej skrzynki.

– Proszę cię, Sylvio – mówi Sérénac. – Do ciebie należy zaszczyt... W pełni zasłużyłeś na to, żeby jako pierwszy otworzyć ten skarb – dodaje, puszcza oko do swojego zastępcy. – Ale dzielimy łup na pięć równych części.

– Jak piraci?

– Dobrze zrozumiałeś...

Ludovic Maury śmieje się, stojąc z tyłu, za nimi. Inspektor Bénavides nie daje się dwa razy prosić i unosi kasetę malarską na kilka centymetrów od oczu. Drewno jest stare, lakierowane, co dziwne, bardzo mało zniszczone, mimo że leżało w wodzie. Jedyne żelazne zawiasy wyglądają na zardzewiałe. Sylvio odszyfrowuje, trochę zamazane, to, co wydaje mu się marką WINSOR & NEWTON, pisane kapitalikami pod logo firmy przedstawiającym coś w rodzaju uskrzydłonego smoka. Mniejszymi literami podtytuł informuje: *The World's Finest Artists' Materials*. Bénavides ani trochę się na tym nie zna, ale przypuszcza, że to

piękny przedmiot, renomowany, amerykański, stary; trzeba będzie sprawdzić.

– No więc – niecierpliwi się Sérénac – otwierasz ten kufer? Chcemy wiedzieć, co znaleźliśmy. Złote monety, biżuterię, mapę Eldorado...

Ludovic Maury znowu wybucha śmiechem. Niełatwo się zorientować, czy policjantowi naprawdę podoba się poczucie humoru szefa, czy przesadza. Sylvio jednak, wcale się nie spiesząc, porusza zardzewiałymi zawiasami. Kasetę się otwiera, jakby była nowa, jakby jeszcze wczoraj była używana. Sylvio spodziewa się znaleźć pędzle, zmoczone tubki z farbami, paletę, gąbkę. Nic szczególnego...

O, Boże!

Inspektor Bénavides o mało nie wypuścił kasety do strumienia. O, Boże... Wszystko mu buzuje w głowie. A gdyby od początku się mylił, gdyby to Sérénac miał rację?

Zaciska palce na drewnie i krzyczy:

– Na Boga, szefie, niech pan zobaczy! Szybko, niech pan patrzy!

Sérénac postępuje krok naprzód. Maury i Louvel również. Osłupienie inspektora Bénavides'a mocno ich zaskoczyło. Sylvio Bénavides trzyma otwartą kasetę przed ich oczami. Policjanci wpatrują się w boki skrzynki z bojaźliwym skupieniem prawosławnych stojących przed bizantyjską ikoną.

Wszyscy czytają to samo przesłanie, wyryte nożem w jasnym drewnie kasety: „Jest moja tu, teraz i na zawsze”.

Po tekście są jeszcze dwa przecinające się nacięcia. Krzyż. Groźba śmierci...

– Szlag by to! – wyje inspektor Sérénac. – Ktoś wrzucił tę kasetę do strumienia mniej niż dziesięć dni temu! Może nawet tego dnia, kiedy Morval został zamordowany!

Rękawem wyciera pot, który perli się na jego czole, i ciągnie:

– Sylvio, znajdziesz mi natychmiast eksperta od grafologii i porównasz ten napis wyryty w drewnie z pismem wszystkich rożaczy w miasteczku. A pierwszego na liście wpiszesz mi Jacques'a Dupaina!

Sérénac spogląda na zegarek. Jest 11.30.

– I chcę to mieć przed wieczorem!

Patrzy długo na pralnię znajdującą się naprzeciwko. Podniecenie mu opada i czterech otaczających go mężczyzn obdarza szczerym uśmiechem.

– Dobrze pograne, chłopaki! Kończymy szybko poszukiwania w rzece i opuszczamy teren. Myślę, że złowiliśmy najgrubszą rybę, jaka się tu chowała.

Podnosi kciuk w stronę policjanta Maury'ego.

– Miałeś cholernie genialny pomysł, Ludo. Pogrzebać w rzece. Trzymamy w rękach dowód, chłopcy. Nareszcie!

Maury nie wytrzymuje. Uśmiecha się jak dzieciak, który otrzymał dobrą ocenę.

Natomiast Sylvio Bénavides swoim zwyczajem wystrzega się przedwczesnego entuzjazmu. Dla jego szefa rodzaj żeński w napisie „Jest moja tu, teraz i na zawsze” może oznaczać tylko kobietę, nic innego, a groźba obowiązkowo została napisana przez zazdrosnego męża... Najlepiej przez Jacques’a Dupaina. Ale, myśli Sylvio, ten rodzaj żeński w napisie może się odnosić do czegokolwiek, do kogokolwiek. Niekoniecznie do kobiety. „Jest moja” mogłoby się też odnosić do jedenastoletniej dziewczynki albo do jakiegoś przedmiotu. Na przykład do farby.

Policjanci w dalszym ciągu przeszukują metodycznie rzekę, ale z coraz mniejszym przekonaniem. Wyciągają już tylko nieliczne odpadki. Słońce powoli się odwraca i cień wieży młyna des Chennevières pada na miejsce zbrodni, które policjanci zaczynają opuszczać. Sylvio Bénavides przed odejściem kilka razy podnosi oczy w stronę wieży młyna: przysięgłby, że widział poruszającą się zasłonę na samej górze, na czwartym piętrze. W następnej chwili już o tym zapomniał. Musi myśleć o wielu innych rzeczach.

– 48 –

– Czy Claude Monet ma spadkobierców? Mówię o żyjących.

Pytanie komisarza Laurentina zaskakuje Achille’a Guillotina. Emerytowany komisarz działał otwarcie, jak mu powiedziała sekretarka Muzeum Sztuk Pięknych w Rouen. Zatelefonował do muzeum i poprosił o rozmowę z najlepszym specjalistą od Claude’a Moneta. Słowem, właśnie z nim, Achille’em Guillotinem! Sekretarka zadzwoniła do niego w popłochu na komórkę. Był właśnie na zebraniu z urzędnikami od kultury z rady naczelnej operacji „Impresjonistyczna Normandia”. Znowu niekończąca się nasiadówka. Prawie z przyjemnością wyszedł na korytarz.

– Claude Monet, spadkobiercy... wie pan, komisarzu, trudno powiedzieć...

– Jak to „trudno”?

– No dobrze... spróbuję wyjaśnić możliwie jasno: Claude Monet miał dwoje dzieci z pierwszą żoną Camille Doncieux: Jeana i Michela. Jean ożenił się z Blanche, córką jego drugiej żony, Alice Hoschedé. Jean umarł w tysiąc dziewięćset cztertnastym roku, Blanche w czterdziestym siódmym; nie mieli dzieci. Michel Monet umarł w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku, był ostatnim spadkobiercą Claude’a Moneta. Kilka lat wcześniej Michel Monet

w swoim testamencie uczynił muzeum Marmottan, czyli Akademię Sztuk Pięknych, głównym zapisobiorcą. Muzeum Marmottan w Paryżu przechowuje do tej pory kolekcję „Monet i przyjaciele”, czyli ponad sto dwadzieścia płócien. Największy zbiór...

– Nie ma więc spadkobierców – przerywa Laurentin. – Ród Claude’a Moneta wygasł zatem na jednym pokoleniu.

– Niezupełnie – prostuje Guillotin, wyraźnie rozradowany.

Laurentin kaszle do słuchawki.

– Słucham?

Guillotin odczekuje krótki moment pełen napięcia, po czym mówi:

– Michel Monet miał nieślubną córkę ze swoją kochanką Gabrielle Bonaventure, piękną kobietą, która pracowała jako modelka. Michel Monet w końcu zalegalizował ów związek i wziął ślub z Gabrielle Bonaventure w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym w Paryżu, to było już po śmierci ojca.

Komisarz Laurentin wybucha w telefonie:

– W takim razie ta nieślubna córka jest ostatnią spadkobierczynią! To przecież wnuczka Claude’a Moneta...

– Nie – spokojnie odpowiada Guillotin. – Nie. To dziwne, ale Michel Monet nigdy nie uznał swojej nieślubnej córki, nawet po ślubie. Ona nigdy nie dostała ani centyma z tego bajecznego spadku, jaki zostawił jej dziadek.

Głos komisarza Laurentina słabnie:

– A jak się nazywała ta nieślubna córka?

Guillotin wzdycha.

– Jej imię znajduje się w każdej książce o Monecie. Nazywała się Henriette. Henriette Bonaventure. Zresztą nie wiem, dlaczego mówię w czasie przeszłym. Ona chyba żyje, tak mi się przynajmniej zdaje.

16.31. Dokładnie.

Fanette po wyjściu ze szkoły nie traci ani sekundy. Zbiega ulicą Blanche-Hoschedé-Monet i pędzi prosto do hotelu Baudy! Wie, że to tam sypiali malarze amerykańscy za czasów Moneta – Robinson, Butler, Stanton Young. Zna historię, nauczycielka im opowiadała. I to tam na pewno dzisiaj też śpi jakiś amerykański malarz. Przez chwilę rzuca okiem na zielone stoliki i krzesła stojące na tarasie naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, potem wpada jak bomba do hotelowej

restauracji.

Na ścianach wiszą obrazy, płótna i rysunki. Zupełnie jak w muzeum. Fanette uświadamia sobie, że po raz pierwszy wchodzi do hotelu Baudy. Chciałaby trochę dłużej pooglądać prestiżowe podpisy w części z plakatami, ale zza kontuaru patrzy na nią kelner. Fanette podchodzi. Kontuar z jasnego dębu jest bardzo wysoki, Fanette musi stanąć na palcach, żeby ją było widać. Wspina się do faceta, pomagając sobie rękami. Facet ma długą, czarną brodę, która przywodzi na myśl portrety Renoira malowane przez Moneta.

Nieciekawie wygląda!

Fanette mówi szybko, płacze się, mówi niewyraźnie, ale Renoir chyba w końcu zrozumiał, że dziewczynka poszukuje amerykańskiego malarza „Jamesa”, nie, nazwiska nie zna. Stary, z białą brodą. Cztery sztalugi...

Renoir robi zmartwioną minę.

– Nie, panienko. Nie mieszka tu nikt, kto by był podobny do tego Jamesa.

Broda zasłania mu usta, niełatwo odgadnąć, czy jest rozbawiony, czy rozdrażniony.

– Wiesz, mała, od dawna nie widać tu aż tylu Amerykanów co za czasów Moneta...

Kretyn! Jesteś tylko kretynem, Renoir!

Fanette wychodzi na ulicę Claude-Monet. Paul czeka na zewnątrz, na przerwie wszystko mu opowiedziała.

– No i co?

– Nic, nikogo!

– Co zrobisz? Może spróbować w innych hotelach?

– Nie wiem, przecież nie znam nawet jego nazwiska. Poza tym wydaje mi się, że James najczęściej spał na zewnątrz.

– Można by powiedzieć innym. Vincentowi. Camille’owi, Mary. Jak się wszyscy do tego weźmiemy, to...

– Nie!

Fanette prawie krzyknęła. Kilku klientów hotelu Baudy siedzących przy stolikach na tarasie naprzeciwko odwróciło się w ich stronę.

– Nie, Paul. Vincenta z tymi jego perfidnymi minami od kilku dni nie mogę znieść... A Camille, jak mu to powiesz, będzie nam tu opowiadał o wszystkich amerykańskich malarzach, którzy przyjeżdżali do Giverny od czasów prehistorycznych. I co nam to da.

Paul się śmieje.

– A Mary, jeszcze gorzej, najpierw zacznie płakać, a zaraz potem pójdzie opowiedzieć wszystko glinom. Chcesz, żeby matka mi oczy wydlubała?

– No, to co robimy?

Fanette kontempluje park przed hotelem Baudy aż do chemin du Roy: zrolowane bele siana rzucające trochę cienia na skoszony tuż przy ziemi trawnik, dalej łąka, która ciągnie się aż do ujścia Epte do Sekwany, słynna wyspa aux Orties.

To o tych krajobrazach rozmyślał ciągle James... Dla tych krajobrazów zostawił wszystko, swoje Connecticut, żonę i dzieci. Powiedział mi to.

– Nie wiem, Paul. Myślisz, że zwariowałam, co?

– Nie...

– On nie żył, przysięgam ci...

– Gdzie dokładnie?

– W polu zboża, za pralnią, za młynem czarownicy.

– Idziemy tam...

Schodzą ulicą Grands-Jardins. Wysokość kamiennych murów fasad domów została chyba tak skalkulowana, żeby na uliczkę padało jak najwięcej cienia. Fanette zaczyna prawie drżeć.

Paul usiłuje uspokoić przyjaciółkę:

– Powiedziałaś, że James stawiał cztery sztalugi, żeby malować! Plus wszystkie przyrządy, palety, szpachle, kasetka malarska. Na pewno jest jakiś ślad, na pewno coś tam zostało...

Fanette i Paul spędzają ponad godzinę w polu zboża. Odkryli tylko leżące kłosa, jakby ktoś na nich umarł, albo...

Przynajmniej tej trumny ze słomy nie wymyśliłam...

... albo, dodał Paul, jakby ktoś leżał tu kilka minut. Jak to odróżnić?

Paul i Fanette odkrywają też w końcu kłosa poplamione farbą. Niektóre są zabarwione na czerwono, może to krew, nie wiedzą. Jak odróżnić kroplę krwi od kropli czerwonej farby? Są też zmiażdżone kawałki tubek z farbą. Ale to o niczym nie świadczy, absolutnie o niczym. Poza tym, że ktoś tu często malował... Ale o tym Fanette już wie.

Nie zwariowałam.

– Kto inny mógł widzieć twojego malarza? – pyta Paul.

– Nie wiem, może Vincent?

– A oprócz Vincenta? Kto z dorosłych?

Fanette patrzy w stronę młyna.

– Nie wiem, jakiś sąsiad... Może czarownica z młyna... Ona na pewno wszystko widzi z wysokości swojej wieży!

– Idziemy tam!

Daj mi rękę, Paul. Daj mi rękę!

– 50 –

Nie mogę ich przeoczyć. Widzę, jak się zbliżają, dzieciaki! Przechodzą przez most nad strumieniem i tylko rzucają okiem na brzegi. Na to miejsce, gdzie gliniarze dopiero co wydobyli tę zapiaszczoną skrzynkę z farbami.

Teraz już nie ma ani jednego gliniarza, nikogo z żółtej bandy, ani faceta w okularach z jego lejkami. Jest już tylko strumień Epte, topole, pole zboża. Jak gdyby nic się nie stało, jakby natura miała to wszystko gdzieś.

I tych dwoje dzieciaków, co niczego się nie domyślają, podchodzą coraz bliżej. Niewinne istoty. Gdyby wiedzieli, jakie niebezpieczeństwo im grozi, biedaczki. Chodźcie, dzieci, chodźcie, nie bójcie się, śmiało, wchodźcie do domu czarownicy... Tak jak w bajkach dla dzieci, jak w *Królewnie Śnieżce*. Nie bójcie się czarownicy. Chodźcie, dzieci... Uważajcie jednak, to nie moje jabłko jest zatrute. To czereśnie.

Kwestia smaku...

Odchodzę powoli od okna. Dość się napatrzyłam.

Od zewnątrz nikt nie może mnie namierzyć, nikt nie może wiedzieć, czy jestem tu, czy nie. Czy mój młyn jest opustoszały, czy zamieszkany. Żadne światło mnie nie zdradzi. Ciemność mi nie przeszkadza, wręcz przeciwnie.

Odwracam się do moich czarnych *Nenufarów*. Teraz coraz bardziej lubię się im przyglądać w ten sposób, w ciemności. W półmroku wnętrza woda przedstawiona na płótnie staje się prawie niewidoczna, nieliczne refleksy na powierzchni stawu nikną, dostrzega się tylko żółte kwiaty nenufarów w nocy, jak gwiazdy zagubione w odległej galaktyce.

– 51 –

– Nikogo nie ma, mówię ci – odzywa się Fanette.

Dziewczynka uważnie obserwuje dziedziniec młyna. W wodzie strumienia moczą się stoczone przez robaki drewniane wiosła. Na kamiennej studni króluje zardzewiałe omszałe wiadro. Cień wielkiego drzewa czereśniowego pada prawie na całe podwórze.

Paul nalega:

– Zobaczymy...

Puka do ciężkich drewnianych drzwi. Teraz on z kolei zapatrzył się w cienie, które tańczą po podwórzu, jakby przedmioty, mury, kamienie zostawiono tam w słońcu na wieczność, żeby schły.

– Masz rację, ten młyn budzi strach – mówi Paul.

– W gruncie rzeczy nie – odpowiada Fanette. – Właściwie to chyba uwielbiałabym kiedyś mieszkać w takim miejscu. Na pewno musi być lepiej mieszkać w domu nie takim jak inne.

Czasem Paul myśli chyba, że jestem dziwna.

Paul robi obchód młyna i próbuje wyjrzeć przez okno na pierwszym piętrze. Patrzy w górę na wieżę, potem wraca do Fanette i wykrzywia niezdolnie usta, zgina palce.

– Jestem peewny, że tu mieeeeszka czarownica, Faaanette... ona nienawidziiii malarstwa, ona nas...

– Nie mów tak!

Paul ma stracha. Widzę to wyraźnie. Udaje odważniaka, ale ma pietra!

Nagle, z drugiej strony młyna zaczyna wyć pies.

– Cholera, zwiewamy.

Paul chwyta Fanette za rękę, ale dziewczynka wybucha śmiechem.

– Głupi! To Neptun, on zawsze tu śpi w cieniu, pod czereśnią.

Fanette ma rację. W następnej sekundzie Neptun podchodzi, jeszcze raz poszczekuje i zaczyna się ocierać o nogi dziewczynki. Ona pochyła się nad owczarkiem.

– Neptun, ty znałeś dobrze Jamesa, widziałeś go wczoraj na polu. Znalazłeś go. Wywąchałeś. Gdzie on jest teraz?

Ty, Neptun, wiesz przynajmniej, że ja nie zwariowałam!

Neptun usiadł. Przez dłuższą chwilę obserwuje Fanette. Potem wodzi oczami za przelatującym motylem, wreszcie zmęczonym krokiem, jak jaszczurka po kamiennym murze, wlecze się w cień czereśni. Fanette odprowadza go wzrokiem. Nagle orientuje się, zaskoczona, że Paul wdrapał się na drzewo.

– Zwariowałeś, Paul! Co tam robisz?

Bez odpowiedzi. Fanette nie ustępuje:

– Jeszcze niedojrzałe te czereśnie. Jesteś stuknięty!

– Nie, nie, to nie to! – szepcze Paul.

Po chwili chłopiec jest już na dole. W jego prawej ręce błyszczą dwie srebrne wstążki.

Czasem Paul się zachowuje jak idiota. Jak myśli, że musi zgrywać Tarzana, żebym go kochała...

– To... – wyjaśnia Paul, łapiąc oddech. – To do odpędzania ptaków, które krążą koło najładniejszych owoców!

Skacze na obie nogi, wzbijając lekki obłok kurzu, podchodzi, klęka na jedno kolano i wyciąga ramiona gestem średniowiecznego rycerza.

– Dla ciebie, moja księżniczko, to srebro, żeby błyszczało ci we włosach, żeby cię zawsze chroniło przed złymi zachłannymi osobnikami, kiedy pojedziesz daleko, na drugi koniec świata, i będziesz sławna.

Fanette usiłuje powstrzymać łzy. Nie może! To już za dużo, o wiele za dużo dla takiej małej dziewczynki jak ona: śmierć Jamesa, kłótnie z matką na temat malowania, jej ojca, wszystkiego, ten konkurs fundacji Robinsona, jej *Nenufary*, a zwłaszcza ten głupek Paul i jego dziwaczne romantyczne pomysły.

Jesteś straszny głupek, Paul! Straszny głupek!

Fanette odwija wstążki jedną ręką, a drugą głaszcze policzek Paula.

– Wstań, idioto.

Ale to ona się pochyła aż do jego ust i składa na nich pocałunek.

Długi długi długi. Jakby na zawsze.

A teraz płacze, nie powstrzymując się.

– Idiota. Potrójny idiota. Całe życie będziesz patrzył na te srebrne wstążki w moich włosach. Powiedziałam ci, że się pobierzemy!

Paul powoli wstaje i bierze Fanette w ramiona.

– Chodź, idziemy stąd. To wariactwo. Wczoraj jeden zmarły. A przedtem jeszcze jeden, kilka dni temu, ten zamordowany facet. Trzeba dać gliniarzom się tym zająć. To niebezpieczne, nie powinniśmy tu zostawać...

– A James? Ja muszę...

– Nie tutaj, tu go nie ma... nikogo nie ma. Fanette, jeżeli jesteś pewna, to chyba trzeba o tym powiedzieć policji! Nigdy nie wiadomo, może śmierć Jamesa ma jakiś związek z tym drugim facetem, co go znaleźli zamordowanego, rozumiesz, to morderstwo, o którym mówią wszyscy w mieście.

Odpowiedź Fanette jest bezapelacyjna:

– Nie!

Nie! Nie! Nie budź moich wątpliwości, Paul. Nie!

– No to kto ci uwierzy, Fanette? Nikt! James żył jak kloszard. Nikt na niego nie

zwracał uwagi.

Zatrzymują się na chwilę przy chemin du Roy, czekają, aż droga będzie wolna, potem przechodzą na drugą stronę. Nad wierzchołkami nadsekwańskich pagórków zaczynają napływać chmury. Dzieci, nie spiesząc się, podążają w stronę Giverny. Nagle Paul się zatrzymuje.

– A nauczycielka? Nie porozmawiałabyś z naszą panią? Ona lubi malarstwo. Ogłosiła nam konkurs malarzy na trawie tej jakiejś fundacji Robinsona. Zdaje się, że spotkała kiedyś Jamesa... W każdym razie ona cię zrozumie... Będzie wiedziała, co robić...

– Tak myślisz?

Na ulicy liczni przechodnie wyprzedzają dwoje dzieci. Paul obraca się dookoła.

– Jestem pewny! To dobry pomysł.

Nachyla się do Fanette, jakby chciał jej się z czegoś zwierzyć.

– Zdradzę ci pewien sekret, Fanette. Zauważyłem, że nasza pani też nosi srebrne wstążki we włosach... Powiem ci więcej, zdaje się, że w ten sposób księżniczki rozpoznają się na ulicach Giverny.

Fanette chwytą go za rękę.

Chciałabym, żeby czas się zatrzymał. Żebyśmy, Paul i ja, więcej się nie poruszali, żeby tylko sceneria defilowała wokół nas, bez przerwy, jak w kinie.

– Musisz mi coś obiecać, Fanette.

Ich ręce skręcają się ze sobą niczym liany.

– Musisz skończyć swój obraz, Fanette. Musisz wygrać ten konkurs Robinsona, za wszelką cenę! To jest najważniejsze.

– Ja nie...

– Tak by powiedział James, Fanette, dobrze wiesz. Tego by chciał...

– 52 –

Dzieciaki skręcają w kierunku ulicy Château-d'Eau, stracę ich z oczu. Już i tak przez zaciągnięte zasłony sylwetki są trochę niewyraźne... Tylko Neptun się tym wszystkim nie przejmuje. Śpi pod czereśnią.

Ta biedna dziecina myśli, że będzie mogła uciec. Uśmieć się można! Myśli, że maluje arcydzieło, to, które schowała pod pralnię, myśli, że będzie mogła pofrunąć nad stawem Moneta. Nad Giverny. Pokonać siłę ciężkości jedynie swoją sztuką, swoim małym geniuszem, co jej w kółko kładą do głowy.

Nenufary jako tęcza! Biedna mała Fanette.

Czyste kpiny!

Odwracam się do swoich czarnych *Nenufarów*. Żółte korony kwiatów połyskują między żałobnymi barwami rzuconymi przez pędzel zrozpaczonego malarza.

Jaka pycha!

Swobodny skok do stawu, to tylko czeka małą Fanette. Utonie zaklinowana pod powierzchnią nenufarów jak pod warstwą lodu w wodzie jeziora zimą.

Już niedługo, już bardzo niedługo.

Każdy w swoim czasie.

DZIEŃ JEDENASTY
23 maja 2010
(*Młyn des Chennevières*)

ZAWZIĘTOŚĆ

– 53 –

Chociaż raz nie stoję przy oknie i nie śledzę wszystkiego. No więc widzicie, że mimo pozorów nie spędzam całych dni jedynie na szpiegowaniu okolic. No, może nie tylko.

Zresztą dziś rano na zewnątrz elektryczna piła robiła piekielny hałas. Dowiedziałam się nie tak dawno, że podobno zdecydowali ściąć czternaście hektarów topoli. Tak, powalić topole! Tu, w Giverny! Z tego, co zrozumiałam, te topole, wówczas niepozorne małe krzaczki, zostały posadzone tu na początku lat osiemdziesiątych, zapewne po to, żeby krajobraz stał się jeszcze bardziej impresjonistyczny. Tylko że potem specjaliści, na pewno już inni, twierdzili, że te topole za czasów Moneta nie istniały, że pejzaż łąki, który malarz podziwiał z okna swojego domu, był otwarty, oraz że w miarę jak topole rosną, rzucają coraz więcej cienia na ogród, na staw, na nenufary... I drugi plan obrazów Moneta staje się dla turystów coraz mniej rozpoznawalny na horyzoncie. A więc to prawdopodobnie postanowione, najpierw posadzono topole, a teraz się je wycina! W końcu dlaczego nie, skoro ich to bawi. Jedni tubylcy pyskują, inni przyklaskują. Ja, powiem wam, dzisiaj mam to gdzieś.

Mam sporo innych zajęć. Dziś rano porządkuję stare pamiątki, rzeczy sprzed wojny, czarno-białe fotografie, ten rodzaj relikwii, które interesują już tylko takie staruszki jak ja. Dobrze zrozumieliście, w końcu zdecydowałam się opróżnić garaż, żeby odnaleźć ten stary karton z pozaginanymi rogami, przewiązany lnianym sznurkiem. Schowany był pod trzema warstwami kaset wideo, jedną warstwą płyt

winyłowych i dziesięcioma centymetrami wyciągów z konta w Crédit Agricole. Złożyłam na czworo serwetkę na stole i ułożyłam fotografię.

Po silniku piły elektrycznej sprzed godziny gwałtownie przywołała mnie do rzeczywistości syrena, tak jak dzwonek budzika przepędza poranne marzenia senne, rozumiecie, o czym mówię?

Syrena gliniarzy, która wyła na chemin du Roy.

Chwilę wcześniej zalewałam akurat swoimi łzami jedyną w gruncie rzeczy ważną dla mnie fotografię, fotografię mojej klasy. Giverny. 1936–1937. Rzeczywiście, kawał czasu! Oglądałam uważnie portret dwudziestu uczniów, którzy siedzą grzecznie w trzech rzędach na drewnianych ławkach. Nazwiska dzieci napisane są na odwrocie, ale wcale nie musiałam odwracać fotografii.

Na ławce obok mnie siedzi Albert Rosalba. Oczywiście.

Długo patrzyłam na twarz Alberta. Fotografia została zrobiona chyba trochę po rozpoczęciu roku szkolnego, na Wszystkich Świętych albo w najbliższych tygodniach.

Zanim wydarzył się...

I w tym momencie syrena gliniarzy prześwidrowała mi uszy.

Wstałam, pewnie się domyślacie. Tak jakby strażnik więzienny, nawet roztargniony, nie rzucił się do wizjera swojej wartowni, kiedy dzwoni alarm! Pobiegłam więc do okna. Pobiegłam to dużo powiedziane. Złapałam laskę i z trudem skierowałam się do szyby, odsuwając dyskretnie zasłonę za pomocą tego mojego kija.

Niczego nie przeoczyłam. Nie można było nie zauważyć tych gliniarzy! Cała kawaleria wyległa. Trzy samochody. Syreny i „koguty”.

Nie ma co, duże siły ma ten inspektor Sérénac!

– 54 –

Sylvio Bénavides podnosi oczy na wieżę młyna, która przemieszcza się z szaloną szybkością po prawej stronie.

– O, proszę – szepcze Sylvio między jednym ziewnięciem a drugim. – Byłem w młynie, wie pan, szefie, powiedział pan, żebym nie przepuścił żadnego świadka, zwłaszcza sąsiadów...

– No i?

– To dziwne. Młyn jest jak opustoszały. Opuszczony, jeśli pan woli.

– Jesteś tego pewny? Ogród wydaje się dobrze utrzymany, fasada również.

Kilka razy, kiedy byliśmy na miejscu zbrodni, przy strumieniu, zdawało mi się, że widzę ruch w młynie, zwłaszcza na górze, na ostatnim piętrze wieży... Poruszała się w oknie zasłona czy coś takiego.

– Ja też, szefie, miałem takie wrażenie. Ja też. Tymczasem nikt mi nie odpowiedział, a sąsiedzi twierdzą, że od miesiący nikt tam nie mieszka.

– Dziwne... Nie będziesz mi opowiadał, że to omertà miejscowa, zbiorowe kłamstwo wszystkich mieszkańców, tak jak przy okazji tej historii z jedenastoletnim dzieciakiem?

– Nie...

Sylvio namyśla się chwilę.

– Powiem panu jeszcze, że mieszkańcy nazywają to miejsce młynem czarownicy.

Sérénac uśmiecha się, patrząc na odbicie wieży znikające w lusterku wstecznym.

– W tym przypadku to byłby raczej młyn widma, nie? No, dobrze, dajmy temu spokój, Sylvio. Na razie mamy inne pilne sprawy.

Sérénac znowu przyspiesza. Po lewej przez ułamek sekundy defilują ogrody Moneta. Nigdy żaden pasażer nie zobaczy tak impresjonistycznego widoku ogrodu.

– O – dodaje Laurenç. – A propos miejscowej omerty... wiesz, co mi wczoraj opowiedziała Stéphanie Dupain o domu Moneta i pracowniach?

– Nie...

– Że gdyby trochę poszukać, to można by znaleźć tam, nie tak bardzo ukryte, dziesiątki płócien mistrzów. Renoir, Sisley, Pissarro... i oczywiście nieznane *Nenufary* Moneta.

– Widział je pan?

– Pastel Renoira. Może...

– Zakpiła sobie z pana, szefie!

– Oczywiście... Ale po co by miała mi opowiadać takie historie? Dodała nawet, że w Giverny to coś w rodzaju tajemnicy poliszynela...

Sylvio przypomina sobie gorączkowo rozmowę, jaką odbył z Achille'em Guillotinem à propos zaginionych płócien Moneta. Zaginione płótno, które odnalazłby ktoś nieznajomy, czemu nie? Tak jak te słynne czarne *Nenufary*. Ale dziesiątki!?

– Ona pogrywa z panem, szefie. Wyprowadza pana w pole. Od początku to panu mówiłem... I mam wrażenie, że nie ona jedna w tym miasteczku.

Sérénac nie podejmuje tematu i z powrotem skupia się na drodze, nie zwalniając. Sylvio nachyla bladą twarz do otwartego okna. Jego nozdrza usiłują wciągnąć odrobinę świeżego powietrza.

– Co jest, Sylvio? – niepokoje się Sérénac.

– Jakoś tak... musiałem wlać w siebie z dziesięć kaw, żeby przetrzymać tę noc. Rano szczęśliwie doktorzy zdecydowali, że zatrzymają Béatrice aż do końca.

– A ja myślałem, że ty pijasz tylko herbatę bez cukru?

– Ja też tak myślałem...

– To co ty tu robisz, skoro twoja żona jest na porodówce?

– Mają do mnie zadzwonić, jak będzie coś nowego... Ginekolog ją obejrzy... Dziać się siedzi sobie spokojnie w ciepłe w tym swoim kokonie, według nich to może potrwać jeszcze kilka dni...

– I dlatego znowu całą noc zajmowałaś się sprawą?

– Trafione... Muszę się przecież nią zajmować, no nie? A Béatrice chrapała sobie jak suseł w swoim pokoju przez resztę nocy.

Sérénac bierze ostry zakręt w kierunku wyższych rejonów Giverny, w ulicę Blanche-Hoschedé-Monet. Sylvio spogląda w lusterko wsteczne. Za nimi jadą dwa wozy policyjne. Maury i Louvel są tuż-tuż. Sylvio w ostatniej chwili powstrzymuje mdłości.

– Nie przejmuj się – ciągnie Sérénac. – Teraz już sprawa Morvala zostanie zamknięta w niecałe pół godziny. Będziesz mógł wstawić sobie łóżko polowe do szpitala! Dzień i noc. Biegli od grafologii wypowiedzieli się jasno: ten cholerny przekaz wyryty w kasecie z farbami „Jest moja tu, teraz i na zawsze” ma charakter pisma Jacques’a Dupaina... Przyznaj, że miałem rację, Sylvio. To było podpisane!

Sylvio oddycha głęboko, łapiąc powietrze z zewnątrz. Droga Hoschedé-Monet wije się i wspina po wzgórzu, a Sérénac pędzi wciąż jak szalony. Bénavides zastanawia się, czy wytrzyma tę jazdę pod górę. Wstrzymuje na dłuższą chwilę oddech, potem cofa się do środka.

– Tylko dwóch ekspertów z trzech, szefie... I ich konkluzje są bardzo ostrożne. Według nich na pewno są podobieństwa między słowami wyrytymi w drewnie a pismem Dupaina, ale jest też sporo rozbieżności. Mam raczej wrażenie, że eksperci nic z tego nie rozumieją...

Palce Sérénaca bębnią nerwowo po kierownicy.

– Słuchaj, Sylvio, umiem tak samo jak ty czytać raporty. Jest podobieństwo z pismem Dupaina, to analiza ekspertów, tak? Co do reszty rozbieżności, myślę po prostu, że wyryć w drewnie ostrzem to niezupełnie to samo co podpisać czek. Wszystko się wiąże, Sylvio, nie komplikuj sobie życia. Dupain jest zazdrosny do szaleństwa. Primo, grozi Morvalowi przesłaniem na pocztówce, to tekst Aragona, wyjątek z poematu *Nymphée*, *Zgadzam się by marzenia jako zbrodnie sądzić*, secundo, powtarza swoje groźby przesłaniem w kasecie na farby; tertio, morduje rywala...

Droga Hoschedé-Monet sprowadza się teraz do jednego dwumetrowego pasa

asfaltu, który cały czas skręca aż do płaskowyżu Vexin. Sylvio po raz kolejny waha się, czy zaprzeczyć Sérénacowi, podkreślić, że wobec rozbieżności ekspertyzy grafologicznej Pellissier, specjalista Pałacu Sprawiedliwości w Rouen, wspomina o możliwości niezręcznej próby naśladowania...

Krótki ostry skręt w lewo.

Sérénac, który jechał środkiem drogi, o mało nie wpada na traktor zmierzający w przeciwnym kierunku. Przerażony farmer w ostatniej chwili skręca do rowu. Dobrze robi. Patrzy z niedowierzaniem, jak dwa inne niebieskie wozy wymuszają pierwszeństwo.

– O, Boże! – zawył Sylvio, zerkając w lusterko.

Robi głęboki wdech, po czym odwraca się do Laureńca Sérénaca.

– Ale, szefie, co w całej tej sprawie robi kasetka malarska? Zgodnie z analizami ta kasetka malarska ma co najmniej osiemdziesiąt lat. Sztuka kolekcjonerska! Winsor & Newton, najbardziej znana na świecie marka, która zaopatruje malarzy od ponad stu pięćdziesięciu lat... Do kogo mogła należeć ta cholerna skrzynka?

Sérénac w dalszym ciągu wypatruje zakosów na drodze. Znudzone barany na trawiastym zboczu ledwie raczą odwrócić głowę w stronę przejeżdżających z wyciem wozów.

– Morval był kolekcjonerem – mówi Sérénac. – Lubił piękne przedmioty...

– Nikt go nigdy nie widział z tą kasetą malarską, twierdzi stanowczo wdowa, Patricia Morval. Nie zapominajmy też, że nie ustalono, czy ma to związek ze zbrodnią. Ta kasetka malarska mogła przecież zostać wrzucona do rzeki przez kogokolwiek, nawet kilka dni po zabójstwie Morvala...

– Na kasecie znaleziono krew...

– Za wcześniej o tym mówić, szefie! Analizy jeszcze nie wróciły. Nie ma wcale pewności, że to krew Morvala... Przepraszam, ale wydaje mi się, że trochę za szybko pan wnioskuje...

Jakby po to, żeby mu odpowiedzieć, inspektor Sérénac wyłącza wreszcie sygnał i parkuje, zaciągając hamulec ręczny, na małym niewyafaltowanym parkingu.

– Posłuchaj, Sylvio, mam motyw, mam pogróżki pod adresem ofiary napisane ręką Dupaina, który nie ma alibi, ale za to raczy nas groteskową opowiastką o skradzionych kaloszach... Atakuję! Kiedy części w twoim puzzlu ułożą się inaczej, te twoje cholerne trzy kolumny, dasz mi znać. A poza tym za oskarżeniem Dupaina przemawia... chociaż wiem, że się z tym nie zgodzisz... moje wewnętrzne przekonanie!

Sérénac wysiada z wozu, nie czekając na odpowiedź. Kiedy z kolei Sylvio wystawia nogę z samochodu, czuje, że ziemia kręci się wokół niego. Mówi sobie, że tak jak wszelki nadmiar, kawa stanowczo mu nie posłużyła i że chętnie

poszedłby zwymiotować za świerki na końcu parkingu.

Tylko że nie byłoby to bardzo dyskretne. Na każdym końcu wzmiankowanego parkingu stoją zaparkowane trzy ciężarówki żandarmerii, z których wychodzi, przeciągając się, z dziesięciu facetów. W następnym momencie również Louvel i Maury czują się w obowiązku zablokować przednie koła i wypróbować poślizg na żwirze.

– Kretyni!

Szef zmobilizował liczne siły. Skromnie licząc, z piętnastu ludzi, sporą część komisariatu z Vernon plus żandarmeria z Pacy-sur-Eure i z Ecos. Wysadził się na przyjęcie z wielką pompą, myśli Sylvio, żując gumę z chlorofilem, którą dał mu Louvel. I pokazuje to swoje upodobanie do inscenizacji, może trochę zbędne.

Wszystko to dla jednego człowieka.

Co prawda, na pewno uzbrojonego!

Ale co do którego nie ma nawet pewności, że jest winny.

Rudy królik ucieka rozpaczliwymi zygzakami po murawie, jakby go ktoś pouczył, że długie stalowe rury, które niosą na wprost niego trzy cienie, mogą odebrać mu życie przy białym błysku.

– Ten jest dla ciebie, Jacques.

Jacques Dupain nawet nie podnosi broni. Titou obserwuje go zdziwiony, po czym wycelowuje strzelbę. Za późno. Dziki królik zniknął między dwoma jałowcami.

Każdy ma swoją magię.

Przed nimi nic, tylko goła trawa wyskubana przez stada baranów sprowadzone tu niedawno. Schodzą cały czas w stronę Giverny ścieżką Astragale.

– Kurczę, Jacques, nie jesteś w formie – wtrąca Patrick. – Chyba nawet barana byś nie trafił.

Titou, trzeci myśliwy, kiwa głową na potwierdzenie. Titou jest dość dobrym strzelcem. Gdyby nie zostawił królika Jacques'owi, wystarczyłyby mu dwa metry... Delikatny spust, jak mówią mu często kumple. Bo co do reszty, delikatność...

– Czy to z powodu śledztwa w sprawie zabójstwa Morvala, co? – komentuje, odwracając się do Jacques'a Dupaina. – Boisz się, że gliniarz wsadzi cię do mamra tylko po to, żeby ci buchnąć Stéphanie?

Titou wybuchą śmiechem, tylko on. Jacques Dupain wpatruje się w niego z tłumionym zdenerwowaniem. Patrick wzdycha. Titou nalega:

– Trzeba przyznać, że nie masz szczęścia z tą swoją Stéphanie. Zaraz po Morvalu już leci na nią gliniarz...

Żwir na ścieżce Astragale obsuwa im się spod nóg. Z tyłu, na trawie na zboczu sterczą uszy, białe i czarne.

Jak Titou zacznie...

– Trzeba przyznać, że gdybyś nie był moim kumplem, to ja bym Sté...

Głos Patricka rozbrzmiewa w ciszy:

– Zamknij się, Titou!

Titou uśmierca koniec zdania w swoich wąsach. Schodzą dalej ścieżką, bardziej zjeżdżając niż maszerując. Titou jakby coś rozważał w myśli, potem wybucha śmiechem i mówi:

– Powiedz, Jacques, nie cisną cię moje kalosze?...

Titou nie może się uspokoić. Pęka ze śmiechu, aż mu łzy napływają do oczu. Patrick patrzy na niego z niedowierzaniem. U Jacques'a Dupaina nie widać ani cienia reakcji. Titou wyciera rękawem powieki.

– Wygłupiam się, chłopaki. Domyślasz się, Jacques, że się wygłupiam. Przecież dobrze wiem, że nie sprzątnąłeś Morvala!

– Kurczę, Titou, przestań...

Tym razem koniec zdania Patricka więźnie mu głęboko w gardle.

Przed nimi parking, na którym zostawili furgonetkę, przekształcił się w coś jak Fort Alamo. Liczą – sześć wozów z „kogutami” i prawie dwudziestu gliniarzy... Policjanci i żandarmi stoją twarzami do nich, ustawieni w półkole, z rękami na biodrach, z palcami na białej skórze kabury rewolweru.

Inspektor Sérénac stoi metr od myśliwych. Patrick robi instynktownie krok w bok. Jego ręka zaciska się na zimnej rurze lufy strzelby Jacques'a Dupaina.

– Spokojnie, Jacques. Spokojnie.

Podchodzi inspektor Sérénac.

– Jacques Dupain. Jest pan aresztowany w związku z zamordowaniem Jérôme'a Morvala. Proszę nie stawiać oporu...

Titou przygryza wargi, rzuca swój karabin na ziemię i podnosi trzęsące się ręce... Tak jak widział w filmach.

– Spokojnie, Jacques – ciągnie Patrick. – Nie rób głupstw...

Patrick dobrze zna swojego kumpla. Od lat chodzą gdzieś razem, maszerują, polują razem. Nie podoba mu się, wcale mu się nie podoba ta marmurowa twarz, bez wyrazu, tak jakby prawie w ogóle nie oddychał.

Sérénac podchodzi bliżej. Sam. Bez broni.

Dwa metry...

– Nie! – krzyczy Sylvio Bénavidés.

Inspektor przecina półkole gliniarzy i staje prawie obok Sérénaca. Może to symboliczne, ale Bénavides ma wrażenie, że psuje w ten sposób rodzaj symetrii; jakby się spodziewał, że zakłóci nieubłagany rytuał westernowego pojedynku, przechodząc w złym momencie przez ulicę. Jacques Dupain kładzie rękę na nadgarstku Patricka. Bez słowa. Patrick zrozumiał, nie ma innego wyjścia, jak puścić stalową lufę.

Ma nadzieję, że nie będzie tego żałował. Przez całe życie.

Widzi z przerażeniem, jak ręka Jacques'a zaciska się na spuście i lufa strzelby powoli się podnosi.

Na ogół Jacques celuje jeszcze lepiej niż Titou.

– Niech pan przestanie, Laurenc – szepcze Sylvio, poblady.

– Jacques, nie rób głupstw – mówi cicho Patrick.

Sérénac postępuje krok naprzód. Od Jacques'a Dupaina dzieli go mniej niż dziesięć metrów. Inspektor podnosi powoli rękę, patrzy podejrzanemu prosto w oczy. Sylvio Bénavides z przerażeniem obserwuje wyzywający uśmiech, który pojawia się na ustach jego szefa.

– Jacques Dupain, pan...

Lufa strzelby Jacques'a Dupaina jest teraz wycelowana w Sérénaca. Na ścieżce Astragale zapanowała wstrząsająca cisza.

Titou, Patrick, policjanci Louvel i Maury, inspektor Sylvio Bénavides, piętnastu gliniarzy, nawet ci najmniej złośliwi, nawet ci najmniej zdolni do odgadywania tego, co może się ukrywać z tyłu głowy... wszyscy odczytują to samo w zimnym spojrzeniu Jacques'a Dupaina.

Nienawiść.

Dziewczyna w okienku archiwum miasta Evreux zawsze zaczyna zdanie od takich słów: „A na pewno pan sprawdził, czy...”. Siedząc przed podwójnym ekranem swojego komputera, bardzo gorliwie odgrywa rolę przeciążonej pracą urzędniczki, w końcu zza złocistych okularów spogląda na starca, który prosi ją teraz o egzemplarze nieodżałowanego „Le Républicain de Vernon”, lokalnego tygodnika, który po pierwszej wojnie światowej został przemianowany na „Le Démocrate”. Wszystkie numery, od stycznia do września 1937 roku.

– A na pewno pan sprawdził, czy w Vernon, w siedzibie „Le Démocrate”, nie ma archiwum?

Komisarz Laurentin zachowuje spokój. Od dwóch godzin siedzi w archiwum departamentu i próbuje z pokorą i uniżeniem udawać uroczego, ujmującego staruszka, uprzedzająco grzecznego wobec o wiele młodszych od siebie kobiet. Zazwyczaj to działa!

Nie tutaj!

Dziewczyny z okienka nie wzruszają jego pogruchiwania. Trzeba przyznać, że dziesięć osób siedzących przy drewnianych stołach w czytelnicy archiwum to sami mężczyźni powyżej sześćdziesięciu lat, siedemdziesięciokilkuletni historycy amatorzy czy archeolodzy genealogowie dokopujący się do swoich korzeni... i wszyscy stosują tę samą strategię co komisarz Laurentin: ciut przestarzałą galanterię. Laurentin wzdycha. Wszystko było o wiele prostsze, kiedy mógł machnąć przed nosem ponuremu funkcjonariuszowi swoją trójkolorową legitymacją. Oczywiście panienka z okienka nie może się domyślać, że ma do czynienia z komisarzem policji.

– Tak, proszę pani, już sprawdziłem – odpowiada komisarz Laurentin z wymuszonym uśmiechem. – W siedzibie „Le Démocrate” nie mają w ogóle archiwów sprzed tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku...

Dziewczyna znowu odmawia swoją stałą litanie:

– A na pewno pan sprawdził w archiwum komunalnym w Vernon? Na pewno sprawdził pan w dziale czasopism w Wersalu w archiwum państwowym? Sprawdził pan, czy...

Czy ta dziewczyna jest opłacana przez konkurencję?

Komisarz Laurentin ucieka w cierpliwą rezygnację emeryta, któremu wcale się nie spieszy.

– Tak, sprawdziłem! Tak! Tak!

Jego poszukiwania Henriette Bonaventure, tajemniczej ostatniej potencjalnej spadkobierczynie Claude’a Moneta, na razie absolutnie nic nie przyniosły. Ale to nie takie ważne. Chce zbadać inny trop, trop, jak się zdaje, bez żadnego związku. Wie, że w tym celu wystarczy wytrzymać do chwili, kiedy panienka z okienka zrozumie, że więcej czasu straci na odprawianiu tego upartego staruszka niż na załatwieniu jego prośby.

Upór w końcu się opłaca. Po półgodzinie komisarz Laurentin trzyma przed sobą czasopismo.

„Le Républicain de Vernon”.

Stary, pożółkły numer, który on chyba jako pierwszy wydobył: wydanie z soboty 5 czerwca 1937 roku. Przez chwilę zagłębia się w pierwszą stronę gazety,

na której wydarzenia państwowe mieszają się z lokalną kroniką wypadków. Komisarz rzuca okiem na poruszający artykuł redakcyjny o Europie w ogniu: Mussolini świętuje swoje porozumienie z Hitlerem, w Niemczech konfiskuje się majątki Żydów, frankiści zabijają republikanów w Katalonii... Pod tym dramatycznym artykułem wybuchają na niezbyt ostrej fotografii blond-platynowa fryzura i czarne wargi Jean Harlow, amerykańskiej gwiazdy zmarłej kilka dni wcześniej w wieku dwudziestu sześciu lat. Dolna część pierwszej strony poświęcona jest problemom lokalnym: zbliżające się otwarcie dworca lotniczego le Bourget, niecałe sto kilometrów od Vernon, śmierć hiszpańskiego robotnika rolnego, którego znaleziono z podciętym gardłem na barce Freycinet przycumowanej w Port-Viller, prawie na wprost Giverny...

Komisarz Laurentin przechodzi wreszcie na drugą stronę. Artykuł, którego szuka, zajmuje pół strony: „Śmiertelny wypadek w Giverny”.

Anonimowy dziennikarz opisuje w dziesięciu liniijkach na dwóch kolumnach tragiczne okoliczności śmierci przez utonięcie jedenastoletniego chłopca Alberta Rosalby w miejscu zwanym La Prairie w pobliżu pralni ofiarowanej przez Claude’a Moneta i młyna des Chennevières, w bocznym kanale odprowadzającym wodę z Epte. Chłopiec był sam. Żandarmeria stwierdziła, że był to wypadek: chłopiec prawdopodobnie się pośliznął i uderzył głową o kamień na brzegu. Nieprzytomny Albert Rosalba, skądinąd świetny pływak, utopił się w wodzie głębokiej na dwadzieścia centymetrów. Artykuł mówi następnie o cierpieniu rodziny Rosalba i kolegów z klasy małego Alberta. Wtrąca nawet kilka liniijek o polemice, która przybiera na sile. Claude Monet umarł już przeszło dziesięć lat temu: czy nie powinno się zatem odciąć tego sztucznego ramienia rzeczki i wysuszyć ten niezdrowy staw z nenufarami, prawie zupełnie opuszczony?

Artykułowi towarzyszy mało wyraźna fotografia. Albert Rosalba w czarnym fartuszkowi zapiętym pod szyję, krótko ostrzyżone włosy, uśmiecha się, siedząc w szkolnej ławce. Wzruszająca fotografia grzecznego dziecka.

To właśnie on, myśli komisarz Laurentin.

Z torby leżącej pod nogami wyciąga fotografię całej klasy. Data i miejsce widoczne są na czarnej tabliczce przymocowanej do drzewa na szkolnym dziedzińcu: „Szkoła miejska w Giverny – 1936–1937”.

To Liliane Lelièvre trzema kliknięciami wygrzebała mu to archiwalne zdjęcie na stronie Copains d’avant, dokładnie tak, jak mu to mówiła przez telefon Patricia Morval. Liliane pouczyła go, że na tej stronie można przeglądać klasy, do których się chodziło, począwszy od lat przedszkolnych, można odnaleźć twarze ludzi spotykanych w ciągu całego życia, i to nie tylko tych z ławy szkolnej: wszystkich, z którymi chodziło się do pracy, służyło w wojsku, jeździło na kolonie, ćwiczyło

w klubie sportowym, uczęszczało do szkoły muzycznej... albo plastycznej uczącej malarstwa...

To jakiś surrealizm! – myśli komisarz Laurentin. To tak, jakby nie trzeba było już przypominać sobie samodzielnie... Ciao, alzheimer. To tak jakby całe życie człowieka zostało zarchiwizowane, sklasyfikowane, odsłonięte, a nawet wystawione do ogólnego wglądu... No, prawie. Większość fotografii na tej stronie pochodzi sprzed dziesięciu lat; dwudziestu czy najwyżej trzydziestu. Dziwna sprawa, bo to zdjęcie klasy z roku szkolnego 1936–1937 jest tu najstarsze, i to dużo starsze od innych.

Dziwne...

Tak jakby Patricia Morval umieściła je w sieci właśnie po to, żeby on je odkrył. Komisarz Laurentin znowu wpatruje się w zdjęcia.

Tak, to na pewno on...

Fotografia z „Le Républicain de Vernon” doskonale pokazuje tego chłopca z fotografii klasowej siedzącego w drugim rzędzie w środku.

Albert Rosalba.

Nie ma natomiast na fotografii klasowej ze strony Copains d’avant ani jednego nazwiska dziecka. Pewnie nazwiska były zapisane na odwrocie oryginału... Trudno. Laurentin zamyka „Le Républicain de Vernon” z 5 czerwca 1937 roku i otwiera następne numery. Czyta strony lokalne, bada szczegóły. W wydaniu z 12 czerwca 1937 jest wzmianka o pogrzebie Alberta Rosalby w kościele Sainte-Radegonde w Giverny. O bólu jego bliskich.

Trzy linijki.

Laurentin czyta dalej, otwiera i zamyka gazety, które się piętrzą, pod niespokojnym okiem dziewczyny z okienka.

15 sierpnia 1937...

Komisarz Laurentin znalazł w końcu to, czego szukał. Jest to mały artykuł, nic takiego, kilka linijek, bez fotografii, ale tytuł jest wymowny:

**RODZINA ROSALBA OPUSZCZA GIVERNY
NIGDY NIE UWIERZYŁA, ŻE TO BYŁ WYPADEK**

Hugues i Louise Rosalba, od piętnastu lat robotnicy w hucie w Vernon, podjęli decyzję o opuszczeniu miejscowości Giverny. Przypomnijmy, że dwa miesiące temu spotkała ich wielka tragedia: ich jedyny syn Albert po upadku w niewyjaśnionych okolicznościach utonął w strumieniu Epte, który płynie wzdłuż chemin du Roy. To utonięcie wywołało krótką polemikę w radzie miejskiej na temat osuszenia odnogi Epte i ogrodów Moneta. Wyjaśniając powód wyjazdu, państwo Rosalba mówią, że nie mogą żyć dalej w okolicy, w której ich dziecko straciło życie. Jednak jest pewien bardziej kłopotliwy szczegół, Louise Rosalba twierdzi, że do wyjazdu stąd skłania ją przede wszystkim niepokojące milczenie mieszkańców. Według niej jej syn

Albert nigdy nie chodził sam po miasteczku. Potwierdziła mi to, co wiele razy sygnalizowała żandarmom: według niej „Albert nie był sam na brzegu strumienia. Na pewno są jacyś świadkowie. Na pewno są ludzie, którzy wiedzą”. Louise Rosalba mówi też: „Ten wypadek jednoczy wszystkich. Nikt nie chce skandalu w Giverny. Nikt nie chce mierzyć się z prawdą”.

Poruszające jest to przekonanie umęczonej matki... Życzymy państwu Rosalba powodzenia, żeby mogli rozpocząć nowe życie z dala od makabrycznych wspomnień.

Komisarz Laurentin czyta artykuł kilka razy, zamyka gazetę, potem długo przegląda wszystkie pozostałe egzemplarze „Le Républicain de Vernon” z roku 1937, ale nie znajduje innego artykułu poświęconego „sprawie Rosalby”. Przez dłuższą chwilę siedzi nieruchomo. W pewnym momencie zaczyna się zastanawiać, co właściwie tu robi. Czyżby jego życie stało się aż tak puste, że teraz całe dni spędza w pogoni za pierwszą lepszą chimera? Obejmuje spojrzeniem salę i dziesięciu innych amatorów archiwów, którzy pogrążeni są w stosach pożółkłych dokumentów. Każdy czegoś tam szuka... Pióro komisarza jeździ po jego notesie. 2010 – 1937 = 73...

Oblicza szybko. Mały Albert miał w 1937 roku jedenaście lat, a więc urodził się w 1925 albo 1926 roku... Państwo Rosalba mogliby mieć dzisiaj nieco ponad sto lat. Przed oczami komisarza Laurentina zapala się małe światełko.

Może oni jeszcze żyją...

Dziewczyna z okienka patrzy na zbliżającego się komisarza z miną przełożonego, który widzi spadającego z nieba klienta w porze zamykania. Tylko że jest dopiero mniej więcej jedenasta rano, a archiwum jest otwarte przez cały dzień... Komisarz Laurentin odgrywa szarmancki numer w stylu starych aktorów złotego wieku Hollywood, z tych, co to nie wiadomo, czy jeszcze żyją, czy nie. Połączenie Tony’ego Curtisa i Henry’ego Fondy.

– Czy ma pani w internecie elektroniczną książkę telefoniczną? Szukam jednego adresu, to dość pilne...

Mija cała wieczność, zanim dziewczyna podniesie głowę, by rzucić:

– Na pewno pan sprawdził, czy...

Komisarz dosłownie eksploduje i podtyka jej pod nos swój dowód osobisty:

– Komisarz Laurentin! Z komisariatu w Vernon! Co prawda, na emeryturze, ale to mi nie przeszkadza wykonywać w dalszym ciągu mojej pracy. No więc może pani trochę przyspieszy...

Dziewczyna wzdycha. Bez paniki ani wyraźnego gniewu. Jakby była przyzwyczajona do staruchów, którzy przeszukują archiwa i którzy od czasu do czasu, nie wiadomo dlaczego, mają napady wściekłości. Jednak jej palce

ostentacyjnie zwiększają tempo, skacząc po klawiaturze.

– Jakiego nazwiska pan szuka?

– Hugues i Louise Rosalba.

Dziewczyna śmiga palcami. *Allegro*.

– Chce pani adres? – pyta Laurentin.

– Co się tyczy Hugues’a Rosalby to już nie – mówi powściągliwie dziewczyna.

– Zawsze sprawdzam, zanim zaalarmuję Interpol. Kwestia przyzwyczajenia! Hugues Rosalba zmarł w 1981 roku w Vascœuil...

Laurentin jakoś to przełknął. Co tu mówić. Dziewczyna w okienku jest zorganizowana...

– A żona, Louise?

Dziewczyna znowu bębni.

– Żadnej wzmianki o zgonie... Również żadnego adresu.

Impas!

Laurentin rozgląda się po sali w poszukiwaniu jakiegoś pomysłu. Na wszelki wypadek próbuje rzucić dziewczynie spojrzenie spaniela à la Sean Connery. Z okienka odpowiada mu zirytowane westchnienie.

– Na ogół – poucza go dziewczyna – gdy się szuka ludzi w pewnym wieku, zamiast w księdze adresowej lepiej sprawdzić wśród pensjonariuszy domów opieki... Mnóstwo ich jest w departamencie Eure, ale jeśli ta pańska Louise mieszkała w Vascœuil, można zacząć od najbliższych.

Sean Connery odzyskuje uśmiech. Niewiele brakowało, a tamta by uznała, że jest Ursulą Andress. Dziewczyna stuka teraz w klawiaturę jak karabin maszynowy. Mijają minuty.

– Przejrzałam domy na Google Maps – odzywa się w końcu. – Najbliżej Vascœuil, tak, niewątpliwie, jest dom opieki Les Jardins, w Lyons-la-Forêt. Na pewno można znaleźć informacje o rezydentach. Jak pan mówi, jakie to nazwisko?

– Louise Rosalba...

Klawisze stukają.

– Na pewno mają stronę... O, proszę.

Laurentin wykręca szyję, próbując dostrzec choć kawałeczek ekranu komputera. Znowu upływa kilka minut. Dziewczyna podnosi triumfalnie głowę:

– Jest! Mamy! Wygrzebałam kompletną listę pensjonariuszy. No, widzi pan, to nie było takie skomplikowane. Mam tu tę pana klientkę, Louise Rosalba. Zamieszkała w tym domu w Lyons-la-Forêt piętnaście lat temu i najwyraźniej jeszcze tam przebywa... sto dwa lata! Ale muszę pana uprzedzić, komisarzu, nie mogę dać panu gwarancji...

Laurentin czuje, że serce przyspiesza mu niebezpiecznie. Odpoczynek,

odpoczynek, wbija mu do głowy jego kardiolog... Mój Boże! Czy to możliwe?
Uchował się jeden świadek?

Ostatni świadek?

Żyjący!

– 56 –

Ulicą Blanche-Hoschedé-Monet zjeżdżają trzy sztafety żandarmerii, wszystkie syreny wyją. Nie pofatygowały się nawet, żeby okrążyć miasto, przecinają je najkrótszą drogą, ulica Blanche-Hoschedé-Monet, ulica Claude-Monet... chemin du Roy.

Giverny defiluje...

Merostwo...

Szkoła...

Słyszając syreny, wszystkie dzieci z klasy odwracają głowy i myślą tylko o jednym: rzucić się do okna. Stéphanie Dupain powstrzymuje ich spokojnym gestem. Ani jedno dziecko nie zauważyło jej zdenerwowania. Aby zachować równowagę, nauczycielka kładzie rękę na biurku.

– Dzieci, proszę... Proszę o spokój! Wróćmy do tematu...

Głos jej łagodnieje. W głowie dźwięczą ciągle policyjne syreny.

– Mówiłam wam więc o tym konkursie „Malarze na trawie” zorganizowanym przez fundację Robinsona. Przypominam, że zostały już tylko dwa dni na oddanie prac... mam nadzieję, że w tym roku wiele z was spróbuje szczęścia...

Stéphanie nie może pozbyć się obrazu swojego męża uśmiechającego się do niej rano, kiedy jeszcze była w łóżku, całującego ją i kładącego rękę na jej ramieniu, „Dobrego dnia, kochanie”.

Recytuje dalej długo powtarzaną lekcję:

– Wiem dobrze, że nigdy żadne dziecko z Giverny nie wygrało tego konkursu, ale jestem też pewna, że kiedy międzynarodowe jury zobaczy, że kandydat wywodzi się ze szkoły w Giverny, to będzie dla nas bardzo sprzyjająca okoliczność!

Stéphanie znowu widzi Jacques’a wkładającego ładownicę... Jacques’a zdejmującego ze ściany strzelbę myśliwską...

– Wiecie, dzieci, Giverny to nazwa, o której marzą malarze z całego świata...

Dwa kolejne niebieskie bolidy przejeżdżają przez miasto. Stéphanie podskakuje bezwiednie, przerażona. Bezsilna. Pojazdy, by tak rzec, nie zwolniły w mieście.

Laurenç?

Stéphanie znowu stara się skupić. Patrzy na swoją klasę, ogląda po kolei każdą z siedzących przed nią twarzą. Wie, że niektórzy z jej uczniów są wybitnie uzdolnieni.

– Zauważyłam, że niektórzy i niektóre z was mają duży talent.

Fanette spuszcza wzrok. Niezbyt lubi, kiedy pani ich tak obserwuje. Krępuje ją to.

Czuję, że będzie o mnie...

– O tobie myślę, Fanette. Szczególnie o tobie. Liczę na ciebie!

A nie mówiłam...

Dziewczynka czerwieni się aż po uszy. Po chwili nauczycielka odwraca się do tablicy. W środku klasy Paul puszcza oko do Fanette. Chłopiec rozciąga się jak długi na stoliku przed nosem Vincenta i wyciąga szyję, żeby jeszcze trochę się przybliżyć do dziewczynki:

– Pani ma rację, Fanette! Wygrasz ten konkurs. Ty, nikt inny!

Mary siedzi tuż przed nimi, przy jednym stoliku z Camille'em. Odwraca się do nich.

– Ciii...

Ktoś puka do drzwi.

Stéphanie otwiera, zaniepokojona. Widzi pobladłą twarz Patricii Morval.

– Stéphanie... Muszę ci coś powiedzieć... To... To bardzo ważne.

– Po... poczekajcie na mnie, dzieci.

Po raz kolejny nauczycielka próbuje tak się zachowywać, aby żaden z gestów nie zdradził dzieciom jej straszego przerażenia.

– Za chwilę wrócę...

Stéphanie wychodzi. Zamyka za sobą drzwi i idzie na dziedziniec merostwa pod topole. Patricia Morval nie kryje się ze swym stanem podniecenia. Włożyła pomięty żakiet, który kłóci się z jej spódnicą koloru butelkowej zieleni. Stéphanie zauważa, że jej kok, zazwyczaj nieskazitelny, został upięty w pośpiechu. Dobrze, że nie wyskoczyła na ulicę w szlafroku...

– Titou i Patrick mnie zawiadomili – wygłasza Patricia jednym tchem. – Aresztowali Jacques'a na drodze Astragala, kiedy wracali z polowania.

Stéphanie kładzie dłoń na pniu najbliższej topoli. Nic nie rozumie.

– Co? Co ty opowiadasz?...

– Inspektor Sérénac... Aresztował Jacques'a. Oskarża go o zamordowanie Jérôme'a!

– Lau... Laurenç...

Patricia Morval wpatruje się dziwnie w Stéphanie.

– Tak, Laurenc̄ Sérénac... Ten gliniarz...

– O, Boże... A Jacques nie...

– Nie, nie, nie bój się, nic mu nie jest. Był też zastępca Sérénaca, inspektor Bénavidés. W samą porę zapobiegli krwawej jatce. Wyobrazasz sobie, Stéphanie, ten wariat Sérénac myśli, że to Jacques zabił mojego Jérôme’a...

Stéphanie czuje, że ledwo się trzyma na nogach, całym ciałem wpada na jasny pień drzewa. Musi odetchnąć. Musi spokojnie pomyśleć. Powinna wrócić do klasy, dzieci na nią czekają. Powinna pobiec na komisariat. Powinna...

Dłonie Patricii Morval szarpią kołnierzyk jej pomiętego żakietu.

– To był wypadek, Stéphanie, od początku chciałam wierzyć, że to był wypadek. Ale jeśli się pomyliłam, Stéphanie? Jeśli się pomyliłam, jeśli naprawdę ktoś zabił Jérôme’a? Powiedz mi, Stéphanie: to nie może być Jacques? Powiedz mi, że to nie może być Jacques...

Stéphanie wbija w Patricię Morval swoje nenufarowe spojrzenie. Takie oczy nie mogą kłamać.

– Oczywiście że nie, Patricio. Oczywiście, że nie...

– 57 –

Szpieguję dwie kobiety. No, szpieguję to chyba za mocne słowo... Siedzę po prostu naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, kilka metrów od Art Gallery Academy, jednak nie za blisko szkoły. Nie całkiem niewidzialna, po prostu dyskretna. Po prostu w dobrym miejscu, żeby nie przeoczyć niczego z tej sceny. Potrafię to robić, mam do tego zdolności, myślę, że już to zauważyliście. Właściwie to nie jest takie trudne. Patricia i Stéphanie rozmawiają głośno. Neptun leży przy moich nogach. Tak jak co dzień, czeka na koniec lekcji, kiedy dzieci będą wychodzić. Ma te swoje manie mój pies... A ja, jak kto głupi, mu ustępuję, przychodzę tu prawie codziennie i czekam razem z nim na koniec lekcji.

Na razie Neptun musi się zadowolić wyjściem jednej klasy, co nie bardzo go usposabia do merdania ogonem, mianowicie klasy malarzy z Art Gallery Academy: piętnastu artystów równie obiecujących co ława senatorów. Oczywiście ciągną swoje *caddies* z farbami i wypinają z dumą swoje czerwone *badges*, czasem je gubią. Koniec lekcji w szkole trzeciego wieku! Sekcja międzynarodowa: Kanadyjczycy, Amerykanie, Japończycy.

Usiłuję skupić się na rozmowie Stéphanie Dupain i Patricii Morval. Rozwiązanie jest bliskie, wkrótce ostatni akt tragedii antycznej. Szlachetne poświęcenie...

Nie masz już wyboru, biedna Stéphanie.

Będziesz musiała...

Nie wierzę!

Tuż przede mną wyrasta malarz: prawdziwy amerykański osiemdziesięciolatek, czapka Yale zrośnięta z głową, skarpetki w skórzanych sandałkach.

Czego on chce ode mnie?

– Najmocniej przepraszam, miss...

Każde słowo wymawia z akcentem teksańskim. Między jedną sylabą a drugą robi trzysekundową przerwę, co daje niecałe jedno zdanie na minutę...

– Pani na pewno jest stąd? Na pewno zna pani jakieś oryginalne miejsce do malowania...

Ledwo się zdobywam na grzeczność!

– Tam na górze, pięćdziesiąt metrów stąd, jest tablica informacyjna, a na niej plan ze wszystkimi ścieżkami, wszystkimi widokami.

Zdanie w dziesięć sekund, rekord pobity! O mały włos nie wysłałam go do diabła, ale Amerykanin wciąż się uśmiecha.

– Wielkie dzięki, miss... Dobrego dnia życzę.

Odchodzi. Klnę na tę wstrętną inwazję! Przez tego z Teksasu straciłam ciągłość sceny. Patricia Morval stoi teraz sama na placu koło merostwa, a Stéphanie wróciła już do swojej klasy. Na pewno poruszona. Oczywiście rozdarta przez wysokiej klasy dylemat.

Jej oddany mąż zapuszkowany przez jej przystojnego inspektora.

Drogie biedactwo, gdybyś wiedziała, że w rzeczywistości ślizgasz się na desce, którą dla ciebie namydlono. Nieubłaganie.

Znowu się waham. Nie będę przed wami ukrywać, ja też jestem rozdarta przez dylemat. Milczeć czy wsiąść do autobusu i pojechać na komisariat do Vernon i wszystko opowiedzieć? Jeżeli nie zdecyduję się teraz, to potem pewnie już nigdy się na to nie zdobędę. Jestem tego świadoma. Gliniarze kręcą się w kółko... Nie przesłuchali właściwych świadków, nie wydobyli właściwych trupów. Pozostawieni samym sobie nigdy nie odkryją prawdy. Nigdy nie będą mogli nawet jej podejrzewać. Nie róbcie sobie złudzeń, żaden gliniarz, żeby nie wiem jak genialny, nie zdoła teraz powstrzymać tej przeklętej przekładni zębatej.

Amerykanie rozchodzą się po mieście jak przedstawiciele handlowi po osiedlu bloków. Czapka Yale nie żywi urazy, daje mi nawet znak ręką. Patricia Morval przez dłuższą chwilę stoi zamyślona na placu przed merostwem, potem kieruje się do domu.

Oczywiście musi przejść koło mnie.

Ale gęba!

Ma taką zaciętą twarz kobiety zdecydowanej nie zaznać nigdy innej miłości niż ta, którą jej właśnie odebrano. Na pewno musiała przemyśleć naszą rozmowę sprzed kilku dni. Moje sekrety... Nazwisko zabójcy jej męża. Co z tym zrobiła? Czy przynajmniej mi uwierzyła? Jedna rzecz jest pewna, nie powiedziała o tym policji. Przecież bym już wiedziała!

Usiłuję jej coś powiedzieć, a nie mówię już dużo, zauważyliście, nawet jak mnie podrywają Amerykanie.

– Jak się masz, Patricia?

– Dobrze... tak, dobrze...

Ona też nie jest rozmowna, ta wdowa po Morvalu.

– 58 –

– Gdzie jest mój mąż?

– Zamknięty w areszcie w Evreux – odpowiada Sylvio Bénavides. – Niech się pani nie boi, pani Dupain. To zwykłe oskarżenie. Sędzia śledczy zbada wszystko...

Stéphanie Dupain wpatruje się kolejno w dwóch mężczyzn, którzy stoją naprzeciw niej, w inspektora Sylvia Bénavides'a i Laurença Sérénaca. Bardziej krzyczy, niż mówi:

– Nie macie prawa!

Sérénac podnosi wzrok na ściany gabinetu i wpatruje się w wiszące obrazy: jego spojrzenie wnika w meandry gry światła na gołych plecach rudej kobiety namalowanej przez Toulouse-Lautreca. Odpowiedź zostawia swojemu zastępcy. On robi to lepiej, tym bardziej że przy okazji postara się przekonać siebie samego.

– Pani Dupain. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Rzeczywistość jest taka, że nagromadziły się zbieżne poszlaki, które oskarżają pani męża. Począwszy od tej pary kaloszy, które zniknęły...

– Ktoś mu je ukradł!

– Ta kasetka malarska znaleziona w miejscu zbrodni – ciągnie Bénavides, niewzruszony. – Pogróżki wygrawerowane wewnątrz, sporządzone ręką pani męża, co potwierdza większość ekspertów...

Argument wstrząsnął Stéphanie Dupain. Pierwszy raz jakoby słyszy tę historię ze skrzynką na farby i udaje, że sięga do zaciemionych zakątków pamięci. Ona również odwraca głowę i ogląda plakaty na ścianach. Długie sekundy wpatruje się

w reprodukcję *Arlekina* Cézanne'a, w kapeluszu w kształcie księżycy, jakby poszukując w jego twarzy bez ust siły na to, by się nie poddać.

– Z Jérôme'em Morvałem przechadzałam się chyba ze dwa razy. Może trzy. Rozmawialiśmy, nic więcej. Najbardziej śmiały gest, na który się zdobył, polegał na tym, że wziął mnie za rękę. Chciałam, żeby sytuacja była jasna, więc już nigdy więcej nie spotkaliśmy się sam na sam. Zresztą potwierdzi wam to Patricia Morval, która jest moją przyjaciółką z dzieciństwa. Panowie, wszystko to jest doprawdy śmieszne, nie macie motywu.

– Pani mąż nie ma alibi!

Tym razem odpowiedział Laurenç Sérénac. Krótko i węzłowato, uprzedzając długie wyjaśnienia Sylvia.

Stéphanie waha się dłuższą chwilę. Od początku rozmowy Laurenç unika jej spojrzenia. Ona kaszle, zaciska obie dłonie na spódnicy, potem wtrąca słabym głosem:

– Mój mąż nie mógł zabić Jérôme'a Morwała. Tamtego ranka spał ze mną w łóżku.

Inspektorzy Bénavides i Sérénac, osłupiali, zastygają w tej samej postawie. Bénavides z ręką w powietrzu, tą, która trzyma pióro. Sérénac z łokciem na biurku i otwartą dłonią podtrzymującą ciężar źle ogolonego podbródka i głowę, która nagle stała się zbyt ciężka. Pokojem nr 33 zawładnęła teraz cisza jak w muzeum. Stéphanie decyduje się posunąć swoją przewagę jeszcze dalej:

– Jeśli życzą sobie panowie więcej szczegółów, to tamtego ranka Jacques i ja kochaliśmy się. Z mojej inicjatywy. Chcę mieć dziecko. Spaliśmy ze sobą tego ranka, kiedy Jérôme Morval został zamordowany. Jest więc fizycznie niemożliwe, żeby mój mąż był winny.

Sérénac wstał. Pada odpowiedź:

– Stéphanie, kilka dni temu powiedziała mi pani coś innego. Twierdziła pani, że mąż pojechał na polowanie, jak w każdy wtorek...

– Myślałam o tym. Byłam... byłam wtedy wzburzona. Pomyliłam dni...

Teraz z kolei wstaje Sylvio Bénavides i występuje z inicjatywą wsparcia swojego szefa:

– Zmiana pani zeznania niczego nie zmienia. Świadczenie żony na korzyść męża nie ma znaczenia...

Stéphanie Dupain podnosi głos:

– Bzdura! Każdy adwokat...

Tembr głosu Sérénaca przeciwnie, cichnie.

– Sylvio, zostaw nas.

Bénavides okazuje ostentacyjnie niezadowolenie, ale nie ma wyboru. Zgarnia

plik papierów, bierze go pod pachę i wychodzi z pokoju 33, zamykając za sobą drzwi.

– Pan... pan wszystko psuje! – wybucha natychmiast Stéphanie Dupain.

Laurenc Sérénac zachowuje spokój. Usiadł w fotelu na kółkach i posuwa go delikatnie nogami.

– Dlaczego pani to robi?

– Co, to?

– Składa pani to fałszywe zeznanie.

Stéphanie nie odpowiada, jej podniesione w górę oczy wędrują od Cézanne’a do nagich pleców rudej kobiety.

– Nie cierpię Toulouse-Lautreca... Nie cierpię tego rodzaju obłudnego podglądactwa...

Spuszcza wzrok. Pierwszy raz, odkąd są w tym pokoju, jej spojrzenie trafia na spojrzenie Laurenc’a Sérénaca.

– A pan, dlaczego pan to robi?

– Co, to?

– Skupia się pan na jednym tropie... Ściga pan mojego męża jak mordercę. On jest niewinny, wiem to. Wypuście go!

– A dowody?

– Jacques nie miał żadnego motywu. To żalosne! Ile razy mam to powtarzać, nigdy nie spałam z Morvalem. Żadnego motywu, wprost przeciwnie, on ma alibi... Ja...

– Nie wierzę pani, Stéphanie...

W pokoju 33 czas się zatrzymał.

– No to co robimy?

Stéphanie chodzi po pokoju drobnymi nerwowymi krokami. Laurenc obserwuje ją, przyjmując znowu pozycję fałszywie rozluźnioną, z głową przechyloną na bok i podbródkiem opartym na dłoni. Stéphanie bierze głęboki wdech, tak jakby się gubiła w spirali rudego koka na gołych plecach modelki namalowanego przez Toulouse-Lautreca, potem nagle się odwraca.

– Inspektorze, co więc ma do wyboru nieszczęsna kobieta? Do czego może się posunąć, żeby ratować męża? Ile czasu jej trzeba, żeby zrozumieć przekaz? Wie pan, inspektorze, te amerykańskie czarne romanse, ten rodzaj glińiarza, który potrafi oskarżyć Bogu ducha winnego faceta po to tylko, żeby mu ukraść żonę...

– Nie, Stéphanie...

Stéphanie Dupain podchodzi do biurka. Zdejmuje delikatnie dwie srebrne

wstążki, które podtrzymują jej długie włosy. Rozczesuje je ostrożnie, siadając jednocześnie na biurku inspektora. Góruje nad nim niecały metr, ale on, siedząc, musi podnosić na nią oczy.

– Tego się pan spodziewał, prawda, inspektorze? Widzi pan, nie jestem taka głupia. Jeśli się panu oddam, wszystko będzie skończone, tak?

– Niech pani przestanie, Stéphanie.

– Co panu jest, inspektorze? Waha się pan, czy przekroczyć ostatni szczebel? Niech pan sobie nie zadaje zbyt wielu pytań... Złapał pan w sidła tę femme fatale. Trzyma ją pan, ma ją pan w garści, mąż jest za kratkami, ona w pułapce. Ma ją pan...

Stéphanie podnosi lekko nogi, tak żeby jej spódniczka zsunęła się z gołego ciała. Jeden guzik od białej bluzki znika w jej palcach. W głębokim dekolcie wykwitają rudawe plamki aż do bawełnianego rąbka odsłoniętego stanika.

– Stéph...

– Chyba że to nie ona, ta femme fatale, pociąga za sznurki od początku. W końcu czemu nie?

Zmrużone oczy Stéphanie nabierają kształtu migdałów. Laurenç Sérénac ze zdumieniem odkrywa w nich orientalny sekret wschodzącego słońca indygo. Musi się wziąć w garść. Nie zdążył tego przemyśleć, bo nauczycielka mówi dalej:

– Albo oni. Mąż i żona, współnicy, współwinni zbrodni. Demony. Piekielna para. A pan, inspektorze, miałyby być tylko ich zabawką...

Stéphanie, cały czas siedząc, postawiła obie stopy na biurku, beżowa płócienna spódnica podciąga jej się do talii. Odpina się drugi guzik od bluzki. Pod delikatną koronką koszulki odznaczają się brodawki biustu nauczycielki. Między piersiami spływają krople potu.

Krople strachu? Podniecenia?

– Niech pani przestanie, Stéphanie. Niech pani przerwie tę śmieszłą grę. Przyjmę pani zeznanie.

Wstaje i chwyta kartkę papieru. Stéphanie Dupain powoli zapina bluzkę, rozprostowuje spódniczkę, która z powrotem opada na nogi, splata je.

– Uprzedzam pana, inspektorze, nie zmienię zdania. Nie zmienię ani linijki z tego, co panu zeznałam. Tego ranka, kiedy Jérôme Morval został zabity, Jacques leżał ze mną w łóżku...

Inspektor pisze, powoli.

– Notuję to, Stéphanie. Chociaż nie wierzę pani...

– Chce pan więcej szczegółów, inspektorze? Chce pan przetestować wiarygodność moich twierdzeń? Czy się kochaliśmy? W jakiej pozycji? Czy czułam rozkosz?

– Sędzia śledczy na pewno panią o to zapyta...

– Więc niech pan notuje. Niech pan notuje, Laurenç. Nie, nie czułam rozkoszy. Zrobiliśmy to w pośpiechu. Byłam na nim. Chcę mieć dziecko... Na kolanach na mężczyźnie to podobno najlepsza pozycja, żeby mieć dziecko.

Inspektor w dalszym ciągu ma spuszczone oczy, notuje w milczeniu.

– Potrzebne panu jeszcze jakieś szczegóły, inspektorze? Przykro mi, nie mam żadnej fotografii, żadnego dowodu, ale mogę opisać...

Laurenç Sérénac wstaje powoli.

– Oszukuje pani, Stéphanie.

Inspektor okrąża biurko, otwiera pierwszą szufladę i wyciąga z niej książkę w twardej oprawie. *Aurelian*.

– Jestem przekonany, że pani oszukuje.

Otwiera książkę na zagiętej stronie.

– Pamięta pani? To pani mnie prosiła, żebym przeczytał tę książkę Aragona z powodu tego dziwnego zdania znalezionego w kieszeni Jérôme'a Morvala. *Zgadzam się by marzenia jako zbrodnie sądzić...* i tak dalej... Odświeżam pani pamięć, Stéphanie? Rozdział sześćdziesiąty czwarty. Aurelian spotyka Berenikę w ogrodach Moneta, ona ucieka polną drogą z Giverny, jakby chciała uciec przed swoim losem. Aurelian ją goni, znajduje ją zdyszana, opartą o zbroczę... Wybacz mi pani, obawiam się, że nie pamiętam całego tekstu, przeczytam pani tę scenę...

Tym razem, chyba po raz pierwszy, Laurenç Sérénac wytrzymuje ogniste spojrzenie Stéphanie.

– „Aurelian zbliżał się do niej; widział, jak pierś jej wznosiła się w szybkim oddechu, widział twarz uniesioną ku górze, odrzuconą głowę, włosy opadające na jedną stronę! Oczy podbite, zmęczone, były jeszcze bardziej niepokojące i to drżenie ust, i zęby ścisłe jak u kota, i takie białe...”[1].

Inspektor robi krok do przodu. Stoi teraz przed Stéphanie. Ona nie może się cofnąć, unieruchomiona na biurku. Laurenç posuwa się jeszcze, kolano nauczycielki dotyka teraz dżinsowego płótna. Ona wyczuwa miednicę inspektora, dokładnie na wysokości dolnej części brzucha. Wystarczyłoby, żeby rozplątała nogi...

Sérénac czyta dalej:

– „Zatrzymał się. Stał tuż koło niej. Górował nad nią. Nigdy dotąd nie widział jej tak ubranej...”[2].

Na chwilę odkłada książkę.

– To pani wszystko psuje, Stéphanie.

Kładzie rękę na jej obnażonym kolanie. Jej ciało drga, Stéphanie nic nie może na to poradzić. Nie udaje się jej powstrzymać drżenia obu nóg splecionych jak glicynia

na podpórce. Jej głos też jest słabszy:

– Dziwny z pana człowiek, inspektorze. Gliniarz. Miłośnik malarstwa... Miłośnik poezji...

Sérénac nie odpowiada. Przewraca kilka stron.

– W tym samym rozdziale sześćdziesiątym czwartym, kilka linijek dalej, pamięta pani? „Zabiorę panią gdzieś, gdzie nikt pani nie zna, nawet motocykliści... gdzieś, gdzie będzie pani mogła swobodnie wybierać... gdzie zadecyduje pani o naszym życiu...”[3].

Książka opada wraz z jego ręką poniżej pasa, jakby ważyła tonę. Drugą rękę trzyma wciąż na gładkiej skórze dolnej części uda, które jeszcze drży, długo, jakby chciał uspokoić walące serce noworodka...

Trwają tak w milczeniu.

Sérénac jako pierwszy się wycofuje, czar pryska. Ręka inspektora zaciska się na kartce z zeznaniem nauczycielki.

– Przykro mi, Stéphanie. To pani mnie prosiła, żebym przeczytał tę powieść...

Stéphanie Dupain podnosi rękę do oczu gestem, który oznacza coś między szlochem, wzruszeniem i zmęczeniem.

– Niech pan nie miesza wszystkiego. Ja też czytałam Aragona. Zrozumiałam, mam wolny wybór. Niech pan będzie spokojny, ja będę decydować o swoim życiu... Jeśli pan chce wiedzieć, Laurenç, już to panu mówiłam. Nie, nie kocham męża. Sprezentuję panu nawet inną sensację: myślę, że się z nim rozstanę. Długo się z tym nosiłam, to było jak długa rzeka, jakby fale i wiry ostatnich dni zapowiadały właśnie wodospad. Rozumie pan, co chcę powiedzieć? Ale to wszystko nie zmienia faktu, że on jest niewinny... Kobieta nie opuszcza męża siedzącego w więzieniu. Kobieta opuszcza tylko mężczyznę wolnego. Rozumie pan, Laurenç? Nie wycofuję niczego z mojego zeznania. Tamtego ranka kochałam się z mężem. Mój mąż nie zabił Jérôme’a Morvala...

Laurenç Sérénac bez słowa podaje nauczycielce kartkę i pióro. Ona podpisuje, nie przeczytawszy ponownie. Wychodzi z pokoju. Sérénac odwraca oczy, kieruje je na ostatnie linijki 64 rozdziału *Aureliana*.

„Patrzył, jak uciekała. Skuliła ramiona, udawała, że idzie normalnym krokiem... Chciał krzyknąć za nią: «Kto to jest?», był obezwładniony tym nieprawdopodobnym wyznaniem. Kłamała, to niemożliwe! Nie. Nie kłamała”[4].

Ile czasu upływa, zanim Sylvio Bénavides zastuka do drzwi? Długie minuty? Godzina?

– Wejdz, Sylvio.

– No więc?

– Ona podtrzymuje swoją wersję. Kryje męża...

Sylvio Bénavides przygryza wargi.

– Może to i lepiej, koniec końców...

Rzuca na biurko plik kartek.

– To nam właśnie wpadło. Pellissier, grafolog z Rouen, zmienia zeznanie. Pogłębił swoją ekspertyzę i stwierdził, że przekaz wyryty w kasecie malarskiej znalezionej w strumieniu nie mógł być napisany przez Dupaina.

Irytujący moment oczekiwania, a potem:

– Niech pan się mocno trzyma, szefie! Według niego to zdanie zostało wyryte przez dziecko! Dziesięcioletnie dziecko! Twierdzi stanowczo...

– Kurczę – mówi cicho Sérénac. – A co to znowu za bajzel?

Jego mózg jakby nie chciał myśleć. Jednak Bénavides jeszcze nie skończył:

– Nie tylko to, szefie, dostaliśmy też pierwsze analizy krwi znalezionej na kasecie malarskiej. Zgodnie z nimi jedna rzecz jest pewna, nie jest to krew ani Jérôme’a Morvala, ani Jacques’a Dupaina. W dalszym ciągu szukają...

Sérénac wstaje, chwieje się.

– Kolejne morderstwo, to mi chcesz powiedzieć?

– Nic nie wiadomo, szefie. Prawdę mówiąc, nic a nic nie można zrozumieć.

Laurenc Sérénac chodzi w kółko po pokoju.

– Okay, okay. Zrozumiałem przesłanie, Sylvio. Nie mam innego wyjścia, jak wypuścić Jacques’a Dupaina. Sędzia śledczy będzie się wściekał, aresztowanie na mniej niż pięć godzin...

– Dla niego lepsze to niż pomyłka sądowa...

– Nie, Sylvio. Nie. Rozumiem, myślisz, że poszedłem na całość, cała ta pospieszna inscenizacja w dole ścieżki Astragale, żeby zapuszkować faceta, a kilka godzin później wszystkie dowody przeciekają nam przez palce... Trzeba go wypuścić. Ale dla mnie to nic nie zmienia. Nic! Jestem przekonany, że Jacques Dupain jest winny!

Sylvio Bénavides nie odpowiada. Właśnie zrozumiał, że na terenie zaminowanym intuicjami szefa nie ma mowy o żadnej rozsądnej dyskusji. Bénavides myśli jednak znowu o sumie sprzecznych ze sobą elementów, nagromadzonych w rubrykach na złożonej kartce, która nie opuszcza jego kieszeni. Nie sposób znaleźć prostej odpowiedzi na wszystkie te szalone, sprzeczne poszlaki, wskazówki, to niemożliwe. Im dłużej trwa dochodzenie, tym bardziej Sylvio ma wrażenie, że ktoś się z nich naigrawa, pociąga za sznurki, zabawia się mnożeniem i podsuwaniem im fałszywych tropów, aby móc realizować całkiem bezkarnie swój doskonale przemyślany plan.

– Proszę wejść.

Laurenc Sérénac podnosi wzrok, zdziwiony, że ktoś o tak późnej porze puka do jego pokoju. Drzwi gabinetu nie są zamknięte. Sylvio staje na progu z dziwnym spojrzeniem. To nie tylko zmęczenie, jest coś innego.

– Ty jeszcze tutaj, Sylvio...

Patrzy na zegar stojący na biurku.

– Już po osiemnastej! Cholera, powinieneś być na porodówce, trzymać Béatrice za rękę. I trochę pospać...

– Znalazłem, szefie!

– Co?

Sérénac ma wrażenie, że nawet postacie z obrazów wiszących na ścianach się odwróciły, Arlekin Cézanne'a, ruda kobieta Toulouse-Lautreca...

– Znalazłem, szefie. Jak Boga kocham, znalazłem.

– 59 –

Słońce przed chwilą schowało się za ostatnią zasłoną topoli. Półmrok, który już nastaje, dla każdego malarza oznaczałoby, że już czas składać sztalugi, brać je pod pachy i wracać do domu. Paul idzie przez most i patrzy na Fanette, która maluje zapamiętałe, tak jakby całe jej życie zależało od tych ostatnich minut światła dziennego.

– Wiedziałem, że cię tu znajdę...

Fanette pozdrawia go jedną ręką, nie przerywając malowania.

– Mogę popatrzeć?

– Ale już, bo się spieszę. Najpierw szkoła, potem mama, co mi wierci dziurę w brzuchu, i dzień za szybko mija, no, przecież nigdy nie skończę tego obrazu. Muszę go oddać pojutrze...

Paul usiłuje zachowywać się możliwie jak najdyskretniej, tak jakby nawet powietrze, którym oddycha, mogło zakłócić harmonię kompozycji. A przecież miałby tysiące pytań do Fanette.

Fanette, nie odwracając się do chłopca, uprzedza te jego pytania.

– Wiem, Paul, że w strumieniu nie ma nenufarów... Ale ja się nie przejmuję rzeczywistością, któregoś dnia namalowałam *Nenufary* w ogrodach Moneta. Co do reszty, nie było rady, nic mi nie wychodziło z tą płaską, stojącą wodą. Musiałam

posadzić swoje nenufary na rzece z żywą wodą, czymś, co tańczy. Prawdziwa linia perspektywy, widzisz. Coś, co się rusza.

Paul jest zafascynowany.

– Jak ty to robisz, Fanette? Że tak ci się udaje sprawić wrażenie, że twój obraz żyje, że woda płynie, a nawet, że wiatr porusza liście? I to tak po prostu, tylko farbami na płótnie...

Lubię, kiedy Paul mi mówi komplementy...

– Nic na to nie poradzę, wiesz. Jak mówił Monet, to nie ja, to tylko moje oko. Po prostu odtwarzam na płótnie to, co ono widzi...

– Jesteś nies...

– Cicho bądź, idioto! Powiem ci, że w moim wieku Claude Monet był już znanym malarzem w mieście Havre, bo rysował karykatury przechodniów... A poza tym nie jestem dość... O, zobacz to drzewo, naprzeciwko, topolę. Wiesz, o co Monet poprosił kiedyś jakiegoś wieśniaka?

– Nie...

– Zaczął malować drzewo w zimie, stary dąb. Ale kiedy wrócił po trzech miesiącach, jego drzewo było pokryte liśćmi. Zapłacił więc właścicielowi drzewa, wieśniakowi, żeby zerwał z niego wszystkie liście, jeden po drugim...

– Co za historię mi opowiadasz...

– Nie! Trzeba było dwóch ludzi, którzy przez cały dzień rozbierali jego modela! A Monet napisał do żony, że jest dumny, bo mógł namalować zimowy pejzaż w środku maja!

Paul wpatruje się tylko w liście, które tańczą na wietrze.

– Zrobiłbym to dla ciebie, Fanette. Zmieniłbym kolor drzew. Gdybyś mnie o to poprosiła, zrobiłbym to dla ciebie.

Wiem, Paul, wiem.

Fanette jeszcze długo maluje. Paul stoi za nią, milczy. Światło jeszcze bardziej gaśnie. W końcu dziewczynka rezygnuje.

– Nie warto już, już się nie da... Skończę jutro. Mam nadzieję...

Paul podchodzi do brzegu i obserwuje strumień płynący pod nogami.

– Nadal nie masz wiadomości o Jamesie?

Głos Fanette jakby się załamuje. Paul ma wrażenie, że malowanie pozwoliło jej zapomnieć, a teraz rzeczywistość ją dopada. Myśli sobie, że jest głupi, że nie powinien był jej zadawać tego pytania.

– Nie – szepcze Fanette. – Żadnej wiadomości. Tak jakby James nigdy nie istniał! Paul, ja chyba wariuję. Nawet Vincent mi mówi, że go nie pamięta.

A przecież go widział, szpiegował nas codziennie wieczorem. Nie przyśnił mi się!

– Vincent jest dziwny...

Paul szuka swojego najbardziej pocieszającego uśmiechu.

– Zapewniam cię, jeśli jedno z was dwojga świruje, to nie ty! A próbowałaś porozmawiać o Jamesie z panią?

Fanette podchodzi do swojego płótna, żeby sprawdzić, czy jest już suche.

– Nie, jeszcze nie. To nie takie łatwe, rozumiesz... Spróbuję jutro...

– A dlaczego nie mówisz o nim innym malarzom z miasteczka?

– Nie wiem, nie ośmielam się. James zawsze był sam. Wydaje mi się, że poza mną to nie miał tak dużo ludzi, których lubił...

Wiesz, Paul, trochę mi wstyd. Nawet bardzo mi wstyd. Czasem mówię sobie, że powinnam zapomnieć Jamesa, zachowywać się tak, jakby on nigdy nie istniał.

Fanette stanowczym gestem chwytając swój obraz, prawie większy od niej, i kładzie go na dużym arkuszu brązowego papieru, którego używa do zabezpieczania go. Jej spojrzenie kieruje się na młyn des Chennevières. Wieża młyna odcina się na tle nieba, które staje się czerwono-pomarańczowe. Widok jest równie piękny co niepokojący. Fanette w tym momencie żałuje, że schowała już swoje przybory.

– Paul, wiesz, co mi się czasem zdaje?

Dziewczynka pochyliła się nad brązowym papierem i delikatnie go zagina.

– Nie?

– Zdaje mi się, że wymyśliłam Jamesa. Że naprawdę nie istniał. Że on jest, jak to powiedzieć, jakąś postacią z obrazu. Że ja go sobie wyobraziłam. O, James to naprawdę ojciec Trognon z obrazu Theodore'a Robinsona. Zsiadł z konia, żeby mnie poznać, opowiedzieć mi o Monecie, zachęcić mnie do malowania, powiedzieć mi, że jestem zdolna, potem wrócił tam, skąd przyszedł, na swój obraz, na konia, do strumienia pod młynem...

Uważasz, że jestem stuknięta, he?

Teraz Paul się nachyla i pomaga Fanette podnieść obraz.

– Nie powinnaś kłaść sobie do głowy takich pomysłów, Fanette. Nie powinnaś. Absolutnie nie powinnaś. Dokąd niesiemy twoje arcydzieło?

– Czekać, pokażę ci mój tajny schowek. Nie zaniósę obrazu do domu, matka ma mnie za wariatkę z powodu Jamesa i nie chce słyszeć o malowaniu; a jeszcze mniej o tym konkursie... Za każdym razem robi się dramat!

Fanette pokonuje most i wskakuje za pralnię.

– Trzeba tylko uważać, żeby się nie pośliznąć na stopniach i nie wpaść do wody... Podaj mi obraz.

Płótno przechodzi z rąk do rąk.

– Zobacz, to moja kryjówka, tam, pod pralnię. Jest tu puste miejsce, w sam raz tyle, ile trzeba, jakby specjalnie zostawione, żeby można było ukryć obraz!

Fanette rozgląda się po okolicy z miną konspiratorki: przed nią rozpościera się łąka, bliżej widać sylwetkę młyna na gasnącym niebie.

– Tylko ty wiesz, Paul. Tylko ty i ja.

Paul się uśmiecha, uwielbia to porozumienie, zaufanie, którym darzy go Fanette. Nagle oboje podskakują. Ktoś idzie, ktoś biegnie koło nich. Fanette jednym susem wraca na most. Zbliży się jakiś niewyraźny cień.

Przez moment myślałam, że to James...

– Idioto – krzyczy Fanette – przestraszyłeś nas!

Neptun ociera się o jej nogi. Owczarek niemiecki mruczy jak wielki kot.

– Poprawka, Paul. Tylko wy dwaj wiecie o mojej kryjówce. Neptun i ty!

– 60 –

Sérénac podnosi zdumione spojrzenie na swojego zastępcę. Sylvio ma oczy błyszczące ze zmęczenia, jak pies, który przewędrował cały kraj w poszukiwaniu swoich państwa.

– Co znalazłeś, do diabła?

Sylvio podchodzi, wyciąga krzesło na kółkach i zwała się na nie. Podtyka szefowi pod nos kartkę papieru.

– Niech pan zobaczy, to są cyfry na odwrocie fotografii kochanek Morvala.

Sérénac pochyła głowę i czyta.

23-02. Fabienne Goncalves w gabinecie okulistycznym Morvala.

15-03. Aline Malétras w klubie Zed, rue des Anglais.

21-02. Alysson Murer na plaży na wyspie Serk.

17-03. Nieznajoma w niebieskim fartuchu w kuchni Morvala.

03-01. Stéphanie Dupain na drodze Astragale nad Giverny.

– Wpadłem na to nagle, kiedy porządkowałem notatki. Pamięta pan, co nam powiedziała przed chwilą Stéphanie Dupain o Morvalu?

– Powiedziała różne rzeczy.

Sérénac gryzie się w język, jego zastępca wymachuje kartką, na której niewątpliwie zapisał już słowo w słowo to, co mówiła Stéphanie.

– Czytam panu jej dokładną wypowiedź: „Z Jérôme’em Morvalem przechadzałam się chyba ze dwa razy. Może trzy. Rozmawialiśmy, nic więcej. Najbardziej śmiały gest, na który się zdobył, polegał na tym, że wziął mnie za rękę. Chciałam, żeby sytuacja była jasna, więc już nigdy więcej nie spotkaliśmy się sam na sam...”.

– No i co?

– Okay, teraz, szefie, pamięta pan, co panu powiedziałem przedwczoraj wieczorem, kiedy dzwoniłem ze szpitala? Aline Malétras, dziewczyna z Bostonu?

– A propos czego?

– A propos Morvala!

– Że była w ciąży.

– A przedtem?

– Że spotykała się z Morvalem, miała dwadzieścia dwa lata i argumenty, Morval dziesięć lat więcej i forszę...

Sylvio Bénavides wlepia w Sérénaca oczy zerwanego na równe nogi somnambulika:

– Tak, zgadza się, ale powiedziała również, że spotkała się z Morvalem piętnaście razy!

Sérénac patrzy na linijki, które się ze sobą zlewają.

15-03. Aline Malétras w klubie Zed, rue des Anglais.

03-01. Stéphanie Dupain na drodze Astragale nad Giverny.

Zastępca nie daje mu wytchnąć.

– Teraz pan rozumie. Stéphanie Dupain, zero trzy; Aline Malétras, piętnaście. To był najgłupszy kod, jaki sobie można wyobrazić: na odwrocie każdej fotografii zanotowana jest liczba spotkań cudzołożnej pary. Prywatny detektyw albo paparazzi wybrał zapewne najbardziej reprezentatywne zdjęcie spośród wszystkich, którymi dysponował.

Laurenc Sérénac obserwuje swojego zastępcę z nieudawanym podziwem.

– A ja przypuszczam, że skoro przyszedłeś z tym do mnie, to znaczy, że sprawdziłeś już, jak było z innymi dziewczynami...

– Oczywiście – odpowiada Bénavides. – Zaczyna mnie pan znać. Przed chwilą rozmawiałem przez telefon z Fabienne Goncalves, nie potrafi mi powiedzieć, ile razy spotykała się ze swoim szefem, ale jak ją pociągnąłem za język, w końcu wydusiła z siebie widełki, między dwadzieścia a trzydzieści razy.

Sérénac gwizdże.

– A Alysson Murer?

– Nasza poczciwa Angielka notuje wszystko w kalendarzyku i wszystkie kalendarzyki z ubiegłych lat trzyma w szufladzie. Policzyła, trzymając mnie przy telefonie, bo nigdy przedtem się nad tym nie zastanawiała.

– I jaki rezultat?

– Bingo! Naliczyła dokładnie dwadzieścia jeden rendez-vous!

– Świetnie! Uwielbiam ludzi skrupulatnych, którzy wszystko notują.

Sérénac mruga porozumiewawczo do swojego zastępcy. Sylvio nie podejmuje aluzji i mówi dalej:

– Mamy więc do czynienia z prywatnym detektywem, który też jest wyjątkowo skrupulatny. Żeby tak zaksięgować każdą randkę...

– Mniej więcej. Poza przypadkiem Alysson Murer nic nie wskazuje, że te liczby są dokładne. To rząd wielkości. Przypuszczam, że to właśnie można było zlecić prywatnemu detektywowi prowadzącemu śledztwo w sprawie niewierności męża: przybliżoną liczbę wybryków męża poza łóżem małżeńskim. Podsumowując, Sylvio, dobra wiadomość jest taka, że nie będziemy już tracić czasu na ten kod. A zła, że właściwie nic nam to nie daje.

– Tylko że zostają jeszcze te drugie cyfry: zero jeden, zero dwa, zero trzy.

Sérénac marszczy brwi:

– Masz jakiś pomysł?

Bénavides udaje skromnisia.

– Kiedy się pociągnie jedną nić, reszta też pójdzie. Wiemy, że pierwsza cyfra nie jest datą, ale że odnosi się do rodzaju relacji między Morvalem a jego kochankami. Informacja, jaką fotograf daje swojemu wspólnikowi. Poza liczbą spotkań zakochanych, jaki inny szczegół mógłby być użyteczny?

– Cholera! – wybucha Sérénac. – Oczywiście! Charakter tych spotkań... Czy Morval spał z tymi dziewczynami! Sylvio, jesteś...

Sylvio Bénavides przerywa szefowi, żeby mieć przywilej dokończenia swojego wywodu:

– Aline Malétras zaszła w ciążę z Morvalem. Fotograf napisał piętnaście–zero trzy. Można więc założyć, niewiele ryzykując, że zero trzy znaczy, iż dana dziewczyna sypiała z Jérôme'em Morvalem.

Na twarzy Laurença Sérénaca ukazuje się szeroki uśmiech:

– A co ci odpowiedziały przed chwilą Fabienne Goncalves i Alysson Murer? Obie mają z tyłu zero dwa...

Sylvio Bénavides lekko się rumieni.

– Zrobiłem, co mogłem, szefie. Nie jestem mocny w tych sprawach, żeby coś wyciągnąć od dziewczyny. No, nasza Angielka, Alysson Murer, przysięgła mi na

głową królowej angielskiej, że nigdy się nie przespała ze swoim pięknym przyjacielem okulistą. Biedaczka wierzyła pewnie w ślub w Notre-Dame albo w Canterbury... Natomiast Fabienne Goncalves o mało nie rzuciła słuchawki, zwłaszcza że słyszałem, jak jej dzieciaki wrzeszczą, ale dla świętego spokoju w końcu potwierdziła, że ona też zawsze odmawiała pójścia do łóżka. Tylko całusy i pieszczoty z bossem, według niej – mówi Sylvio, machając przed nosem kartką papieru jak wachlarzem. – Podsumowując, druga cyfra kodu to w pewnym sensie skala Richtera stosunków seksualnych Morvala. Zero trzy, maksimum, sypia; zero dwa, flirtuje; zero jeden... można wnioskować, że nic się nie dzieje. Prawi się komplementy, ale prywatny detektyw na próżno szpieguje ze swoim zoomem, nic! Nie ma cudzołóstwa.

– Okay, Sylvio, tu się zgadzamy. Mamy do czynienia z facetem, który miał za zadanie szpiegować Morvala i zdawać sprawozdanie z jego przygód pozamałżeńskich. Częstotliwość spotkań, charakter relacji i fotografie jako dowody. Można zresztą pomyśleć, że te liczby na odwrocie fotografii nie są naprawdę żadnym kodem przeznaczonym do osaczenia nas, że są po prostu rodzajem skrótów używanych przez profesjonalistę. Ale pytam raz jeszcze, co nam to daje?

Kartka zwija się w palcach Sylwia.

– Myślałem nad tym wszystkim, szefie. Według mnie ten kod, oczywiście pod warunkiem, że się ma do niego zaufanie, daje nam dwie ważne informacje. Pierwsza, że Stéphanie Dupain nam nie kłamie, nie była kochanką Jérôme'a Morvala... i ten, kto zamówił te zdjęcia u prywatnego detektywa, wiedział o tym!

– Patricia Morval?

– Może. Albo Jacques Dupain, czemu nie?

– Zrozumiałem, Sylvio, zrozumiałem, zaczynam znać ten refren. Nie ma motywu! A jeśli Jacques Dupain nie ma motywu, to niepotrzebne mu alibi...

– Tylko że – przerywa Sylvio – on ma alibi...

Sérénac wzdycha.

– Przynudzasz na koniec. Przecież skapowałem. Dwie godziny temu zadzwoniłem do sędziego śledczego, żeby Jacques'a Dupaina wypuszczono z aresztu w Evreux. Już dzisiaj będzie spał w domu w Giverny.

Zanim Sérénac zdąży się zapuścić na teren swoich intymnych przekonań, Sylvio Bénavides już kontynuuje swój wywód:

– Ale kod daje nam jeszcze drugą ważną informację, szefie. Według tego kodu z pięciu dziewczyn widocznych na zdjęciach tylko dwie spały z Morvalem: Aline Malétras i słynna niezidentyfikowana dziewczyna w niebieskim fartuchu w salonie. Siedemnaście–zero trzy.

– Zgadza się – potwierdza Sérénac. – Siedemnaście spotkań i Morval podrywał tę dziewczynę co przed nim klęczy. Do czego zmierzasz?

– Jeśli przyjmujemy hipotezę, że Jérôme Morval miał dzieciaka, powiedzmy, jakieś dziesięć lat temu, no to ta dziewczyna jest jedyną z jego kochanek, która może być matką.

– 61 –

Z tarasu restauracji l'Esquisse Normande tonącego w kwiatkach kozłki, kampanuli i piwonii rozciąga się ładny widok na Giverny. Gdy zapada noc, rozstawione harmonijnie między kwitnącymi roślinami latarnie wzmacniają efekt impresjonistycznej oazy.

Jacques nie tknął przekąski. Carpaccio z foie gras à la fleur de sel. Stéphanie zamówiła to samo i próbuje łączyć, zaspokajając swój apetyt, nie zważając na brak apetytu męża. Jacques wrócił mniej więcej godzinę temu, chyba trochę po dwudziestej pierwszej, w obstawie dwóch żandarmów, zostawili go tu, na ulicy Blanche-Hoschedé-Monet, między szkołą a domem.

Jacques nic nie powiedział, ani słowa. Podpisał im świstek papieru, nie patrząc, wziął rękę Stéphanie, mocno ją ścisnął. I od tamtej chwili nie puścił jej, albo prawie. Tylko do kolacji. Jego ręka, samotna na obrusie, wydaje się osierocona, zajęta odgarnianiem okruchów.

„Będzie dobrze” – uspokoiła go Stéphanie.

Zarezerwowała stolik w l'Esquisse Normande, nie zostawiła mężowi wyboru. Czy to był dobry pomysł? – zastanawia się. Czy są jeszcze dobre albo złe pomysły? Nie, nic innego niż poczucie, że tak właśnie należy postępować, tak i w tym momencie. Poczucie, że w l'Esquisse Normande będzie lepiej niż w domu. Że wystrój jej pomoże. Że potrzebne było coś w rodzaju protokołu. Nadzieja, że na tarasie, w miejscu publicznym, Jacques nie zrobi skandalu, nie załamie się, zachowa się godnie, zrozumie...

– Skończył pan?

Kelner zabiera carpaccio. Jacques nie powiedział ani słowa. Stéphanie prowadzi rozmowę za dwoje, mówi o dzieciach ze szkoły, ze swojej klasy, o konkursie Theodore'a Robinsona, o obrazach, które należy oddać za dwa dni. Jacques słucha, spoglądając łagodnie, jak zawsze. Stéphanie czuje się zrozumiana. Zawsze czuła, że Jacques ją rozumie. Zawsze miała to uczucie, że on ją zna na pamięć. Właśnie. Zawsze też lubił, jak opowiadała o dzieciach ze szkoły. Jakby to była ucieczka,

którą tolerował... Strażnicy zapewne lubią, kiedy więźniowie mówią im o podniebnych ptakach.

Kelner stawia przed nimi dwa plastry peklowanej polędwicy z kaczki w sosie pieprzowym. Jacques uśmiecha się szeroko i próbuje. Zadaje kilka pokrętnych pytań na temat szkoły. Interesują go uczniowie, ich charaktery, ich upodobania. Wyjawszy to żalosne aresztowanie, Stéphanie musi przyznać, że życie z nim jest proste i łatwe. Takie spokojne. Takie zrównoważone.

To niczego nie zmienia.

Podjęła decyzję.

Mimo że Jacques rozumie ją lepiej niż ktokolwiek inny, mimo że Jacques ją chroni, mimo że Jacques nie potrafiłby zrobić jej krzywdy, mimo że Jacques kocha ją do szaleństwa, mimo że przez całe życie z nim ani na sekundę nie zwątpiła w tę miłość...

Podjęła decyzję.

Musi odejść.

Jacques nalewa żonie wina, potem napełnia swój kieliszek do połowy. Burgundzkie, myśli Stéphanie. Przeczytała nazwę na etykiecie – meursault. Stéphanie nie bardzo zna się na winach; Jacques też nigdy nie pił lub prawie nie pił. Jako jedyny spośród swoich przyjaciół myśliwych. Teraz wreszcie je. Może to dziwne, ale to ją trochę ośmiela. Ma wrażenie, że niepokoi się o swojego męża, tak jak niepokoiśmy się o zdrowie bliskich. Kierując się uczuciem, przywiązaniem. Jacques trochę się rozpogodził, mówi o domu w okolicy, który mu wpadł w oko, według niego byłby to dobry interes. Ona to wie, Jacques dużo pracuje, nawet o wiele za dużo, prowadzi swoją agencję bardzo solidnie, ale dotąd nie miał szczęścia, nie przeprowadził żadnej grubszej transakcji; jednak szczęście może się jeszcze uśmiechnąć, na pewno kiedyś się do niego uśmiechnie, Jacques jest uparty. Jacques na to zasługuje. W gruncie rzeczy wszystko to jest jej zupełnie obojętne. Zmienić dom. Życ z bogatszym mężczyzną.

Ręka Jacques'a przesuwa się po haftowanej białej bawełnie, znowu w poszukiwaniu palców Stéphanie.

Nauczycielka się waha. O tyle łatwiej byłoby dać mu do zrozumienia, nic nie mówiąc, po prostu lekkimi, łagodnymi gestami, ręką, której się nie dotyka, pieszczotą, której się nie odwzajemnia, spojrzeniem, które ucieka. Ale Jacques by nie zrozumiał. Czy raczej tak, rozumiałby, ale nic by to nie zmieniło. I tak by ją kochał. Nawet bardziej.

Palce Stéphanie uciekają, znikają w jej włosach, dotykają srebrnej wstążki. Całe

ciało nauczycielki przechodzą dreszcze. Czuje się żałośnie.

Dlaczego?

Dlaczego odczuwa tę nieznośną potrzebę zostawienia wszystkiego?

Stéphanie wychyla kieliszek wina i uśmiecha się do siebie. Jacques w dalszym ciągu opowiada o tym domu na brzegu Eure, o handlarzach starzyzną z doliny, do których należałoby się udać po meble... Stéphanie słucha z roztargnieniem. Dlaczego uciekać... Odpowiedź na te jej pytania jest tak banalna. Stara jak świat. Choroba młodych dziewczyn, które marzą o czym innym: to pragnienie miłości Bereniki Aragona. Nieznośna melancholia kobiety, która jednak nie ma nic do zarzucenia mężczyźnie, u którego boku żyje... Żadnej wymówki, żadnego alibi. Tylko melancholia i ta pewność, że życie jest gdzie indziej. Że idealne wzajemne zrozumienie istnieje gdzie indziej. Że tak, że te zachcianki to nie są jakieś detale, to sprawa zasadnicza... Że nic innego się nie liczy, tylko to, żeby można było odczuwać to samo wzruszenie przed obrazem Moneta czy przy lekturze wierszy Aragona.

*

Kelner z profesjonalną dyskrecją podkrada im talerze.

– Nie – mówi Jacques – nie chcemy już wina. Tylko desery.

Ręka Stéphanie ląduje w końcu na stole i natychmiast zostaje pochwycona przez rękę Jacques'a. Młode dziewczyny, myśli nauczycielka, zawsze się poddają, zostają, żyją mimo wszystko, zapewne szczęśliwe, albo i nie; stopniowo stają się niezdolne do jakiegokolwiek zmiany. W końcu tak jest prościej, oczywiście. Rezygnować.

A jednak... A jednak... To doznanie wrasta głęboko w świadomość Stéphanie, tak silne, tak natarczywe: to, co odczuwa, jest unikatowe. Zupełnie nowe. Inne.

Teraz lądują przed nimi dwa puchary, lody i sorbet, udekorowane listkami mięty. Jacques znowu nic nie mówi. Stéphanie postanowiła, że powie wszystko po deserze. Jak się dobrze zastanowić, to nie był dobry pomysł ta kolacja w l'Esquisse Normande. To posępne wyczekiwanie wydaje się ciągnąć w nieskończoność, jakby filmowane w zwolnionym tempie. Jacques pewnie myśli o czymś innym, o aresztowaniu, o więzieniu, o inspektorze Sérénacu. Pewnie przeżuwa swój wstyd. Słusznie.

Czy się domyśla? Tak, zapewne. Jacques tak dobrze ją zna.

Stéphanie pochłania sorbet jabłkowo-rabarbarowy. Potrzeba jej siły. Czyżby była takim potworem, że nie może poczekać do innego wieczora?

Jacques właśnie wyszedł z więzienia, zgębiony, upokorzony jak nigdy.

Dlaczego mu to mówić dziś?

Żeby wpaść w sieć; dostać się, trochę ze wstydem, na pole bitewne pośród trupów; skorzystać, że dom się pali, żeby ratować skórę. Czy jest najbardziej sadystyczną z małżonek?

Potrzebna jej siła.

Jej myśli zwracają się oczywiście ku Laurençowi. Idealne wzajemne zrozumienie, tak długo wyczekiwane. Czy to złudzenie, ułuda, ta niemal natychmiastowa pewność, że tego, który stoi przed tobą, musiałaś spotkać, że tylko z nim będziesz szczęśliwa i z nikim innym, że tylko jego ramiona mogą cię chronić, że tylko jego głos może cię przyprawić o drzenie, że tylko jego śmiech każe ci o wszystkim zapomnieć, że tylko seks z nim może ci dać rozkosz?

Czy ta pewność jest jeszcze jedną z zasadzek, jakie niesie życie?

Nie.

Ona wie, że nie.

Rzuca się, skacze.

Daje nura w pustkę.

W nieznane.

Leci bez końca, jak w *Alicji* Lewisa Carrolla. Zamknąć oczy i wierzyć w krainę czarów.

– Jacques, odchodzę.

1 Louis Aragon, *Aurelian*, przeł. Krystyna Dolatowska, PIW, Warszawa 1964, s. 479.

2 Op. cit.

3 Op. cit., s. 482.

4 Op. cit., s. 483-484.

DZIEŃ DWUNASTY

24 maja 2010

(*Muzeum w Vernon*)

ZAGUBIENIE

– 62 –

Bogactwa muzeum w Vernon są absolutnie niedoceniane, niewątpliwie z powodu przyćmiewających je bogactw Giverny. Otwarcie Muzeum Impresjonistów w 2009 roku niczego nie załatwiło. Ja o wiele bardziej od zgiełku muzeów z ulicy Claude-Monet wolę spokój tej okazałej budowli normandzkiej na nabrzeżach Sekwany w Vernon. Kwestia wieku, powiecie. Dyszę w holu, z trudem przeszłam przez wybrukowany dziedziniec i doszłam do wejścia, wspierając się na lasce.

Podnoszę oczy. Słynne tondo Claude'a Moneta króluje w holu wejściowym, umieścili je tak na widoku z okazji operacji „Impresjonistyczna Normandia”: *Nenufary*, okrągły obraz mający prawie metr średnicy. W tej swojej złotej okrągłej ramie, trochę przestarzałej, wygląda jak lustro babci. Jest to zdaje się jedno z trzech tond Moneta wystawianych na świecie! Zostało podarowane muzeum w Vernon przez samego Claude'a Moneta w 1925 roku, rok przed jego śmiercią...

Duża klasa, prawda?

Wyobrażacie sobie? Dumni są z tego w Vernon. To jedyne muzeum w departamencie Eure posiadające płótna Moneta, i to nie byle jakie. Mimo że złota rama tonda jest trochę kiczowata, idę o zakład, że nie ma nikogo, kto by się nie zachwycił jego jasnymi barwami mleka, kredy, jakby to było okienko wychodzące na pastelowy Eden. Kiedy pomyślę o tych turystach, którzy jak barany wpadają w ekstazę w sąsiednim miasteczku i paradują przed reprodukcjami, to doprawdy...

No, ale nie mam co narzekać, gdyby tu, w Vernon, też się zaczęły takie spędy, pierwsza bym kręciła nosem. Posuwam się kilka kroków po posadzce z terakoty w holu. Pascal Poussin pędzi przede mną jak wicher: od razu rozpoznałam dyrektora muzeum, podobno jest jednym z największych we Francji specjalistów od Moneta i *Nenufarów* wraz z tym niez mordowanym Achille'em Guillotinem z muzeum w Rouen. Czytałam gdzieś, że jest jednym z filarów operacji „Impresjonistyczna Normandia”. Szycha, można powiedzieć. No, ale nie musicie się uśmiechać.

Poussin pozdrawia mnie, nie zwalniając kroku, pewnie sobie przypomina moją twarz; gdyby się skupił, skojarzyłby tę starą kobietę, którą mija, z tą, co kiedyś dyskutowała z nim o *Nenufarach*...

To było dawno.

– Niech mi teraz nie przeszkadzają! – rzuca Pascal Poussin sekretarce przy wejściu. – Mam spotkanie z dwoma policjantami z komisariatu w Vernon... To nie potrwa długo.

Dyrektor przystaje i melancholijnie rozgląda się po holu swojego muzeum. Namalowane na podłodze biedronki wskazują przejścia między salami. U dołu schodów, z braku miejsca gdzie indziej, piętrzą się nieforemne rzeźby. Pascal Poussin, rozdrażniony, marszczy brew, po czym zamyka za sobą drzwi od gabinetu. Przez szybę drzwi wejściowych obserwuję stojący przed muzeum tiger triumph T100 inspektora Sérénaca. Motocykl jest zaparkowany na wewnętrznym dziedzińcu... Doprawdy, świat *Nenufarów* jest mały, tak mały jak staw.

Wzdycham. Zrobię tak jak inni, pójdę za biedronkami na podłodze. Miejscowa archeologia, której poświęcony jest cały parter, nudzi mnie. Patrę na schody prowadzące na piętra, tam gdzie są wystawione kolekcje pejzażystów i artystów współczesnych. Monumentalne schody to inna duma tego muzeum, trzeba przyznać, że niczego tu nie brakuje. Na czwartym stopniu stoją luzem marmurowe rzeźby, takie jak wierzgające konie i łucznicy napinający łuk, a nad nimi wiszą ogromne obrazy arcyksiążąt, konetabli i zapomnianych książąt, których już nikt nie chciałby mieć u siebie w domu. Niepokoję się. Tacy są dumni z tych swoich schodów, że nawet nie wiadomo, czy ich winda jest czynna, w tym muzeum zapomnienia...

& Newton, Sérénac i Bénavidés śledzą jego najmniejszy gest. Ich śledztwo jest ciągle w martwym punkcie, więc mobilizują wszystkich możliwych specjalistów. Pascala Poussina przedstawiono im jako jeszcze jednego niezawodnego eksperta od wszystkiego, co dotyczy malarstwa impresjonistycznego, zwłaszcza w Normandii. Dyrektor muzeum odegrał przed nimi faceta przeciążonego pracą, ale zgodził się jednak poświęcić policji kilka minut. Osoba stojąca przed nimi odpowiada całkowicie temu, co Bénavidés wyobrażał sobie, rozmawiając z nim przez telefon: wysoki, szczupły, szary garnitur, pastelowy krawat; typ przedstawiciela, akwizytora sztuki, który powinien skończyć jako dyrektor Luwru... albo nikt!

– To piękny przedmiot, panowie. W dobrym stanie, ale pochodzący sprzed dobrych stu lat. Nie ma jakiegó ogromnej wartości, nie, ale móglby zainteresować kolekcjonerów. Jest to model, którego zapewne używali malarze amerykańscy na początku wieku, ale później Winsor & Newton, marka ze smokiem, stał się firmą znaną na całym świecie. Każdy malarz trochę snob czy tęskniący za dawnymi czasami marzyłby, żeby w nim trzymać pędzle.

Bénavidés i Sérénac usiedli w dwóch fotelach z epoki, obitych czerwonym welurem, ale mniej wygodnych, niżby na to wskazywał ich świetny wygląd. Ich czarne drewniane nogi powleczone laką sprawiają wrażenie, jakby się miały złamać przy najmniejszym nieuważnym ruchu.

– Panie Poussin – pyta Laurenç Sérénac – czy myśli pan, że mogłyby się jeszcze znaleźć na rynku płótna Moneta? Zwłaszcza *Nenufary*...

Dyrektor muzeum odłożył kasetę.

– Co dokładnie chce pan przez to powiedzieć, inspektorze?

– No, na przykład, czy można sobie wyobrazić, że jakiś mieszkaniec regionu Vernon móglby ciągnąć zyski z obrazu ofiarowanego mu przez Moneta? Może jednego z dwustu siedemdziesięciu dwóch *Nenufarów*?

Pada odpowiedź:

– Kiedy Claude Monet zamieszkał w Giverny, był uznanym malarzem. Każde z jego dzieł należało już do dziedzictwa narodowego. Monet bardzo rzadko dawał obrazy, które przecież warte były niemałą fortunę.

Wyjaśnia, szczerząc wszystkie białe zęby:

– Zgodził się, co bardzo rzadko się zdarzało, na odejście od tej zasady w przypadku muzeum w Vernon. To zresztą stanowi właśnie o wyjątkowej wartości naszego tonda.

Wydaje się, że ta odpowiedź zadowala Sérénaca. Ale nie Sylvia Bénavidés'a, który przypomina sobie pełne egzaltacji komentarze konserwatora Muzeum Sztuk Pięknych w Rouen:

– Przepraszam bardzo, ale Monet musiał nieustannie targować się z sąsiadami,

mieszkańcami Giverny, żeby urządzić staw, zachować pejzaże w takim stanie, w jakim chciał je malować... Czy nie można sobie wyobrazić, że kupił zgodę sąsiadów... za obietnicę podarowania obrazu?

Poussin nie kryje rozdrażnienia. Patrzy demonstracyjnie na zegarek.

– Niech pan posłucha, inspektorze. Okres impresjonizmu to nie prehistoria! Na początku wieku istniały gazety, akty notarialne, sprawozdania rad miejskich... Wszystkie te dokumenty zostały zbadane przez dziesiątki historyków sztuki. Nigdy żaden, absolutnie żaden tego typu handel wymienny nie wyszedł na jaw... No, ale zawsze można opowiadać, co się chce!

Dyrektor ma zamiar wstać. Ten pośpiech, by skrócić ich rozmowę, w końcu intryguje Bénavides'a. Na próżno oczekuje on pomocy od Laurença Sérénaca.

– A kradzież? – rzuca Sylvio.

Pascal Poussin wzdycha.

– Nie wiem, do czego pan zmierza. Claude Monet do końca życia był człowiekiem zorganizowanym i przytomnym. Jego obrazy zostały spisane, posegregowane, ocenione. Po jego śmierci syn malarza Michel nigdy nie sygnalizował braku żadnego płótna...

Palce dyrektora muzeum tańczą nerwowo na kasecie malarskiej.

– Inspektorze, skoro nie potrafi pan rozgryźć zbrodni, której dokonano tydzień temu, wątpię, żeby mógł pan znaleźć klucz do hipotetycznej kradzieży, która mogła się zdarzyć przed rokiem tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym...

Cios z prawej. Bénavides inkasuje. Na ring wkracza z kolei Sérénac:

– Panie Poussin... Przypuszczam, że słyszał pan o fundacji Theodore'a Robinsona?

Dyrektor muzeum wydaje się przez chwilę zmieszany tym przybyciem posiłków. Miętosi węzeł swojego krawata.

– Oczywiście... Należy do trzech czy czterech głównych fundacji promocji sztuki na świecie.

– I co pan o niej myśli?

– Jak to, co myślę?

– Czy miał już pan do czynienia z tą fundacją?

– Oczywiście! Co za pytanie! Fundacja Robinsona jest niezastąpiona we wszystkim, co się wiąże z impresjonizmem. Mają w swoim sloganie trzy *pro*: *prospection, protection, promotion*...

Bénavides kiwa głową, że to się zgadza, Poussin mówi dalej:

– Co najmniej jedna trzecia płócien wystawionych gdzieś na świecie musi przez nią przechodzić. Taka fundacja nie zajmuje się muzeum w Vernon, jak się pan domyśla, prowadzi działania na większą skalę... Proszę, jeszcze dwa tygodnie temu

byłem w Tokio na międzynarodowej wystawie *Święte góry i ścieżki* i kto był jej głównym sponsorem?

– Fundacja Robinsona! – wykrzykuje Sérénac, jakby odpowiadał na pytanie w turnieju telewizyjnym. – Ta fundacja to trochę jak ośmiornica, prawda?

Dyrektor muzeum dusi się w swoim krawacie.

– Jak to „ośmiornica”?

Bénavides wyjaśnia:

– Otóż ktoś, kto nie bardzo się zna na malarstwie, może mieć wrażenie, że ta fundacja, która wydaje miliony, interesuje się bardziej sprawami lukratywnymi niż szlachetną i bezinteresowną obroną sztuki...

Bénavides prostuje się i uśmiecha z miną fałszywie naiwną. Stwierdza z przyjemnością, że tandem, który tworzy z Sérénakiem, jest coraz lepszy, jak debel w tenisie, w którym wygrywa bardziej zgrana para. Grać tak, żeby zmylić przeciwnika. Pascal Poussin zaczyna tracić nerwy. Spogląda na zegarek i odpowiada rozdrażniony:

– Otóż dla kogoś takiego jak ja, kto zna się trochę na malarstwie, fundacja Theodore’a Robinsona jest starą szacowną instytucją, która nie tylko potrafiła znakomicie się przystosować do międzynarodowego rynku dzieł sztuki, ale też kultywuje nadal swoją początkową działalność, polegającą na poszukiwaniu nowych talentów, i to począwszy od najmłodszych...

– Mówi pan o konkursie „*Malarze na trawie*”? – przerywa mu Sérénac.

– Między innymi... Nie wyobrażacie sobie, ile uznanych na świecie talentów odkryła właśnie ta fundacja!

– Tak więc koło się zamyka – podsumowuje Sérénac – krótko mówiąc, fundacja Robinsona zawiaduje jednocześnie swoim zbytem i swoimi inwestycjami...

– Dokładnie tak, inspektorze! Czy jest w tym coś złego?

Sérénac i Bénavides zgodnie kiwają głowami jak doskonale zsynchronizowany duet. Poussin znowu spogląda na zegarek i wstaje.

– No, dobrze – mówi, podając im kasetę. – Tak jak mówiłem, panowie, niewiele mogłem wam powiedzieć, czego byście już nie wiedzieli.

Teraz! Sylvio Bénavides próbuje wypuścić ostatnią strzałę:

– Jeszcze jedno pytanie na koniec. Panie Poussin, czy mógłby pan nam opowiedzieć o czarnych *Nenufarach*? O tym ostatnim obrazie, który Monet namalował jakoby kilka dni przed śmiercią. Z refleksami kolorów własnej śmierci...

Pascal Poussin mierzy go wzrokiem wyrażającym politowanie, tak jak się słucha dziecka, które opowiada, że spotkało w ogrodzie elfy.

– Inspektorze, sztuka to nie bajka ani legenda. Sztuka to po prostu interes. Te

pogłoski o żałobnym autoportrecie nie mają najmniejszych podstaw, nie ma żadnej choćby najdrobniejszej wskazówki, która by potwierdzała jego istnienie, to raczej wyobraźnia nawiedzonych, którzy wierzą również, że po korytarzach Luwru krąży upiór, czy też, że prawdziwa Gioconda ukrywa się w skale Aiguille Creuse w Etretat!

Uppercut! Bénavides jest jak ogłuszony. Sérénac waha się chwilę, czy pozostać grzecznie z boku, poza boiskiem. Trudno, wbiega na arenę:

– Zakładam, panie Poussin, że te kilkadziesiąt płócien mistrzów w pracowniach i w domu Moneta, spoczywających w kurzu na strychach czy w szafach, to również miejscowa legenda...

Oko Pascala Poussina błyszczy dziwnie, tak jakby Sérénac sprofanował niebezpieczną tajemnicę.

– Kto wam to opowiedział?

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie, panie Poussin.

– Nie, to prawda. Dom i pracownia Moneta są miejscami prywatnymi. Wprawdzie odwiedzałem te miejsca często jako ekspert, ale łatwo zrozumieć, że odpowiedź na pana pytanie wchodzi w zakres tajemnicy zawodowej. Pozwólcie natomiast, że ja też powtórzę pytanie. Któż mógł wam to naopowiadać?

Sérénac uśmiecha się od ucha do ucha.

– Panie Poussin, łatwo zrozumieć, że to też wchodzi w zakres tajemnicy zawodowej!

Przez kilka sekund w pokoju panuje ciężka cisza. W końcu obaj inspektorzy wstają, a krzesła z epoki skrzypią z ulgą. Dyrektor muzeum odprowadza ich z pospieszną atencją i zamyka za nimi drzwi.

– Niezbyt rozmowny ten dyrektor – komentuje Bénavides w holu, podnosząc wzrok na tondo z nenufarami.

– Dodałbym, że bardzo mu się spieszyło. No, Sylvio, wygląda na to, że zrobiłeś postępy w swojej wiedzy z dziedziny sztuki... Można powiedzieć, że twoje zainteresowania nie ograniczają się już tylko do grillów...

Bénavides woli wziąć tę uwagę za komplement.

– Dowiaduję się, szefie... Próbuję zestawić różne informacje czerpane z najlepszych źródeł. Ale wcale od tego nie mam lepszego rozeznania. Wprost przeciwnie!

Wychodzą i przemierzają dziedziniec muzeum. Przed nimi po Sekwanie płyną barki, w górę rzeki. Na prawym brzegu dziwny dom Starego Mostu, od wieków stojący nad rzeką między dwoma opuszczonymi filarami, zdaje się za chwilę runąć

do szarej wody.

– Masz jeszcze tę swoją kartkę z trzema rubrykami? – pyta Sérénac.

Sylvio czerwieni się, wyciągając kartkę z kieszeni.

– Oj, szefie, wczoraj wieczorem spróbowałem czegoś innego, innego sposobu poukładania wszystkich wskazówek. To tylko brulion, ale...

– Pokaż mi to! – mówi Sérénac.

Inspektor pozwala swojemu zastępcy rozłożyć kartkę i natychmiast wrywa mu ją z rąk. Spuszcza oczy, dostrzega nabazgrany trójkąt, do którego wpisano różne nazwiska. Przejeżdża dłonią po włosach, zakłopotany.

– Co to znowu za cholerna piramida, Sylvio?

– No... no, nie wiem – mruczy Bénavides – może to tylko inny sposób myślenia o tej sprawie. Od początku tej historii mamy trzy serie tropów, które idą w trzech różnych kierunkach, *Nenufary*, kochanki Morvala i dzieciaki. A to jest taka, powiedzmy, inna metoda rozpoznania tego wszystkiego. Można sobie na przykład wyobrazić, że im bliżej środka trójkąta, tym współczynnik winy jest większy...

Sérénac wspiera się na cokole posągu, który króluje przy wejściu do muzeum. Koń z brązu.

– Wszystko rozpoznać. To wariactwo. Naprawdę myślisz, że rozstrzygniemy to dochodzenie dzięki tej cholernej metodzie kartezyjskiej?

Kładzie spoconą dłoń na zadzie z brązu.

– Jeśli cię dobrze rozumiem, to w środku umieściłbyś fundację Theodore’a Robinsona i tę dziewczynę z Bostonu, Aline Malétras... Taa... Tylko że tu jest problem, bo dyrektor muzeum właściwie ostudził poważnie nasz trop afery w świecie sztuki związanej z *Nenufarami* czy jakimś innym obrazem Moneta, nawet namalowanym *ante mortem*.

– Wiem... Mimo wszystko uważam, że ta jego historia z tajemnicą zawodową jest dosyć wątpliwa...

– Ja też. Ale jeszcze trudniej mi uwierzyć w tę surrealistyczną historię z dziesiątkami impresjonistycznych obrazów zapomnianych po śmierci Moneta na strychach różowego domu.

– Podążam za pana myślą. W każdym razie już wiadomo, że Dupainowie nie mają nic wspólnego z dzieciakami i z nielegalnym handlem dziełami sztuki, zwłaszcza męż. Ustawiam ich w martwym kącie. Tak jak Amadou Kandy’ego...

Sérénac w dalszym ciągu patrzy ze zdziwieniem na szkic. Sylvio Bénavides dyskretnie oddycha z ulgą. We wcześniejszej wersji swojego trójkąta wpisał nazwisko Laurença Sérénaca w połowie drogi między rogiem „Kochanki” a kątem

„Nenufary”. Sérénac podnosi nagle głowę i spogląda na niego dziwnie. Sylvio kładzie palec na trójkącie.

– Pozostaje dziewczyna w niebieskim fartuchu, ta, której nie zidentyfikowaliśmy, w moim trójkącie umieszczam ją gdzieś między kochankami a dziećmi...

– To zaczyna być obsesja ta twoja historia z dzieciakiem. Ale jesteś uparty, Sylvio. Nie można powiedzieć...

– Czego jeszcze panu trzeba, szefie! Kartka urodzinowa adresowana do jedenastoletniego dziecka z dziwnym cytatem z Aragona... A teraz dziecięce pismo na skrzynce z farbami... Jedenastoletni dzieciak zabity w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku według tego samego rytuału co Morval... Kochanki Morvala, z których jedna, niezidentyfikowana, mogła była, czemu nie, mieć z nim dziecko, mniej więcej dziesięcioletnie, nieuznane przez ojca...

– Noo... W każdym razie jedenastoletni dzieciak nie mógł przenieść dwudziestokilogramowego kamienia, który roztraskał czaszkę Morvala. I co chcesz zrobić z całą tą mieszanką poszlak?

– Nie wiem. Nie mogę pozbyć się myśli, że dzieciak z Giverny jest w niebezpieczeństwie. Zdaję sobie sprawę, że to śmieszne, nie wsadzimy wszystkich dzieci z Giverny pod klucz. Ale...

Laurenc Sérénac klepie go z czułością po plecach.

– Mówiliśmy już o tym, to syndrom mężczyzny „tatusia-lub-prawie”. A jak tam na porodówce, ciągle nic?

– Absolutna cisza. Termin już blisko. Staram się wpadać tam jak najczęściej ze stosem czasopism, które Béatrice niezmiennie ciska mi w twarz. Położne powtarzają na okrągło: „Wszystko dobrze, trzeba czekać, szyjka nie jest otwarta, za wcześnie na cesarskie cięcie, to dzidzia decyduje. Co jeszcze mam panu powiedzieć...”.

– Idziesz tam teraz?

– No tak...

– Domyślam się, Sylvio... Wszyscy inni faceci utopiliby swoje ostatnie noce celibatu w alkoholu, w pokerze albo w narkotykach! Ale nie ty! Pozdrów ode mnie Béatrice, to fajna dziewczyna, zasługujesz na nią!

Kładzie mu rękę na ramieniu.

– Zapewniam cię, jesteś ostatnim z mędrców na tej planecie! Ja wracam do piekła...

Laurenc Sérénac patrzy na zegarek. Jest 16.25.

Wkłada kask i odpala triumpha.

– Każdy ma swoją uciekającą linię perspektywy...

Sylvio Bénavides patrzy za oddalającym się szefem. W chwili gdy triumph znika za rogiem domów na nabrzeżu Sekwany, zaczyna się zastanawiać, czy koniec końców słusznie zrobił, skreślając nazwisko Laurença Sérénaca z listy podejrzanych.

– 64 –

Na pierwszym piętrze muzeum w Vernon okno sali 6 przypomina dodatkowy obraz. Zbocze prawego brzegu Sekwany widoczne przez szybę w cudowny sposób przedłuża oprawione pejzaże Pourville, zachód słońca nad Veules-les-Roses, zamek Gaillard, plac Petit-Andelys, Sekwanę w Rolleboise...

Kiedy tiger triumph inspektora Sérénaca jedzie przez obraz, przyznam, że trochę to psuje impresjonistyczną scenerię. Widzę, jak jego motocykl przejeżdża z jednego brzegu na drugi przez most w Vernon, skręca na prawo, jedzie wzdłuż Sekwany w stronę Giverny, właśnie tam, gdzie zakole i zakręt znikają z pola widzenia.

Oczywiście ten głupi inspektor frunie do swojej pięknotki.

Nieostrożny. Nieświadomy.

Przechodzę do innej sali, sali z boazeriami, to gabinet rysunków. Przyznam się wam, to mój ulubiony! Z upływem czasu zaczęłam bardziej lubić rysunki Steinlena niż obrazy wielkich mistrzów. Uwielbiam te karykatury, te portrety robotników czy żebraków, te banalne sceny z życia anonimowych ludzi uchwycone pastelami w kilka chwil. Nie spieszę się, stoję na dłużej przed każdym szkicem, smakuję każdą kreskę ołówka, jak cukierek, który trzyma się pod językiem, aż się rozpuści. Ponieważ to ostatni raz, moja ostatnia wizyta, moje pożegnanie ze Steinlenem, to muszę delektować się każdym szczegółem.

Kiedy już moje spojrzenie zatrzymało się ze wzruszeniem na każdym eksponowanym rysunku, zgodnie z rytuałem starej wariatki, którą jestem od przeszło pięćdziesięciu lat, za każdym razem, kiedy się udaję na piętro muzeum w Vernon, zatrzymuję się przed *Pocałunkiem*.

Nie mówię oczywiście o tym uścisku z błyskotkami Klimta, tym czymś

w rodzaju plakatu z upajającymi perfumami. Nie. Mówię wam o *Pocałunku Steinlena*.

To zwyczajny szkic węglem, raptem kilka kresek: mężczyzna odwrócony plecami, w obcisłym ubraniu, umięśniony, przyciska do torsu opuszczoną kobietę. Ona wspina się na palcach, z twarzą odwróconą, leżącą na ramieniu mężczyzny, jej nieśmiała ręka nie ośmiela się objąć jego grubej talii.

On jej pragnie. Ona się chwieje, niezdolna mu się oprzeć.

Kochankowie nie zwracają uwagi na zwiłokrotnione cienie na drugim planie, jak groźby.

To najpiękniejszy rysunek Steinlena. Wierzcie mi. To prawdziwe arcydzieło muzeum w Vernon.

– 65 –

Na ulicy Claude-Monet w porze wychodzenia ze szkoły tiger triumph budzi sensację wśród dzieci. Kiedy wybiegają po lekcjach, na widok motocykla zwalniają i odwracają głowy, są pod wrażeniem. Mają od pięciu do dwunastu lat. Tak by je ocenił Laurenç Sérénac. Nie może przestać myśleć o hipotezach Sylvia Bénavides'a, że jakieś dziecko jest w niebezpieczeństwie. Defilują przed nim twarze. Może dziesięć, może dwadzieścia. Wesołe. Beztroskie. Które z dzieci należałoby przesłuchać? Którego z tych chłopców, którą z tych dziewczynek? O co ich pytać? Wyciągnąć strzeżoną dobrze tajemnicę rodzinną? Wyśledzić podobieństwo, coś wspólnego z Jérôme'em Morvalem? Od czego zacząć?

Inspektor Sérénac parkuje swojego tigera triumph T100 pod lipą w cieniu. Pod drzewem śpi Neptun, jakby go pilnował. Wstaje leniwie, żeby poprosić o pieszczoty, których inspektor mu nie odmawia.

Kiedy Laurenç Sérénac wchodzi do klasy, Stéphanie odwraca się do niego plecami. Zajęta jest układaniem kartek w drewnianych skrzynkach, lekko pochylona. Sérénac nic nie mówi. Waha się. Ma przyspieszony oddech. Czy go usłyszała? Czy odgrywa obojętność? Podchodzi bliżej i kładzie ręce na biodrach nauczycielki.

Stéphanie drży. Milczy. Jej szyja i twarz nie odwracają się. Nie muszą, rozpoznała go.

Po odgłosie motocykla?

Tylko po zapachu?

Jedyne, co robi, to kładzie płasko dłonie na drewnianym pulpicie, który ma przed sobą. Ręce inspektora ściskają coraz mocniej cienką talię nauczycielki. On przysuwa się trochę bliżej, czuje teraz oddech młodej kobiety. Nie może oderwać oczu od kropelek potu, które perlą się między jej uchem a szyją.

Jego ręce podchodzą wyżej, jedna po zgiętych plecach, druga natomiast zapuszcza się na brzuch Stéphanie, wyczuwa jej przyspieszony oddech. I zaraz obie ręce przesuwają się wyżej. Kiedy dotykają piersi młodej kobiety, prawie się spotykają. Palce przez długie sekundy podrygują na pagórkowatych kształtach, jakby chciały utrwalić w pamięci ich wypukłość, zanim się na nich zamkną.

Twarz Laurença przywiera do wilgotnego profilu nauczycielki. Ucho, kark spotniałe. Tworzą teraz jedno ciało. Dżinsy inspektora przykleiły się do lnianej sukienki Stéphanie. Pożądanie wzrasta. Ona prawie się dusi.

Trwają tak bardzo długo. Tylko ręce żyją, nie zdążywszy nawet wnikać między tkaninę a skórę, ugniatają piersi.

Stéphanie odchyła głowę, tylko troszkę, tylko tyle żeby głowa Laurença opadła na jej usta. Szepcze, bardziej dmucha, niż wypowiada:

– Jestem wolna, Laurenç. Jestem wolna. Zabierz mnie stąd.

Dłonie inspektora powoli schodzą w dół, otwierają się, rozpościerają, jakby po to, by nie zapomnieć choćby milimetra tej skóry. Docierają do talii, nie zatrzymują się, schodzą niżej.

Na moment, tylko na moment zgięte ciało Laurença odrywa się od ciała Stéphanie. Akurat na tyle, żeby obie pożądliwe dłonie chwyciły sukienkę i podkasaly ją aż do pasa, zanim jego biodra przylgną znowu do ciała nauczycielki, przytrzymując pogniecioną tkaninę, pozostawiając pełną swobodę dłoniom Laurença, które pieszczą nagie uda, delikatnie je rozsuwając.

– Zabierz mnie, Laurenç – szepcze znowu drżący głos Stéphanie. – Jestem wolna. Zabierz mnie.

– No więc? – pyta Paul Fanette. – Co ci powiedziała?

Fanette zamyka za sobą drzwi od klasy. Jej twarz jest trupio blada. Paul się domyśla, że nie wróży to nic dobrego.

– Wiesz, to nie trwało długo. Co ona ci powiedziała? Uwierzyła ci, jak mówiłaś o Jamesie? Nie zbeształa cię chociaż?

Żadnej odpowiedzi.

Nigdy przedtem Paul nie widział na twarzy Fanette takiego strapienia. Nagle, nic nie mówiąc, Fanette ucieka biegiem. Neptun zrywa się gwałtownie spod swojej

lipy i galopuje razem z nią.

Paul waha się, czy też tak zrobić. Krzyczy, zanim Fanette zniknie:

– Rozmawiałaś z nią?

– Niiieeeeeee...

To jedyne słowo wypowiedziane przez dziewczynkę w potoku łez, który mógłby zatopić stok ulicy Blanche-Hoschedé-Monet.

– 66 –

Autokar dowozi komisarza Laurentina na centralny plac w Lyons-la-Forêt. Przez całą drogę komisarz mógł podziwiać przez przednią szybę panoramiczny widok przepięknego bukowego lasu, który otacza gminę, potem długi szereg domów normandzkich z muru pruskiego, który napawa to miejsce tęsknotą za minionym wiekiem, jakby miasto zostało zachowane w niezmienionym stanie tylko po to, by kręcić w nim adaptacje filmowe nowel Maupassanta czy powieści Flauberta.

Spojrzenie komisarza Laurentina zatrzymuje się przez chwilę na fontannie na głównym placu tuż obok ogromnych hal. Ładna fontanna z kamienia nie wygląda na swoje lata... Nic dziwnego, została wzniesiona jakieś dwadzieścia lat temu na potrzeby filmu Chabrola o Emmie Bovary.

Fałsz! Lipa!

Komisarz nie może jednak się powstrzymać, by nie dokonać porównania tragicznego losu Emmy Bovary, tego poczucia zwykłej nudy, tego wrażenia, że istnieje inne życie, które nie zostało jej dane, ze wszystkimi informacjami, które zebrał przez kilka dni o Stéphanie Dupain. Opuszczając plac centralny miasteczka, komisarz Laurentin myśli sobie, że jednak taka paralela jest śmieszna, on sam przekroczył już wiek romantycznych amalgamatów. Komisarz Laurentin idzie pospiesznie. Dom opieki Les Jardins jest trochę powyżej Lyons-la-Forêt, dochodzi się do niego stromym zboczem na skraju lasu.

*

Niebieskie pastelowe linoleum w holu wejściowym błyszczy tak, jakby je polerowano co godzinę. Większość pensjonariuszy spędza popołudnie i zapewne resztę czasu w dużej sali po lewej stronie. Olbrzymi ekran telewizora plazmowego wydaje się włączony na stałe dla około trzydziestu nieruszających się rezydentów,

którzy przysypiają. Zagubieni w swoich myślach. Najbardziej aktywni przezuwają ślamazarnie herbatniki z podwieczorku, który podano godzinę temu, w oczekiwaniu na wieczorny posiłek.

Pochwała powolności.

Salę przemierza, ze zręcznością dyrektora składu porcelany, trochę przytęga pielęgniarka, podchodzi do niego.

– Słucham pana?

– Komisarz Laurentin. Dzwoniłem dziś rano. Chciałbym się zobaczyć z Louise Rosalbą.

Pielęgniarka się uśmiecha. Ma przypięty mały pozłacany znaczek ze swoim imieniem: Sophie.

– Tak, pamiętam. Louise Rosalba została uprzedzona. Czeka na pana. Od kilku lat ma trudności z mówieniem, ale niech pan się nie obawia, głowa pracuje, doskonale rozumie, co się do niej mówi. Pokój sto siedemnaście. Niech pan nie będzie zbyt ostry, komisarzu... Louise ma sto dwa lata i od bardzo dawna nikt jej nie składał wizyty.

Komisarz puka do drzwi pokoju 117 i wchodzi. Louise Rosalba siedzi odwrócona de trois quarts i obserwuje parking tuż pod oknem. Nieruchomo. Właśnie parkuje audi 80 i wysiada z niego para. Kobieta trzyma bukiet kwiatów, dwoje dzieci pokrzykuje, zamykając drzwi. Laurentin odnosi wrażenie, że napływ gości do innych pensjonariuszy wyznacza rytm dnia stulatki.

– Louise Rosalba?

Stara kobieta odwraca pomarszczoną twarz. Laurentin się uśmiecha.

– Jestem komisarz Laurentin. Pielęgniarka, pani Sophie, pewnie mówiła pani dziś rano o mojej wizycie. Prze... przepraszam, ale przyszedłem, żeby się odwołać do pani wspomnień. Bardzo dawnych wspomnień, i zapewne nie bardzo przyjemnych. Przeszedłem porozmawiać z panią o śmierci pani syna, jedynaka, Alberta. To było... w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku...

Przezroczyście dłonie trzęsą się w zakamarkach leżącego na jej kolanach koca. Jasne oczy wilgotnieją. Louise otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Na ścianach nie ma ani krzyża, ani żadnej fotografii dzieci, wnuków, prawnuków z chrztu czy pierwszej komunii; żadnego zdjęcia ślubnego. Gołe ściany zdobi jedynie ładna reprodukcja obrazu Moneta *Kobieta z parasolką*: elegancka matka rodziny na spacerze z dzieckiem, w polu, gdzie bucha czerwień maków, gdzieś w okolicach Argenteuil.

– Chciałem... – ciągnie komisarz Laurentin. – Chciałem pani zadać kilka pytań. Proszę się nie ruszać, po... pomogę pani przypomnieć sobie...

Komisarz pochyła się i wyjmując z torby czarno-białą fotografię klasy: „Szkoła miejska w Giverny – 1936–1937”.

Kładzie zdjęcie na kolanach Louise. Oczy stulatki zdają się zafascynowane reprodukcją.

– To Albert? – pyta komisarz, pokazując chłopca siedzącego w drugim rzędzie.
– To on?

Louise kiwa głową na znak, że potwierdza. Na fotografię kapie kilka łez, jakby na dziedzińcu szkolnym zaczęło padać, ale dzieci, zdyscyplinowane, posłuszne, nie ośmielały się poruszyć i siedziały cierpliwie przed obiektywem fotografa.

– Pani nigdy nie uwierzyła, że to był wypadek? Tak?

– T... tak – wyartykułowała Louise.

Długo przełyka ślinę.

– On nie... nie był sam. Nie był sam... Koło... koło rze... rzeki...

Komisarz stara się panować nad swoim wewnętrznym poruszeniem. Przypomina mu się rada pielęgniarki. Nie popędzać Louise, obchodzić się z nią ostrożnie.

– Czy wie pani, kto był z pani synem?

Louise potwierdza delikatnie. Głos komisarza staje się mniej pewny. Małeńki pokój zdaje się wypełniony silnym napięciem, jakby otwarcie kufra ze starymi wspomnieniami uwolniło łatwopalny gaz zdolny przy pierwszym nieostrożnym ruchu wysadzić pokój w powietrze.

– Czy... to ta osoba, która była z Albertem koło strumienia, zabiła pani syna?

Louise skupia się na słowach wypowiedzianych przez komisarza i znowu potwierdza. Powolny ruch szyi nie pozostawia wątpliwości.

– Dlaczego nic pani nie powiedziała? Dlaczego wtedy nie oskarżyła jej pani?

Na dziedzińcu szkoły w Giverny lunęła teraz ulewa. Papier się wypucza. Dzieci z klasy siedzą grzecznie, wcale nie narzekają.

– Nikt... nikt... mi... nie... wierzył... nawet mój... mąż...

Stulatka sprawia wrażenie, że zrobiła nadmierny wysiłek, żeby wypowiedzieć tych kilka słów. Sflaczała skóra, która zwisa jej pod szyją, trzęsie się jak korale indyka. Komisarz Laurentin rozumie, że musi ją oszczędzać, zadawać pytania i sugerować odpowiedzi, żeby Louise mogła tylko potwierdzać albo zaprzeczać gestem czy sylabą.

– Dlatego się przeprowadziliście? Zbyt trudno byłoby pozostać... Potem pani mąż zmarł... Została pani sama?

Louise rusza powoli szyją na znak potwierdzenia. Komisarz pochyła się nad stulatką, wyjmując z kieszeni chusteczkę i delikatnie wyciera fotografię klasy.

– A później? – ciągnie Laurentin głosem, który z trudem maskuje jego poruszenie. – Ta osoba, ta osoba, która była z pani synem na brzegu rzeczki... Później ta osoba popełniła inną zbrodnię, tak? Może kilka? Ta osoba znowu to zrobiła? Ta osoba znowu to zrobi?

Louise Rosalba od razu zaczyna lepiej oddychać, tak jakby komisarz zdjął z niej ciężar, który zalegał jej w piersi od wieków.

Potwierdza ruchem głowy.

O, Boże...

Po rękach komisarza Laurentina przechodzą dreszcze. Dla niego też te gwałtowne przyspieszenia serca nie są wskazane, ale w tej chwili nie przejmuje się radami swojego kardiologa, liczą się jedynie te zdumiewające rewelacje zagrzebane w pamięci kobiety od prawie siedemdziesięciu pięciu lat. Przysuwa fotografię bliżej palców Louise.

– Ta... ta osoba, o której mówimy, ona też siedzi na ławce szkolnej, prawda? Czy... może mi ją pani pokazać?

Palce Louise drżą jeszcze bardziej. Laurentin kładzie delikatnie swoją dłoń na nadgarstku stulatki, bardzo uważając, by nie wywierać presji, nie przesuwając jej ręki w jedną czy w drugą stronę. Pomarszczone palce przesuwają się nad fotografią klasy, potem powoli palec wskazujący Louise spada na jedną twarz.

Komisarz czuje galop swojego serca.

O, Boże, o, Boże...

Czuje potężne uderzenie krwi do głowy. Jeszcze mocniej ścisną rękę Louise. Serce mu wyskakuje, musi się uspokoić.

– Dziękuję. Dziękuję...

Szepcze łagodnie, podniecenie trochę opada. Komisarza Laurentina ogarnia to dziwne uczucie: sprzeczność między irracjonalnym wymiarem tej rewelacji, tego zeznania, tego oskarżenia, a jego nieubłaganą przecież logiką. Teraz już wie, kto zamordował małego Alberta Rosalbę. A co za tym idzie, wie również, kto zamordował Jérôme'a Morvala. Kto i dlaczego.

Jego serce zaczyna stopniowo bić normalnie, ale on nie potrafi pozbyć się tej śmiesznej wprost satysfakcji, tej niepotrzebnej dumy, że zdobył w końcu dowód, że się nie mylił, że nie dał się zwieść.

Że miał rację, wcześniej niż inni.

Jego spojrzenie wędruje za okno, omiata parking i błądzi w stronę lasu bukowego aż po jego skraj.

Co teraz robić?

Wrócić do Giverny?

Wrócić do Giverny i spotkać się ze Stéphanie Dupain?

Zanim będzie za późno?

Na myśl o tym serce znowu zaczyna mu walić tak, że o mało nie pęknie. Jego kardiolog byłby wściekły.

– 67 –

22.53. Patrę na księżyc.

Widziany z okna wieży młyna des Chennevières wydaje się olbrzymi, niemal w zasięgu ręki.

Bądźcie spokojni, nie jestem stuknięta. To nie jest złudzenie optyczne. Mówili o tym w radiu France Bleu Haute-Normandie, a nawet w lokalnej telewizji, opowiadali, że dzisiaj pełnia jest największa w roku. W perygeum, jak powiedzieli, to znaczy, że tej nocy, o ile dobrze zrozumiałam, Księżyc jest najbliżej Ziemi... Zapamiętałam z tego, co tłumaczyli, że Księżyc nie zatacza koła wokół Ziemi, lecz porusza się po elipsie... Jest więc taki dzień, kiedy Księżyc w pełni najbardziej oddala się od Ziemi, i dzień, kiedy jest najbliżej...

Właśnie dziś! Według nich Księżyc widziany gołym okiem z Ziemi staje się większy. Mówili o tym zaraz po prognozie pogody, w przeglądzie astronomicznym. Perygeum. Raz w roku...

Skąpane w nocnym świetle dachy Giverny tworzą dziwny nastrój. Jakiś zapalony artysta mógłby prawie ustawić sztalugę i malować przez całą noc bez sztucznego oświetlenia. Ilu ludzi w tym właśnie momencie ogląda to samo światło Księżycy? Bo słuchało radia, oglądało telewizję i... Spektakl, którego nie wolno przepuścić, tak powiedzieli! Na pewno tysiące, dziesiątki tysięcy.

Dzisiaj niewątpliwie jestem nastawiona nostalgicznie... Po wyprawie do muzeum w Vernon teraz spędzam noc pod swoim oknem. Długo tak nie pociągnę w tym rytmie.

Chociaż właściwie nie mam zamiaru ciągnąć. Wierście mi, to prawdziwy przywilej móc poznać datę końca i dzięki temu móc rozkoszować się ostatnimi godzinami, ostatnią nocą, ostatnim księżycem.

Jutro będzie po wszystkim!

Postanowione. Muszę tylko wybrać sposób.

Trucizna? Biała broń? Utonięcie? Uduszenie?

Możliwości mi nie brakuje.

Ani odwagi. Ani determinacji. Ani motywacji.

Patrę jeszcze na miasto, które zasypia. Latarnie uliczne i ostatnie oświetlone

okna w tej bladej nocy przypominają mi żółte kwiaty z moich czarnych *Nenufarów*, są jak słabe latarnie zagubione w oceanie ciemności.

Gliniarzom się nie udało, nic nie rozumieją. Tym gorzej dla nich.

Jutro wieczorem wszystko się skończy wraz z ostatnim trupem, jak nawias zamknięty raz na zawsze.

Koniec. Kropka.

Fanette po raz pierwszy ogląda tak duży księżyc. Można by rzec, że to planeta czy coś w rodzaju latającego spodka, który wylądował tam, w drzewach na wzgórzu. Nauczycielka dobrze zrobiła, mówiąc im, żeby poczekali do późna. Wytłumaczyła, co to elipsa, perygeum, narysowała na tablicy jakieś skomplikowane wykresy ze strzałkami i cyframi.

Fanette nie wie, która godzina, ale wydaje jej się, że chyba musi już być co najmniej dwudziesta trzecia. Vincent wrócił do domu jakąś, powiedzmy, godzinę temu, tak jej się wydaje.

Myślałam, że spędzi całą noc pod moim oknem, słuchając mnie i nie puszczając mojej ręki.

W końcu poszedł.

Uff!

Fanette chciała być sama, sama z tym olbrzymim księżycem, jak z jakimś krewnym. Dorosłym krewnym, który mieszka daleko, który ją do siebie zaprosił.

Tego wieczoru Fanette skończyła swój obraz. Zazwyczaj nie lubi odgrywać zarozumiałej chwalipięty, w gruncie rzeczy nie bardzo wierzy, kiedy wszyscy jej mówią, że to, co maluje, jest genialne, ale tutaj... Tak, tak, śmiało może to powiedzieć księżycowi, jest dumna z kolorów, jakie umieściła na płótnie, z tego ruchu wody w strumieniu, który płynie na obrazie, z tych linii perspektywy, rozchodzących się na wszystkie strony. Od dawna miała to wszystko w głowie, ale nigdy by nie uwierzyła, że będzie mogła to namalować... Schowała obraz pod pralnię, jutro Paul po niego pójdzie i da go nauczycielce.

Do Paula mogę mieć zaufanie. Tylko do Paula. Na pewno nie do innych, jak ten pretensjonalny Camille, Mary donosicielka, Vincent... Vincent... Natrętny piesek.

Na pewno też nie do mamy, mama mnie ostatnio bardzo pilnuje, rano odprowadza mnie do szkoły i zostawia przed ogrodzeniem, a potem idzie do willi paryżan. W południe tak samo. Jakby mnie szpiegowała! Czasem wydaje mi się to dziwne. Jakby mama się bała, że opowiem wszystkim moją historię.

James. Zniknął. Nie żyje.

Zabity w polu.

Jakby się bała, że wezmą jej córkę za wariatkę.

James...

Fanette wyciąga rękę. Ma wrażenie, że jak się trochę bardziej wychyli przez okno, będzie mogła dotknąć kraterów księżyca, włożyć palce w szczeliny.

James...

Czy ja go wymyśliłam?

Czy ja po prostu nie znalazłam w polu kilku pędzli zostawionych przez jakiegoś malarza, kilku kropli farby na brzegu... Moja wyobraźnia dopełniła reszty. Mama mi to wciąż mówi, że żyję w świecie wyobraźni, wymyślam różne rzeczy, zniekształcam rzeczywistość. Bo chciałabym, żeby była właśnie taka.

Teraz, im bardziej o nim myślę, tym bardziej mi się zdaje, że James nigdy nie istniał. Wymyśliłam go, bo mi był potrzebny, potrzebny był mi ktoś, kto by mi powiedział, że mam zdolności do malarstwa, że powinnam dalej malować, że jestem genialna, że powinnam myśleć o sobie i pracować, pracować, ciągle pracować nad swoimi obrazami.

Być egoistką.

Mama nigdy mi tego nie mówi. James powiedział mi to wszystko, co powinien był mi powiedzieć tata, wszystko, co chciałam, żeby powiedział mi mój tata...

Tata artysta. Tata malarz. Tata dumny ze mnie. Tata, który kiedyś, na końcu świata, przeczyta moje nazwisko w rogu obrazu wystawionego w najświetniejszej galerii i powie sobie najzwyczajniej w świecie: Poznają ją, to moja córka. Moja córeczka. Najzdolniejsza ze wszystkich.

Fanette obserwuje fasady ciemnych domów.

Nie! Nie! Nie! Mój tata nie jest facetem z miasta, u którego moja mama sprząta. Grubym, brzydkim, starym, który śmierdzi i się poci. To niemożliwe.

A w ogóle mam to gdzieś.

Nie mam taty. Wymyśliłam Jamesa zamiast niego... dzięki niemu namalowałam swój obraz, moje Nenufary. Jutro jadą na konkurs. To moja butelka w moim morzu...

Jutro.

*

Fanette się uśmiecha.

Może ten ogromny księżyc to inna dobra przepowiednia.

Jutro są moje urodziny!

W blasku księżycy dziedziniec szkoły w Giverny nabiera srebrzystej barwy. Księżycy przeogromnego. Stéphanie próbowała wytłumaczyć dzieciom ze swojej klasy to zjawisko perygeum i elipsy Księżycy za pomocą kilku prostych wykresów. Poradziła im, żeby poszły spać trochę później niż zwykle, żeby obejrzały ten spektakl: wszystko napisała na tablicy, księżyc o czternaście procent większy i trzydzieści procent bardziej świecący.

Księżyc ma ten sam okrągły kształt co okienko w ich mansardowym pokoju, jakby kawałek okna oderwał się i poleciał do nieba. Ulica Blanche-Hoschedé-Monet jest pusta. Liście lip na placu przed merostwem tańczą leciutko na wietrze. Wydaje się, że na miasteczko spadł srebrny deszcz.

Jacques leży obok w łóżku. Stéphanie nie musi się nawet odwracać, wie, że on nie śpi. Domyśla się, że na nią patrzy, że nic nie powie, że respektuje jej milczenie. Intymność między nią a mężem stała się dla niej coraz bardziej nie do zniesienia. Jacques nie zmienił żadnego ze swoich nawyków. Wciąż śpią razem, nago, prawie przytuleni, chociaż Jacques nie starał się jej odzyskać. Przynajmniej fizycznie.

Wczoraj rozmawiali przez kilka godzin.

Spokojnie.

Jacques powiedział, że zrozumiał, że spróbuje zmienić.

Co zmienić?

Stéphanie niczego mu nie zarzuca. Albo może tylko to, że nie jest kim innym.

Jacques mówi, że stanie się kim innym.

Nie można stać się kim innym. Te dyskusje do niczego nie prowadzą, Stéphanie dobrze to wie. Podjęła decyzję. Zostawi go. Odchodzi.

Jacques jest człowiekiem zrównoważonym. Na pewno myśli, że dobrą metodą na to, by skłonić Stéphanie do zastanowienia, jest przeczekać. Przeczekać burzę. Czekać, być na miejscu z parasolem w ręce. Na wypadek gdyby... żeby móc otworzyć ten duży parasol, dla nich obojga, jak tylko Stéphanie wróci.

Myli się.

Stéphanie długo obserwuje dziedziniec szkoły, w której uczy od lat, te klasy do gry wyrysowane na asfalcie, tę klatkę na wiewiórkę... W jej głowie brzmią krzyki dzieci bawiących się na przerwie.

Stéphanie umówiła się z Laurenćem jutro po południu. Oczywiście nie w mieście, nie przed szkołą, nie przy strumieniu... Dalej, w miejscu bardziej dyskretnym. To był jej pomysł: Wyspa Pokrzyw, L'île aux Orties, słynne pole przy ujściu Epte do Sekwany, które kupił Claude Monet, na którym rozkładał swoje płótna, gdzie cumował swoją pracownię-statek... To ładne odosobnione miejsce, trochę ponad kilometr od Giverny. Im bardziej o tym myśli, tym bardziej jest przekonana, że ta wyspa to dobry pomysł. Laurenć potrafi docenić. Laurenć ma

dziwny instynkt, dziwne wycucie wszystkiego, co dotyczy sztuki. Czyż nie wyczuł od razu w domu Moneta, że obraz Renoira *Dziewczyna w białym kapeluszu* nie jest reprodukcją? Chociaż rozum mówił mu, że nie, Laurenç przeczuwał, że to arcydzieło to oryginał... Tak jak dziesiątki innych zapomnianych w domu Moneta. Renoir, Pissarro, Sisley, Boudin... również nieznanne *Nenufary*. Mój Boże, gdyby mieli czas, gdyby byli wolni, Stéphanie tak bardzo chciałyby je pokazać Laurençowi. Żeby dzielić z nim takie emocje...

*

Jacques zgasił światło i odwrócił się na bok, jakby spał. Blask księżycy nadaje pokojowi wygląd czarodziejskiej groty. Wzrok Stéphanie pada na nocną szafkę, na leżącą na niej książkę.

Nietknięta.

Aurelian.

Louis Aragon.

To zdanie powraca niechybnie, nawiedza ją. *Zgadzam się by marzenia jako zbrodnie sądzić...* To przesłanie odkryte na pocztówce urodzinowej znalezionej w kieszeni Jérôme'a Morvala.

...marzenia jako zbrodnie...

Tak jakby to zdanie zostało napisane dla niej...

...marzenia jako zbrodnie...

Wszyscy, którzy nie czytali kolejnych wersów, wszyscy, którzy nie znają dalszego ciągu tego długiego poematu Aragona pod tytułem *Nymphée*, mylą się. Nie, Aragon oczywiście nie potępia marzeń.

Co za nonsens!

Jest odwrotnie, w sposób oczywisty poeta wyraża przeciwną ideę.

Stéphanie recytuje bezgłośnie te wersy, których co roku każe się uczyć miejscowym dzieciom.

*Zgadzam się by marzenia jako zbrodnie sądzić
Jeśli marzę to właśnie o tym czego mi się wzbrania
Przyznam się do winy Podoba mi się błędzić
Marzenia wedle rozsądku to bandycka sprawa[5]*

Powtarza w milczeniu cztery wersy tej strofy z żarliwością bezwstydną laickiej modlitwy.

Jeśli marzę to właśnie o tym czego mi się wzbrania...

Tak, marzenie jest poza prawem.

Tak, Stéphanie musi być okrutną kobietą.

Nie, nie ma żadnych wyrzutów.

Tak, wedle rozumu jej marzenie jest kryminalne.

Żeby jutro Laurenç Sérénac wziął ją w ramiona, żeby się kochali na wyspie aux Orties i żeby ją zabrał, żeby ją zabrał...

Jutro...

5 Przełożyła Natalia Krasicka.

DZIEŃ TRZYNASTY
25 maja 2010
(*Droga na wyspie aux Orties*)

ROZWIĄZANIE

– 68 –

Idę powoli ubitą drogą, która tuż za młynem des Chennevières przechodzi w linii prostej przez pola i łąkę: wyboista droga, w której koła traktorów rok po roku żłobią koleiny.

Inspektorowi Sérénacowi na jego tigerze triumphie chyba nie było do śmiechu przed chwilą. Nie będę wam tego dokładnie opisywać, ale nie jestem pewna, czy ten jego stary pojazd jest przystosowany do motokrosu. Widziałam, jak jechał kilka minut temu, skręcił za młynem, potem zapuścił się w pola pośród tumanu suchej ziemi.

Z Giverny na łąkę prowadzi kilka ścieżek, ale wszystkie w końcu się spotykają w tej samej ślepej uliczce: na wyspie aux Orties. Na wprost niej nie ma nic innego jak Epte i Sekwana. Droga do niej wiedzie prosto, urywa się nawet kilka metrów przed ujściem, na brzegach Epte, u podnóża lasku topoli z czasów Moneta; są one tak chronione przez Khmerów impresjonizmu jak piramidy egipskie...

Jeśli chce się dojść do Sekwany, kawałek trzeba przebyć na piechotę.

Neptun pędzi przodem. Zna na pamięć drogę, nie czeka już na mnie. Zrozumiał, że coraz wolniej pokonuję ten krótki kilometr, który dzieli młyn des Chennevières od wyspy aux Orties. Te koleiny są piekielne. Nawet używając laski, o mało się nie przewracam co najmniej raz na trzy metry.

Na szczęście idę tam po raz ostatni, na tę przeklętą wyspę aux Orties. To już nie na mój wiek takie wycieczki po wiejskich wyboistych drogach. Na dodatek powala nas dzisiaj potworny upał. To najpiękniejszy dzień maja, a od mojego młyna aż do

Epte nie ma żadnego ocienionego miejsca, oprócz, w ostateczności, blaszanych ścian ujęcia wody. Mam przynajmniej chustkę, która mnie chroni przed słońcem. Na tej otwartej poźółkłej równinie czuję się jak idąca przez pustynię kobieta arabska.

Mój Boże, nie wyobrażacie sobie, chyba zajmie mi to całą wieczność, zanim dojdę do tego ujścia Epte do Sekwany, do tej cholernej wyspy aux Orties.

Pomyśleć, że Neptun już na pewno tam doszedł!

– 69 –

16.17. Tiger triumph T100 Laurença Sérénaca stoi oparty o topolę. Inspektor przyjechał trochę przed czasem na wyspę aux Orties, wie, że Stéphanie nie kończy szkoły przed 16.30. I potem ma do przejścia dobry kilometr, żeby się z nim spotkać.

Laurencę idzie pod drzewami. Krajobraz jest tu dziwny: Epte, otoczona tymi drzewami stojącymi w szeregu jak oddział wojska na baczność, bardziej przypomina kanał niż naturalną rzekę. Miejsce spotkania Epte i Sekwany wzmaga jeszcze to wrażenie: w olbrzymim łożysku duża rzeka płynie sobie spokojnie, olewając dogłębnie ten śmieszny dopływ wody, której dostarcza ta odnoga. Podczas gdy brzegi Epte zdają się zastygłe w nieodmiennej wieczności, nad Sekwaną przeciwnie, wyczuwa się życie, które wrze, miasto, fabryki, barki, tory kolejowe, handel... Tak jakby Sekwana była hałaśliwą autostradą przecinającą pola... a Epte bocznym szlakiem wiodącym zapomnianą drogą departamentalną, która się w nich gubi.

Ktoś za nim idzie.

Stéphanie, już?

On się odwraca, uśmiecha się.

To Neptun! Owczarek niemiecki poznaje inspektora, podchodzi i ociera się o jego nogi.

– Neptun! To miło, że przyszedłeś dotrzymać mi towarzystwa... Ale wiesz, piesku, ja tu mam randkę, dyskretne spotkanie... Będziesz musiał nas zostawić...

Z tyłu, za nim, trzeszczy gałąź. Ktoś depcze po liściach.

Neptun nie jest sam!

Laurencę Sérénac natychmiast wyczuwa niebezpieczeństwo, zanim jeszcze

pomyślał. Instynkt gliniarza.

Podnosi oczy.

Wycelowana w niego lufa strzelby.

Przez moment myśli, że wszystko zaraz się skończy, bez żadnych wyjaśnień. Że umrze, powalony jak zwykła zwierzyna; że nabój rozwali mu serce i jego trup będzie pływać w Epte, potem w Sekwanie, by osiąść dużo dalej, w dole rzeki.

Palce nie naciskają spustu.

Zawieszenie?

Sérénac, z pozorną pewnością siebie, pierwszy staje w szranki:

– Co pan tu robi?

Jacques Dupain opuszcza ostentacyjnie broń.

– To raczej ja powinienem o to zapytać... Nie uważa pan?

Narastający gniew dodaje Laurençowi Sérénacowi odwagi.

– Skąd pan wiedział?

Kilka metrów od nich, w promieniu słońca, który przenika przez topole, usiadł Neptun i wydaje się, że nie jest zainteresowany ich rozmową. Strzelba Jacques'a Dupaina skierowana jest teraz na ziemię. Dupain robi pogardliwy grymas.

– Jest pan doprawdy głupi, Sérénac. Jak tylko zobaczyłem pana w mieście z tą zakazaną gębą, w skórzanej kurtce i na motorze, już wiedziałem. Jest pan taki przewidywalny, Sérénac...

– Nikt nie mógł wiedzieć. Nikt oprócz Stéphanie. Ona nie mogła panu powiedzieć. Śledził mnie pan, tak?

Dupain odwraca się w stronę łąki. W oddali widać zarys Giverny w upalnej mgłę, która zniekształca horyzont. Dupain śmieje się i odpowiada:

– Pan tego nie rozumie. Są rzeczy, które przekraczają pana możliwości. Ja się tu urodziłem, Sérénac. Tak jak Stéphanie. W tym miasteczku. Tego samego dnia lub prawie. Jedną ulicę dalej. Nikt nie zna Stéphanie lepiej niż ja. Jak tylko zaczął pan jej zawracać głowę, dostrzegłem to. Najmniejszy szczegół, książka, której brak na półce, spojrzenie Stéphanie w niebo, milczenie... Nauczyłem się interpretować wszystkie oznaki. Fałda na bluzce, pognieciona spódniczka, koszulka, której normalnie nie nosi, drobniutka zmiana w jej sposobie malowania się, wyraz twarzy, który się zmienia. Jeśli Stéphanie umawiała się z panem, wiedziałem o tym, Sérénac. Wiedziałem, kiedy się z panem umawia, wiedziałem gdzie...

Laurenç Sérénac okazuje rodzaj rozdrażnienia, zmęczenia i odwraca się w stronę Epte. Długi monolog Dupaina koniec końców go uspokoił. Ma do czynienia z zazdrosnym mężem. Przecież można się było tego spodziewać. To cena, którą się

placi. Cena wolności Stéphanie. Cena ich miłości.

– Dobrze – mówi inspektor. – Co dalej mamy w programie? Czekamy obaj na przyjście Stéphanie i rozmawiamy we troje?

Twarz Jacques'a Dupaina wykrzywia nowy grymas pogardy. Jakby nosił w sobie jakąś pewność.

– Nie sądzę, nie... Dobrze, że przyjechał pan przed czasem, Sérénac. Oto co pan teraz robi. Napisze pan krótki list, słowa pożegnania, potrafi pan to ująć w odpowiedniej formie, pewnie ma pan do tego zdolności. Jak nie, to pana sprzątnę. Połóży pan ten list pod drzewem, w widocznym miejscu, wsładzie pan na motocykl i zniknie.

– Pan żartuje?

– Inspektorze... dostał pan to, co pan chciał. Stéphanie oddała się panu wczoraj w klasie. Dopiął pan swego. *Chapeau bas!* Wielu o tym marzyło, pan jest pierwszy. Pozostańmy przy tym! Znikaj pan z naszego życia! Ja nie wywołam żadnego skandalu, nie pójdę do adwokata, żeby opowiadać, że inspektor prowadzący sprawę Morvala śpi z żoną jednego podejrzanego, podejrzanego, którego nawet postarał się wczoraj zapuszkować. Mówiąc jasno, nie zwichnę panu kariery. Będziemy kwita. Dobry ze mnie gracz, co?, jak na faceta, którego się przedstawia w Giverny jako zazdrośnika szaleńca?

Sérénac wybuchu śmiechem. Wiatr porusza miarowo liście topoli, orzechów, kasztanów.

– Myślę, że pan nic nie zrozumiał, Dupain. Nie chodzi ani o mnie, ani o moją karierę. Nie chodzi również o pana i pana ambicję męża rogowca. Chodzi o Stéphanie. Ona jest wolna. Czy pan to zrozumiał? Ani pan, ani ja nie mamy o czym mówić... Nie możemy niczego postanawiać za nią. Rozumie pan. Ona jest wolna... Ona decyduje.

Dupain zaciska nerwowo obie dłonie na strzelbie.

– Nie przyszedłem tu, żeby prowadzić rozmowę, Sérénac. Traci pan cenny czas. Słowa pożegnania, które pan wybierze, mogą być ważne dla Stéphanie, będzie musiała z nimi później żyć...

Laurencz czuje, że wzbiera w nim głębokie zdenerwowanie. Sytuacja mu się nie podoba. Ten facet go brzydzi. Za nim rozciągają się pola pokrzyw aż do ujścia rzeczki. To miejsce jest pustkowiem. Nikt tu nie przyjdzie, nikt poza Stéphanie. Trzeba z tym skończyć.

– Panie Dupain, niech pan mnie nie zmusza, żebym był okrutny wobec pana.

– Znowu pan traci czas, ja panu...

– Pan jest ograniczony, Dupain – przerywa Laurencz Sérénac. – Niech pan otworzy oczy! Nie zasługuje pan na Stéphanie. Ona zasługuje na coś lepszego niż

życie dzielone z panem. Któregoś dnia ona wyjedzie, Dupain. Ze mną albo z innym...

Jacques Dupain ogranicza się do wzruszenia ramionami. Tyrada Laurença Sérénaca zdaje się spływać po nim jak krople wody po łupkowym dachu.

– Inspektorze, czy to tego rodzaju groteskowymi frazesami zawrócił pan w głowie Stéphanie?

Sérénac robi krok do przodu. Jest wyższy od Jacques'a Dupaina o co najmniej dwadzieścia centymetrów. Nagle podnosi głos:

– Skończmy już tę gierkę, Dupain. Natychmiast. Powiem jasno, nie napiszę żadnego liściku. Mam gdzieś pana nędzny szantaż, to, co może pan powiedzieć swojemu adwokatowi w sprawie mojej domniemanej kariery...

Jacques Dupain po raz pierwszy się waha, patrzy na Sérénaca z uwagą, jakoś inaczej. Inspektor odwraca oczy i dostrzega w oddali dzwonnice kościoła Sainte-Radegonde, a wokół niej dachy domów w Giverny, zupełnie jak makietka sielankowego miasteczka, przez które przejeżdża miniaturowy pociąg.

– Mea culpa, inspektorze – ciągnie Dupain. – Czyżbym pana nie docenił? Na swój sposób był pan szczery?

Twarz mu się kurczy, tworzą się na niej pomarszczone szczeliny.

– Nie pozostawia mi pan wyboru, będę musiał uciec się do bardziej przekonujących argumentów...

Dupain podnosi powoli lufę strzelby w kierunku czoła inspektora. Laurenç Sérénac stoi nieruchomo, z zastygłym spojrzeniem. Pot ścieka mu po włosach. Inspektor syczy niczym wąż:

– No to wszystko jasne, Dupain. Maską opada. Odsłania się prawdziwa twarz. Twarz zabójcy Morvala...

Lufa strzelby schodzi na wysokość oczu. Nie sposób nie zerknąć na ciemny wylot metalowej rury.

– Nic podobnego, inspektorze! – krzyczy Dupain. – Niech pan nie miesza wszystkiego! Jesteśmy tu, żeby załatwić sprawę między nami trojgiem, Stéphanie, panem i mną. Morval nie ma tu nic do rzeczy.

W tym podnieceniu oś lufy przesunęła się lekko w stronę ucha policjanta. Sérénac wie, że trzeba negocjować, zyskać na czasie, znaleźć lukę.

– No więc, co pan zrobi? Zabije mnie pan, tak? Tutaj, pod topolami? Nie będzie trudno odnaleźć strzelca... Strzelba myśliwska... Kochanek pana żony zastrzelony z bliskiej odległości... Randka na wyspie aux Orties... Wszyscy widzieli, jak jechałem przez miasto moim tigerem triumphem... Skończyć życie w więzieniu, nawet pozbywszy się mnie, nie będzie najlepszym sposobem zatrzymania przy sobie Stéphanie...

Strzelba znowu się zbliża, lufa schodzi na wysokość ust. Sérénac waha się, czy spróbować coś zrobić. Byłoby prościej interweniować teraz, wyrwać tę broń, skończyć z tym. Jest silniejszy, zręczniejszy od Dupaina. To odpowiedni moment. Jednak inspektor czeka.

– Spryciarz z pana – odpowiada Dupain ze sztucznym uśmiechem. – W tym punkcie ma pan rację, Sérénac. W tym jednym punkcie. Tak, nie byłoby to bardzo rozsądne z mojej strony, gdybym pana zabił tutaj z zimną krwią. Zbrodnia nosiłaby podpis. Ale czas nagli, więc już przyspieszmy, niech pan napisze ten list pożegnalny.

Strzelba opada aż do szyi inspektora. Sérénac z niezwykłą powolnością podnosi prawą rękę wzdłuż ciała, po czym nagle ją opuszcza.

Jego dłoń zamyka się w pustce.

Jacques Dupain, niezwykle czujny, cofnął się o metr ze strzelbą, nadal zdecydowanie wycelowaną.

– Niech pan się nie bawi w kowboja, inspektorze... Traci pan czas. Ile razy mam to panu powtarzać? Niech pan mi tu zaraz napisze ładny pożegnalny list.

Sérénac wzrusza ramionami z pogardą.

– Niech pan na to nie liczy, Dupain. Ten wodewil już za długo trwa...

– Co pan powiedział?

– Że ten wodewil za długo trwa!

– Ten wodewil?

Dupain wpatruje się w Sérénaca wytrzeszczonymi oczami. Z jego wyrazu twarzy zniknął wszelki cynizm, wszelka pogarda.

– Ten wodewil? Tak pan powiedział? Wodewil... Więc nic pan nie zrozumiał, Sérénac? Nie chce pan spojrzeć prawdzie w oczy? Jest pewien... pewien szczegół, o którym nie ma pan pojęcia, Sérénac...

Zimna lufa broni myśliwskiej wciska się pod serce inspektora. Po raz pierwszy Laurenç Sérénac nie jest w stanie wyartykułować żadnej odpowiedzi.

– Nawet pan sobie nie wyobraża, Sérénac, do jakiego stopnia jestem przywiązany do Stéphanie. Do jakiego stopnia gotów jestem na wszystko dla niej. Może, panie Sérénac, może pan kocha Stéphanie; może nawet szczerze... ale chyba nie zdaje pan sobie sprawy, jak mało znaczy to pana żałosne uczucie dla niej wobec mojej...

Sérénac przełyka to z niesmakiem. Dupain ciągnie:

– Mojej... Niech pan to nazwie jak pan chce, Sérénac... Namiętności... Obsesji... Miłości absolutnej...

Palec zgina się na spuście.

– Ale napisze mi pan ten list o zerwaniu, inspektorze, i zniknie pan na zawsze!

Stéphanie Dupain nie może się powstrzymać, by nie rzucić okiem na zegar wiszący nad tablicą.

16.20.

Jeszcze dziesięć minut! Za dziesięć minut zostawia dzieci w Giverny i będzie mogła popędzić na spotkanie z Laurenćem. Wyspa aux Orties. Czuje podniecenie niczym nastolatka, której pryszczaty narzeczony czeka na nią po szkole na przystanku autobusowym.

Czuje też trochę swoją śmieszność. Tak, oczywiście. Ale od jak dawna nie odważyła się posłuchać tego bijącego mocno serca, podnieść oczu do błękitnego nieba, które nie przywodzi jej na myśl niczego innego, jak tylko bezchmurne szczęście, czy ulec tej narastającej w niej chęci pożegnania dzieci, natychmiast, ucałowania ich wszystkich po kolei w oba policzki i powiedzenia im, że wyjeżdża w podróż po świecie, a jak wróci, one wszystkie będą już dorosłe.

I żeby pośmiać się do rozpuku na widok wystraszonej miny ich rodziców.

Śmieszność, tak. Rozkoszna śmieszność. Zresztą nie jest dziś w nastroju do prowadzenia lekcji. Za każdym razem, kiedy któryś dzieciak mówi głupstwa, parska śmiechem jak głupia... Nawet im nie prawiała morałów, że ani jedno dziecko nie oddało obrazu na konkurs fundacji Robinsona. Nawet ci najzdolniejsi... Gdyby to było innego dnia, palnęłaby im długie kazanie o szansie, której nie wolno zaprzepaścić, o przejawach talentu, który należy rozwijać, o pragnieniach, z których nie wolno rezygnować, o zapale, którego nie wolno gasić, wygłosiłaby wszystkie te rady, które powtarza im w kółko przez cały rok, a które faktycznie kierowane były właściwie tylko do niej.

Posłuchała swoich rad!

I teraz za dziewięć minut ucieka stąd!

Dzieci mają rozwiązywać zadanie matematyczne. To dla nich jakaś odmiana po Aragonie i malarstwie. Niektórzy rodzice twierdzą, że ona za mało robi z ich progeniturą zadań z matematyki, nauk ścisłych...

...marzenia jako zbrodnie...

Nenufarowe spojrzenie Stéphanie wyfruwa przez szybę w klasie daleko nad topole Moneta.

– Nie oddałaś obrazu? – szepcze Paul, odwracając się do Fanette.

Fanette nic nie słyszy. Nauczycielka patrzy gdzie indziej.

Ide!

Przemyka się do ławki Paula.

– Co?

– Twój obraz na konkurs?

Vincent patrzy na nich dziwnie. A Mary – wydaje się, że ręka ją świerzbi, żeby podnieść palec i zawołać nauczycielkę, jak tylko odwróci głowę.

– Nie mogłam, mama mnie teraz odprowadza rano do szkoły. Znowu by się wściekła! Przyjdzie po mnie zaraz po lekcjach.

Fanette sprawdza kątem oka, czy nauczycielka nie patrzy w jej stronę. Drugim zerka na Mary. Właśnie Mary szykuje się, żeby wstać. W tym samym momencie, jakby ją uprzedzając, Camille pochyła się nad zeszytem Mary, żeby jej wytłumaczyć ćwiczenie.

Gruby Camille tym razem jest dla mnie miły, jakby wszystko zrozumiał. Mary naprawdę nie ma zdolności do matematyki. Naprawdę nie ma zdolności do niczego. Camille odwrotnie, lubi zgrywać mądralę, to jego sposób na podrywanie. Z Mary na dłuższą metę może to zadziałać...

Fanette przykucnęła przed ławką Paula.

– Paul – szepcze dziewczynka – będziesz mógł pójść po mój obraz? Wiesz, do naszej kryjówki. I przyniesiesz pani zaraz po szkole?

– Możesz na mnie liczyć... Jak pobiegnę tam i z powrotem, to mi zajmie mniej niż pięć minut.

Fanette znowu wykonuje slalom między ławkami, żeby wrócić na swoje miejsce i usiąść. Dyskretnie. Tylko że ten kretyn Pierre znowu położył tornister na podłodze. Fanette zawadza o torbę i wbija ją w nogę krzesła. Jakaś dziwna metalowa rzecz w tornistrze podzwania w klasie niczym prawdziwy dzwon.

Idiotka!

Stéphanie Dupain odwraca się do uczniów.

– Fanette – mówi nauczycielka. – Co robisz, dlaczego stoisz? Natychmiast wracaj na miejsce i siadaj!

Lufa strzelby wycelowanej przez Jacques'a Dupaina oparta jest ciągle na skórzanej kurtce inspektora Laurença Sérénaca. Dokładnie na sercu. Polana

przypomina starożytną świątynię, w której stojące rzędem topole pełnią funkcję filarów. Cichą i świętą. Za zasłoną z drzew wyczuwa się wrzenie na brzegach Sekwany, niczym dalekie echo.

Sérénac próbuje szybko myśleć. Metodycznie. Kim jest ten osobnik naprzeciw niego? Ten facet, który do niego mierzy. Czy Jacques Dupain jest mordercą Jérôme'a Morvala? Jeśli tak, to jest to zbrodniarz skrupulatny, zorganizowany, wyrachowany. Taki facet nie strzeli do gliniarza tak, ot, w pełnym świetle. Blefuje.

Teraz Jacques Dupain nie zdradza mu żadnej wskazówki. Przybiera ten sam wyraz, jakby mierzył do królika albo kuropatwy na zboczu Astragale: skupiony, brwi zmarszczone, ręce lekko drżące i wilgotne. Postawa miernego myśliwego, który trzyma na muszce zwierzynę trochę większą niż zwykle. Sérénac usiłuje odwrócić swoje rozumowanie. Może w gruncie rzeczy Jacques Dupain jest po prostu zwyczajnym zazdrosnym mężem, zdradzonym, upokorzonym? W takim wypadku jest tylko nieszczęśliwym facetem, który nie zabije człowieka z zimną krwią...

To oczywiste. Zbrodniarz czy nie, Dupain blefuje!

Sérénac usiłuje mówić pewnym siebie głosem:

– Pan blefuje, Dupain. Szalony czy nie, nie strzeli pan.

Jacques Dupain błędnie jeszcze bardziej, jakby bicie jego serca stawało się tak powolne, że nie może już zasilać arterii powyżej szyi. Jedna ręka zaciska się na stalowej lufie, druga na spuście.

– Niech pan zaprzestanie tej gry, Sérénac, niech pan nie zgrywa bohatera. Niech pan kończy swoje nędzne kalkulacje. Ciągłe pan nie zrozumiał? Chce pan mieć na sumieniu krwawą jatkę, tak? Krwawą jatkę zamiast ustąpić...

W głowie Sérénaca wszystko zaczyna się mieszać. Inspektor ma świadomość, że musi ocenić sytuację w kilka sekund. Zareagować instynktownie. Wolałby jednak mieć więcej czasu, zastanowić się, móc przedyskutować wszystkie szczegóły z Sylviem Bénavides'em... jego słynne trzy rubryki... poszukać związków Jérôme'a Morvala ze wszystkimi wiadomymi tego śledztwa, *Nenufary*, malarstwo, dzieciaki, rytuał, rok 1937... Przy każdym oddechu czuje lodowatą rurę broni przystawioną do swojego ciała.

Dzieli ich pół metra. Długość strzelby.

– Szaleniec z pana – szepcze Sérénac. – Niebezpieczny szaleniec. Oskarżę pana, ja albo kto inny.

Neptun otrzepuje się pod topolą, chyba obudzony głosami dwóch mężczyzn.

Podnosi rozmarzone oczy, obojętny na ich szaleństwa. Nastawia uszy, kiedy Jacques Dupain krzyczy:

– Sérénac, niech pan mnie słucha, do diabła! Nic pan nie może zrobić. Nie pozwolę Stéphanie odejść. Jeśli gliniarze się do mnie zbliżą, jeśli będzie pan usiłował cokolwiek zrobić, jeśli mnie pan przyprze do muru, przysięgam, zabiję ją, a potem siebie. Twierdzi pan, że kocha Stéphanie, no to niech pan to udowodni. Niech pan ustąpi... Ona będzie żyła szczęśliwie, pan też, wszystko będzie dobrze.

– Pana szantaż jest żaloszny, Dupain.

Tamten wyje jeszcze głośniej:

– To nie jest szantaż, Sérénac. Niczego nie targuję! Mówię panu tylko, co się będzie działo, jeśli się pan nie wyniesie. Jestem zdolny wszystko wysadzić w powietrze ze mną włącznie, skoro nic już nie mam do stracenia. Zrozumiał pan? Może pan tu zwołać wszystkich gliniarzy świata, i tak nie będzie pan mógł powstrzymać rozlewu krwi.

Lufa wciska się jeszcze mocniej pod serce. Sérénac ma świadomość, że już za późno na najdrobniejszy gest. Dupain jest czujny, jego palec na spuście byłby szybszy. Inspektorowi nie pozostaje nic innego jak słowa, żeby przekonać agresora:

– Jeśli pan do mnie strzeli, straci pan Stéphanie. Tak czy inaczej...

Jacques Dupain długo wpatruje się w inspektora. Cofa się powoli, nie przestaje w niego celować.

– No, już. Dosyć czasu zmarnowaliśmy. Ostatni raz panu mówię, inspektorze, niech pan nagryzmoli trzy słowa na kartce, a potem zniknie. To nie takie trudne. Niech pan o wszystkim zapomni. I nigdy tu nie wraca. Jedyne pan może jeszcze powstrzymać rzeź.

Wargi Jacques'a Dupaina nagle się wykrzywiają i wydają przeciągły gwizd. Neptun przybiega radośnie do jego nóg.

– Niech się pan zastanowi, Sérénac. Szybko.

Sérénac nie mówi ani słowa. Jego ręka kładzie się odruchowo na jedwabistej sierści psa, który się o niego ociera.

– Zdaje się, że zna pan Neptuna, inspektorze? W Giverny wszyscy znają Neptuna. Tego wesołego psa, który biega za dziećmi. Kto nie uwielbia Neptuna? Kto by nie lubił tego niewinnego psa? Ja też go uwielbiam, ja pierwszy, ze sto razy towarzyszył mi na polowaniu...

Lufa strzelby opada błyskawicznie na wysokość kolan inspektora Sérénaca, dwadzieścia centymetrów od pyska Neptuna. Ostatni raz pies patrzy na obu dorosłych mężczyzn ze ślepym zaufaniem. Jak niemowlę uśmiechające się do rodziców.

Ciszę pod topolami rozdziera huk wystrzału.

Z bliska.

Pysk Neptuna pęka, roztrzaskany na kawałki.

Pies pada jak rażony gromem. Dłoń Sérénaca zaciska się na kłębku kleistej, lepkiej od krwi sierści. Jego mankiet i dolną część spodni oblepiają strzępy skóry, wnętrzności, resztki oka i ucha.

Sérénac czuje, jak narasta w nim paniczny strach, niweczący wszelką próbę trzeźwej refleksji. Lufa strzelby trzymanej przez Dupaina w ułamku sekundy podsunęła się w górę i znowu przywiera do torsu inspektora.

Wciska się w serce, które nigdy nie biło tak szybko.

– Niech się pan zastanowi, Sérénac. Szybko.

– 72 –

W tym majowym słońcu szkoła jest po prostu więzieniem.

16.29.

Dzieci z krzykiem wychodzą z klasy. Tak jak w grze w zbijaka niektóre dają się złapać w locie rodzicom zgromadzonym na placu przed merostwem, podczas gdy większość przemyka się między wyciągniętymi rękami a lipami i pędzi ulicą Blanche-Hoschedé-Monet.

Stéphanie przekracza próg klasy zaledwie kilka sekund po wyjściu ostatniego dziecka. Żeby tylko żaden dzieciak nie miał do niej jakiegoś pytania... Żeby tylko nie zatrzymał jej, właśnie dzisiaj, żaden rodzic.

Jeszcze kilka minut i zapomni o wszystkim w ramionach Laurença. Na pewno już dotarł na wyspę aux Orties. Dzieli ich już tylko kilkaset metrów. W korytarzu waha się chwilę, czy wziąć kurtkę wiszącą na ramiączku. W końcu wychodzi bez niej. Rano włożyła cienką bawełnianą sukienkę, którą miała na sobie dziesięć dni temu, kiedy po raz pierwszy spotkała Laurença.

Na placu przed merostwem filuterne słońce pożera z lubością jej gołe ramiona i uda.

Jakby świeciło właśnie dla mnie...

Stéphanie łapie się na tym, że upaja się tymi dziewczynskimi refleksjami, tym tandetnym romantyzmem.

Okno merostwa odbija jej sylwetkę. Dziwi się, że tak się sobie podoba, że jest ładna i sexy w tej zwyczajnej sukience, którą Laurenç zaraz pośle w pokrzywy na wyspie. Opiera się chęci, by puścić się biegiem ulicą Blanche-Hoschedé-Monet tak jak dzieci. Zamiast tego robi trzy kroki w kierunku szyby, żeby zobaczyć swoją

twarz, żeby potargać włosy, żeby nie były zbyt grzecznie ułożone, żeby powyciągać trochę srebrne wstążki, aby poigrały ze słońcem. Mówi sobie nawet, że mogłaby stracić kilka dodatkowych sekund, wrócić do klasy albo do domu, zrzucić sukienkę, zdjęć to, co pod nią nosi, i wciągnąć ją z powrotem na gołe ciało. Przejść tak przez Giverny. Nigdy nawet nie pomyślała o czymś takim... Dlaczego nie? Namyśla się.

Zwycięża pragnienie, by jak najszybciej zobaczyć Laurença. Mruga swoimi wielkimi fiołkowymi oczami w niewyraźnym odbiciu okna. Rano pomalowała odrobinę powieki. Leciutko, tyle, ile trzeba. Tak, jeśli poprosi o to Laurença, patrząc na niego oczami, które tak błyszczą, które jednocześnie proszą, śmieją się i rozbierają... Tak, zostanie uratowana.

Laurencz ją stąd zabierze.

Nie, już nigdy jej życie nie będzie takie samo.

Stéphanie przyspiesza, prawie klusem zbiega ulicą Blanche-Hoschedé-Monet. Kiedy dociera do chemin du Roy, postanawia, że nie będzie okrążała młyna des Chennevières, idąc ścieżką, woli pójść prosto, na skróty, przez pole kukurydzy, tak jak robią to dzieci.

Dla dzieci pole kukurydzy z jego alejkami wśród kolb jest jak olbrzymi labirynt. Nic się nie przejmuje, nie boi się zagubić w tym labiryncie. Pójdzie najkrótszą drogą. Idzie prosto. Teraz cały czas prosto przed siebie.

– 73 –

Paul stąpa ostrożnie po moście na odnodze Epte. Nie wie dlaczego, ale nie jest pewny siebie. Może z powodu tych tajemnic Fanette, sposobu, w jaki mówiła, że tylko on zna kryjówkę mitycznego obrazu *Nenufarów*, który namalowała. Fanette lubi takie sekrety, obietnice, dziwne rzeczy. Jest trochę niepewny może też z powodu tej historii zamordowanego amerykańskiego malarza, tego Jamesa.

Czy Fanette naprawdę widziała jego trupa w polu? Czy wszystko wymyśliła? No, a poza tym wszędzie są gliniarze, gliniarze, którzy przesłuchują wszystkich w mieście z powodu zabójstwa tamtego drugiego faceta.

Boi się tego wszystkiego. Przy Fanette nic nie mówi, przy niej udaje trochę zucha, zgrywa nieustraszonego rycerza, ale tak naprawdę wszystko to napawa go strachem, tak jak ten młyn obok z kołem w wodzie i wysoką wieżą, niczym wieża

zamku nawiedzanego przez duchy.

Z tyłu, za nim słycać jakiś hałas.

Paul odwraca się gwałtownie. Nic nie widzi.

Musi uważać. Fanette powierzyła mu misję. Tylko jemu. Tylko do niego ma zaufanie. No, dobrze, misja jest bardzo prosta, wydobyć spod pralni ten obraz, zanieść go nauczycielce, powiedzieć, że to na konkurs fundacji Robinsona. Nic nadzwyczajnego, chociaż trzeba pójść kawalek, ale do pralni ze szkoły jest pięć minut. Tam i z powrotem dziesięć minut.

Paul znowu rozgląda się po okolicy, sprawdza, czy nie ma nikogo na moście, na podwórzu młyna, z tyłu na polu ze zbożem, potem pochyła się nad stopniami pralni, wkłada rękę w szczelinę.

Nagle ogarnia go strach.

Maca ręką w ciemności. Wpada w popłoch, niczego nie znajduje. Nic tylko pustka. W głowie kłębią mu się myśli. Ktoś tu był. Ktoś ukradł obraz. Ktoś chciał się zemścić, zrobić krzywdę Fanette... Albo ktoś poznał się na prawdziwej wartości pierwszego obrazu Fanette, bo na pewno kiedyś obrazy Fanette będą drogie, bardzo drogie, tak drogie jak obrazy Moneta...

Tak, to z pewnością to. Jego ręka trafia na pajęczyny, zamyka się w powietrzu. To niemożliwe! Gdzie się mógł podziać ten obraz? Wczoraj przecież widział, jak Fanette go tu wkładała...

Coś się rusza z tyłu!

Teraz to już pewne, ktoś idzie drogą. Paul usiłuje sobie wyperswadować, że to na pewno jakiś przechodzień, mnóstwo ludzi chodzi bez przerwy przez most, to bez znaczenia. Paul nie może się od razu odwrócić. Najważniejsze jest to, żeby znalazł ten obraz. Paul cały się wygina i kładzie na brzuchu. Sięga jeszcze głębiej drugą ręką do wąskiej dziury pod pralnią. Maca rękami, przeszukuje.

Doskwiera mu straszny upał. Nie podda się tak łatwo, tak głupio. Nie pójdzie do Fanette, żeby powiedzieć jej tak ot, jak kretyn, że obrazu nie było. Paul uświadamia sobie, że teraz już nie słyszy kroków na drodze.

Tak jakby ten ktoś się zatrzymał.

Jest za gorąco. Paulowi jest za gorąco.

Nagle jego ręce podrygują, jakby naelektryzowane, jakby dotknął przewodów elektrycznych bez izolacji. W głębi, w czarnej czeluści jego palce zacisnęły się na grubym papierze. Paul ciągnie. Ręce szukają dalej po omacku, posuwają się po płaskiej prostokątnej paczce...

Nie ma wątpliwości. To jest obraz!

Paul czuje, jak serce mu wali z radości. Jest obraz, był tylko wciśnięty trochę głębiej. Co za idiota z niego. Sam siebie nastraszył. Kto mógłby skraść to płótno?

Chłopak klęka, ciągnie pakunek. Wreszcie wydobywa go na światło dzienne.

To na pewno obraz, Paul go poznaje. Ten sam format, około czterdziestu centymetrów na sześćdziesiąt, ten sam brązowy kolor papieru, w który jest opakowany. Odwinie go, żeby sprawdzić, żeby zobaczyć go jeszcze raz, żeby kaskada kolorów buchnęła mu w twarz...

– Co robisz?

Głos mrozi mu krew.

Ktoś za nim stoi! Ktoś do niego mówi. Głos, który Paul dobrze zna, nawet za dobrze.

Głos tak zimny, że można by powiedzieć, iż zetknął się ze śmiercią.

– 74 –

Cień rzucany przez blachy ujęcia wody dostarcza mi trochę ochłody. Jest to coś w rodzaju dużego zbiornika. Przeklinam samą siebie, przeklinam moje biedne nogi. Przejście przez łąkę od młyna do Epte staje się dla mnie równie trudne jak przejście przez koło podbiegunowe. Prawdziwa ekspedycja. Zaledwie kilometr drogi. Żałosne! I pomyśleć, że Neptun już tam na mnie czeka od półgodziny, na wyspie aux Orties, w cieniu topoli...

No, muszę się wziąć w garść.

Odpocznę jeszcze kilka chwil i idę dalej.

Tylko mi tu nie prawcie morałów, dobrze wiem, że jestem starą uparciuchą. Ale muszę się udać na wyspę aux Orties, ostatni raz. Na ostatnią pielgrzymkę. Tam właśnie, nigdzie indziej, wybiorę broń.

Oczywiście, dokładnie w momencie, kiedy mam ruszyć w dalszą drogę, zza blach ujęcia wody wyłania się Richard. Powinnam była rozpoznać jego 4L zaparkowane za barierą. Richard Paternoster, ostatni rolnik w Giverny, ten, do którego należy trzy czwarte łąki, chłop, który ma wygląd i nazwisko księdza, który w ciągu trzydziestu lat nigdy nie zapomniał mnie pozdrowić gestem ręki, nawet jak mnie zatruwał z wysokości swojego traktora, posyłając nam, Neptunowi i mnie, do płuc wszelkiego rodzaju środki owadobójcze, gdy prowadził te swoje narzędzia tortur i straszył, że śmierć na mnie czyha, za każdym razem, kiedy przechodziłam przez łąkę.

Niechybnie się mnie uczepli, żeby mi opowiadać o swoim nieszczęsnym życiu i dzielić ze mną nędzę tego świata. Jakbym się chciała uzalać nad nim i jego pięćdziesięcioma hektarami, zaliczonymi do zabytków historycznych!

Nie da się go uniknąć. Zaprasza mnie gestem, żebym wróciła na podwórze, skorzystała z blaszanego cienia.

Nie mam wyjścia, idę do niego. Zdążyłam jeszcze dostrzec w oddali zbliżającą się chmurę dymu na drodze, niczym pióropusz starych pociągów na równinach Far West. Motocykl jedzie, nie zwalniając przy fermie. Jednak nie tak szybko, żebym nie mogła go rozpoznać.

Tiger triumph T100.

– 75 –

Stéphanie, zdyszana, dociera do wyspy aux Orties. Biegła przez pole kukurydzy, prosto przed siebie, jak niecierpliwa nastolatka. Jakby liczyła się każda sekunda, która ją dzieli od miłosego spotkania.

Wie, że Laurenç na nią czeka.

Rozchyła ostatnie trawy sięgające jej do pasa i wkracza na polanę.

Pod topolami wyspy aux Orties panuje cisza jak w katedrze.

Laurença nie ma.

Nie ukrył się, nie bawi się z nią w chowanego. Po prostu go tu nie ma. Jego triumph byłby tu gdzieś zaparkowany.

Kiedy przemierzała pole, nie chciała słuchać, nie chciała patrzeć, ale wyraźnie słyszała odgłos tego motocykla, który nauczyła się rozpoznawać, odgłos triumphu Laurença. W oddali widziała wzbijający się tuman kurzu. Chciała wierzyć, że się myli. Chciała wierzyć, że Laurenç jedzie tutaj, chociaż wydawało się, że odgłos się oddala, że to wiatr, tylko wiatr stwarza takie złudzenie. Nie sposób było uwierzyć, że triumph stąd odjeżdża, że Laurenç ucieka.

Dlaczego miałby uciekać, jeszcze zanim ona tu przyszła?

*

Nie ma Laurença.

Jej wzrok nie może nie paść na kartkę przypiętą na wprost niej do pnia pierwszej topoli. To zwyczajna kartka białego papieru, na której nagryzmołono kilka słów.

Podchodzi. Z góry wie, że nie spodoba jej się to, co przeczyta, że te słowa będą jak zawiadomienie o żałobie.

Idzie naprzód jak zahipnotyzowana.
Pismo jest nierówne, nerwowe.
Cztery linijki.

*Nie ma szczęśliwej miłości...
Poza tymi, które przechowuje nasza pamięć.
Na zawsze, na zawsze –*

Laurenc

Stéphanie czuje, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Jej ręce czepiają się rozpaczliwie kory topoli, która się kruszy pod palcami. Upada. Pionowe pnie tańczą wokół niej niczym giganci w diabelskim kręgu.

Nie ma szczęśliwej miłości...

Zdaje sobie sprawę, że tylko Laurenc mógł napisać te słowa. Wspomnienie. Ładne wspomnienie, a więc tylko tego szukał inspektor.

Jej jasna bawełniana sukienka oblepiona jest mieszaniną wilgotnej ziemi i żwiru. Jej ręce i nogi są brudne. Stéphanie płacze, nie chce spojrzeć prawdzie w oczy.

Co za idiotka!

Wspomnienie.

Na zawsze, na zawsze.

Będzie musiała zadowolić się wspomnieniem. Przez całe życie. Wrócić do Giverny, do szkoły, do domu. Podjąć codzienne sprawy, jak przedtem. Własnoręcznie zamknąć za sobą klatkę.

Co za idiotka!

Co sobie myślała?

Drży teraz cała, drży z zimna w cieniu drzew. Jej sukienka jest mokra. Dlaczego mokra? Myśli jej się mącą. Nie rozumie, wydawało jej się, że trawa na łące jest spieczona od słońca. Nieważne. Czuje się taka brudna. Przysuwa rękę do oczu, próbuje niezdarnie otrzeć płynące łzy.

Mój Boże!

Znieruchomiałe źrenice Stéphanie nie mogą się oderwać od obu jej dłoni: dłonie są czerwone. Czerwone od krwi!

Stéphanie czuje, że mdleje, nic już nie rozumie. Podnosi ręce: też są pokryte krwią. Patrzy niżej. Sukienka jest pobrudzona, ma purpurowe plamy, które wsiąkły w jasną bawełnę.

Skąpana w kałuży krwi!

Czerwona krew. Żywa. Świeża.

Nagle z tyłu, za nią, liście na drzewach się poruszają.
Ktoś idzie.

– 76 –

– Co tu chowasz? Co chowasz w tej paczce?

Paul się odwraca i wzdycha głęboko z ulgą. To Vincent! Mógł się spodziewać, ten chłopak ciągle ich szpieguje. No, ale dobra, to tylko Vincent. Chociaż kumpel ma jakiś dziwny głos i osobliwe spojrzenie.

– Nic...

– Co, nic?

Fanette ma rację. Vincent to gnida!

– No, dobrze, w końcu... skoro chcesz wiedzieć. Patrz!

Paul pochyla się nad opakowanym obrazem i odwija brązowy papier. Vincent podszedł bliżej.

Przygotuj się na szok, ty, ciekawski!

Paul zdejmuje opakowanie. W blasku słońca wybuchają kolory namalowanych przez Fanette *Nenufarów*. Kwiaty na płótnie wibrują wraz z ruchem wody, pływają jak wyspy tropikalne bez lin cumowniczych.

Vincent nic nie mówi. Wygląda, jakby nie mógł oderwać oczu od obrazu.

– No, chodź, rusz się – mówi Paul energicznym głosem. – Pomóż mi z powrotem zapakować. Muszę go zanieść naszej pani. Na konkurs „*Malarze na trawie*”, wiesz.

Wpatruje się w Vincenta oczami pełnymi dumy.

– No więc, to co o tym myślisz? Nasza Fanette to geniusz, co! Najzdolniejsza ze wszystkich... Będzie mogła przebierać. Tokio, Nowy Jork, Madryt, wszystkie szkoły malarstwa na świecie będą się o nią bić...

Vincent wstaje. Zatacza się, jakby był pijany.

Paul pyta zaniepokojony:

– Co ci jest, Vincent?

– Ty... nie zrobisz tego? – bełkocze chłopak.

– Czego?

Paul zaczyna owijać z powrotem obraz w brązowy papier.

– Nie... nie dasz tego obrazu nauczycielce. Żeby go wysłali na koniec świata... Żeby nam zabrali Fanette...

– Co ty opowiadasz? Chodź, pomóż mi!

Vincent robi krok naprzód. Jego cień pada na wciąż przykucniętego Paula. Głos Vincenta staje się nagle władczy, Paul nigdy nie słyszał, żeby jego kolega tak przemawiał.

– Wrzuć obraz do rzeki!

Paul podnosi głowę i przez chwilę zastanawia się, czy Vincent mówi to poważnie, czy nie, po czym wybucha śmiechem.

– Nie opowiadaj głupstw. Lepiej mi pomóż.

Vincent nie odpowiada. Stoi przez moment nieruchomo i nagle robi krok naprzód po asfalcie, podnosi prawą nogę i spycha płótno ze stopni.

Obraz spada. Do rzeczki jest kilka centymetrów.

Ręka Paula zatrzymuje pakunek. In extremis. Trzyma go mocno tą jedną ręką i wstaje, wściekły.

– Zwariowałeś! Mogłeś go wwalić do wody...

Paul wie, że Vincent nie będzie mógł mu się przeciwstawić. Paul jest silniejszy. Jak się będzie stawiał, to popamięta.

– Odsuń się. Odejdź. Zaniose ten obraz nauczycielce. Potem się policzymy.

Vincent cofa się dwa metry pod wierzbę płaczącą, której gałęzie moczą się w wodzie. Szuka czegoś w kieszeni spodni.

– Nie pozwolę ci, Paul. Nie pozwolę ci, żebyś nam zabrał Fanette.

– Zwariowałeś! Odsuń się!

Paul idzie naprzód. Vincent jednym susem rzuca się, zastępuje mu drogę.

W ręce trzyma nóż.

– Co to...

Paul jest zaskoczony, sparaliżowany.

– Dasz mi ten obraz, Paul. Trochę go tylko pokłuję. Tylko tyle, ile trzeba...

Paul nie słucha już bredni Vincenta. Wpatruje się w nóż, którym tamten wymachuje. Płaski, szeroki nóż. Takiego samego używa Fanette, kiedy maluje. Takiego samego używają malarze do czyszczenia palety, to szpachla malarska.

Gdzie Vincent mógł znaleźć to narzędzie?

Któremu malarzowi mógł je ukraść?

– Daj mi ten obraz, Paul – nalega Vincent. – Nie żartuję.

Paul instynktownie szuka pomocy, może ktoś przechodzi, jakiś sąsiad, wszystko jedno kto. Jego oczy wędrują do okna wieży młyna des Chennevières. Nikogo. Ani kota. Ani psa. Ani nawet Neptuna.

Wokół niego rzeka zdaje się kołysać.

W głowie wiruje mu jedno imię, nierealne, surrealistyczne.

James.

Paul wpatruje się znowu w nóż, który trzyma Vincent. Nóż jest brudny. Malarz by umył swój nóż.

Ale nie Vincent.

Ostrze noża jest czerwone.

Czerwone od krwi.

– 77 –

Gołe nogi Stéphanie ślizgają się po zakrwawionej ziemi, szukając jakiegoś oparcia w purpurowym błocie.

Ktoś idzie.

Jej ręce usiłują uchwycić się pnia najbliższej topoli, obejmują go niczym ciało mężczyzny, u którego stóp by leżała. Z trudem się podnosi. Ma wrażenie, że pokryta jest ekskrementami, ludzkimi szczątkami, że została wrzucona do zbiorowego grobu i że pełza wśród trupów, żeby się wydostać.

Ktoś idzie.

Ktoś podąża brzegiem Epte. Słyszy wyraźnie odgłos zbliżających się kroków, które łamią paprocie rosnące wzdłuż dopływu Sekwany. W słabym świetle, zza zasłony z topoli wyłania się sylwetka.

Laurenc?

Przez krótką chwilę Stéphanie myśli o kochanku. Nie ma już zakrwawionego błota. Ani paskudnych nieczystości. Rozedrze tę pobrudzoną sukienkę i padnie w ramiona Laurenc'a.

Wrócił. Zabierze ją stąd.

Jej serce nigdy nie biło tak szybko.

– Tak... tak go znalazłem.

Jacques. To jest głos Jacques'a.

Lodowaty.

*

Ręce Stéphanie wbijają się w drzewo. Paznokcie jeden po drugim łamią się na pniu, i każdy sprawia ból, jakby po to, by roztrzaskać na kawałki nieznośne

cierpienie.

Cień zbliża się w słońcu.

Jacques.

Jej mąż.

Stéphanie nie ma nawet siły, by pomyśleć, zastanowić się, co on tu robi, tu, na wyspie aux Orties, by spróbować uporządkować wydarzenia, które następują jedno po drugim. Poprzestaje na tym, że je znosi, porusza się jak lunatyczka i wpada na ten ciąg przeszkód, które ją osaczają.

Oczy Stéphanie nie mogą się oderwać od tego ciemnego kształtu, który Jacques niesie na rękach. Pies, nieżywy pies, któremu została tylko połowa pyska i którego krew wciąż spływa po udach Jacques'a.

Neptun.

– Tak go znalazłem – szepcze Jacques Dupain słabym głosem. – To na pewno wypadek na polowaniu na równinie. Ktoś go zabił. Chybiony strzał. Albo jakiś drań. On... on nie cierpiał, Stéphanie. Od razu padł...

Stéphanie zsuwa się powoli po pniu. Kora szarpie jej ręce, nogi. Nie czuje już bólu. Żadnego bólu.

Jacques uśmiecha się do niej. Jacques jest silny. Jacques jest spokojny.

Kładzie delikatnie zwłoki Neptuna na trawie.

– Będzie dobrze, Stéphanie.

Stéphanie czuje, że gaśnie w niej wszelki opór. Na szczęście Jacques tu jest. Co by zrobiła bez niego? Czym by była bez niego? Zawsze był. Nie skarżył się, nie osądzał jej, niczego od niej nie żądał. Był tutaj. Jak ta topola, której się trzyma. Jacques jest drzewem, które posadzono obok niej, które nie narzeka, kiedy ona się oddala, które wie, że ona zawsze wróci chronić się w jego cieniu.

Jacques podaje jej rękę. Stéphanie ją chwyta.

Ma do niego zaufanie. Tylko do niego. Jest jedynym mężczyzną, który nigdy jej nie zdradził. Zalewa się łzami na jego ramieniu.

– Chodź, Stéphanie. Chodź. Zaparkowałem trochę dalej. Załadujemy Neptuna do bagażnika. Chodź, Stéphanie, wracamy do domu.

Inspektor Laurenç Sérénac opiera bez zabezpieczenia swojego triumpha o białą ścianę komisariatu. W kilka minut zaledwie przejechał te pięć kilometrów, które dzielą Giverny od Vernon. Wpada jak bomba. Maury siedzi w recepcji, konferuje

z trzema dziewczynami, z których jedna, rozhisteryzowana, gardłuje, że z tarasu na placu przed dworcem zniknęła jej torebka. Obie jej kumpelki kiwają głową.

– Widziałeś Sylvia?

Maury podnosi głowę.

– Na dole. W archiwum.

Sérénac nie zwalnia. Zlatuje po schodach i pcha czerwone drzwi. Sylvio Bénavides, pochylony nad papierem, gryzmoli notatki. Rozłożył na stole zawartość pudła z archiwum: fotografie kochanek Jérôme’a Morvala i miejsc zbrodni, lista dzieci ze szkoły w Giverny, autopsja, ekspertyzy grafologiczne, fotokopie *Nenufarów*, odręczne notatki...

– Szefie! Dobrze pan trafił. Chyba się posuwamy...

Sérénac nie daje swojemu zastępcy powiedzieć więcej:

– Zostaw, Sylvio. Wycofujemy się...

Bénavides patrzy na niego zdziwiony i mówi dalej:

– No więc, mówiłem panu, mam nowe odkrycia. Przede wszystkim odnalazłem wreszcie piątą kochankę, tę sławetną dziewczynę w niebieskim fartuchu, dzięki liście płac rodziny Morval. Wykonałem dziesiątki telefonów. Nazywa się Jeanne Thibaut. Rzeczywiście sypiała z Morwalem, żeby nie stracić pracy, jak twierdzi. Zła kalkulacja, Patricia wyrzuciła ją po dwóch miesiącach. Wtedy ona przeprowadziła się w okolice Paryża. Żyje z listonoszem. Ma dwoje dzieci, trzy i pięć lat. A zatem, widzi pan, szefie, od tej strony nie ma nic podejrzanego, znowu mamy impas!

Sérénac obrzuca swojego zastępcę posępnym spojrzeniem:

– Impas. No to się zgadzamy, to jest...

– Tylko że – przerywa Bénavides coraz bardziej rozentuzjasmowany – byłem również w archiwum departamentalnym, spędziłem tam mnóstwo czasu... i udało mi się wygrzebać egzemplarze „Le Republicain de Vernon” z 1937 roku. Piszą w nich o śmierci tego dzieciaka Alberta Rosalby. Jest nawet coś w rodzaju wywiadu z matką utopionego dziecka, Louise Rosalbą. Ona nie uwierzyła, że to był wypadek. Ona...

Sérénac podnosi głos:

– Nie zrozumiałeś mnie, Sylvio. Zostawiamy to! Nasze śledztwo nie ma sensu, całe to szaleństwo wokół *Nenufarów*, zapomnianych, ukrytych na strychach w Giverny, ten przedwojenny wypadek dzieciaka! Ci mężowie rogacze... Popadamy w śmieszność!

Bénavides odrywa wreszcie pióro od kartki z notesu.

– Przepraszam bardzo, ale to ja już nic tu nie rozumiem, szefie. Co to znaczy

dokładnie „zostawiamy to”?

Sérénac odgarnia grzbietem dłoni rozłożone na stole papiery i siada na ich miejscu.

– Powiem ci inaczej, Sylvio... Miałeś rację. Na całej linii. Mieszanie śledztwa w sprawie kryminalnej i osobistych uczuć w tej historii było najgorszym szaleństwem... Trochę późno to zrozumiałem, ale zrozumiałem...

– Mówi pan o Stéphanie Dupain?

– No, może...

Sylvio Bénavides posyła mu porozumiewawczy uśmiech i zbiera cierpliwie porzrzućane papiery.

– Jacques Dupain nie jest więc już wrogiem publicznym numer jeden?

– Trzeba wierzyć, że nie...

– Ale... te...

Sérénac podnosi głos i wali pięścią:

– Posłuchaj, Sylvio. Zadzwoń do sędziego śledczego i powiem mu, że ciągle drepczę w miejscu, że jestem najbardziej niekompetentny ze wszystkich i że jeśli woli, może powierzyć to śledztwo komu innemu...

– Ale...

Sylvio Bénavides omiata spojrzeniem dowody rzeczowe leżące na stole, zagląda do notatek.

– Ro... rozumiem pana, szefie. To nawet z pewnością słuszną decyzją, ale...

Jego wzrok pada na Laurença.

– O, Boże, co się panu stało?

– Co?

– Pana rękawy, kurtka? Przenosił pan trupa czy co?

Laurenç wzdycha.

– Opowiem ci... Później. Co miało znaczyć to twoje „ale”?

Sylvio waha się, czy nalegać. W końcu odwraca oczy od poplamionego krwią ubrania.

– Ale... ale im bardziej próbuję złożyć w całość wszystkie części tych puzzli, tym bardziej wracam do tej historii z dzieciakiem, któremu grozi niebezpieczeństwo, jedenastoletnim dzieciakiem... Jeśli teraz to zostawimy, to ryzykujemy, że...

Sylvio Bénavides nie zdążył skończyć zdania. W sali archiwum zjawia się policjant Maury, który przygnał tu, skacząc po cztery stopnie.

– Sylvio! Dzwonili z porodówki. Twoja żona! Zaczęło się, chłopie... Z tego, co zrozumiałem, odeszły jej wody, ale położna nie podała mi więcej szczegółów, tylko że tatuś powinien się zjawić piorunem...

Bénavides zrywa się z krzesła i łapie kurtkę, Laurenç Sérénac poklepuje go przyjaźnie po plecach.

– Pędź, Sylvio... Zapomnij o wszystkim...

– Dobrze... No...

– Pędź, idioto!

– Dziękuję, Laur... Oj, szefie... Oj... Laurenç, ja...

Waha się krótką chwilę, wsuwając niezdarnie ręce w rękawy kurtki. Sérénac go pogania:

– Co? Na co jeszcze czekasz? Idź!

– Oj, szefie, zanim wyjdę... Skoro tak, mogę panu mówić ty?

– Najwyższy czas, kretynie.

Obaj się uśmiechają. Inspektor Bénavides kieruje ostatnie spojrzenie na papiery na stole, zwłaszcza na fotografię Stéphanie Dupain leżącą wśród innych zdjęć, i rzuca, wychodząc:

– Zważywszy na wszystko, chyba dobrze zrobiłeś, zostawiając to śledztwo!

Laurenç Sérénac słucha, jak jego zastępca biegnie po schodach. Ciężkie kroki się oddalają, drzwi trzaskają, potem już nic. Sérénac powoli zbiera wszystkie papiery do czerwonego pudła archiwum. Fotografie, raporty, notatki. Przebiega wzrokiem po literach alfabetu na regale i ustawia czerwony karton.

M... jak Morval.

Odsuwa się od regału. Sprawa Morvala to już tylko dossier pośród setek innych niewyjaśnionych spraw. Mimo woli nie może jednak nie przypomnieć sobie ostatniej uwagi Sylvia.

Dziecko w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Dziecko, które umiera. Drugie się rodzi...

Sylvio zapomni...

*

Laurenç Sérénac dostrzega, prawie rozbawiony, w kącie sali kilka par kaloszy, których ich właściciele z Giverny nigdy nie odebrali, pewnie dlatego, że są za stare albo zniszczone. Wyżej, na stole eksponowany jest wciąż gipsowy odcisk podeszwy. To śledztwo stanowczo nie miało żadnego sensu – zmusza się do ironizowania. Kolejne jego myśli lecą ku Stéphanie, ku zwłokom Neptuna.

Tak, podjął słuszną decyzję. Było już dosyć trupów...

Co do reszty, fiołkowe spojrzenie, jak nenufary, Stéphanie, jej porcelanowa skóra, kredowe usta i srebrne wstążki we włosach...

Zapomni.

Przynajmniej ma nadzieję, że zapomni.

– 79 –

– Daj mi ten obraz – powtarza Vincent.

Szpachla malarska, którą chłopiec trzyma w ręce, dodaje mu tyle pewności, że wygląda, jakby miał kilka lat więcej, wiek i doświadczenie nastolatka zaprawionego w ulicznej walce. Paul jeszcze mocniej przyciska obraz Fanette do siebie.

Wściekły.

– Skąd masz taki nóż?

– Znalazłem! Nieważne. Daj obraz... Dobrze wiesz, że to ja mam rację. Jeżeli naprawdę zależy ci na Fanette...

Żrenice Vincenta się rozszerzają. W kąciku oka tworzą się czerwone punkciki. Oczy wariata. Paul nigdy go takiego nie widział.

– Nie odpowiedziałeś. Gdzie znalazłeś ten nóż?

– Nie zmieniaj tematu!

– Dlaczego na tym nożu jest krew?

Teraz ręka Vincenta zaczyna się trząść. Czerwone punkciki w tęczęwkach powiększają się, łączą się w kółko wokół źrenicy.

– Zajmij się swoimi sprawami!

Paul ma wrażenie, że widzi, jak kolega przechodzi metamorfozę na jego oczach, przekształca się w coś w rodzaju zwariowanego histeryka zdolnego do wszystkiego. Kładzie rękę na brzegu pralni.

– To... to... to przecież nie ty...

– Szybciej, Paul. Puść ten obraz! Jesteśmy w tym samym obozie! Jeśli ci zależy na Fanette, jesteśmy w tym samym obozie.

Szpachla malarska śmiga w powietrzu bezładnymi ruchami. Paul się cofa.

– Cholera... Ty... ty... To ty załatwiłeś amerykańskiego malarza... Jamesa... Nóż w serce, jak mi opowiadała Fanette. To... to ty?

– Zamknij się! Co cię obchodzi amerykański malarz? Liczy się Fanette, no nie? Wybierz swój obóz, no już! Zostaw obraz albo wrzuć go do wody... Ostatni raz ci mówię!

Ręka Vincenta sztywnieje, jakby trzymał miecz i właśnie miał przypuścić szturm.

– Ostatni raz...

Paul lekko się uśmiecha i schyla się, by odstawić pakunek na asfalt na brzegu pralni.

– Okay, Vincent. Spokojnie...

Potem Paul podrywa się nagle. Zaskoczony Vincent nie zdążył zrobić najmniejszego ruchu. Ręka Paula zaciska się na jego nadgarstku. Mocno, bardzo mocno, i wykręca mu przedramię. Vincent zmuszony jest uklęknąć, rzuca przekleństwa, ale ręka Paula wzmacnia uścisk. Vincent nie ma wyjścia. Jego zaczerwienione oczy wilgotnieją od łez. Ból. Upokorzenie. Dłoń się otwiera. Kiedy wypada z niej szpachla malarska, Paul jednym kopnięciem posyła ją na trawę, pod wierzbę, trzy metry od nich; jego ręka nie puszcza wykręconego przedramienia Vincenta, obraca je na plecy i podnosi w górę nadgarstek. Chłopak wyje:

– Moje ramię, kurcze, wyrwiesz mi ramię...

Paul jeszcze wyżej podnosi rękę Vincenta. Paul jest silniejszy. Zawsze był silniejszy.

– Jesteś chory, chłopie. Jesteś stuknięty. Trzeba cię wsadzić do domu wariatów. Co sobie myślisz? Pójdę do twoich rodziców, do gliniarzy, wszędzie. Domyślałem się, że jesteś jakiś niewyraźny. Ale do tego stopnia...

Vincent wyje. Paul czasami bił się na podwórzu w czasie przerwy, ale nigdy nie posunął się tak daleko. Ile czasu może jeszcze miażdżyć ten nadgarstek? Do jakiej wysokości może wykręcać tę rękę, zanim ramię Vincenta trzaśnie? Ma wrażenie, że słyszy, jak pęka chrząstka.

Vincent przestał wyc. Teraz płacze, a jego ciało stopniowo przestaje stawiać opór, tak jakby wszystkie jego mięśnie osłabły. Paul otwiera w końcu dłoń i odpycha chłopaka, który toczy się na odległość metra jak szmaciana kula.

Bezwładny. Ujarzmiony.

– Mam cię na oku – grozi Paul.

Upewnia się, że szpachla leży za daleko, żeby Vincent mógł ją podnieść. Chłopak trwa, wyczerpany, w pozycji płodu. Nie spuszczaając go z oka, Paul schyla się do brzegu pralni, by wziąć obraz. Jego ręka dotyka brązowego papieru.

Może na pół sekundy odwraca oczy, żeby spojrzeć na pakiet.

Zaledwie.

Za długo.

Vincent podnosi się jednym susem i biegnie prosto przed siebie, z łokciami do przodu. Paul robi unik w bok, w stronę pralni. I znowu był szybszy niż Vincent, łokcie Vincenta sięgają jego torsu, ale prawie go nie dotykając, nie zadając mu

bólu. Vincent pada ciężko prosto w pokrzywy.

Chory!

Paul nie zdążył pomyśleć o niczym innym, chwilę później cienka warstewka ziemi zapada się pod jego stopą. Czuje, że traci równowagę na ruchomym brzegu. Noga porusza się w próżni, między brzegiem a strumieniem. Ręka szuka oparcia, byle czego, dachu pralni, belki, gałęzi...

Za późno.

Pada na wznak. Instynktownie się kuli. Jego plecy obijają się najpierw o ceglany mur pralni. Ból jest brutalny i silny. Paul toczy się dalej, jeszcze metr, na boku. Niedługo.

Jego skroń uderza w krawędź belki. Oczy otwierają się ku niebu. Potężny flesz, jak błyskawica.

Zapada się, coraz bardziej, wszystko widzi, jest przytomny, tylko jego ciało już nie reaguje, odmawia posłuszeństwa.

Zimna woda dotyka jego włosów.

Paul pojmuje, że stacza się do strumienia centymetr po centymetrze. Jego oczy widzą już tylko bezchmurne niebo nad sobą i kilka gałęzi wierzby niczym zadrapania na niebieskim ekranie.

Zimna woda pożera mu ucho, szyję, kark.

Pogrąża się.

Na niebieskim ekranie ukazują się twarz Vincenta.

Paul wyciąga do niego rękę, przynajmniej tak mu się wydaje, tak by chciał. Nie wie, czy jego ręka się podnosi, nie czuje jej, nie widzi jej na niebieskiej tablicy. Vincent uśmiecha się do niego. Paul się zastanawia, co to znaczy. Że to wszystko było dla śmiechu? Że to były żarty? Że Vincent wyciągnie go stąd, klepiąc po plecach.

Albo że Vincent naprawdę zwariował?

Vincent podchodzi bliżej.

Teraz Paul zna już odpowiedź... To nie uśmiech rozciąga usta Vincenta, to sadystyczny grymas. Paul widzi w końcu rękę, potem dwie, pojawiające się na niebieskim ekranie, zbliżające się do niego. Znikają, ale Paul czuje, że dotykają jego ramion.

Naciskają je.

Paul chciałby się bronić, poruszać nogami, odwrócić się, posłać do diabła tego chorego, jest przecież silniejszy, silniejszy od niego. Dużo silniejszy.

Nie może wykonać najmniejszego gestu. Jest sparaliżowany. Zrozumiał.

Obie ręce naciskają jeszcze mocniej.

Lodowata woda pożera mu usta, nos, oczy.

Ostatni obraz, który Paul widzi nad sobą, to różowe kałuże na powierzchni wody.

Przywodzi mu to na myśl obraz Fanette.

To jego ostatnia myśl.

– 80 –

Wciąż idę z trudem drogą, która prowadzi na wyspę aux Orties. Richard Paternoster, wieśniak z łąki, w końcu mnie puścił, nie omieszkał wcisnąć mi całej litanii dobrych rad. „W pani wieku, moja droga, to niezbyt rozsądne, taka wyprawa aż do Epte. W takim słońcu... Co pani tam będzie robiła nad tą wodą? Na pewno nie chce pani, żebym panią podwiózł? Niech pani uważa, nawet na bocznej drodze niektórzy często jeżdżą za szybko. Zagubieni turyści, czy wcale niezagubieni zresztą, fani Moneta, szukający sławetnej wyspy aux Orties... Widziała pani przed chwilą ten motocykl, z jaką prędkością przejechał przez łąkę?... O, niech pani zobaczy, nie kłamię, o tam, ten samochód...”.

Z drogi wzbił się obłok ugrzewej ziemi.

Koło fermy przejechał niebieski ford break.

Ford Dupainów. W aureoli kurzu ledwo zdążyłam dostrzec pasażerów.

Za kierownicą Jacques Dupain z pustym spojrzeniem.

Koło niego Stéphanie Dupain cała we łzach.

Płaczesz, kochanie?

Płacz, płacz, ślicznotko. Możesz mi wierzyć, to dopiero początek.

Ta przeklęta droga wydaje mi się bez końca. Idę wciąż w swoim tempie, moja laska próbuje wykrywać koleiny; zostało mi już tylko kilkaset metrów, żeby dotrzeć do wyspy aux Orties. Chciałabym móc trochę przyspieszyć. Pilno mi spotkać Neptuna, bo go nie widziałam od chwili, kiedy wyszłam z młyna. Wiem, że ten mój dumny pies ma zwyczaj wyprawiać się na długie ucieczki w towarzystwie miejscowych dzieciaków, przechodniów czy królików na łące.

Ale tutaj...

Jakiś głupi lęk podchodzi mi do gardła.

– Neptun?

Docieram wreszcie do wyspy.

To dziwne, to miejsce wciśnięte między dwie rzeki zawsze mi się kojarzyło z końcem świata. Niezupełnie jako wyspa, bez przesady, ale jednak jako półwysep. Wiatr porusza tu liście topoli, jakby wiał od morza, jakby ten śmieszny strumyk, Epte, ten rów mniej niż dwumetrowy był bardziej niedostępny niż ocean. Inaczej mówiąc, to tak, jakby to zwyczajne pole pokrzyw ciągnęło się w rzeczywistości na obrzeżu świata i tylko Monet to zrozumiał...

– Neptun!

Lubię tu przesiadywać długo, patrzeć z drugiej strony wody. Lubię to miejsce. Będę tęsknić.

– Neptun!

Krzyczę teraz głośniej. Ten pies ciągle się nie pokazuje. Mój lęk zaczyna się przeradzać w prawdziwy strach. Gdzie się podział mój pies? Gwizdzę. Umiem jeszcze gwizdać. Neptun zawsze się zjawia, kiedy gwizdzę.

Czekam.

Samotnie.

Żadnego odgłosu. Żadnego znaku. Żadnego śladu Neptuna.

Idę po rozum do głowy, dobrze wiem, że moje obawy są śmiechu warte. Wyobrażam sobie nie wiadomo co z powodu tego miejsca. Już od bardzo dawna nie wierzę w przekleństwa, klątwy, w to, że historia się powtarza, i w inne tego rodzaju głupoty. Nie ma przypadku... Tylko...

O, Boże... Ten pies nie przychodzi...

– Neptun!

Krzyczę na całe gardło.

Wyję, jeszcze raz i jeszcze:

– Neptun... Neptun...

Topole zdają się milczeć na wieki.

– Neptun...

Ach...

Oto mój pies, który wyłania się znikąd, rozsuwając zarośla po prawej stronie, przytula się do mojej sukni. Jego szelmowskie oczy błyszczą figlarnie, jakby prosił o przebaczenie za tę trochę przydługą ucieczkę.

– Chodź, Neptun, wracamy.

OBRAZ DRUGI

Wystawa

DZIEŃ TRZYNASTY

25 maja 2010

(Łąki w Giverny)

WYRZECZENIE

– 81 –

Wracam z Wyspy Pokrzyw. Tym razem za fermą Richarda Paternostra zamiast wrócić do młyna des Chennevières skręcam w prawo w stronę trzech parkingów, jak trzy odnogi łądygi. Neptun drepcze wokół mnie. Samochody i autokary zaczynają zwalniać miejsca. Kilka razy dranie, którzy wyjeżdżają tyłem, nie patrząc w lusterko, o mało mnie nie potracają. Walę im laską w przednią szybę, a nawet w dół karoserii. Nie ośmielają się nic powiedzieć takiej starej jak ja. Nawet przepraszają.

Wybaczcie mi, każdy się bawi jak może.

– Chodź, Neptun...

Te chamy byłyby zdolne przejechać mojego psa.

Docieram w końcu do chemin du Roy. Idę kilka metrów aż do ogrodów Moneta. Między różami a nenufarami straszny tłok. Trzeba powiedzieć, jest piękny wiosenny dzień, a do zamknięcia ogrodu została ledwie godzina. Turyści są zawzięci po tych kilometrach, które przemierzyli, i czekają grzecznie w kolejce w alejkach, wózek przy wózku. To Giverny o dziewiętnastej. Tak jak w RER.

Moje spojrzenie błądzi w tłumie. Wkrótce widzę już tylko ją.

Fanette.

Odwrócona jest do mnie plecami. Stoi na brzegu stawu z nenufarami przed swoim płótnem wiszącym na glicyniach. Domyślam się, że płacze.

– Czego ty od niej chcesz?

Gruby Camille stoi na drugim końcu stawu z nenufarami na zielonym mostku, nad którym zwisają gałęzie wierzby płaczącej. Minę ma trochę głupią. Miętosy w rękach kartkę pocztową.

– Czego chcesz od Fanette? – powtarza Vincent.

Camille bełkocze zażenowany:

– To... to... Żeby ją pocieszyć... pomyślałem... Kartka urodzinowa na jedenaste urodziny.

Vincent wyrywa kartkę z rąk Camille'a, przygląda się jej. To zwyczajna pocztówka, reprodukcja *Nenufarów*, fiołkowo-różowa, najbanalniejsza w świecie. Na odwrocie napisane jest tylko: JEDENAŚCIE LAT. NAJLEPSZE ŻYCZENIA URODZINOWE.

– Okay, dam jej to. Teraz zostaw ją w spokoju. Fanette potrzebuje, żeby ją zostawić w spokoju.

Obaj chłopcy obserwują po przeciwnej stronie stawu dziewczynkę pochyloną nad swoim obrazem, zajęta wymachiwaniem pędzlami z bezładną wściekłością.

– Jak... jak ona się czuje? – bąka Camille.

– A jak myślisz? – odpowiada Vincent. – Tak jak my wszyscy. Jest jak ogłuszona. Utonięcie Paula. Pogrzeb w deszczu. Ale jakoś dojdziemy do siebie, co... Wypadki się zdarzają... Zdarzają się. Tak to jest.

Gruby Camille zalewa się łzami. Vincent nawet nie zadaje sobie trudu, by wykonać jakiś gest pocieszenia, idzie już wzdłuż stawu, dodaje tylko, oddalając się:

– Nie martw się, dam jej twoją pocztówkę.

Droga, która biegnie wokół stawu, skręca w lewo i gubi się w dżungli glicynii. Gdy tylko zniknął z pola widzenia, Vincent wpycha kartkę urodzinową do kieszeni. Idzie w stronę mostku japońskiego, odchylając wierzchem dłoni irysy, które za bardzo się pochylają.

Fanette stoi do niego tyłem, pociąga nosem. Macza pędzel, ten najszerszy, prawie jak narzędzie malarza pokojowego, w farbach na palecie, na której zmieszała wszystkie najciemniejsze kolory, jakie istnieją.

Intensywny brąz. Szary antracyt. Głęboka purpura.

Czerń.

Fanette pokrywa tęczowe płótno bezładnymi pociągnięciami pędzla, nie starając się odtwarzać niczego innego niż cierpienia swojej duszy. Jakby w ciągu kilku minut na staw, na wodę, na światło płótna spadły ciemności. Fanette oszczędza tylko kilka nenufarów, podświetla je punktami jaskrawej żółci za pomocą najmniejszego pędzla.

Gwiazdy porozrzucane w nocy.

Vincent mówi łagodnym głosem:

– Camille chciał przyjść, ale powiedziałem mu, że chcesz mieć spokój. On... on ci składa życzenia urodzinowe.

Kładzie rękę na kieszeni, ale nie wyjmuje kartki, którą tam włożył. Fanette nie odpowiada. Wyciska na paletę nową tubkę czarnej farby.

– Dlaczego to robisz, Fanette? To...

W końcu Fanette się odwraca. Ma oczy zaczerwienione od płaczu. Zapewne tą samą szmatką, która służy jej do malowania, wytarła pospiesznie policzki. Poczernione.

– Wszystko skończone, Vincent. Koniec z kolorami. Koniec z malowaniem.

Vincent milczy. Fanette wybucha:

– Wszystko skończone, Vincent... Nie rozumiesz? Paul nie żyje przeze mnie, pośliznął się na stopniu pralni, kiedy szedł po ten przeklęty obraz. To ja go tam posłałam, ja mu powiedziałam, żeby się pospieszył... to ja go... to ja... go zabiłam...

Vincent kładzie delikatnie rękę na ramieniu dziewczynki.

– Nie, Fanette, to był wypadek, przecież wiesz. Paul się pośliznął, utopił się w strumieniu, nikt nic nie poradzi...

Fanette pociąga nosem.

– Miły jesteś, Vincent.

Kładzie pędzel na paletce i pochyła głowę na ramię chłopca. Zalewa się łzami.

– Wszyscy mi mówili, że jestem najzdolniejsza. Że powinnam być egoistką. Że malarstwo będzie dla mnie wszystkim... Kłamali, Vincent, wszyscy kłamali. Wszyscy nie żyją. James. Paul...

– Nie wszyscy, Fanette. Ja nie... No, a Paul...

– Ciii.

Vincent zrozumiał, że Fanette chce, żeby milczał. Chłopak nie śmie nic powiedzieć. Czeka. Jedynie pociąganie nosem dziewczynki zakłóca przerażający spokój na brzegach stawu, jak też, od czasu do czasu, leciutkie pluskanie liści wierzby lub glicynii opadających do stawu. Wreszcie do uszu Vincenta dociera drżący głos Fanette.

– Również... skończona cała ta zabawa. Koniec z tymi przezwiskami malarzy impresjonistów, które wam wszystkim nadałam, bo chciałam być interesująca. Z tymi fałszywymi imionami. To już nie ma sensu...

– Dobrze, Fanette...

Ręka Vincenta obejmuje teraz dziewczynkę, przytula ją do siebie. Mogłaby tak zasnąć.

– Ja jestem – szepcze Vincent. – Zawsze tu będę, Fanette...

– Z tym też koniec. Nie nazywam się już Fanette. Nikt już nie będzie do mnie

mówił Fanette. Ani ty, ani nikt. Dziewczynka, którą wszyscy nazywali Fanette, dziewczynka tak uzdolniona, geniusz na trawie, też umarła, koło pralni, obok pola zboża. Nie ma już Fanette.

Chłopak się waha. Jego ręka wędruje do ramienia dziewczynki, pieści jej rękę.

– Rozumiem... ja jeden cię rozumiem, wiesz dobrze, zawsze tu będę... Fan...

Vincent kaszle. Jego ręka znowu wędruje w górę wzdłuż ramienia dziewczynki.

– Zawsze tu będę, Stéphanie.

Łańcuszek z nadgarstka zsuwa mu się po rękę. Chłopiec nie może się powstrzymać, by nie spojrzeć na klejnot. Zrozumiał, że Stéphanie nigdy już nie będzie go nazywała tym malarskim imieniem, które kiedyś dla niego wybrała.

Vincent. Będzie używała jego prawdziwego imienia.

Imienia od chrztu, komunii, tego, które jest wygrawerowane na jego srebrnym łańcuszku.

Jacques.

Po nagim ciele Stéphanie spływa woda. Naciera się histerycznie pod wrzącą wodą. Jej jasna sukienka z czerwonymi plamami, zwinięta w kłębek, została rzucona na posadzkę. Woda leje się na nią grubym strumieniem od wielu już minut, ale ona wciąż czuje na skórze morze krwi Neptuna, w którym się skąpała. Okropny smród. Nieczystość.

Nie ma szczęśliwej miłości.

Nie może zapomnieć, znowu myśli o tych chwilach szaleństwa, które przeżyła na wyspie aux Orties.

Jej pies Neptun zabity.

Te pożegnalne słowa Laurença.

Nie ma szczęśliwej miłości.

Jacques siedzi w pokoju obok, na łóżku. Na nocnej szafce radio ryczy na okrągło oszałamiający przebój Françoise Hardy *Le temps de l'amour*. Jacques mówi głośno, żeby Stéphanie słyszała go pod prysznicem:

– Nikt ci już nie zrobi krzywdy, Stéphanie. Już nikt. Zostaniemy tu we dwoje. Nikt już nie stanie między nami.

Nie ma szczęśliwej miłości...

Poza tymi, które przechowuje nasza pamięć.

Stéphanie płacze, kilka dodatkowych kropli pod parzącą wodą.

Jacques ciągnie swój monolog, siedząc na brzegu łóżka.

– Zobaczysz, Stéphanie. Wszystko się zmieni. Znajdę ci dom, inny, prawdziwy, taki, który ci się spodoba.

Jacques tak dobrze ją zna. Jacques zawsze znajduje odpowiednie słowa.

– Płacz, kochanie. Płacz, płacz, masz rację. Jutro pójdziemy na fermę Autheuil, żeby wziąć nowego szczeniaka. Z Neptunem to był wypadek, głupi wypadek, na wsi to się zdarza. Ale nie cierpiało. Jutro pójdziemy, Stéphanie. Jutro będzie lepiej...

Woda przestała lecieć. Stéphanie owinęła się w szeroki lawendowy ręcznik. Idzie do mansardowej sypialni, boso, z ociekającymi wodą włosami. Piękna, taka piękna. Taka piękna w oczach Jacques'a.

Czy można aż tak kochać kobietę?

Jacques wstaje, obejmuje żonę, przykleja się do niej.

– Jestem przy tobie, Stéphanie. Wiesz dobrze, zawsze tu będę, z tobą, w ciężkich chwilach...

Ciało Stéphanie na moment sztywnieje, na krótki moment, po czym całkowicie się zatracą. Jacques całuje żonę w szyję i szeptem:

– Wszystko się zacznie od nowa, moja piękna. Jutro pójdziemy adoptować nowego szczeniaka. Pomoże ci zapamiętać... Znam cię. Nowy szczeniak, trzeba będzie go nazwać!

Mokry ręcznik zsuwa się na podłogę. Jacques, delikatnie ją popychając, kładzie żonę na małżeńskim łóżku. Nagą. Stéphanie nie stawia oporu.

Zrozumiała. Już nie walczy. Los zdecydował za nią. Wie, że lata, które teraz nastąpią, nie będą się liczyć, że zestarzeje się tak, schwytana w pułapkę, u boku pełnego uwagi mężczyzny, którego nie kocha. Wspomnienie próby ucieczki z czasem powoli się ulotni.

Stéphanie tylko zamyka oczy, to jedyna forma oporu, na którą ją odtąd stać. Ostatnie akordy gitarowe *Le temps de l'amour* dobiegające z tranzystora rozplywają się w ochrypanych pojękiwaniach Jacques'a.

Stéphanie też chciałaby zatkać sobie uszy.

W radiu po krótkiej zapowiedzi jowialny głos spikera podaje prognozę pogody na jutro. Będzie słonecznie i wyjątkowo upalnie jak na tę porę roku. Imieniny obchodzą Diany. Słońce wszędzie o 5.49, znowu zyskujemy kilka minut. Jutro, 9 czerwca 1963 roku...

*Nie ma szczęśliwej miłości...
Poza tymi, które przechowuje nasza pamięć.
Na zawsze, na zawsze –*

Laurenc

Wracam do rzeczywistości. Spalę się przecież na słońcu, jak będę tak trwać bez ruchu na skraju chemin du Roy zagłębiona w swoich myślach starej wariatki.

Muszę się ruszyć. Muszę zamknąć koło. Brakuje już tylko słowa „koniec”, które powinno się pojawić w kadrze tej historii.

Ładna ta romanca, prawda? Mam nadzieję, że spodoba wam się happy end.

Pobrali się, przynajmniej żyli jak mąż i żona, nie mieli dzieci.

On żył szczęśliwy.

Ona myślała, że jest szczęśliwa. Można się przyzwyczaić.

Miała na to sporo czasu... Prawie pięćdziesiąt lat. Dokładnie od 1963 roku do 2010. Po prostu czas życia...

Postanowiłam iść jeszcze trochę, przemierzam chemin du Roy aż do młyna. Przechodzę przez most na drugą stronę strumienia i zatrzymuję się przy furtce. Od razu widzę, że moja skrzynka na listy jest wypełniona po brzegi głupimi ulotkami z promocją najbliższego supermarketu, do którego nigdy nawet nie zajrzałam. Wściekam się. Wywalam papiery do pojemnika, który specjalnie ustawiłam przy wejściu na podwórze. Nie jest przepełniony... Nagle rzucam przekleństwo.

Między ulotkami leży koperta, która o mało nie podzieliła ich losu. Koperta adresowana do mnie, małego formatu. Odwracam ją i czytam adres nadawcy: „Doktor Berger. 13, rue Bourbon-Penthièvre. Vernon”.

Doktor Berger...

Ten sęp byłby zdolny wysłać mi fakturę, żeby wyłudzić ode mnie trochę dodatkowych pieniędzy. Szacuję wielkość koperty. Chyba że składa mi kondolencje z lekkim opóźnieniem. W końcu jest prawie ostatnim, który widział mojego męża żywego. To było... dokładnie trzynaście dni temu.

Moje niezdarne palce rozdzierają kopertę. Wyciągam mały jasnoszary kartonik zaciemniony czarnym krzyżem w lewym rogu.

Berger nabazgrał kilka ledwo czytelnych słów.

Droga przyjaciółko!

Ze smutkiem dowiedziałem się o śmierci pani męża 15 maja 2010 roku. Tak jak

to pani zapowiedziałem kilka dni wcześniej podczas ostatniej wizyty, takie wyjście było niestety nieuniknione. Tworzyliście niewątpliwie solidne i zgodne małżeństwo. Od zawsze. To rzadkie i cenne.

Proszę przyjąć moje kondolencje –

Hervé Berger

Miętoszę nerwowo kartonik w palcach. Mimo woli powracam myślą do ostatniej konsultacji. Trzydzieści dni temu. Wieczność. Inne życie. Znowu wyłania się moja przeszłość.

To było 13 maja 2010 roku, tego dnia wszystko się wywróciło, tego dnia stary człowiek na łożu śmierci się wypowiedział. Tylko kilka wyznań przed śmiercią...

Trwało to zaledwie godzinę. Godzina na słuchanie, potem trzydzieści dni na przypominanie sobie.

Powstrzymuję się od podarcia tego kartonika. Zanim się znowu zagubię w labiryntach mojej pamięci, mój wzrok pada na kopertę.

Czytam adres. Mój adres.

Stéphanie Dupain
Młyn des Chennevières
Chemin du Roy
27 620 Giverny

DZIEŃ PIERWSZY
13 maja 2010
(*Młyn des Chennevières*)

TESTAMENT

– 82 –

Czekam w salonie młyna des Chennevières. W pokoju obok, w sypialni, u Jacques'a jest lekarz. Wezwałam go w popłochu koło czwartej nad ranem, bo Jacques skręcał się z bólu w pościeli, jakby jego serce zwalniało tak jak silnik bez benzyny, który charczy, zanim stanie, jakby krew miała przestać krążyć. Kiedy zapaliłam światło w sypialni, jego ręce były białe, pełne jasnoniebieskich żył. Doktor Berger przyjechał po kilku minutach. Ma niedaleko, gabinet otworzył w Vernon, na ulicy Bourbon-Penthièvre, ale kupił jedną z najpiękniejszych willi nad Sekwaną, kawałek za Giverny.

Doktor Berger wyszedł z sypialni dobre pół godziny później. Siedzę na krześle. I nic nie robię, tylko czekam. Doktor Berger nie jest z tych, z którymi się łatwo obcuje. To wstrętny wał, który zbudował sobie werandę i basen na koszt wszystkich starych z kantonu, ale przynajmniej nie można mu odmówić tej zalety, że mówi otwarcie. Dlatego wiele lat temu wybraliśmy go na lekarza rodzinnego. On czy ktoś inny...

– To koniec. Jacques zrozumiał. Wie, że zostało mu... najwyżej kilka dni. Zrobiłem mu zastrzyk dożylny. Przez kilka godzin będzie się lepiej czuł. Dzwoniłem do szpitala w Vernon, zarezerwowali pokój, wysyłają karetkę.

Bierze swoją skórzaną walizeczkę, zdaje się wahać:

– Chce... chce się z panią widzieć. Próbowałem mu dać coś na sen, ale upierał się, żeby z panią porozmawiać...

Mam chyba zdziwioną minę. Bardziej zdziwioną niż zmartwioną. Berger czuje się w obowiązku dodać:

– A pani jak się czuje? Pani to wytrzyma? Chce pani, żebym coś pani przepisał?

– Nie, nie, dziękuję.

Chcę teraz tylko jednego, żeby wyszedł. Rzuca jeszcze spojrzenie na ciemny pokój i stawia nogę na zewnątrz. Ostatni raz się odwraca, jest przejęty. Wygląda, jakby był prawie szczery. Może nie jest mu do śmiechu, bo traci dobrego klienta.

– Przykro mi. Niech się pani trzyma, Stéphanie.

Poszłam powoli do pokoju Jacques'a, ani przez sekundę nie wyobrażając sobie, co mnie czeka: spowiedź mojego męża. Prawda po tylu latach.

W istocie historia była tak prosta.

Jeden zabójca, jeden motyw, jedno miejsce, garstka świadków.

Zabójca uderzył dwa razy, w 1937 i 1963 roku. Jedynym jego celem było zachowanie swojego majątku, swojego skarbu: życia kobiety od jej narodzin do śmierci.

Mojego życia.

Jedyny zbrodniarz. Jacques.

Jacques złożył mi wszelkie wyjaśnienia. Niczego nie zabrakło. W ostatnich dniach moje wspomnienia skakały z jednego okresu mojego życia na drugi, jak w niezrozumiałym kalejdoskopie... Jednak każdy z tych szczegółów był jedynie kołem określonej przekładni zębatej, losu, którym całkowicie kierował potwór.

Było to trzynaście dni temu.

Tego ranka otworzyłam drzwi pokoju Jacques'a, nie wiedząc, że zamykam za nimi cienie mojego życia.

Definitywnie.

– Podejdź, Stéphanie, podejdź do łóżka.

Doktor Berger podłożył Jacques'owi pod plecy dwie duże poduszki. Teraz Jacques bardziej siedzi, niż leży. Krew, która napływa mu do policzków, kontrastuje z bladością jego rąk.

– Podejdź, Stéphanie. Berger chyba ci powiedział?... Będziemy musieli się rozstać... Wkrótce. To jest... to jest... Muszę ci powiedzieć... Muszę z tobą porozmawiać, dopóki mam jeszcze siłę. Prosiłem Bergera, żeby dał mi coś, co pozwoli mi wytrzymać, zanim przyjedzie karetka...

Siadam na brzegu łóżka. Kładzie pomarszczoną dłoń na kołdrze. Na ręce z obu stron dziesięć centymetrów grubego beżowego opatrunku, ma zgolone włosy. Biorę

jego dłoń.

– Stéphanie, w garażu, w piwnicy jest mnóstwo rzeczy, których od lat nie ruszaliśmy. Na przykład mój sprzęt myśliwski, stare marynarki, kurtki, torba, mokre naboje, również moje kalosze. Stare spleśniałe graty. Posprzątaj je. Powyńoś. Potem odgarnij nogami żwir z ziemi. Zaraz pod nim, zobaczysz, jest coś w rodzaju zapadni, włazu, coś takiego. Nie można tego zobaczyć, jeśli się nie usunie wszystkiego, co jest na wierzchu. Podniesiesz zapadnię. Na pewno ją znajdziesz. W środku będzie mała skrzynka, aluminiowa, wielkości pudełka po butach. Przyniesiesz mi ją, Stéphanie.

Jacques ściska mi dłoń dość mocno, potem ją puszcza. Nie wszystko rozumiem, ale wstaję. Wydaje mi się to dziwne, nie w stylu Jacques'a, te tajemnice i gry terenowe. Jacques jest człowiekiem prostym, spokojnym, nie robi niespodzianek. Zastanawiam się nawet, czy doktor Berger nie poszedł za daleko z tymi swoimi lekarstwami.

*

Wracam kilka minut później. Wszystkie wskazówki mojego męża były niezwykle dokładne, wszystko się zgadzało. Znalazłam niedużą aluminiową skrzynkę. Ma zardzewiałe zawiasy. Błyszcząca blacha usiana jest tu i ówdzie ciemnymi plamami.

Stawiam skrzynkę na łóżku.

– Jest... jest zamknięta na kłódkę – mówię.

– Wiem... wiem. Dziękuję. Stéphanie, muszę ci zadać pytanie. Ważne pytanie. Nie jestem bardzo mocny w przemowach, znasz mnie, ale musisz mi powiedzieć. Stéphanie, czy przez te wszystkie lata byłaś ze mną szczęśliwa?

Co byście na to odpowiedzieli? Co byście odpowiedzieli człowiekowi, któremu pozostało tylko kilka dni życia? Człowiekowi, z którym dzieliliście życie przez pięćdziesiąt lat, może sześćdziesiąt? Co innego byście odpowiedzieli, niż: „Tak..., tak, Jacques, oczywiście, Jacques, byłam szczęśliwa przez wszystkie te lata... z tobą”?

Wydaje się, że to mu nie wystarcza.

– Stéphanie, jesteśmy teraz u kresu drogi. Możemy sobie wszystko wyznać. Czy ty... jak to powiedzieć... czegoś żałujesz? Czy myślisz, no nie wiem, że twoje życie mogło być lepsze, gdyby się potoczyło inaczej... gdzie indziej... z...

Waha się, przełyka ślinę.

– ...z kimś innym?

Mam dziwne wrażenie, że Jacques rozmyślał o tych pytaniach tysiące razy przez długie lata, że czekał na odpowiedni moment, odpowiedni dzień, żeby je zadać. Ja nie... Nie żebym nie zadawała sobie tych pytań, mój Boże, nie, nie. Ale teraz jestem starą kobietą. Nie przygotowałam się na to, kiedy dziś rano wstawałam. Mgły powoli się rozpraszają w moim zmęczonym umyśle. Ja też trzymałam cierpliwie tego rodzaju pytania zamknięte w skrzynce i postarałam się nigdy jej nie otwierać. Zapodziałam klucz. Powinnam poszukać... To tak daleko.

– Nie wiem – odpowiadam. – Nie wiem, Jacques. Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć...

– Wiesz, Stéphanie. Oczywiście, że rozumiesz... Stéphanie, musisz mi odpowiedzieć, to ważne, czy wolałabyś inne życie?

Jacques uśmiecha się do mnie. Teraz jego twarz zaróżowiła się aż po barki. Skuteczne te pigułki Bergera... I nie tylko na krążenie krwi... Nigdy w ciągu pięćdziesięciu lat Jacques nie stawiał mi tego rodzaju pytań. To do niczego niepodobne. Ani do niego, ani do niczego. Czy to sposób na zakończenie życia? W wieku ponad osiemdziesięciu lat pytać drugą połowę, tę, która zostaje, czy całe jej życie nadaje się tylko do wyrzucenia na śmietnik? Kto by odpowiedział na to „tak”, kto by odpowiedział „tak” umierającemu małżonkowi, nawet jeśli tak myśli, zwłaszcza jeśli tak myśli. Czuję, że cała ta inscenizacja pachnie mi jakąś pułapką.

– Jakie inne życie, Jacques? O jakim innym życiu mówisz?

– Nie odpowiedziałas mi, Stéphanie... Czy wolałabyś...

Zatruty wyziew pułapki staje się wyraźniejszy, jak odległy zapach, który do mnie powraca, dusząca znajoma woń, która się dawno ulotniła, ale nigdy nie została zapomniana. Nie mam innego wyjścia, jak odpowiedzieć z czułością pielęgniarzki:

– Miałam takie życie, jakie wybrałam, Jacques, jeśli to chcesz usłyszeć. Takie, na jakie zasłużyłam. Dzięki tobie, Jacques. Dzięki tobie.

Jacques robi taką minę, jakby sam święty Piotr przyszedł osobiście go zawiadomić, że jego nazwisko jest na liście przyjętych do raju. Jakby teraz już mógł odejść, bo odzyskał pogodę ducha.

Niepokoi mnie. Jego ręka się podnosi i zaczyna macać na szafce nocnej w poszukiwaniu nie wiem czego. Potrąca stojącą tam szklankę, która spada na podłogę i się tłucze. Po parkiecie płynie cienka strużka wody.

Kiedy wstaję, żeby ją wytrzeć i zebrać odłamki szkła, jego ręka znowu się podnosi.

– Poczekaj, Stéphanie. Szklanka się zbiła, nie szkodzi. Pomóż mi, zajrzyj do mojego portfela, tam leży, na szafce...

Podchodzę. Szkło chrzęści mi pod pantoflami.

– Otwórz go – ciągnie Jacques. – Koło mojej karty ubezpieczeniowej jest twoja fotografia, Stéphanie, widzisz? Włóż palec pod fotografię...

Całe wieki nie otwierałam portfela Jacques’a. Moja podobizna bucha mi w twarz. Fotografia została zrobiona pewnie co najmniej czterdzieści lat temu. Czy to ja? Te ogromne fiołkowe oczy należały do mnie? Ten uśmiech w serduszko? Ta skóra opalizująca pod słońcem w piękny dzień w Giverny? Czy zapomniałam, jaka byłam piękna? Czy trzeba czekać, aż się będzie pomarszczoną osiemdziesięciolatką, żeby w końcu ośmielić się to przyznać?

Mój palec wskazujący wsuwa się pod fotografię. Trafia na mały płaski kluczyk.

– Teraz jestem spokojny, Stéphanie. Mogę już umierać. Mogę wreszcie ci to powiedzieć, wąpiłem, tak bardzo wąpiłem. Robiłem, co mogłem, Stéphanie. Możesz otworzyć kłódkę na skrzynce kluczykiem, tym kluczykiem, z którym się nigdy nie rozstawałem przez wszystkie te lata. My... Myślę, że zrozumiesz. Ale mam nadzieję, że zdołam sam ci wyjaśnić.

Moje palce drżą teraz o wiele bardziej niż palce Jacques’a. Gnębi mnie straszne uczucie. Męczę się z włożeniem kluczyka do kłódki, przekręceniem go. Mijają długie sekundy, zanim kłódka i kluczyk spadną na pościel. Jacques kładzie znowu delikatnie dłoń na mojej ręce, jakby to miało znaczyć, żebym jeszcze trochę poczekała.

– Zaslugiwałaś na anioła stróża, Stéphanie. Tak się złożyło, że to byłem ja, próbowałem wykonywać swoją pracę możliwie jak najlepiej. Nie zawsze było to łatwe, wierz mi. Czasem się obawiałem, że mi się nie uda... Ale widzisz, w końcu... Uspokoiłaś mnie. Wybrnąłem z tego nie najgorzej. Pa... pamiętasz, moja Stéph...

Oczy Jacques’a zamykają się na długą sekundę...

– Moja Fanette... Po tych wszystkich latach zgodzisz się, żebym ostatni raz nazwał cię „Fanette”? Nigdy od ponad siedemdziesięciu lat nie śmiałem... od tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku. Widzisz, pamiętam wszystko, byłem pierwszym aniołem stróżem, wiernym, zorganizowanym.

Nic nie odpowiadam. Trudno mi oddychać. Chcę tylko jednego, otworzyć tę aluminiową skrzynkę, sprawdzić, że jest pusta, że cały ten monolog Jacques’a jest tylko majaczeniem wywołanym przez narkotyki od Bergera.

– Urodziliśmy się oboje w tym samym tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku – ciągnie Jacques tym samym tonem. – Ty, Fanette, czwartego czerwca, sześć miesięcy przed śmiercią Claude’a Moneta. Przypadek, może. Ja siódmego, trzy dni później. Ty na ulicy Château-d’Eau, ja na ulicy du Colombier, kilka domów dalej. Zawsze wiedziałem, że nasze losy są ze sobą związane. Że jestem tu, na ziemi,

żeby cię chronić. Żeby, można powiedzieć, odgarniać gałęzie wokół ciebie, na twojej drodze...

Odgarniać gałęzie? O, Boże, te obrazy tak mało są podobne do Jacques'a. To ja zaraz zwariuję. Nie wytrzymuję, otwieram skrzynkę. Natychmiast wypada mi z rąk, jakby aluminium rozgrzało się do białości. Zawartość rozsypuje się na łóżku. Moja przeszłość bucha mi na twarz.

Patrzę, wystraszona, na trzy szpachle malarskie Winsor & Newton, rozpoznaję uskrzydłonego smoka na rękojeści, między dwiema czerwonymi plamami, które czas wysuszył. Moje oczy następnie zatrzymują się na zbiorze poezji. *En français dans le texte* Louisa Aragona. Mój egzemplarz nigdy nie opuścił regału w moim pokoju. Jak mogłam sobie wyobrazić, że Jacques też to miał? Drugi egzemplarz tej książki, którą tak często czytałam dzieciom w szkole w Giverny na stronie 146, gdzie jest poemat *Nymphée*. Zagłębiając się w książkę jak w Biblię, strony tańczą, zatrzymuję się na stronie 146. Ma zagięty róg. Moje oczy wędrują na dół strony. Jest odcięta. Ktoś delikatnie odciął kawałek, zaledwie centymetrowy pasek, brakuje tylko jednej linijki, pierwszego wersu dwunastej zwrotki, tak często recytowanej...

Zgadzam się by marzenia jako zbrodnie sądzić...

Nie rozumiem, nic nie rozumiem. Nie chcę rozumieć. Nie mam zamiaru próbować układać wszystkich tych elementów po kolei.

Mrozi mnie słaby głos Jacques'a:

– Pamiętasz Alberta Rosalbę? Tak, oczywiście, że go pamiętasz. Chodziliśmy zawsze razem, we trójkę, jak byliśmy dziećmi. Nadawałaś nam imiona malarzy, impresjonistów, tych, których najbardziej lubiłaś. On był Paul, a ja Vincent.

Ręka Jacques'a zaciska się na kołdrze. Moje zahipnotyzowane oczy wpatrują się w szpachle malarskie.

– To był... to był wypadek. On chciał zanieść twój obraz nauczycielce, twoje *Nenfary*, Fanette, ten obraz, który jest na strychu, nigdy go nie chciałaś wyrzucić. Pamiętasz go jeszcze? Ale to nieważne. Paul, no, znaczy Albert, się pośliznął. No tak, przedtem się pobiliśmy, to prawda, ale to był wypadek, pośliznął się koło pralni, walnął głową w kamień. Nie zabiłbym go, Fanette, nie zabiłbym Paula, chociaż miał zły wpływ na ciebie, chociaż nie kochał cię naprawdę. Pośliznął się... Wszystko to przez malarstwo. Zrozumiałaś to, potem to rozumiałaś.

Moje palce zaciskają się na rękojeści szpachli malarza. Ma szerokie ostrze, takie, jakiego się używa do skrobienia palety. Od 1937 roku nie tknęłam pędzla, ani razu. To należy do tych zagrzebanych głęboko wspomnień, co wydają się buzować

w ogromnej szczelinie otwierającej mi się w głowie. Ściskam rękojeść. Mam wrażenie, że z moich ust nie może się wydobyć żaden dźwięk:

– A... a James...

Mój głos jest tak słaby jak głos jedenastoletniej dziewczynki.

– Ten stary wariat? Amerykański malarz? O nim mówisz, Fanette?

Jeśli coś odpowiadam, to niedosłyszalnie.

– James... – ciągnie Jacques. – No tak, James. Przez lata próbowałem sobie przypomnieć to imię, ale nie mogłem. Myślałem nawet, żeby cię zapytać...

Wstrząsa nim przytłumiony śmiech. Jego plecy zsuwają się trochę z poduszek.

– Żartuję, Fanette. Dobrze wiem, że trzeba było cię trzymać z dala od tego wszystkiego. Żebyś o niczym nie wiedziała. Aniołowie stróże muszą być dyskretni, prawda? Do końca. To pierwsza zasada, której należy przestrzegać... A Jamesa nie masz co żałować. Może pamiętasz, mówił ci, że masz być egoistką, że powinnaś zostawić rodzinę. I wszystkich. I wyjechać. Doprowadzał cię wtedy do szaleństwa, byłaś ciągle jeszcze podatna na wpływy, miałaś niecałe jedenaście lat, mogły mu się udać jego zamiary... Najpierw mu groziłem, wyrzyłem wiadomość w jego kasecie malarskiej, kiedy spał, a spał prawie cały dzień, jak gruba gąsienica. Ale on o niczym nie chciał wiedzieć. Dalej cię torturował. Tokio, Londyn, Nowy Jork. Nie miałem wyjścia, Fanette, bobyś wyjechała, wtedy już nikogo nie słuchałaś, nawet matki. Nie miałem wyboru, musiałem cię ratować...

Moje palce się rozwierają. Wspomnienia nie przestają buzować, jedno po drugim, w monsturalnej szczelinie. Ten nóż. Ten nóż na łóżku. Ten czerwony nóż. To nóż Jamesa.

Jacques wbił go w serce malarza. Miał wtedy jedenaście lat.

Ciągnie swoją odrażającą spowiedź.

– Nie... Nie przewidziałem, że Neptun znajdzie ciało tego przeklętego malarza na polu zboża. Przeniosłem trupa, zanim przyszłaś z matką. Tylko kilka metrów, tak sądzę, to przecież było tak dawno. Wiesz, myślałem, że mi się nie uda, nigdy bym nie pomyślał, że ten suchy starzec tyle waży. Pewnie mi nie uwierzysz, ale przeszłyście obie, ty z matką, tuż obok mnie. Wystarczyłoby wtedy, żebyś odwróciła głowę. Ale nie zrobiłaś tego. Myślę, że w rzeczywistości nie chciałaś wiedzieć. Nie zobaczyłaś mnie, twoja matka też. To był cud, rozumiesz. Znak! Tamtego dnia zrozumiałem, że już nic mi się nie może przydarzyć. Że moja misja ma się spełnić. W następną noc zakopałem trupa gdzieś na łące. Dla dzieciaka to była straszna robota, wierz mi. Potem spaliłem wszystko, co zostało, stopniowo, sztalugi, płótna. Zachowałem tylko jego kasetę malarską jako dowód, jako dowód tego, co byłem zdolny dla ciebie zrobić. Masz pojęcie, Fanette, niespełna jedenastoletni chłopak! Upilnował, co, widzisz to teraz, twój anioł stróż?

Jacques nie daje mi czasu na odpowiedź. Usiłuje rozpaczliwie podsunąć się na poduszki, ale wciąż się zsuwa, milimetr po milimetrze.

– Żartuję, Fanette. Tak naprawdę to nie było bardzo trudne, nawet dla dziecka. Twój James był bezsilnym starcem. Cudzoziemcem. Amerykaninem, który się spóźnił do Moneta dziesięć lat. Kloszardem, którym nikt się nie przejmował. W trzydziestym siódmym roku ludzie mieli inne zmartwienia. Na dodatek kilka dni wcześniej tuż koło Giverny znaleziono na łodzi zamordowanego robotnika hiszpańskiego. Wszyscy żandarmi zajmowali się tą sprawą, mordercę, marynarza z Conflans, przyskrzynili dopiero po kilku tygodniach.

Pomarszczona dłoń Jacques'a szuka mojej dłoni. Zaciska się w próżni.

– Wiesz, Fanette, dobrze mi robi, jak mówię o tym wszystkim. Potem oboje byliśmy spokojni przez lata... Pamiętasz. Razem dorastaliśmy, rozstaliśmy się tylko na czas, kiedy studiowałaś w szkole pedagogicznej w Evreux, potem wróciłaś do Giverny jako nauczycielka. Nasza szkoła! Wzięliśmy ślub w kościele Sante-Radegonde w Giverny w pięćdziesiątym trzecim roku. Wszystko było wspaniale. Twój anioł stróż siedział z założonymi rękami...

Jacques znowu wybucha śmiechem. Tym śmiechem, który rozbrzmiewa w naszym domu prawie codziennie przed telewizorem albo za gazetą. Jak mogłam się nie zorientować, że to śmiech potwora?

– Ale lichy nie śpi... Co, Stéphanie? Trzeba było, żeby zaczął się kręcić koło ciebie Jérôme Morval. Pamiętasz? Jérôme Morval, nasz kolega z klasy w szkole podstawowej, ten, którego przezywałaś Camille, gruby Camille... Prymus! Przemądrzały. Tego to w szkole nie lubiłaś, Fanette, ale potem bardzo się zmienił. Udało mu się nawet zaciągnąć do łóżka tę małą donosicielkę Patricję. Tę, którą ty przezywałaś Mary, jak Mary Cassatt... Ale Patricia szybko przestała wystarczać grubemu Camille'owi. Na pewno bardzo się zmienił. Forsa zmienia człowieka. Kupił najpiękniejszy dom w Giverny, stał się arogancki, nawet uwodzicielski w oczach niektórych dziewczyn. Zresztą zdradzał żonę, nawet się z tym nie kryjąc. Wszyscy w Giverny wiedzieli, również Patricia, która nawet posunęła się do zatrudnienia prywatnego detektywa, żeby go szpiegował. Biedna Patricia! A przy tym Morval wygłaszał długie mowy na temat malarstwa, forsy, kolekcji najmodniejszych artystów. Ale przede wszystkim, słuchaj dobrze, Stéphanie, Jérôme Morval, jak mówiono, najlepszy w Paryżu chirurg okulista, wrócił do Giverny z jednego jedyne powodu. Nie dla Moneta czy *Nenufarów*, nie... Wrócił dla pięknej Fanette, tej, która nigdy, przez wszystkie lata szkoły podstawowej, nie obdarzyła go spojrzeniem. Teraz, jako że fortuna kołem się toczy, gruby Camille chciał wziąć odwet.

Słowa mi więzną w gardle.

– Ty... ty...

– Wiem, Stéphanie, tak, wiem, że Jérôme Morval cię nie pociągał... Przynajmniej jeszcze nie. Musiałem zadziałać na czas. Jérôme Morval mieszkał już w Giverny, miał sporo czasu, był sprytny, wiedział, jak cię podejść, pamiętał ze szkoły, *Nenufary*, wspomnienia o Monecie, pejzaże...

Ten potwór znowu szuka mojej ręki. Jego dłoń lezie niczym pluskwa po pościeli. Walczę z myślą, żeby chwycić szpachlę malarską i dziabnąć go nią jak owada szkodnika.

– Niczego ci nie wyrzucam, Stéphanie. Wiem, że między tobą a Morvałem nic nie zaszło. Zgodziłaś się raptem na spacer z nim, na rozmowę. Ale z czasem pewnie by cię uwiódł, Stéphanie, pewnie by mu się udało. Ja nie jestem zły, Stéphanie, wcale nie miałem ochoty zabijać Jérôme'a Morvala, tego biednego grubasa Camille'a. Byłem cierpliwy, więcej niż cierpliwy. Próbowiałem dać mu do zrozumienia, możliwie wyraźnie, do czego jestem zdolny, na co się naraża, jeżeli dalej będzie się kręcił koło ciebie. Najpierw wysłałem mu tę pocztówkę z *Nenufarami*. Morval nie był głupi, bardzo dobrze pamiętał, że to była ta pocztówka, którą dał mi dla ciebie przed laty, w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku, w ogrodach Moneta, w dniu twoich jedenastych urodzin, tuż po śmierci Alberta. Nakleiliśmy na nią to zdanie Aragona wycięte z książki, ten kawałek wiersza, który kazałaś recytować dzieciom w szkole, to zdanie, które lubiłem, które mówi mniej więcej to: marzenie jest zbrodnią, którą należy karać tak jak inne zbrodnie. Morval nie był idiotą. Przekaz był wyraźny: wszyscy, którzy starają się do ciebie zbliżyć, zrobić ci krzywdę, narażają się na niebezpieczeństwo...

Dłoń Jacques'a szuka końcem palców tomu poezji Aragona leżącego na łóżku. Trafia wreszcie na książkę, ale nie ma siły jej podnieść. Ja ani drgnę. Jacques znowu odkasłuje, żeby przeczyścić sobie głos, i ciągnie:

– Zgadnij, Stéphanie, jaka była odpowiedź Jérôme'a Morvala? Zaśmiał mi się w nos! Gdybym chciał, mogłem go wtedy zabić. Ale w gruncie rzeczy lubiłem tego grubego Camille'a. Dałem mu jeszcze jedną szansę. Wysłałem do jego paryskiego gabinetu tę kasetę malarską Jamesa, w której ciągle była wyryta groźba: „Jest moja tu, teraz i na zawsze”. A do tego krzyż! Jeśli tym razem Morval nie zrozumie... Umówił się ze mną rano przy pralni, koło młyna des Chennevières. Myślałem, że chce mi powiedzieć, że już cię nie będzie niepokoił, wiesz. Ale nie, wprost przeciwnie. Wrzucił na moich oczach kasetę malarską na środek strumienia, w błoto. On tobą gardził, Stéphanie, nie kochał cię, byłaś dla niego tylko zdobyczą, jedną zdobyczą więcej. Cierpiałabyś przez niego, doprowadziłby cię do zguby... Co mogłem zrobić? Musiałem cię chronić... Nie brał mnie poważnie, powiedział mi, że nic mu nie zrobię w tych kaloszach do polowania, że nie potrafię cię uszczęśliwić,

że nigdy mnie nie kochałaś. Ciągle ta sama gadka...

Jego ręka znowu pełza i zaciska się na nożu:

– Nie miałem wyjścia, Stéphanie, zabiłem go tą szpachlą malarską Jamesa, której nie omieszkałem ze sobą zabrać. Umarł tam, na brzegu strumienia, w tym samym miejscu, co przed laty Albert. Potem inscenizacja, kamieniem w czaszkę, głowa pod wodę, w strumieniu, wiem, że to było żalosne. Myślałem nawet, że przez to będziesz się czegoś domyślać, zwłaszcza kiedy gliniarze wyciągnęli kasety Jamesa. Na szczęście nigdy nie widziałaś tej skrzynki... Najważniejsze było to, żebym cię chronił bez twojej wiedzy, żebym wszystko brał na siebie... Ufałaś mi, słusznie. Możesz teraz śmiało wyznać, moja Fanette, że nigdy się nie domyślałaś, do jakiego stopnia cię kocham, że nigdy nie podejrzewałaś, do czego mogę się posunąć dla ciebie. Pamiętasz, kilka dni po śmierci Morvala posłałaś nawet na policję, żeby powiedzieć, że tego ranka byliśmy razem w łóżku... Pewnie gdzieś w głębi znałaś prawdę, ale nie chciałaś się do tego przyznać. Wszyscy się domyślamy, że mamy anioła stróża, co? Nie musimy mu dziękować...

Obserwuję z przerażeniem pomarszczone palce Jacques'a, które głaszczą rękojęść szpachli. Maniakalna obsesja, jakby jego starczym ciałem wstrząsał jeszcze dreszcz przyjemności, którą było zasztyletowanie tą bronią dwóch osób. Nie wytrzymuję, nie mogę już. Słowa po prostu wyrrywają mi się z gardła:

– Chciałam... Chciałam cię zostawić, Jacques. Dlatego złożyłam fałszywe zeznanie. Byłeś w więzieniu. Ja... czułam się winna.

Palce zaciskają się na nożu. Palce mordercy, szaleńca. Z nieznośną powolnością palce się rozwierają. Jacques zsunął się jeszcze bardziej, teraz już prawie leży. Wstrząsa nim chrapliwy śmiech. Ten obłąkańczy śmiech.

– Oczywiście, Stéphanie. Czułaś się winna... Oczywiście, wszystko ci się wtedy mieszało w głowie. Mnie nie. Nikt nie zna cię lepiej ode mnie. Po śmierci Morvala myślałem, że będziemy mieli spokój. Nikt nas nie rozdzieli, Stéphanie, nikt mi cię nie zabierze. A potem, szczyt wszystkiego! To prawie komiczne, jak dzisiaj o tym pomyślę. Oto trup Morvala przyczepia do twojej spódniczki tego gliniarza, tego Laurença Sérénaca, najgorsze niebezpieczeństwo! Byłem w potrzasku. Jak się go pozbyć? Jak go zabić, tak żeby mnie nie oskarżyli, nie zatrzymali, nie odizolowali od ciebie na zawsze? I żeby następnie inny Sérénac czy inny Morval nie kazał ci cierpieć, gdy ja już nie mógłbym cię obronić, siedząc zamknięty w celi? Ten gliniarz od początku mnie podejrzewał, jakby we mnie czytał... kierował się intuicją. To był dobry gliniarz, gorąco się zrobiło, Stéphanie. Na szczęście nigdy nie zdołał odkryć związku między mną a wypadkiem tego chłopca z naszej klasy w trzydziestym siódmym roku, nigdy się nie dowiedział o zniknięciu tego amerykańskiego malarza... Wtedy, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim

roku, otarli się o prawdę, on i jego zastępca Bénavides... Ale oczywiście nie mogli sobie wyobrazić. Kto by to zrozumiał? Tymczasem ten drań Sérénac mnie podejrzewał, ten drań Sérénac zawracał ci głowę, bałamucił cię. No więc powiedziałem sobie: on albo ja. Odwróciłem problem całkowicie...

Moja ręka dyskretnie posuwa się po pościeli. Jacques teraz leży, nie może się podnieść, a więc nie może mnie zobaczyć, mówi do sufitu. Moja dłoń zaciska się znowu na szpachli. W kontakcie z nią doznaję jakiejś niezdrowej przyjemności. Jakby ta zakrzepła krew na rękojęści przeniknęła do moich żył, napełniła je morderczym popędem.

Nerwowy śmiech Jacques'a przechodzi w ochrypy kaszel. Z trudem odzyskuje oddech. Na pewno byłoby mu lepiej, gdyby siedział. Jednak Jacques o nic nie prosi. Głos mu trochę słabnie, ale mówi dalej:

– Szybko z tym skończyłem, Stéphanie. Sérénac ostatecznie okazał się taki jak inni. Wystarczyło kilka gróźb, żeby go przepędzić... Kilka gróźb skutecznie ilustrowanych...

Znowu się śmieje albo kaszle, jedno i drugie. Przysuwam powoli szpachlę do mojej czarnej sukni.

– Mężczyźni są tacy słabi, Stéphanie... Wszyscy. Sérénac wolał swoją nędzną karierę gliniarza niż wielką namiętność do ciebie. Nie mamy co narzekać, prawda, Stéphanie? Tego chcieliśmy, tak? Sérénac ostatecznie dobrze zrobił. Kto wie, co by się stało, gdyby się upierał... To był ostatni cień między nami, Stéphanie, ostatnia chmura, ostatnia gałąź, którą należało odsunąć... To już więcej niż czterdzieści lat temu...

Krzyżuję ręce na piersiach, szpachla malarska dotyka mojego serca. Chciałabym mówić, chciałabym wyć: „Jacques, powiedz mi, powiedz mi, mój aniele stróżu, skoro twierdzisz, że nim jesteś, czy łatwo jest kogoś zasztyletować? Wbić człowiekowi nóż w serce?”

– Czym właściwie jest życie, Stéphanie? Gdyby mnie tam nie było w odpowiednim momencie, gdybym nie umiał wyeliminować przeszkód, jednej po drugiej... Gdybym nie umiał cię chronić... Gdybym się nie urodził zaraz po tobie, jak bliźniak. Gdybym nie zrozumiał swojej misji... Opuszczam ten padół szczęśliwy, Stéphanie, udało mi się, tak bardzo cię kochałem, masz teraz dowód.

Wstaję. Osłupiała ze zgrozy. Nóż trzymam między rękami, przyciśnięty do piersi, tak że go nie widać. Jacques patrzy na mnie, wygląda na wyczerpanego, jakby z trudem mógł teraz mieć otwarte oczy. Próbuje się podnieść, rusza stopami. Aluminiowa skrzynka, która stała na łóżku, spada na podłogę z ogłuszającym hałasem. Jacques ledwie mruga powiekami. Za to w mojej głowie rezonuje ostry łomot, jak echo, które może przyprawić o zawrót głowy. Mam takie wrażenie,

jakby pokój kręcił się wokół mnie.

Z trudem podchodzę do łóżka. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Zmuszam je, żeby mnie niosły, rozkładam ręce. Jacques wciąż na mnie patrzy. Nie widzi jeszcze szpachli. Jeszcze. Powoli ją podnoszę.

Neptun wyje na zewnątrz, tuż pod naszym oknem. Po chwili karetka na sygnale przejeżdża przez podwórze młyna. Opony zgrzytają na żwirze. Dwie nierealne sylwetki, biało-niebieskie w świetle sygnalizatora, przechodzą koło okna i walą do drzwi.

*

Zabrali Jacques'a, podpisałam masę papierów, w ogóle ich nie czytając, nawet o nic nie pytając. Dochodziła szósta rano. Zapytali mnie, czy chcę wsiąść do karetki, odpowiedziałam, że nie, że za kilka godzin pojedę autobusem albo taksówką. Pielęgniarze nie skomentowali tego.

Aluminiowa skrzynka leży na podłodze, otwarta. Szpachla malarska na nocnej szafce. Książka Aragona wpadła gdzieś w zakamarki łóżka. Nie wiem, dlaczego po odjeździe karetki pierwsza rzecz, jaka mi przychodzi do głowy, to wejść na strych i przeszukać go, żeby znaleźć ten stary zakurzony obraz, moje *Nenufary*, ten, który namalowałam, jak miałam jedenaście lat.

Który namalowałam dwa razy, najpierw w niesamowitych kolorach, żeby wygrać konkurs fundacji Robinsona, potem na czarno po śmierci Paula.

Zdjęłam ze ściany strzelbę myśliwską Jacques'a i w tym miejscu powiesiłam obraz, na tym samym gwoździu, w kącie, gdzie nikt poza mną nie może go zobaczyć.

Wychodzę. Muszę zaczerpnąć powietrza. Biorę ze sobą Neptuna. Jest dopiero szósta rano. Jeszcze przez kilka godzin Giverny będzie puste. Przejdę się nad strumieniem koło młyna.

I powspominam.

DZIEŃ TRZYNASTY

25 maja 2010

(*Chemin du Roy*)

WĘDROWANIE

– 83 –

To było trzynaście dni temu, 13 maja. Od tamtej pory przez całe dni przeżywałam od nowa te kilka godzin, kiedy mi skradziono życie, puszczałam sobie jeszcze raz ten film, aby spróbować zrozumieć to, co niewyobrażalne, po raz ostatni, zanim z tym skończę.

Tyle razy spacerowałam sama po tym miasteczku, że prawie braliście mnie za zjawę. W rzeczywistości jest wprost przeciwnie.

Jestem bardzo realna.

To wszyscy inni są zjawami, zjawami z moich wspomnień. Wypełniłam moimi zjawami te miejsca, w których zawsze żyłam, koło każdego miejsca, które mijałam, przypominałam sobie: młyn, łąka, szkoła, ulica Claude-Monet, taras hotelu Baudy, cmentarz, muzeum w Vernon, wyspa aux Orties...

Wypełniłam je też długimi rozmowami, które prowadziłam z Sylviem Bénavidesem w 1963 i 1964 roku po tym, jak umorzono śledztwo w sprawie zabójstwa Jérôme'a Morvala. Inspektor Sylvio Bénavides bardzo się starał, pracował zawzięcie, ale nigdy nie znalazł najmniejszego dowodu, najmniejszej nowej wskazówki. Prawie się zaprzyjaźniliśmy. Jacques przynajmniej nie był zazdrosny, kiedy prowadziłam rozmowy z tym inspektorem. Sylvio był wiernym mężem i troskliwym ojcem małej Cariny, której tak trudno było wyjść z brzucha mamy. Sylvio opowiadał mi wszystkie szczegóły śledztwa, które prowadził z Laurencem w komisariacie w Vernon, w Cocherel, w muzeach w Rouen i Vernon... Potem, w połowie lat siedemdziesiątych Sylvio został przeniesiony do

La Rochelle. Trochę ponad dziesięć lat temu, dokładnie we wrześniu 1999 roku, widzicie, jaką mam jeszcze doskonałą pamięć, dostałam list od Béatrice Bénavidés. Niezbyt długi pisany ręcznie list. Opowiadała mi w krótkich słowach, że Sylvio Bénavidés właśnie osierocił ją i Carinę. Któregoś ranka, jak codziennie, wsiadł na rower, żeby pojeździć po wyspie Oléron, gdzie na jesieni wynajmowali domek. Wyjechał uśmiechnięty. Pogoda była piękna, trochę wiało. Upadł nad oceanem w środku niewielkiego rozlewiska między La Brée-les-Bains a Saint-Denis-d'Oléron. To był zawał. Sylvio miał siedemdziesiąt jeden lat.

Właśnie, starzeć się to patrzeć, jak inni umierają.

Kilka dni temu napisałam krótki list do Béatrice, żeby jej wszystko opowiedzieć. Czułam coś w rodzaju obowiązku wobec pamięci Sylwia. Niezwykle bogata fundacja Robinsona nie miała nic wspólnego z tymi morderstwami, podobnie jak przemyty Amadou Kandy'ego, zapomniane obrazy Moneta czy kochanki Morvala. Laurenç Sérénac od początku miał rację: to była zbrodnia w afekcie. Tylko jeden niewyobrazalny szczegół nie pozwolił mu odkryć prawdy: zazdrosny zbrodniarz nie zadowolili się wyeliminowaniem rzekomych kochanków swojej żony, zlikwidował również przyjaciół dziesięcioletniej dziewczynki, w której już był zakochany. Nie wysłałam jeszcze tego listu. Ostatecznie nie myślę, że to zrobię.

Teraz to już bez znaczenia.

*

No dobrze, muszę się pospieszyć!

Ze wstrętem wyrzucam do śmietnika kopertę od doktora Bergera. Dołącza do obrzydliwych ulotek. Podnoszę oczy w stronę wieży młyna.

Waham się.

Nogi niosą mnie z trudem. Ten najostatniejszy spacer na wyspę aux Orties mnie wyczerpał. Jestem rozdarta między chęcią przejścia ostatni raz przez miasteczko, a chęcią powrotu prosto do domu. Długo rozmyślałam przed chwilą nad brzegiem Epte. Jak z tym skończyć teraz, kiedy wszystko jest w porządku?

Zdecydowałam. Zrezygnowałam z użycia strzelby Jacques'a, mój Boże, myślę, że teraz rozumiecie dlaczego. Nie ma też mowy o połykaniu leków, żeby dogorywać całymi godzinami czy całymi dniami w szpitalu w Vernon, jak Jacques, ale nie mając nikogo, kto by przyszedł odłączyć mi kroplówkę. Nie, najskuteczniejszym sposobem, żeby z tym skończyć, będzie dotrwać spokojnie do końca dnia, jak zwykle, wrócić do młyna, wejść na górę do pokoju w wieży na czwartym piętrze, uprzątnąć swoje rzeczy, potem otworzyć okno i skoczyć.

Decyduję, że wrócę do miasta. W końcu moje nogi zniosą jeden kilometr więcej, ostatni kilometr.

– Chodź, Neptun!

Gdyby ktoś, ktokolwiek, przechodzień, turysta, się mną zainteresował, mógłby pomyśleć, że się uśmiecham. Niezupełnie by się mylił. Dzięki temu, że te ostatnie dziesięć dni spędzam w towarzystwie Paula, w towarzystwie Laurença, mój gniew nieco zelżał.

Idę znowu chemin du Roy. Po kilku chwilach znajduję się przed stawem z nenufarami.

Po śmierci Claude'a Moneta w 1926 roku ogrody zostały prawie opuszczone, zaniebane. Michel Monet, jego syn, mieszkał w różowym domu w Giverny aż do ślubu w 1931 roku, z modelką Gabrielle Bonaventure, z którą miał córkę Henriette. Kiedy miałam dziesięć lat, w 1937 roku, wchodziliśmy często, ja i inne miejscowe dzieci, do ogrodów przez dziurę w ogrodzeniu, od strony łąki. Ja malowałam, chłopcy bawili się w chowanym wokół stawu. Na miejscu był tylko ogrodnik, który dbał o posiadłość, pan Blin, i Blanche, córka Claude'a Moneta. Pozwalali nam na to, nie robiliśmy niczego złego. Pan Blin nie umiał niczego odmówić małej Fanette, takiej ładnej dziewczynce z fiołkowymi oczami i srebrnymi wstążkami we włosach, poza tym tak uzdolnionej do malarstwa!

Blanche Monet umarła w 1947 roku. Ostatni spadkobierca, Michel Monet, w dalszym ciągu otwierał ogrody i dom na wyjątkowe okazje dla przywódców obcych państw, dla artystów, na szczególne rocznice... I dla dzieci ze szkoły w Giverny! Udało mi się go przekonać. Nie było to takie trudne... no bo jak się oprzeć małej Fanette, która stała się piękną Stéphanie, nauczycielką o spojrzeniu nenufarów, tak obeznaną ze wszystkim, co dotyczy malarstwa, która próbowała rok w rok przekazywać miejscowym dzieciom tę pasję do impresjonizmu, skłaniać je do udziału w konkursie o nagrodę fundacji Robinsona, a wkładała w to tyle energii, tyle szczerości, jakby jej własne życie zależało od emocji przekazywanych uczniom? Michel Monet otwierał ogrody dla mojej klasy raz w roku, w maju, kiedy park jest najpiękniejszy.

Odwracam się. Przez chwilę obserwuję tłum zgromadzony pod katedrą z róż, dziesiątki twarzy stłoczonych w oknach domu malarza. Pomyśleć, że w czerwcu 1963 roku byliśmy sami, Laurenç i ja, w tym domu... W salonie, na schodach, w sypialni. To niewątpliwie moje najpiękniejsze wspomnienie. Moja jedna jedyna próba ucieczki...

Michel Monet zginął w wypadku samochodowym trzy lata później w Vernon.

Po odczytaniu testamentu na początku lutego 1966 roku przypuszczono nieprawdopodobny szturm na dom w Giverny. Żandarmi, notariusze, dziennikarze, artyści... Ja też tam byłam, tak jak inni mieszkańcy Giverny. W domu i pracowniach komornicy sądowi odkryli ze zdumieniem ponad sto dwadzieścia płócien, z czego osiemdziesiąt Claude'a Moneta, w tym nieznane *Nenufary*, oraz czterdzieści obrazów jego przyjaciół, Sisleya, Maneta, Renoira, Boudina... Macie pojęcie? To był bezcenny skarb, majątek wart nie wiadomo ile, prawie zapomniany po śmierci Claude'a Moneta. To znaczy, nie tak całkiem zapomniany... Wielu mieszkańców Giverny znało przed 1966 rokiem wartość arcydzieł zgromadzonych w różowym domu, nieruszanych przez czterdzieści lat przez Michela Moneta. Wszyscy, którzy mieli okazję wejść do domu, widzieli je. Ja oczywiście też... Od 1966 roku tych sto dwadzieścia obrazów można podziwiać w muzeum Marmottan w Paryżu. To największy na świecie zbiór dzieł Moneta...

Po roku 1966 nigdy już nie zaprowadziłam dzieci do ogrodu Moneta. Został otwarty dla publiczności dużo później, dopiero w 1980 roku. W końcu było rzeczą absolutnie naturalną, żeby taki skarb został udostępniony jak największej liczbie ludzi, żeby wstrząsająca uroda tego miejsca została podarowana każdej duszy zdolnej ją uchwycić.

Nie tylko duszy dziewczynki tak olśnionej jego blaskiem, że spaliła tam swoje marzenia.

Skręcam na prawo, idę pod górę w stronę miasta ulicą Château-d'Eau.

Dom mojego dzieciństwa już nie istnieje.

Po śmierci mojej matki w 1975 roku stał się prawdziwą rudera. Zburzono go. Sąsiedzi, paryżanie, kupili teren i wzniesli ponaddwumetrowy mur z białego kamienia. W miejscu mojego domu jest zapewne klomb kwiatów, huśtawka, staw, oczko wodne... Tak naprawdę to nie wiem. Nigdy się nie dowiem. Trzeba by zajrzeć przez mur.

Dochodzę wreszcie do końca tej ulicy Château-d'Eau. Najtrudniejsze już za mną! I pomyśleć, że biegałam tą ulicą szybciej niż Neptun, kiedy miałam jedenaście lat! Teraz biedak ciągle musi na mnie czekać. Skręcam w ulicę Claude-Monet. Autostrada z turystami! Nie chce mi się już nawet wyrzekać na ten tłum. Giverny mnie przeżyje, inne, wieczne, kiedy znikną wszystkie upiory z dawnych czasów: Amadou Kandy, jego galeria sztuki i jego sprawy z nielegalnym handlem; Patricia Morval, ja...

Idę. Nie mogę oprzeć się chęci, żeby zboczyć dwadzieścia metrów i przejść koło szkoły. Plac przed merostwem nie zmienił się przez te wszystkie lata, ani jego białe kamienie, ani cień rzucany przez lipy. Tylko że szkoła została przebudowana na początku lat osiemdziesiątych, trzy lata przed moją emeryturą! Straszna nowoczesna szkoła, różowo-biała. Banalny kolor. W Giverny. Wstyd! Ale już dawno nie miałam siły walczyć z tą potwornością... Przedszkole, które otworzyli naprzeciwko, jest jeszcze gorsze, z prefabrykatów. Ale w końcu to wszystko już mnie nie obchodzi... Teraz dzieci codziennie przebiegają koło mnie i nawet na mnie nie spojrzą, muszę besztać Neptuna, żeby się na nie nie rzucał. Już tylko starzy amerykańscy malarze o coś mnie czasem pytają. Schodzę znowu ulicą Blanche-Hoschedé-Monet. Z mojego służbowego mieszkania nad szkołą zrobiono magazyn staroci. Mój pokój na mansardzie z okrągłym oknem służy wraz z innymi pomieszczeniami jako muzeum różnaitości dla mieszczuchów poszukujących wiejskich przedmiotów, rzekomo autentycznych. Z czekiem w ręce. Nikt już nigdy nie będzie oglądał przez to okrągłe okno pełni księżyca w jego perygeum. Mój Boże, ile to lat, ile nocy mogłam spędzić przy tym oknie... Od dzieciństwa. Jeszcze wczoraj...

Przed antykwariatem grupa dorosłych rozmawia po japońsku albo po koreańsku, albo po jawajsku. Nic a nic nie rozumiem. Jestem dinozaurem w ogrodzie zoologicznym. Idę dalej ulicą Claude-Monet. Jedyne hotel Baudy się nie zmienił. Wystrój z belle époque na tarasie, na fasadzie i wewnątrz jest starannie utrzymany przez kolejnych właścicieli. Theodore Robinson mógłby przyjechać jutro do hotelu Baudy, czas się tu zatrzymał sto lat temu.

71 rue Claude-Monet.

Jérôme i Patricia Morval.

Przechodzę szybko przed tym domem. Byłam w nim cztery dni temu: musiałam porozmawiać z Patricią. Ona i ja jesteśmy ostatnimi żyjącymi mieszkankami niegdysiejszego Giverny. Nigdy nie lubiłam Patricii, teraz to rozumiecie. Dla mnie ona chyba zawsze będzie tą beksą Mary. Donosicielką Mary.

To śmieszne, przyznaję. Ona tyle wycierpiała. Przynajmniej tyle co ja. Uległa w końcu grubemu Camille'owi, wyszła za niego za męża i za sprawą okrutnej gry naczyń połączonych im bardziej gruby Camille stawał się Jérôme-me'em Morvalem, świetnym studentem medycyny, tym bardziej Jérôme starał się uwodzić inne kobiety, a ona bardziej się do niego przywiązywała. Życie zatrzymało się w tym domu pod numerem 71 na ulicy Claude-Monet w 1963 roku. Kiedyś był to najpiękniejszy dom w miasteczku. Teraz jest ruiną. Merostwo czeka niecierpliwie, aż wdowa po Morwalu umrze, żeby się pozbyć tej zarazy.

Przecież Patricia musiała się dowiedzieć. Patricia musiała poznać nazwisko

zabójcy swojego męża. Byłam jej to winna... Ta mała donosicielka Patricia ostatecznie mnie zaskoczyła. Spodziewałam się, że następnego dnia zobaczę policję zjawiającą się w moim młynie. W 1963 roku nie zawahała się wszak wysłać na komisariat w Vernon anonimowych fotografii przypuszczalnych kochanek Jérôme'a Morvala. Wśród nich mojej.

A tak się dziwnie złożyło, że ja się do nich nie zaliczałam. Trzeba wiedzieć, że życie nas zmienia... Dowiedziałam się, że ona prawie nie wychodzi z domu, odkąd jeden z jej bratanków pokazał jej internet. Ona, która nie otworzyła komputera przed siedemdziesiątką! Co nie znaczy jednak, że mam ochotę napić się z nią herbaty, po raz ostatni, żeby podzielać naszą wspólną nienawiść do potwora. Przed wielkim skokiem.

Przyspieszam kroku, w końcu, no, w moim przypadku to wyrażenie jest raczej źle wybrane. Neptun drepce trzydzieści metrów przede mną. Ulica Claude-Monet wznosi się łagodnie jak długa droga prowadząca do nieba. *Stairway to heaven*, grała gitara dwa pokolenia temu...

Dochodzę wreszcie do kościoła. Z wysokości piętnastu metrów patrzy na mnie olbrzymi portret Claude'a Moneta. Odnawiają kościół Sainte-Radegonde. Prace i rusztowania zasłonięte są ogromnym płóciennym plakatem: czarno-biała fotografia mistrza z paletą w ręce. Nie mam siły wspinać się aż do cmentarza, a przecież pochowani są tu wszyscy, których spotkałam w życiu, wszyscy, którzy się liczyli. Dziwne, podczas prawie każdego pogrzebu padał deszcz, tak jakby niestosowną rzeczą było, żeby światło Giverny świeciło w dzień pochówku. Padało w 1937 roku, w dniu kiedy odbywał się pogrzeb mojego Paula, mojego Alberta Rosalby. Byłam przybita. Padało też w 1963 roku, kiedy pochowano Jérôme'a Morvala. Całe miasteczko tam było, w tym biskup z Evreux, chór, dziennikarze, a nawet Laurenc. Kilkaset osób! Dziwny los. Tydzień temu byłam sama na pogrzebie Jacques'a.

Napełniłam cmentarz swoimi wspomnieniami. Wspomnieniami deszczowymi.
– Chodź, Neptun!

W drogę do ostatniej linii prostej. Schodzę ulicą de la Dîme, prosto do chemin du Roy. Ulica ta wychodzi właśnie na młyn. Odczekuję długo, zanim przejdę na drugą stronę: strumień samochodów wyjeżdżających z Giverny drogą departamentalną jest prawie nieprzerwany. Neptun czeka grzecznie koło mnie. Przepuszcza mnie w końcu czerwony samochód z odkrytym dachem i skomplikowanym numerem rejestracyjnym, choć kierownicę ma z lewej strony.

Przechodzę przez most. Mimo woli zatrzymuję się nad strumieniem: ostatni raz wpatruję się w łupkową dachówkę i różowe cegły pralni, zieloną metalową barierkę mostu, mury podwórza młyna, po prawej, skąd sterczy wieża ze swoim najwyższym piętnem i wierzchołek czereśni. Od tygodni pralnia jest wymalowana w czarne i białe pokrzywione twarze. Nikt nigdy nie oczyścił cegieł. Może to niedbalstwo, może nie... W końcu, jeśli jest jakieś miejsce, gdzie byłoby źle widziane czyszczenie środkami firmy Kärcher przejawów buntu anonimowych artystów, to tym miejscem jest właśnie Giverny. Nie sądzicie?

Mała strużka jasnej wody strumienia płynie spokojnie, jakby sobie kpiła z tego ożywienia ludzi biegających nad brzegami. Ci mnisi, którzy kiedyś gołymi rękami żłobili ten kanał, ten nawiedzony malarz, który zawrócił bieg rzeki, żeby stworzyć staw, i który zamknął się tu na trzydzieści lat, żeby malować nenufary, ten szaleniec, który zamordował tu wszystkich mężczyzn, którzy się do mnie zbliżali, wszystkich tych mężczyzn, których mogłam kochać...

Kogo to może dzisiaj interesować? Komu się skarżyć? Czy istnieje urząd do spraw straconego życia?

Idę jeszcze kilka metrów. Obejmuję spojrzeniem łąkę, zapewne po raz ostatni. Parking jest prawie pusty.

Nie, no nie, łąka nie ma nic z pejzażu supermarketu. Nie, oczywiście, że nie. To żywy, zmieniający się pejzaż. Zależnie od pory roku, pory dnia, oświetlenia. Również wstrząsający. Czy żeby to w końcu zrozumieć, musiałam być tak pewna godziny swojej śmierci, tak spokojna, obserwując go po raz ostatni? Żeby na koniec tak go żałować. Nie przypadkiem zatrzymali się tu na dłużej Claude Monet, Theodore Robinson i tylu innych... Oczywiście. To, że jest to miejsce pamięci, niczego nie ujmuje pięknu tego pejzażu.

Wprost przeciwnie.

– Prawda, Neptun?

Mój pies merda ogonem, jakby słuchał moich najostatniejszych uniesień. W rzeczywistości zrozumiał już następny etap, z czasem się przyzwyczaił. Wie, że rzadko mi się zdarza wracać na podwórze młyna, nie przeszedłszy przez małą polankę tuż obok. Jedna wierzba, dwie jodły. Polankę chroni dzisiaj przed turystami ogrodzenie. Nie można jej zobaczyć z drogi. Idę naprzód.

Neptun po raz kolejny mnie wyprzedził. Czeka, leżąc w trawie, jakby miał świadomość, co oznacza to miejsce. W końcu dochodzę do niego, wbijam łaskę w ruchomą ziemię i stoję tak oparta na niej. Patrzą przed siebie na pięć małych kopców z pięcioma małymi krzyżami na szczycie.

Pamiętam. Jak tu zapomnieć? Miałam dwanaście lat. Przytuliłam Neptuna z całej siły, umarł na moich rękach. Rok później utonięcie Paula. Pies zdechł ze

starości, mówiła mi mama.

„Nie cierpiał, Stéphanie. Po prostu zasnął jak stary pies...”.

Byłam niepokieszona. Nie mogłam się rozstać z moim Neptunem.

„Pójdziemy po drugiego, Stéphanie. Weźmiemy małego szczeniaka... Jutro...

– Tego samego! Chcę tego samego...

– Dobrze, Stéphanie. Tego samego. Pójdziemy na fermę do Autheuil... Jak... jak go nazwiesz, tego szczeniaczka?

– Neptun!

Miałam w życiu sześć psów. Wszystkie były owczarkami niemieckimi. Wszystkim dałam imię Neptun, wierna kaprysowi małej samotnej i nieszczęśliwej dziewczynki, która tak chciała, żeby jej pies żył wiecznie, żeby on, chociaż on, nie umierał!

Znowu podnoszę wzrok. Odwracam powoli głowę z prawej na lewo. Pod każdym krzyżem na małej tabliczce wyryte to samo imię. Neptun.

Zmieniają się tylko cyfry pod imieniem.

1922–1938

1938–1955

1955–1963

1963–1980

1980–1999

Neptun wstaje, podchodzi i ociera się o moje nogi, tak jakby rozumiał, że po raz pierwszy to ja odejdę, a nie on. Neptun zostanie przygarnięty na fermę w Autheuil. Hodują tam psy od pokoleń, jego matka pewnie jeszcze żyje. Będzie mu tam dobrze. Zostawię list z dokładnymi instrukcjami co do jego posiłków i żeby pozwolili dzieciom bawić się z nim; żeby został pochowany tutaj, gdy przyjdzie czas.

Głaszczę go. Nigdy jeszcze tak się do mnie nie przytulał. Coraz bardziej chce mi się płakać. Muszę się spieszyć. Jak będę zwlekać, stracę odwagę.

Zostawiam laskę wbitą w ziemię tutaj, koło pięciu kopczyków. Nie będzie mi już potrzebna. Idę aż na podwórze. Neptun nie odstępował mnie ani na centymetr. Ten cholerny szósty zmysł zwierząt! Normalnie Neptun poszedłby się położyć pod wielką czereśnię. Ale nie. Nie zostawia mnie. W końcu się przez niego przewrócę. Przez moment żałuję, że zostawiłam laskę.

– Ostrożnie, Neptun, ostrożnie.

Neptun odsuwa się trochę. Już od dawna wśród liści czereśni nie ma srebrnych wstążek. Ptaki mają używanie... Głaszczę jeszcze Neptuna, długo go głaszczę. Podnoszę oczy na wieżę młyna des Chennevières.

Jacques kupił młyn w 1971 roku. Dotrzymał słowa. Uwierzyłam mu, mój Boże, wtedy mu uwierzyłam. Kupił mi ten wymarzony dom, ten dziwaczny młyn, który tak mnie intrygował, kiedy miałam jedenaście lat. Wraz z przybyciem tutaj paryżan agencja nieruchomości Jacques'a w końcu zaczęła przynosić dochód. Czekał na okazję, na odpowiedni moment, młyn od dawna był niezamieszkały, ale wreszcie właściciele zdecydowali się go sprzedać. On był pierwszy. Wszystko odremontował, zajęło mu to lata. Koło, studnię, wieżę.

Myślał, że będę szczęśliwa. To było takie śmieszne, żalosne... To tak jakby strażnicy zabawiali się dekorowaniem ścian więzień. Młyn des Chennevières nie miał już nic wspólnego ze starym zrujnowanym domem, który mnie fascynował, z „młynem czarownicy”, jak go wtedy nazywano. Kamienie wyszorowane. Drewno polakierowane. Drzewa przycięte. Balkony ukwiecone. Podwórze zagrabione. Furtka naoliwiona. Ogrodzenie postawione.

Jacques był maniakiem. Wielkim maniakiem.

Czy mogłam to sobie wyobrazić?

Nigdy się nie zgadzałam, żeby ściał czereśnię. Nie zrobił tego. Ustępował mi we wszystkim. Tak, tak, naprawdę w to wierzyłam.

Potem sprawy agencji się odwróciły, wiatr powiał inaczej. Trudno było ją utrzymać. Najpierw wynajęliśmy część młyna, potem sprzedaliśmy go młodemu miejscowemu małżeństwu. Zachowaliśmy tylko wieżę. Kilka lat temu przekształcili młyn des Chennevières w dom noclegowy. Z pozoru funkcjonuje to nieźle. Myślę, że czekają tylko na jedno, żebym wykitowała, żeby dostać kilka dodatkowych pokoi. Na podwórzu są teraz huśtawki, wielki grill, parasole i ogrodowe altany. Mówią nawet o przekształceniu pola za młynem w park dla zwierząt, zaczęli już sprowadzać lamy, kangury i strusie czy emu, nie wiem.

Macie pojęcie?

Egzotyczne zwierzęta do zabawiania dzieci... Nie można tego ominąć, kiedy dojeżdża się do Giverny od strony Vernon przez chemin du Roy.

I pomyśleć, że to miejsce w ciągu dziesięcioleci było młynem czarownicy...

Została już tylko czarownica.

Ja.

Nie na długo już, bądźcie spokojni. Czarownica skorzysta jutro z pełni księżyca, żeby zniknąć... Znajdą ją nad ranem zmiażdżoną, pod czereśnią. Ten, kto ją znajdzie, spojrzysz w górę i pomyśli, że pewnie spadła ze swojej miotły. Normalnie. To była stara czarownica.

Ostatni raz ściskam sierść Neptuna, przytulam go mocno, bardzo mocno, potem zamykam za sobą drzwi od wieży. Szybko wchodzę na górę, zanim usłyszę, jak skomle.

DZIEŃ CZTERNASTY
26 maja 2010
(*Młyn des Chennevières*)

SREBRNE WSTAŻKI

– 84 –

Otworzyłam okno. Jest trochę po północy. Myślałam, że łatwiej będzie wyskoczyć, jak nadejdzie noc. Ułożyłam wszystko w pokoju jak stara maniaczka, jakby najgorsze z obsesji Jacques'a z czasem przeszły na mnie. Na stole zostawiłam list, żeby się dobrze zaopiekowano Neptunem. Nie zdobyłam się na zdjęcie ze ściany moich czarnych *Nenufarów*.

Nie mam żadnych złudzeń, jakieś sępy, jacyś handlarze starzyzną z doliny Eure przyjdą się obsłużyć. Meble, naczynia, bibeloty. Może niektóre przedmioty wrócą do antykwariusza z ulicy Blanche-Hoschedé-Monet, do mojego dawnego służbowego mieszkania nad szkołą... Ale nie sądzę, żeby zadali sobie trud i zainteresowali się tymi *Nenufarami*, tym szkaradnym obrazem zapaćkanym na czarno. Któż będzie mógł sobie wyobrazić, że pod spodem kryje się inne życie, pełne światła?

Do śmietnika z tym bohomazem!

Do dziury, obok miłego męża, tę starą, która się przysunęła zbyt blisko okna.

Złą staruchę, która z nikim już nie rozmawiała, która nigdy się nie uśmiechała, ledwo mówiła dzień dobry. Kto by pomyślał, że pod tą pomarszczoną skórą kryje się dziewczynka, która miała talent. Może nawet genialna...

Nikt nigdy się tego nie dowie.

Fanette i Stéphanie od tak dawna nie żyją... zamordowane przez zbyt gorliwego anioła stróża.

Obserwuję przez okno podwórze młyna. Szary grys przed wejściem oświetlony jest halogenem. Już się nie boję, tylko żałuję. Mała Fanette tak bardzo kochała życie.

Nie sądzę, żeby zasłużyła na to, by umierać taka zgorzkniała.

– 85 –

Citroën Picasso zatrzymuje się prawie pod moim oknem. To taksówka. Nic takiego, przyzwyczaiałam się, że wieczorem taksówki często przywożą tu turystów, do schroniska. Przyjeżdżają ostatnim pociągiem z Paryża na dworzec w Vernon, bagażnik pełen jest walizek.

Neptun oczywiście do nich podchodzi. Najczęściej z tylnych drzwi taksówki wylatuje chmara dzieciaków podnieconych podróżą: Neptun uwielbia ich witać!

Tym razem nie ma szans, w taksówce nie ma ani jednego dzieciaka.

Tylko mężczyzna, stary mężczyzna.

Bagazy też nie ma...

Dziwne...

Neptun staje koło niego. Stary człowiek się pochyla. Długo głaszcze mojego psa, jakby odnajdował starego przyjaciela...

Mój Boże!

Czy to możliwe?

Wszystko mi eksploduje, serce, oczy, głowa.

Czy to możliwe?

*

Jeszcze bardziej się wychyłam. Nie żeby wypaść, tym razem. Och, nie! Jakieś straszne uderzenie krwi do głowy. Widzę się nagle w oknie innego domu, różowego domu Moneta, to było w innym życiu; koło mnie stał mężczyzna, mężczyzna okropnie uwodzicielski. Mówiłam mu słowa, które wtedy były dziwne, słowa, o których nigdy bym nie pomyślała, że mogą wyjść z moich ust.

Słowa jak poemat Aragona... Recytowane linijki wyuczone raz na zawsze...

„Zakochałam się tylko w pana triumphie tigerze!”.

Zaśmiałam się i dorzuciłam:

„I może w sposobie, w jaki się pan zatrzymuje, żeby pogłaskać Neptuna...”.

Nachylam się jeszcze bardziej nad parapetem okna. Głos wznosi się po wieży. Nie zmienił się, może trochę, przez prawie pięćdziesiąt lat:

– Neptun... Staruszk, nie myślałem, że cię tu zastanę po tak długim czasie... Żywego!

Wchodzę do pokoju, przywieram do ściany. Serce wali mi jak młot. Próbuję pomyśleć, uspokoić się.

Na zawsze, na zawsze.

Nigdy więcej nie zobaczyłam Laurença Sérénaca. Inspektor Laurenç Sérénac był dobrym, bardzo dobrym gliniarzem. Kilka miesięcy po sprawie Morvala, pod koniec 1963 roku, dowiedziałam się od Sylvia Bénavidesa, że Laurenç poprosił o przeniesienie do Quebecu, jakby musiał uciekać na koniec świata. Uciec ode mnie, jak myślałam. W rzeczywistości uciec od morderczego szaleństwa Jacques'a. I właśnie w Kanadzie przez te lata wszyscy przyzwyczaili się go nazywać jego przezwiskiem, Laurentin. W Quebecu tak się przezywa mieszkańców doliny Saint-Laurent, od Montrealu do Ottawy. Pewnie jego kolegów korciło bardzo, żeby przekształcić jego oksytańskie imię Laurenç na miejscowe Laurentin. Z prasy francuskiej dowiedziałam się, że wrócił na swoje stanowisko komisarza w Vernon w trakcie afery z kradzieżą obrazów Moneta z muzeum Marmottan w 1985 roku. W gazetach ukazało się wtedy kilka jego fotografii. Jak go nie rozpoznać? Laurenç Sérénac, który dla wszystkich stał się komisarzem Laurentinem. Amadou Kandy powiedział mi nawet, że nigdy, dwadzieścia lat po jego przejściu na emeryturę, nie ruszyli obrazów z jego gabinetu w komisariacie w Vernon, *Arlekina Cézanne'a*, *Rudej kobiety Toulouse-Lautreca*...

Trzęsę się jak liść. Nie ośmielam się podejść z powrotem do okna...

Co tu robi Laurenç?

To wariactwo...

Muszę uporządkować myśli. Kręcę się w kółko po pokoju.

Co tu robi Laurenç?

To nie może być przypadek... Podchodzę do lustra, nogi same mnie tam niosą, nie pytając o pozwolenie...

Ktoś puka do drzwi kilka pięter niżej!

Wpadam w panikę jak nastolatka, która wychodzi spod prysznic i natyka się na swojego chłopaka... Mój Boże, muszę być śmieszna... W jednej chwili myślę

o Patricii Morval, małej Mary, donosicielce, wdowie po Jérômie, która padła mi w ramiona tydzień temu... Życie nas zmienia. Czasami na lepsze. Czy to ona wezwała Laurença? Kto go pchnął na ścieżkę prawdy, odrażającej prawdy? Nie mam czasu, żeby starać się zrozumieć.

Ktoś puka na dole.

Mój Boże...

Patrzę na tę zimną i pomarszczoną twarz w lustrze, na moje włosy pod tą czarną chustką, z którą się już nie rozstaję, na tę facjatę zgryźliwej megiiery.

Niemożliwe, niemożliwe, nie mogę sobie wyobrazić, że mu otworzę.

Słyszę odgłos otwierania drzwi w wieży. Pchnięte. Nie domknęłam ich za sobą. Żeby ułatwić pracę tym, którzy by podnieśli moje ciało...

Jaka głupia!

Głos na kręconych schodach:

– Zostajesz tu, Neptun, staruszk. Chyba nie wolno ci wchodzić na górę.

Mój Boże. Mój Boże.

Zrywam czarną chustkę. Włosy spadają mi na ramiona. Biegnę prawie, tym razem panuję nad nogami. I radzę im słuchać, tym starym girom!

Otwieram drugą szufladę kredensu, rozrzucam stare guziki, szpulki z nićmi, napastrzek, igły. Nie boję się ukłuć.

Wiem, że tam są!

Moje drżące palce trafiają na dwie srebrne wstążki. Przed oczami przesuwiają mi się w szalonym tempie obrazy. Widzę znów Paula na czereśni na podwórzu młyna odczepiającego srebrne wstążki, dającego mi je, nazywającego mnie swoją księżniczką; widzę, jak pierwszy raz go całuję i obiecuję, że będę je nosiła przez całe życie; widzę Laurença, po latach dotykającego srebrnych wstążek w moich włosach młodej kobiety.

Mój Boże, muszę się skupić.

Znowu biegnę do lustra. Tak, przysięgam, biegnę. Wplątam gorączkowo we włosy, w zaimprovizowany kok, srebrne wstążki.

Śmieję się nerwowo.

Fryzura księżniczki, tak, tak mówił Paul, fryzura księżniczki... Jaka ze mnie wariatka!

Kroki się zbliżają.

Znowu słycać pukanie, tym razem do drzwi mojego pokoju.

Za wcześnie! Nie odwracam się, jeszcze nie.

Znowu pukanie. Delikatne.

– Stéphanie?

Poznaję głos Laurença. Jest prawie taki sam jak dawniej. Może trochę poważniejszy niż w moich wspomnieniach. To było wczoraj, chciał mnie zabrać. Mój Boże, cała drzę. Czy to możliwe? Czy to jeszcze możliwe?

Zbliżam twarz do lustra ze złuszczonym złotem.

Czy umiem się jeszcze uśmiechać? To było tak dawno...

Próbuję.

Przechodzę na drugą stronę lustra.

To już nie jest stara kobieta, ta, którą widzę w lustrze.

To radosny uśmiech Fanette.

To fiołkowe oczy Stéphanie, jak nenufary.

Żywe, tak bardzo żywe.